
Richards Emilie

Powracająca fala

Cykl Powracająca fala 01

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rok 1965

Niełatwo było skontaktować się z Phillipem Benedictem. Raz pomieszkiwał we własnym apartamencie na nowojorskiej East Side, kiedy indziej w niewielkim pokoju z kuchnią na drugim krańcu Ameryki, w zachodnim Los Angeles. Ostatnio natomiast bywał często w Nowym Orleanie, gdzie mieszkał z Belindą Beauclair.

Belinda miała własne lokum – połówkę nieco zaniedbanego bliźniaka z czterema pokojami w amfiladzie, ułożonymi w jednej linii od frontu do tyłu, co przypominało mieszkalny tramwaj. Pomalowała je w odcieniach klejnotów – ametystu, szmaragdu, granatu i szafiru – a ściany ozdobiła kolażami z tkanin i fotografii. Zawsze, kiedy się tam pojawiał, paliły się świece czy kadzidełka z jednego z tych dziwnych sklepików przy Rampart Street, w których można kupić ziemię z grobów do tajemniczych obrzędów. Belinda nie wyznawała wprawdzie kultu wudu, lecz przemawiał on do niej bardziej niż rozliczne religie chrześcijańskie, które trzymały Negrów w okowach niewoli od chwili, gdy zeszli ze statków na amerykańską ziemię, przywiezieni tu wbrew własnej woli z Czarnego Łądu.

Belinda nie lubiła zresztą mówić o swojej własnej rasie jako o negroidalnej. Ewentualnie mogłaby uczynić wyjątek, gdyby ta druga, biała rasa zechciała określać siebie jako kaukaską. Tak naprawdę nie było jednak o czym mówić – barwy skóry mówiły same za siebie: ona była czarna, oni biali.

Belinda była atrakcyjną kobietą. Miała miękkie, koci chód, leniwy uśmiech i osobowość będącą niepokojącą mieszanką inteligencji i zmysłowości.

Skończyła wyższe studia, pracowała jako przedszkolanka. Wszystko w tej kobiecie podobało się Phillipowi, nic więc dziwnego, że coraz częściej drogi wiodły go do Nowego Orleanu.

Pewnego sobotniego lutowego popołudnia Phillip wyszedł z mieszkania Belindy, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Ona sama opuściła dom wczesnym rankiem, on zaś spędził pół dnia nad walizkową maszyną do pisania, stukając w klawisze palcami jednej ręki i popijając litrami czarną kawę. Był dziennikarzem bez etatu, wolnym strzelcem, a na swoją zawodową wolność musiał zapracować godzinami ciężkiej harówki.

Słońce już prawie dotykało horyzontu, ale powietrze było zdumiewająco ciepłe, łagodne i przepojone zapachami nadchodzącej wiosny. Na niebie zbierały się chmury, a zachód słońca zapowiadał się wręcz malarsko.

Phillip nie urodził się w tym mieście i z rezerwą podchodził do tych, którzy powtarzali mu, że jest to miejsce absolutnie niepowtarzalne. Nie przebierał się jako dziecko w karnawałowe maski z okazji słynnego Mardi Gras, nie chodził do miejskich szkół, gdzie segregacja rasowa była czymś zupełnie normalnym. Nie poznał tu smaku pierwszego papierosa czy pierwszego pocałunku i nie ciągnęło go do żadnych sentymentalnych miejsc. A jednak miasto to za każdym razem próbowało go uwieść, choć bronił się przed nim chłodnym, dziennikarskim obiektywizmem.

Tego dnia dręczyła go na dodatek ciekawość. Po telefonie, jaki otrzymał rano, z trudem panował nad emocjami. Pod ich wpływem podjął błyskawiczną decyzję. Wsiadł do wozu i ruszył w kierunku luksusowej dzielnicy Garden District. Aurore Gerritsen udzieliła mu krótkich wskazówek, jak ma trafić do jej domu, jechał więc teraz, jak mu kazano, rozmyślając o niedawnej rozmowie.

Aurore Le Danois Gerritsen...

Właścicielka kontrolnego pakietu akcji Gulf Coast Shipping, matka senatora Ferrisa Gerritsena i córka rodu o krwi tak błękitnej, jak lilie z Luizjany.

Aurore Le Danois Gerritsen proponowała mu, by napisał jej biografię!

Kiedy zatrzymał wóz u wylotu Prytania Street, horyzont płonął złotem. Przed domem Aurore Gerritsen było aż za wiele miejsca do parkowania, jej posiadłość bowiem miała powierzchnię co najmniej stadionu piłkarskiego. Phillip wolał się jednak przejść ulicą, wyczuć atmosferę świata, w którym żyje ta niezwykła kobieta.

Spacer był zaiste pouczający. Zanim dotarł do domu pani Gerritsen, mógł podziwiać reprezentowany tu obficie styl włoski i grecko-klasyczny, akcentujący konserwatywny, dziewiętnastowieczny charakter tego miejsca. Niektóre domy śmiało można było nazwać rezydencjami, podczas gdy inne – zaledwie willami dla zamożnych. Konary omszałych dębów, pamiętających zapewne jeszcze wojnę Północy z Południem, skrzypiały w porywach wiatru, a magnolie czekały cierpliwie, aż maj pozwoli im rozkwitnąć i wypełnić miasto słodką wonią. Wśród roślinności połyskiwała woda w basenach i lśniące karoserie cadillaców.

Jeśli mieszkali tu jakieś osoby o ciemnej skórze, to tylko różnego rodzaju służba, jak ogrodnicy czy pokojówki.

Zaledwie Phillip pojawił się na Prytanii, poczuł, że jest obserwowany. Nie był ubrany jak ogrodnik czy hydraulik; miał na sobie ciemny garnitur i ele-

gancki, tradycyjny krawat. Ale był czarny i – co jeszcze bardziej zdumiewające – zmierzał pewnym krokiem ku bramie posiadłości Aurore Gerritsen.

– Hej, ty!

Normalnie zignorowałyby takie wezwanie, ale sytuacja nie była normalna. Odwrócił się i zobaczył starszego mężczyznę, który kiwał na niego ręką.

Mężczyzna był blady i żyłasty jak twardy korzeń bagiennego cypryśnika. Miał na sobie lekkie, płócienne ubranie, tak charakterystyczne dla tych okolic. Stał oparty o żelazne ogrodzenie w rogu posiadłości sąsiadującej z terenem pani Gerritsen i przyzywał go władczy gestem.

Phillip nie ruszył się z miejsca.

– Rozumiem, że mówi pan do mnie, tak? – zapytał.

Mężczyzna wskazał bramę gospodarczą z drugiej strony domu.

– Dostawy tamtędy, Murzynie.

– Ach, tak. Dziękuję, zapamiętam na wypadek, gdybym zatrudnił jakiegoś białego chłopaka na posyłki – odciął się, wchodząc w furtkę i starannie zamykając ją za sobą. W paru krokach przeszedł alejkę i zadzwonił do drzwi frontowych.

Aurore nie miała ochoty na kolację. W jadalni skosztowała tylko trochę ryby i gotowanego koleczocha.*¹

Teraz, ubrana w niebieską wzorzystą suknię, z pojedynczym sznurem pereł na szyi, czekała

na Phillipa Benedicta we frontowym saloniku, który nie należał do jej ulubionych pokojów. Dawno temu umeblowała go sprzętami z rodzinnego domu – ciężkimi, ciemnymi meblami z minionej epoki, w której wszystko robiono solidnie, na wieczność.

Niestety, nie znalazła jak dotąd w sobie siły, by się ich pozbyć.

Na dźwięk dzwonka palce starej kobiety zacisnęły się na poręczach fotela. Nakazała pokojówce wprowadzić gościa i czekała, licząc sekundy, które zdawały się płynąć jak godziny.

Wreszcie Lily przywiodła za sobą wysokiego mężczyznę, Murzyna. Spokojne spojrzenie jego ciemnych oczu omiotło uważnie pokój, a dopiero potem zatrzymało się na niej.

Słowa powitania uwięzły Aurorewgardle. Wstała, nie chcąc przyjmować tego gościa jak wielka dama z taniej kostiumowej dramy. Milczała. To on odezwał się pierwszy.

– Czy pani Gerritsen?

Wyciągnęła ku niemu rękę. Drobna biała dłoń zniknęła w czarnej. Stara i młoda. Silna i krucha. Dosłownie poraził ją ten kontrast – do tego stopnia, że

¹ *Rodzaj koleczastej, tropikalnej, pnącej dyni (przyp.tłum.).

przez moment rozważała, czy nie powiedzieć mu, że zmieniła zdanie. Może przeliczyła się z siłami?

Musiał wyczuć jej wahanie. Nie uśmiechał się. Chyba w ogóle nieczęsto się uśmiechał. Stał spokojnie, dając jej czas, by doszła do siebie i zabrała głos.

– Cieszę się, że pan przyszedł – powiedziała wreszcie. – Od dawna chciałam pana poznać.

– Naprawdę? – nie ukrywał, że nie dowierza.

– Tak, od dawna podziwiam pańskie artykuły.

– Jestem zaskoczony. Raczej mnie tu nie znają.

– Nie znają, bo nie interesują ich tematy, o których pan pisze. To miasto wprost pyszni się sobą.

Miała wrażenie, że nieco się odprężył.

– Gdyby świat nagle zniknął, nowoorleańczycy nawet by tego nie zauważyli, czy to chciała pani powiedzieć?

Uśmiechnęła się powściągliwie.

– Napije się pan kawy, panie Benedict? Mój kucharz obiecał, że coś upiecze.

– Nie, dziękuję.

Żałowała, że nie powiedział „tak”. Zyskałaby trochę czasu na przyzwyczajenie się do jego obecności. Ponadto przy kawie uchodzi wiele rzeczy, których normalnie nie wypada powiedzieć.

– W takim razie usiądźmy tutaj. – Wskazała gestem sofę pod oknem. – Chciałabym trochę lepiej pana poznać, zanim wyjaśnię, dlaczego pana do siebie zaprosiłam.

– Wywiad? Jeszcze na nic nie wyraziłem zgody.

– Nie – uśmiechnęła się. – Jestem... jestem absolutnie przekonana, że jest pan jedyną osobą, która może opisać moją historię. I mam nadzieję, że pozwoli się pan do tego przekonać.

Dostrzegła w jego oczach zainteresowanie i czujność zarazem, i już wiedziała, że go ma. Po raz pierwszy od czasu kiedy tu wszedł, nabrała nadziei.

Usiadła na niewygodnej sofie, oparła się o stos poduszek, on zaś zajął miejsce w drugim końcu, lekko pochylony do przodu, jakby w każdej chwili był gotów zerwać się na nogi.

– Czy długo zabawi pan w Nowym Orleanie? – zagadnęła.

– Kilka tygodni. – Popatrzył jej w oczy. – Jeśli wolno mi spytać, jak pani się dowiedziała, że tutaj jestem?

– Czytałam pańskie artykuły w Atlantic Monthly i serię artykułów o integracji rasowej w The New York Times. W ogóle śledzę pana karierę i stąd wiem, że jest pan synem Nicky Valentine i że odwiedza pan matkę od czasu do czasu. Kiedy zaczęłam myśleć o swoim zamierzeniu, uznałam, iż powin-

nam zatrudnić kogoś o najwyższej dziennikarskiej klasie. Potem uznałam, że powinien to być właśnie pan. Zasięgnęłam języka i...

- I znalazła mnie pani?
- To naprawdę małe miasto.
- Zdążyłem zauważyć.

Aurore znów posłała mu uśmiech.

- Nie było trudno pana odszukać. Jest pan związany z ruchem walczącym o równouprawnienie, choć nie bierze pan jawnie udziału w demonstracjach.
- Jestem dziennikarzem. Muszę dokonywać obiektywnego oglądu sytuacji.
- Wiem.
- I nic z tego, co dowiedziała się pani o mnie, nie zniechęciło pani?
- Przeciwnie, zaintrygowało mnie.
- Co jeszcze chciałaby pani o mnie wiedzieć?
- Proszę mi powiedzieć, czy podoba się panu tutaj?

Wyraźnie zastanawiał się nad odpowiedzią. Wiedziała, że gardzi kłamstwem i na pewno powie prawdę. Ale często powiedzenie prawdy zajmuje wiele czasu.

- Opowiem pani coś – odezwał się wreszcie.
- Wczoraj jechałem tramwajem. I choć nigdzie nie było napisane, że mam siedzieć z tyłu, a nie z przodu, jakaś kobieta wstała na mój widok i przesiadła się, żeby znaleźć się dalej ode mnie. Zapewne nie zdziwi się pani, jeśli powiem, że miała białą skórę?

– Nie.

– Teraz zaś, jak tylko znalazłem się w Garden District, miałem nader interesujące spotkanie z pani sąsiadem.

Aurore skinęła głową.

– Przypuszczam, że pan Aucoine nie wspomniał, że nie rozmawiamy ze sobą od lat, gdyż uznaliśmy, że nie mamy sobie absolutnie nic do powiedzenia.

– I to jest właśnie druga strona tego miasta – powiedział Phillip, najwyraźniej usiłując być w porządku wobec niej. – Zmiana wisi w powietrzu. Wszędzie czuje się napięcie.

- Cieszę się, że pan o tym mówi.
- Czemu?

Zaskoczył ją, choć nie powinien. Nielatwo było rozmawiać z Phillipem Benedictem. Jemu samemu musiało być niełatwo ze sobą.

- Ponieważ ja chcę tej zmiany.
- Nie będzie dla pani korzystna – oświadczył bez ogródek.
- Zdziwiłby się pan, wiedząc, co byłoby dla mnie korzystne.

Phillip zaczął nerwowo kiwać nogą, a ona pomyślała, że dał się wciągnąć w grę. Celowo pozwoliła mu się niecierpliwić, wykorzystując chwilę pauzy na

przyjrzenie się swojemu rozmówcy. Był przystojnym mężczyzną, ale nie to ją zaskoczyło najbardziej.

Już wcześniej widywała go na zdjęciach w prasie i w telewizji. Phillip Benedict tak długo pozostawał w pierwszych szeregach ruchu walki o równouprawnienie rasowe, że obiektywy kierowano na niego równie często, jak na ludzi, o których pisał.

Zdjęcia pokazywały dumnie osadzoną głowę i silne, wyraziste rysy, nie były wszakże w stanie oddać witalności, energii, tej szczególnej charyzmy człowieka, który wybija się dzięki niej ponad szary tłum. Wcześniej Aurore miała nadzieję, że Phillip jest tym mężczyzną, za jakiego go uważała. Teraz, widząc go, zyskiwała pewność.

Chętnie zabawiłaby się jeszcze w obserwację, ale ulitowała się nad nim.

– Nie zamierzam bez końca trzymać pana w niepewności. Proszę posłuchać, o co mi chodzi, a potem spróbujemy się dogadać. Po pierwsze chcę, żeby pan wiedział, że doskonale zdaję sobie sprawę z nietypowości mojej prośby. Świat nie czeka z zapartym oddechem na opublikowanie mojej autobiografii.

– Nie wątpię, że miała pani ciekawe życie.

– Cóż za godny podziwu takt. Ale tak naprawdę zainteresowanie czytelnice będzie w moim przypadku bardzo ograniczone.

– Jak bardzo, pani zdaniem?

– Bardziej niż pan sobie wyobraża. Moje zamierzenie ma charakter czysto prywatny, osobisty. Wystarczy, by egzemplarze spisane go przez pana zyciorysu otrzymali członkowie najbliższej rodziny.

– Co w wydatny sposób ogranicza moje tantiemy.

– Zawrę z panem umowę o dzieło, a nie procentową. – Aurore zamilkła na moment. – Sam określi pan sumę.

– Sądziłem, że jest pani kobietą interesu.

– Jestem starą kobietą, której bardzo zależy na tej sprawie.

– Dlaczego?

– Kiedy skończymy, będzie pan znać odpowiedź. Nie powiedział nie, ale nie powiedział też tak.

Wpatrywał się w nią usilnie, jakby chciał telepatycznie odgadnąć jej motywy.

– Będę teraz często wyjeżdżał z miasta, przez najbliższy miesiąc albo dłużej. Obsługuję kampanię wyborczą w Alabamie. Ile czasu według pani nam to zajmie?

– Nie mam pojęcia. Łatwo się męczę i jestem stara, a mam tak wiele do powiedzenia.

– Mam nieodparte wrażenie, że uzyskalaby pani to samo tańszym kosztem. Wystarczy nagrać wspomnienia na magnetofon.

– O, nie, bardzo się pan myli. Potrzebuję pana pomocy. Nie mogłabym tego wszystkiego powiedzieć bezdusznej maszynie. Potrzebuję kogoś z pana inteligencją i wyczuciem.

– Proszę posłuchać, pani Gerritsen, nie mam pojęcia, dlaczego pani zadzwoniła, i nie wiem, o co naprawdę chodzi, ale wiem jedno – jestem czarny. A według reguł tego miasta – i poniekąd moich własnych – jestem ostatnią osobą, która mogłaby się podjąć tego zadania.

– Czytałam pańskie wywiady i wiem, że jest pan naprawdę wyjątkowy. Potrafi pan wyciągnąć z ludzi wszystko, co pragną ukryć.

– Dlaczego miałaby pani coś ukrywać i płacić mi ciężkie pieniądze, bym to z pani wyciągał?

– Ponieważ większość swojego życia przeżyłam w kłamstwie i tak nim przesiąknęłam, że czasem sama nie wiem, gdzie może kryć się prawda. Phillip z westchnieniem pokręcił głową. Niby się wahał, lecz ona wiedziała już, że nie odmówi.

Zrozumiała to znacznie wcześniej. Podjął decyzję wbrew sobie, i to go irytowało.

– Pięć tysięcy dolarów – oznajmił w końcu. – I oczywiście gwarancje.

– Przy następnym spotkaniu przekażę panu czek.

Phillip wstał.

– Jutro, jeśli można. Im wcześniej zacniemy...

– ...tym szybciej skończymy – dokończyła, również wstając.

Żałowała, że nie wzięła laski, ale nie chciała, by zobaczył przy pierwszym spotkaniu, że jej używa. Ponownie wyciągnęła do niego rękę.

– O dziesiątej nie będzie za późno?

– Nie, bardzo dobrze.

– W takim razie czekam. Do jutra.

Skinął głową i pożegnał ją uprzejmie, a potem szybko wyszedł.

Aurore liczyła kłamstwa, które już mu powiedziała. Największym było ostatnie. Wcale nie czekała jutra. Nie obchodziło ją żadne jutro.

ROZDZIAŁ DRUGI

Phillip wyjechał z Garden District i skręcił na północ do ClubValentine – klubu jazzowego, który stał się znany dzięki jego matce. Było jeszcze wcze-

śnie, więc Nicky pewnie miała próbę. Chciał z nią porozmawiać, a wolał to zrobić, zanim klub wypełni się gośćmi.

Zaparkował o kilka przecznic od Basin Street i szybkim krokiem ruszył wzdłuż rzędu biało malowanych, drewnianych domów, gdzie z otwartych okien przeboje Four Tops walczyły o lepsze z The Supremes, a nastoletnie dziewczęta w krótkich, kolorowych spódniczkach szalały na chodnikach, robiąc taneczne wygibasy. Pośrodku osiedlowej uliczki ktoś gotował kraby w starej puszcze po cukrze. Apetyczna woń przypomniła Phillipowi, że od rana nic nie jadł. Klub był dwukondygnacyjnym narożnym budynkiem z tarasem o kutej, ozdobnej balustradzie, wznoszącym się nad wysadzaną drzewami ulicą. Okna z żaluzjami otwarto, by wpuścić wieczorny powiew. Idąc chodnikiem, Phillip słyszał głos Nicky, wybijający się ponad uliczne hałasy.

Gdy wszedł, pozdrowił gestem barmana, zajętego remanentem, i zaczął się rozglądać za swoim ojczymem Jakiem Reynoldsem. Nie znalazł go, więc poszedł za śpiewem Nicky, który zaprowadził go do pokoju na zapleczu. Miała na sobie obcisłą, czerwoną suknię – tak krótką, że wielu ludzi byłoby oburzonych, że nosi ją kobieta pod sześćdziesiątkę.

Ale w tym klubie wszystkim się podobała. Phillip przysunął sobie krzesło i usiadł, by wysłuchać pieśni do końca. Nicky Reynolds – znana wszystkim jako Nicky Valentine – miała głos, który otulał słuchacza miękko niczym sobolowe futro.

Potrafiła wyciągnąć z każdej nuty, z każdego słowa esencję życia i bólu, żar ciał, splątanych na łóżku w gorącą noc, i oszałamiającą radość pierwszej miłości. Kiedy śpiewała, zdawało się, że jej dusza przenika muzykę, że to nieprawdopodobne, by jeden człowiek mógł z tak przeraźliwą ostrością dostrzegać wszystkie problemy i paradoksy tego świata, jego urodę i brzydotę, zachwyt i żal – a jednak Nicky to potrafiła. Kiedy śpiewała, jej wiedza udzielała się słuchaczom. I nie chodziło tu nawet o słowa tęsknych, pełnych ekspresji pieśni – wystarczył sam głos, jego barwa, głębia, modulacja, fraza.

Zauważyła syna pod koniec ostatniej zwrotki i pogroziła mu palcem. Kiedy skończyła, zamieniła jeszcze kilka słów z orkiestrą, a potem podeszła do Phillipa.

– Co tutaj robisz?

Ucałował ją w czoło. Nie musiał się zbytnio schylać. Był wysoki, lecz matka prawie dorównywała mu wzrostem.

– Chciałem z tobą porozmawiać. Masz chwilę?

– Zawsze mam dla ciebie czas.

Phillip rozejrzał się. Pokój był pełen pracowników, przygotowujących scenę do występu.

– Dokąd pójdziemy?

– Może znajdzie się spokojny kąt w barze. Jeśli

jesteś głodny, grzeje się meksykańska fasola.

– Bosko.

W barze wskazała mu stolik w kącie i poszła po jedzenie. Wróciła, niosąc na tacy fasolę z ryżem i z kawałkiem bagietki, do której barman dodał po piwie.

Najpierw nasycił pierwszy głód, dopiero potem zaczął mówić:

– Odebrałem dzisiaj dziwny telefon...

Nicky jadła, czekając spokojnie na dalszy ciąg.

– Nie jesteś ciekawa? – zapytał, gdy zamiast się zainteresować, oderwała tylko kęs bułki i włożyła go do ust.

– Nie powiedziałam, że nie jestem. Po prostu mogę się domyślać, jakiego rodzaju telefony otrzymujesz. Z groźbami, z próbami szantażu. Albo przekupstwa. Gdybyś mi nawet o nich nie mówił, i tak wiedziałabym, czego może się spodziewać dziennikarz, którego reportaże co tydzień trafiają na pierwsze strony.

Phillip swobodnie przeszedł na francuski, który był jego pierwszym językiem. Zawsze to robił, kiedy ich rozmowy zyskiwały bardziej emocjonalną i czułą atmosferę.

– Bez przesady, nie w każdym tygodniu.

– Dość często, by przysporzyć mi kolejnych siwych włosów.

– Tym razem nie było to nic niemiłego. To była propozycja. Propozycja pracy.

– Rozumiem, znów będziesz musiał wyjechać.

– Nie uniosła wzroku znad talerza. – Tylko mi nie mów, że jedziesz do Wietnamu – dodała, po czym jak każdy porządny nowoorleańczyk starannie wytarła bułką resztki sosu z talerza.

– Nie muszę, tu też jest robota – powiedział tym razem po angielsku, czule gładząc jej dłoń. Skóra Nicky miała odcień o ton ciemniejszy od jego skóry, ale ponoć i tak była jaśniejsza od skóry ojca, którego

Phillip nie znał. Raz, w artykule o karierze Nicky Valentine, określono ten kolor jako „tofi”, a raz jako „kawę z mlekiem”. Zastanawiał się wówczas, czemu barwy skóry Afroamerykanów są zawsze porównywane do czegoś do jedzenia czy picia.

Potem zabawiał się myślą, że napisze kiedyś o białych w odcieniu „mącznym” czy „soku jabłkowego”, ale porzucił te pomysły jako samobójcze. – Poproszono mnie o napisanie biografii – wyjaśnił.

– Czyjej?

– Aurore Gerritsen. Słyszałaś kiedyś o niej?

Wreszcie mu się udało. Nicky uniosła wzrok znad talerza. Zmrużywszy oczy, obserwowała tego przystojnego trzydziestosiedmioletniego mężczyznę, którego kiedyś niańczyła przy piersi.

– I co, synu, masz zamiar pętać się po dzielnicy białych i zadawać najbogatszej kobiecie w tym mieście pytania na temat jej życia? Ciekawe, kto ci to zaproponował?

– Ona sama.

Nicky była zbyt dobra w ukrywaniu własnych uczuć, by pokazać swoje zaskoczenie. Twarz miała zdumiewająco gładką jak na kobietę w jej wieku.

I teraz nie pojawiła się na niej żadna zmarszczka.

Tylko orzechowe oczy popatrzyły na syna jeszcze bardziej przenikliwie.

– Nie wierzę w tę bajeczkę.

– Zadzwoiła do mnie osobiście. Wracam prosto od niej.

– Dlaczego wybrała właśnie ciebie?

– Nie mam pojęcia. Liczę, że ty podsuniesz mi jakieś wyjaśnienie.

Nicky odchyliła się na oparcie kanapki.

– Nie znam tej kobiety. Nie kojarzę też jej nazwiska z żadnym z ruchów dotyczących równouprawnienia.

– Założę się, że wiesz, kim są jej synowie – odparł. – Albo kim byli.

– Nie ma kolorowej osoby w tym mieście, która nie wiedziałaby o nich choć trochę.

Jadąc do ClubValentine, Phillip kolejno rozważał i odrzucał przynajmniej tuzin teorii, mających wyjaśnić przyczyny dziwnej decyzji Aurore Gerritsen. Była elegancką, zamożną starą kobietą, dostojnie siwowłosą, o szlachetnych rysach i przyjaznym spojrzeniu wyblakłych, niebieskich oczu.

Z pozoru budziła zaufanie.

Z pozoru? Ano właśnie. Phillip nie wierzył w ani jedno słowo, jakie mu powiedziała. Ani jedno.

Zastanawiał się, czy coś mogło łączyć jego rodzinę z rodziną Gerritsen, ale uznał to za nieprawdopodobne.

Aurore Gerritsen urodziła dwóch synów.

Młodszy, Ferris, został senatorem stanowym i zasłynął ze swoich rasistowskich poglądów. Starszy, Hugh, katolicki ksiądz, został rok temu zabity na mityngu aktywistów równouprawnienia w pewnej parafii na południe od Nowego Orleanu. Skrajne różnice światopoglądowe pomiędzy obu braćmi stały się głównym tematem prasowych sensacji po śmierci starego Gerritsena.

– Myślałem, że przypadkiem wiesz coś, czego ja nie wiem – powiedział. – Czy twoim zdaniem można by uznać jej postępowanie za spóźnione, publiczne opowiedzenie się po stronie zmarłego syna? Za bunt? Powiedzmy, że napiszę historię jej życia, umieszczając swoje nazwisko na okładce, a ona demonstracyjnie wręczy ją senatorowi...

Nie znalazł w jej oczach odpowiedzi.

– Jakie jest twoje zdanie? – spytała tylko.

– Wszystko to wydaje mi się bardzo dziwne. Na tyle dziwne, że zapragnąłem koniecznie poznać prawdę.

– Powiedz raczej, że szukasz pretekstu, żeby zostać w mieście, Phillipie Gerard. No, dalej. Przyznaj to wreszcie. Coraz trudniej zbierać ci się do wyjazdu i wciąż pakować bagaże. Pewna przedszkolanka bardzo ładnie okręciła sobie mojego syna wokół palca i za każdym razem, kiedy się buntuje, przyciąga go do siebie odrobinę mocniej...

– Tylko nie rób sobie żadnych nadziei – roześmiał się. – Belinda jest bardziej niezależna niż ja.

– Chcesz powiedzieć, że może coś z tego być?

Phillip wychylił się i pocałował matkę w policzek.

– Pomyśl jeszcze o tej sprawie z Gerritsen, dobrze? I daj znać, kiedy coś wymyślisz.

– A ty idź i napisz coś, żebyś mogła być z ciebie dumna.

Błysnął zębami w uśmiechu, który sprawiał, że otwierały się przed nim drzwi niedostępne dla kolorowych. Uśmiechu pełnym akceptującej życzliwości, wykluczającym podstępne dziennikarskie chwyt. Większość ludzi ulegała temu czarowi, zbyt późno spostrzegając, że wpadli w pułapkę.

Nicky była wprost nieprzyzwoicie dumna z syna, ale przestała mu to mówić w dniu, w którym zauważyła, że on jest dumny z siebie. Takiego uczucia Murzyn w latach sześćdziesiątych doznawał niezwykle rzadko, toteż tym bardziej mogła sobie pogratulować, że udało jej się wychować człowieka pewnego swych racji i pozbawionego kompleksów. Stała w drzwiach frontowych, odprowadzając Phillipa wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem, za szpalerem wspaniałych magnolii, którymi tak chlubił się Jake.

Zaledwie ucichł odgłos jego wozu, dał się słyszeć drugi. Silnik starego thunderbirda od dawna potrzebował regulacji, wszystko jednak wskazywało na to, że nie otrzyma jej dopóty, dopóki nie odmówi posłuszeństwa gdzieś na ulicy, w korku.

Właścicielem thunderbirda był Jake. Nadszedł właśnie chodnikiem, z pochyloną głową, przyglądając się bujnym kwiatom, które obsypały krzewy.

Minę miał taką jak jej ojciec, kiedy obchodził swoje pola bawełny, martwiąc się, czy deszcz spadnie w porę, albo czy nie będzie suszy.

Nicky czekała, aż dojdzie do samych schodów, i dopiero wówczas wyszła mu na spotkanie. Nawet teraz, po dwudziestu latach małżeństwa, lubiła czekać na jego pocałunek.

Był wysoki i szeroki w ramionach. Nadal trzymał się prosto i krzepko, choć miewał już kłopoty z kręgosłupem. Włosy mu siwiały, ale nadal były gęste i otaczały twarz niczym hełm wojownika.

Przez chwilę trwali w objęciach, nasłuchując dalekiego grzmotu.

– Phillip twierdzi, że zostanie tu na jakiś czas – oznajmił wreszcie Jake.

Nicky zastanawiała się, kiedy jej syn zdążył puścić w obieg tę nowinę.

– Naprawdę? A powiedział ci, dlaczego?

– Nie miał kiedy. Z tyłu zaczęli na mnie trąbić i musiałem odjechać. Odstaąpiła o krok, żeby lepiej widzieć jego twarz.

– Aurore Gerritsen poprosiła go, żeby napisał jej biografie.

– Gerritsen, ta od Gulf Coast Shipping?

– Ta sama.

– I zgodził się?

– Zaczyna jutro.

Jake znów przyciągnął ją do siebie. Opierała się tylko przez moment.

– Można by sądzić, że będziesz skakać z radości – powiedział, patrząc poważnie w jej oczy. –W końcu dzięki temu Phillip zostanie u nas dłużej.

– To jest zupełnie inny rodzaj ludzi, Jake.

– Jasne, że tak. Ciągłe mi się zdaje, że są coraz bielsi.

Nicky wysunęła się z objęć męża.

– Ferris Gerritsen jest najgorszym typem rasisty.

– A jaki to typ?

– Taki, który udaje, że nim nie jest.

Jake pokrzepiającym gestem ścisnął jej dłoń.

– Nie martw się, Phillip to stary wyga. Da sobie radę. A na razie zostanie w mieście, to jest najważniejsze. Najwyższy czas, żeby zapuścił korzenie, a gdzie jest dla niego lepsze miejsce?

Spostrzegła, że zerka w kierunku baru. Pewnie chciał jeszcze raz sprawdzić bilans. Zawsze tak robił.

– Dzisiaj będziemy mieli komplet – powiedziała.

– Co wieczór mamy komplet.

Nie powinna go dłużej przetrzymywać, ale miała potrzebę porozmawiania.

– Chcę, żeby Phillip został, Jake. Wiesz, że chcę. I wiem, że powinien zapuścić korzenie, choć jeśli o to chodzi, nie umiałam i nie umiem mu niczego doradzić. A jednocześnie nie chcę, żeby musiał iść na kompromis i służyć za literackiego murzyna starej kobiecie, która chce pokazać całemu światu, jaka jest liberalna. Co on będzie z tego miał?

– Książkę.

Milczała przez chwilę, potem wzduszyła ramionami.

– Może... Rzeczywiście, może o to mu chodzi.

– Albo zakochał się i potrzebuje pretekstu, żeby zostać w mieście na dłużej.

Muzyka wlała się do baru łagodną falą – powolny, klasyczny jazz z poprzedniej epoki. Rozpoznała Too Soon to Know – „Za wcześnie żeby wiedzieć”

– jeden z ulubionych standardów Jake’a. Uśmiechnęła się.

– Czasami myślę, że wierzysz w te wszystkie stare, głupie piosenki, które śpiewam.

Jake puścił dłoń Nicky i czule ujął jej podbródek w swoją.

– Czasami tak.

Kiedy Phillip zatrzymał się na podjeździe, Belinda siedziała na ganku. Dwoje dzieci z sąsiedztwa przycupnęło obok na balustradzie, opierając się o gęstą sieć dzikiego wina. Starsza dziewczynka zaplatała młodszej warkocz.

– Nie musisz mieć własnych dzieci – zażartował, wchodząc po schodkach.
– Zawsze będzie koło ciebie stadko cudzych.

– W takim razie nie potrzebuję również mężczyzny – uśmiechnęła się.

Phillip nie był zbyt sentymentalny. Oduczono go tego skutecznie już w dzieciństwie. Jednak na widok Belindy w jego duszy odzywała się jakaś zdławiona nuta; zdawało mu się wtedy, że wypełniają ją uczucia, których nie znał.

Belinda miała na sobie ciemne, wzorzyste, szerokie orientalne spodnie i top z frędzelkami, odsłaniający pępek. Niedawno ścięła włosy króciutko, po męsku, uzyskując piorunujący efekt. Teraz w pełni uwydatniła się jej smukła szyja księżniczki i owalna twarz z migdałowymi oczami w oprawie długich, podwiniętych rzęs. Paradoksalnie krótkie włosy odsłoniły całą jej kobiecość, urodę i dumę.

I temperament.

– Udekorowałeś całe moje biurko szklankami po kawie, Phillipie Benedict.

– Kajam się i proszę o wybaczenie. – Pochylił się nad ławeczką. – Co mam zrobić, żeby naprawić winę?

– Po prostu idź i posprzątaj.

– A nie mogłabyś zostawić na chwilę swoich małych przyjaciółek i wejść ze mną do środka?

– Amy, skończyłaś już? – zapytała Belinda.

Starsza dziewczynka, pucołowata, o żywych oczach, zsunęła się z chichotem z balustrady.

– Posłucha go pani?

– Nigdy nie robię tego, co mi każe. Zapamiętaj to sobie.

– Więc nie wejdzie pani do domu?

– Wejdem, ale dlatego że robi się chłodno. A wy już zmykajcie.

Dziewczynki w podskokach wybiegły na ulicę.

Na chodniku starsza wzięła młodszą za rączkę.

– Czy one nie powinny już spać? – zdziwił się Phillip.

– Wieczorem zostają z ciotką, bo matka sprząta biura w śródmieściu. Ta ciotka ma szóstkę własnych dzieciaków, więc nie jest w stanie upilnować takiej gromady. Nie bój się, Amy ma osiem lat i jest bardzo samodzielna. Ale

dla pewności sprawdzę, czy dotarli na miejsce. Idź do domu – powiedziała, po czym podniosła się z ławki. – Zaraz wrócę.

Phillip objął ją i zatrzymał.

– Chodź, moja nianiu. Pójdziemy razem.

Trzymając się za ręce, ruszyli za dziećmi. Phillip patrzył na skromne domki ustawione wzdłuż wąskiej ulicy. Tylko niektóre mogły się pochwalić nową farbą i wypielegnowanymi trawnikami. O inne wyraźnie nie dbano. Najgorsze wrażenie sprawiał budynek zajmujący dużą działkę na rogu następnej przecznicy. Zatrzymali się przed nim, patrząc, jak Amy z siostrą przechodzą przez ulicę i wchodzi na podwórko, rojące się od dzieci.

– To najsmutniejszy dom w okolicy – powiedziała Belinda.

– Dlaczego tak uważasz? – Phillip uważniej przyjrzał się budowli.

– Bo mógłby być piękny, ale odkąd pamiętam, stoi pusty i niszczeje. Kiedyś był na sprzedaż i pewnie nadal jest, ale nikomu nie chce się nawet ustawić nowej tablicy. W zeszłym miesiącu wprowadzili się tu dzicy lokatorzy, lecz policja szybko ich przegnała. Po nich przyjdą następni, zawsze tak jest. Deszcz leje się przez wybite szyby i stolarka zaczyna butwieć. W końcu miasto przyśle buldożer, żeby zrównał go z ziemią, a potem działka zarośnie i zamieni się w śmietnik. Szkoda. Ktoś przecież kiedyś tu mieszkał...

Phillip nie odczuwał nigdy podobnych sentymentów.

Wystarczyło mu, że ma dach nad głową.

Nigdzie nie zagrażał długo miejsca i nigdzie się nie zadomowił. Jednak ta sugestywna wizja upadku czyjejs siedziby przemawiała do jego wyobraźni.

Rzeczywiście, widać było, że dom pamiętał lepsze czasy i zasłużył na nowego właściciela, który przywróciłby mu dawną świetność. Był okazały, piętrowy, zdobny prawdziwie koronkową, kutą balustradą, wieńczącą podwójne galerie.

– Ten, kto zbudował ten dom, umiał marzyć – stwierdziła Belinda.

– Co przez to rozumiesz?

– Widzisz tę koronkową dekorację z żelaza? Tak pięknej nie spotkasz w całej okolicy. Ten dom musiała zbudować kobieta. Silna kobieta, która wiedziała, czego chce. Tak właśnie go sobie wymyśliła i sama dopilnowała wszystkiego. Trzeba prawdziwej siły, by zrealizować własne marzenia.

Phillip pomyślał o takiej właśnie kobiecie, którą poznał dzisiejszego popołudnia.

– Miałem dzisiaj dziwny telefon, wiesz?

– Tak? – odwróciła ku niemu głowę.

Grzmot przetoczył się przez niebo, głusząc odpowiedź.

Spadły pierwsze krople deszczu. Phillip chwycił Belinę za rękę i pociągnął w stronę domu. Zatrzymali się dopiero na werandzie, zdyszani, przemoczeni, roześmiani. Zaraz potem objęli się i zaczęli łapczywie całować.

W życiu Phillipa Benedicta były inne kobiety.

Większości już nie pamiętał. Ale żadna nie była tak pociągająca, jak ta, której gorące ciało zdawało się teraz stąpić z jego ciałem. Wokół szumiał nowoorleański deszcz. Nie miałby nic przeciwko temu, by posłuchać go jeszcze nie raz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na pierwszą sesję z Phillipem Benedictem Aurore wybrała mały salonik – słoneczny, otwarty na ogród i łagodne powiewy bryzy. Okrągły stolik zapraszał wprost do rozmowy; świergot ptaków w bujnych krzewach przypominał dawno przeżywane sceny, nie dając jej zapomnieć, że ma za sobą siedemdziesiąt siedem lat życia.

Kiedy przyszedł, powitała go w wygodnej domowej sukni w kolorze lawendy. Nie założyła biżuterii, nie chcąc stwarzać oficjalnej atmosfery. A jednak była spięta, choć starannie to ukrywała.

Patrząc na wysoką sylwetkę Phillipa Benedicta, znów podziwiała jego osobisty urok i atmosferę zaufania, jaką wokół siebie wytwarzał. Dziś miał na sobie białą koszulę i ciemną marynarkę, nie założył jednak krawata, jakby szykował się do poważnej pracy, a nie ceremonii. Przyniósł magnetofon kasetowy i trzymał go demonstracyjnie przed sobą, oczekując zapewne, że sprowokuje ją do wyrażenia własnej opinii.

– Magnetofon? To dobry pomysł – przyznała.

Zdawał się być zdziwiony, że nie oponuje.

– W takim razie bardzo się cieszę. Nagrania ułatwią mi pracę. Ale i tak będę robił notatki.

Wskazała mu gniazdko, on zaś włączył magnetofon i zaczął go przygotowywać do nagrania.

– Zostawię pani taśmy, kiedy już skończymy.

Wiedziała, że nie będzie takiej potrzeby, ale na razie nic nie mówiła.

– Kazałam Lily podać kawę i calas jej wypieku. Próbował pan tego specjału?

– Nie przypominam sobie.

– To ryżowe ciasteczka. Kiedy byłam mała, sprzedawały je na targu Vieux Carré kobiety w kolorowych tignons. Na głowach miały pełne ich kosze...

– Widzę, że poznam kawałek historii starego Nowego Orleanu – skomentował z uśmiechem Phillip, odsuwając już podłączony magnetofon. To ośmieliło Aurore.

– Czy mogę mówić ci po imieniu? – zaproponowała. – Tak będzie nam łatwiej. I chciałabym, żebyś nazywał mnie Aurore. Mało kto dziś tak do mnie mówi. Przyjaciele i bliscy poumierali, a młodszy tak się mnie boją, że nie mają śmiałości.

Nie odpowiedział, ale znów się uśmiechnął, jak gdyby poprosiła o coś niemożliwego, on zaś był zbyt dobrze wychowany, by jawnie odmówić.

– Czy zastanawiałaś się, jak chciałabyś zacząć, Aurore?

Myślała o wszystkim, tylko nie o tym.

– Może to samo wyniknie z rozmowy. Są pytania, które chciałabyś mi zadać?

– Jestem człowiekiem tysiąca pytań.

– Znakomicie. Spróbuję zdobyć się na kilka odpowiedzi.

Nadeszła Lily, ciemnoskóra, siwowłosa i zbyt chuda, by mogła lubić własną kuchnię. Postawiła na stole półmisek ze złocisto przypieczonymi calas, szczerze posypanymi cukrem pudrem. Po chwili doniosła kawę w wysokim dzbanku.

– Tylko jedno – upomniała swoją panią tonem nieznośnym sprzeciwu, wskazując jednocześnie ruchem głowy apetyczne ciastka. – I jedna kawa. Będę liczyć – dodała, po czym zniknęła z szelestem białego nylonowego uniformu.

– Mówiła to serio – powiedziała Aurore.

– Czyżby? Kto tu komu służy?

– Mamy ze sobą układ. Ja nie słucham jej, ona nie słucha mnie.

– Coś jak Mammy w „Przeminęło z wiatrem”?

– Nic podobnego. Dobrze wykonuje swoją robotę i dobrze jej płacę. Po prostu szanujemy się nawzajem.

– A wieczorem, po skończonej pracy, pewnie wraca do dzielnicy, gdzie nie widuje się białych twarzy?

– Jeśli tak jest, musi odczuwać kolosalną ulgę po całym dniu spędzonym ze mną.

Phillip usadowił się przy stole. Nalała mu kawy.

Czarny strumień drgał wraz z ręką, trzymającą dzbanek.

– Pora zastanowić się, co na razie o tobie wiem.

– Poczęstuj się. – Podsunęła mu talerzyk z serwetką, a potem ciasteczka.

Sięgnął bez ociągania.

– Przypuszczam, że pragniesz coś udowodnić – mówił dalej. – Czujesz, że twoje życie zbliża się do kresu, i pragniesz, by zapamiętano cię w odpowiedni sposób. Opowieść o twoim życiu ma być ważnym przesłaniem.

– Jak brzmi to przesłanie? – zapytała.

– Jesteś inna niż ludzie z twojej sfery. Bardziej liberalna, znacznie bardziej.

Czy mam rację?

– Absolutnie nie.

Przez chwilę Phillip zuł ciastko, bacznie się jej przyglądając.

– W porządku. W takim razie co naprawdę wiem? Chodzi o fakty, nie domysły...

Ta kwestia szczególnie ją interesowała. Aurore dołała sobie mleka do filiżanki i starannie zamieszała.

– Więc co wiesz, Phillipie?

– Na razie niewiele. Nie miałem czasu na zebranie wiadomości. Gulf Coast Shipping jest jedną z najstarszych i najlepiej prosperujących firm w mieście. Sądzę, że to twoi przodkowie założyli ją i rozwinęli, a nie małżonek. I że dzięki tobie osiągnęła milionowe obroty.

– Jak zwykle znana jest tylko część prawdy.

Przez pierwsze pięć lat małżeństwa to właśnie

Henry nie pozwalał nam utonąć. – Zaśmiała się.

– Dobre porównanie w przypadku kompanii żeglujowej.

– Henry był twoim mężem?

– Tak.

– Miałaś dwoje dzieci. Twój młodszy syn, Ferris Gerritsen, jest senatorem. Starszy, Hugh, był katolickim księdzem i został zabity rok temu w Bonne Chance.

Aurore już się nie uśmiechała.

– Zgadza się. – Oczekiwała, że Phillip powie coś więcej, ale nie doczekała się.

– Masz wnuki?

– Wnuczkę. Ma na imię Dawn.

– Mieszka tutaj?

– Jest w Anglii, na kontrakcie. Pracuje jako reporterka, a ściślej mówiąc – fotoreporterka.

– Czym się zajmuje?

– Brytyjskimi zespołami muzycznymi. Siedzi w Liverpoolu.

Phillip stenografował. Nie włączył magnetofonu, jakby wiedział, że to tylko rozgrzewka.

– Inni żyjący krewni?

– Tylko dalecy, których nie widziałam od lat.

– I właściwie nic więcej nie wiem. – Uniósł głowę, bez mrugnienia patrząc jej w oczy. – Poza tym, że twój syn konsekwentnie występuje przeciwko równouprawnieniu ras i z tego tytułu zdobywa popularność. Chodzą wieści, że w

następnych wyborach będzie kandydował na gubernatora, a jeśli tak się stanie, ma duże szanse.

- Może tak się stać. Albo stanie się coś, co temu przeszkodzi.
- Które rozwiązanie wolisz?
- To, które jest lepsze dla Luizjany.
- I tu zaczyna się gra.

Skinęła głową.

– Może dlatego nie chcę mówić o Ferrisie. Rozumiem, że jego postać zdaje się wyjaśniać przyczyny, dla których cię tu wezwałam. Nie dziwiłabym się nawet, gdybyś pomyślał, że próbuję udowodnić światu, że nie jestem taka jak mój syn. Ale wierz mi, naprawdę nie o to chodzi.

Phillip stuknął długopisem o stenograficzny notes, leżący przed nim na stole.

- Okay – powiedział wreszcie. – Więc o co naprawdę chodzi?
- Nie pytałeś mnie o rodziców.
- Od tego właśnie chcesz zacząć?

Najchętniej od razu wyznałaby mu prawdę – że w ogóle nie ma ochoty zaczynać. Ale wówczas musiałaby się zwierzyć z czegoś więcej niż tylko z historii własnego życia.

– Nie. Należałoby zacząć jeszcze wcześniej, od mojego dziadka. Nazywał się Antoine Friloux i był kreolskim² dżentelmenem w klasycznym stylu. Z jednym wyjątkiem – miał niezwykły talent do interesów,

² *Nowy Orlean, stolica Luizjany, leżąca w ruchliwej delcie Missisipi, był od dawna tygłem narodów i ras. Dlatego słowo Kreol może mieć wiele odniesień i znaczeń. Historycznie – oznacza francuskojęzycznego białego kolonistę, urodzonego już za oceanem. W tym sensie najdawniejsi Kreole Luizjany byli reliktem dawnej francuskiej kultury kolonialnej, gdyż ziemie te należały w XVIII wieku do Francji. Dopiero cesarz Napoleon sprzedał Luizjanę Amerykanom. Nowy Orlean zasłynął jako kolebka jazzu i miejsce niezwykle połączenia stylów muzycznych, uprawianych przez wszystkie zamieszkałe tu grupy etniczne. Czarna ludność dzieliła się na Murzynów „kreolskich” i „amerykańskich”.

Ci pierwsi nie byli, jak inni Murzyni, potomkami niewolników, którzy uzyskali wolność z końcem wojny domowej pomiędzy Północą a Południem. Ich przodkowie zostali dużo wcześniej wyzwoleni przez bogatych plantatorów i kupców francuskich, za szczególne zasługi. Owi Murzyni, zwani też w Nowym Orleanie free Negros – „wolni Murzyni” – stanowili arystokrację swojej rasy. Przyswoili sobie francuską kulturę, a wielu z nich dorobiło się majątków. Mówili skażoną francuszczyzną, i mieli francuskie nazwiska (przyp.tłum.).

choć należał do klasy, która uważała pracę za coś, co jest powinnością innych. Dziadek Antoine założył Gulf Coast Shipping, choć wówczas kompania występowała pod inną nazwą. Był zamożnym człowiekiem, bogacił się z każdą dokonaną inwestycją. Phillip czekał jeszcze chwilę, lecz kiedy milczenie po ostatnim zdaniu przedłużyło się, wyłączył magnetofon.

– On był ojcem twojej matki?

– Tak. Być może gdyby miał syna, nic z tego, o czym chcę ci opowiedzieć, nigdy by się nie zdarzyło.

Dziennikarz odchylił się w krześle, opierając notes o kraweźdź stołu.

– Dlaczego tak uważasz?

Odpowiedź nie nadeszła od razu. Tak jak na to liczyła, potrzeba opowieści zaczęła w niej narastać, domagając się ujścia. Aurore zrozumiała, że wreszcie zdoła przemówić.

– Jest coś, o czym musisz wiedzieć... – powiedziała.

– Co takiego?

– Aby zrozumieć moją historię, musisz poznać historię pewnego człowieka o imieniu Raphael – wyjaśniła, patrząc wyczekująco w jego oczy.

– Kim więc był Raphael? – padło oczekiwane pytanie.

Znów nie dała bezpośredniej odpowiedzi.

– Dzieje moje i Raphaela są ściśle ze sobą splątane. Nie mogę opowiadać o sobie, nie mówiąc o nim.

– Rozumiem.

– Znasz choć trochę Luizjanę, Phillipie?

Pokręcił głową.

– Na samym południu stanu znajduje się szelfowa wyspa Grand Isle. Pod koniec zeszłego wieku stała się popularnym miejscem letniego wypoczynku dla bogatych ludzi. Jeździliśmy tam, kiedy byłam dzieckiem, małą dziewczynką. Matka była... chora, ale lekarze dawali nadzieję, że tamtejszy klimat poprawi jej zdrowie.

– Grand Isle, wyspa, morze... To może być ładny początek.

Ich spojrzenia spotkały się, ale Aurore patrzyła bez uśmiechu.

– To jest początek. To, co chcę opowiedzieć, zaczyna się właśnie tam. Latem roku 1893...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Luizjana, nad brzegiem Zatoki Meksykańskiej. Rok 1893.

Mężczyzna bierze sobie żonę, by rodziła mu dzieci. Mężczyzna bierze sobie kochankę, by dawała mu rozkosz. W tym drugim przypadku Lucien Le Danois trafił lepiej. Wziął sobie kochankę, która dawała mu rozkosz, za jaką najbogatsi Kreole dziękowaliby jej na klęczkach. Na dodatek Marcelite Cantrelle była w dużo większym stopniu zdolna do rodzenia dzieci niż jego żona Claire.

Nie było mężczyzny, który nie patrzyłby z zachwytem na Marcelite, pęczniącą od nowego życia jak nasionko podlane ciepłym wiosennym deszczem. Jej silne ciało o szerokich biodrach było wprost stworzone do rodzenia; bujne piersi zapraszały do ssania i żywienia. Lucien zwiedził ustami każdy mistyczny zakątek, poznał każdą upojną woń i każdy słodki smak.

Marcelite zdążyła już urodzić mu jedno dziecko – córkę, która przyszła na świat bez żadnego ociągania, a potem rosła pięknie, karmiona matczynym mlekiem oraz najświeższymi, najśłodszyimi owocami znad Zatoki Meksykańskiej. Angelle była czarnowłosa, wiecznie roześmiana, ogorzała od słońca jak jej czarnowłosa matka. Kiedy Marcelite schodziła na plażę, aby naprawiać sieci, dwuletnia Angelle uczyła się, jak pisać wśród białogrzywych fal.

Gdy wracały do domu, który szybko wypełniał się smakowitymi woniami gotowanych na palenisku darów morza, mała wspinała się na dąb błotny, rosnący przed wejściem, skąd wykrzykiwała pozdrowienia do przechodzących rybaków, skryta wśród omszałych gałęzi.

Lucien, przepływając Jump – Przeskok – płytki przesmyk, oddzielający Grand Isle od Chénier Caminada, usiłował zmusić się do myślenia o Angelle i Marcelite. Jednak pomimo wysiłków widział zupełnie inne twarze.

Przesmyk oddzielał od siebie coś więcej niż dwa pasma łądu – oddzielał dwa światy, w których żył i do których należał Lucien. Wcześniej niecierpliwie żegnał się z rozżaloną żoną i Aurore, swoim jedynym dzieckiem z prawego łoża. Ciągle jeszcze czuł palce Claire, które niczym szpony wczepiały się w jego ramię; ciągle czuł oskarżycielski wzrok dziewczynki.

Dlaczego, do licha, męczą go wyrzuty sumienia?

Czyż nie odbył podróży parowcem na Grand Isle, i to dobrze po sezonie, aby odwiedzić Claire i Aurore do Nowego Orleanu? I czyż nie pozwolił żonie zostać te kilka tygodni dłużej, by mogła lepiej spędzić ostatnie miesiące ciąży?

Doprawdy, nie zasługiwał na najmniejsze potępienie jako mąż. Owszem, może ich dom w Nowym Orleanie nie był tak obszerny, jak ten w którym mieszkała kiedyś z rodzicami Claire. Mimo wszystko jednak wielu mężczyzn zazdrościło mu wspaniałej rezydencji w Esplanade. Jego żonie naprawdę niczego nie brakowało.

Ponadto był cierpliwy i wyrozumiały. Na Boga, przecież patrzył bez słowa, jak traciła dziecko za dzieckiem. Niejeden na jego miejscu wściekłby się na własną żonę za mniejszy drobiazg. A on nic nie mówił nawet wtedy, gdy poroniła syna, który byłby jego dziedzicem. Teraz znów była w ciąży, on zaś – przygotowany na kolejne rozczarowanie. Tak, nie spodziewał się po niej dziecka, niczego się po niej nie spodziewał i niczego już od niej nie chciał.

I proszę – w nagrodę za tę cierpliwość Claire nie dała mu niczego poza wątlą córeczką, której skóra była tak przezroczysta, że można było niemal zobaczyć, jak bije jej serce. Nikt zresztą nie wierzył, że pięcioletnia Aurore, jego jedyne żywo urodzone dziecko, dożyje wieku dorosłego.

Czy więc po tym wszystkim nie mógł sobie pozwolić na chwilę dla siebie? Wszak obiecał Marcelite, że odwiedzi ją przed powrotem do Nowego Orleanu. Miną miesiące, nim zobaczy ją znowu. Noc po nocy będzie tęsknił za jej ciałem, preżącym się rozkosznie pod jego dłonią...

Wiatr gwałtownie wypełnił żagiel małej łódki – jak gorzkie westchnienie Boga, zniecierpliwionego tymi usprawiedliwieniami. Fale dopychały łódź do brzegu. Trwał odpływ. Lucien podwinął nogawki,

zdjął buty i wyskoczył, aby wciągnąć ją na piasek. W oddali zobaczył mężczyzn w kapeluszach z szerokim rondem, stojących w wodzie i zarzucających okrągłe sieci, niepomnych siekącego popołudniowego deszczu. Nadszedł chłodny front i wilgotne powietrze nasycalo się zapachami jesieni. Dwie kobiety w spódnicach domowego wyrobu wyciągały z wilgotnego piasku kawałki drewna, wyrzucone przez fale, a potem układały je w stosy, by wyschły i mogły stanowić opał na zimę. Stos Marcelite wznosił się w głębi plaży, wysoko wypiętrzony przez nią i przez Raphaela.

Siedmioletni Raphael, syn Marcelite z poprzedniego związku, był dobrym chłopakiem, chętnym pomocnikiem matki i aniołem stróżem swojej małej siostrzyczki. Od początku uległ urokowi Angelle, tak jak jej ojciec, i dzięki temu uczuciu zaskarbił sobie miejsce w jego sercu. Lucien rozejrzał się po plaży, spodziewając się spotkać chłopaka, ale Raphaela nigdzie nie było, ruszył więc śmiało do miasteczka, uprzejmie pozdrawiając mijane po drodze kobiety. Kontrast pomiędzy Chénierem Caminada a Grand Isle był tak duży, jak przesmyk, który je rozdzielał.

Ta ludna osada liczyła ponad sześćset domów i tętniła życiem od rana do wieczora. Rybacy i myśliwi zakładali tu duże, zżyte ze sobą rodziny, utrzymując minimalny kontakt ze światem na lądzie. Grand Isle była mniejsza i obywatela się bez kościoła czy rezydującego sędziego pokoju. Jednak w letnich miesiącach przez wyspę przewalały się tłumy bogaczy, którzy uciekali tu na wakacje z rozpalonych miast.

Lucien minął niewielki gaj pomarańczowy, gdzie dojrzałe owoce wyginały gałęzie we wdzięczne łuki. Przed nim, wzdłuż trawiastej drogi, wyrastał rząd

drewnianych domów, osadzonych na wysokich ceglanych słupach. Kobiety, obierające wspólnie kraby na szerokiej werandzie jednego z nich, zapraszały go, by schronił się, zanim znów lunie deszcz. Mały piesek wyskoczył na drogę i obwąchał jego buty, jakby miał nadzieję, że ten duży kolega utnie sobie z nim drzemkę pod odwróconą do góry dnem pirogą.

Jeszcze przez kwadrans Lucien szedł leniwym krokiem pomiędzy domami, do których przylegały niewielkie winnice i ogródki. Na Grand Isle widok zasłaniały stare dęby o poskręcanych konarach, ale tu można było patrzeć we wszystkich kierunkach.

Mieszkańcy powycinali drzewa, by nie broniły dostępu ożywce bryzie, więjącej od zatoki.

Po raz pierwszy szedł tą drogą trzy lata temu.

Przypłynął wtedy z Grand Isle wraz z przyjacielem, który chciał kupić rybacką sieć dla swojej żony. Miała być dekoracją na jesiennym przyjęciu i stanowić swoisty „marynarski” rekwizyt. Skierowano ich do chaty Marcelite Cantrelle. Lucien spodziewał się bezzębnej staruchy, która będzie bezczelnie targować się o każdego centa, jednak zamiast tego stanął twarzą w twarz z zachwycającą, ciemnowłosą pięknnością, która tak omotała kupca swoim wdziękiem, że ten nie zorientował się nawet, jak słono przepłacił.

Tamtego pierwszego lata Lucien jeszcze kilka razy wracał do chaty Marcelite. Z początku wynajdywał rozmaite preteksty – a to zasięgał rad co do miejsc, gdzie należy łowić ryby, a to przywiózł mały podarek dla Raphaela. Z początkiem sierpnia ustaliło się między nimi niepisane porozumienie, zgodnie z którym Lucien odwiedzał ją, kiedy tylko mógł i miał na to ochotę. Przywoził podarki i pieniądze, w zamian rezerwując piękne ciało Marcelite tylko dla siebie. Układ zadowalał obydwie strony.

Tak, przebywał tę drogę wiele razy. Z każdym krokiem był zawsze coraz bardziej podniecony.

Teraz również. Wystarczała sama myśl, że już za chwilę weźmie kochankę w ramiona. Gdy wyszedł zza zakrętu, wreszcie zobaczył dom. Zbudowany z wyłowionych z morza desek, zwieńczony dachem z liści palmowych, tak samo typowy dla tego miejsca, jak kobieta, która w nim mieszkała. Widział ją z daleka, czekającą w cieniu dębu. Biała bluzka jaśniała na tle zbrązowiałych liści dachu.

Zręczne dłonie przebiegały błyskawicznie po sznurach sieci, pociągając, przewijając, wiążąc – ale spojrzenie było utkwione w nim, w Lucienie.

Kiedy podszedł bliżej, odłożyła robotę i wstała, lecz nie podeszła do niego pierwsza. Nie była wysoka, miała jednak dumną, królewską postawę, która dodawała jej wzrostu. Nie obciągała spódnicy ani nie kręciła młynka palcami. Po prostu spokojnie czekała.

Kiedy stanął tuż przed nią, skłonił się wytwornie.

– Mademoiselle...

– Witaj, M'sieu.

– Gdzie dzieci?

– Angelle śpi w domu, Raphael poszedł na wyprawę – odparła po angielsku, wiedząc, że Lucien woli ten język.

– Nie widziałem go na plaży.

– Każdego dnia idzie coraz dalej. Szuka skarbu.

– Nasłuchał się bzdur od tego starego pirata, Juana Rodrigueza.

– Nie. Raphael szuka czegoś więcej niż tylko złotych monet. Szuka mężczyzny, który by z nim rozmawiał.

Lucien nie usłyszał żalu w głosie kochanki, ale wiedział, co czuje.

– Mógł sobie wybrać kogoś lepszego.

– Juan jest dobry dla Raphaela. Chłopak może bez końca słuchać jego opowieści.

Oparł rękę na drzewie, przysuwając się do niej bliżej.

– A co ty byś mogła robić bez końca, mon coeur? Wzruszyła ramionami. Patrzył zachłannie, jak biały muślin osunął się, odsłaniając jej złocistą skórę.

– Jeść... Siedzieć sobie w cieniu i patrzeć, jak czaple łowią ryby.

– I jeszcze co?

– Nie wiem, co jeszcze chciałabym robić bez końca. – Opuściła wzrok, aż cienie długich rzęs padły na policzki. – Ale chyba wiem, co chciałabym robić często.

Serce zabiło mu szybciej. Chłonał każdy szczegół jej postaci, sposób, w jaki plamy światła przesianego przez liście igrają na kruczych włosach, iskrzą się na złotych koleczykach; podziwiał wyrazisty zarys nosa, zmysłową linię pełnych warg. W takich momentach jak nigdy w życiu pragnął, by czas zatrzymał swój nieubłagany bieg, zostawiając go z Marcelite. Na zawsze.

– Przywiozłem ci prezent.

– Naprawdę? – Uniosła wzrok. – Dobrze go ukryłeś.

– To niewielka rzecz. – Wsunął rękę do kieszeni płaszcza i wyjął prostokątną paczuszkę. – Proszę, zobacz.

Rozwiązała sznurki zręcznymi palcami, niespiesznie, jak dobrze wychowana osoba. Odśloniła podarek, lecz nie wyjęła go.

– To wachlarz – powiedział Lucien. Wziął go w dłoń i rozwinął, aż ukazały się czerwone i złote róże namalowane na beżowym pergaminie. – Oprawa jest z drzewa sandałowego, pochodzi z Francji. – Powachlował przed twarzą Marcelite, by mogła zachwycić się delikatną wonią. – Na wypadek gdyby wiatr zapomniał, że ma cię chłodzić.

– A nie wiesz, M'sieu, skąd wezmę trzecią rękę, żeby się wachlować?

Lucien uśmiechnął się.

– Rozkładaj wachlarz wieczorami, kiedy skończysz robotę. Usiądź na swoim stołeczku, o, tutaj, i gdy nadejdzie wieczór, myśl o mnie.

– Będę raczej myśleć o moskitach!

Przysunął się jeszcze bliżej, zwijając wachlarz przed jej twarzą.

– Marcelite... czy tęskniłaś za mną?

Twarz kobiety nie zmieniała wyrazu.

– Podoba ci się prezent?

– Dach przecieka, a w łóżku mam wilgoć. Trzeba zrobić nowe okna i drzwi. Nie mam czasu się wachlować. I nie mam czasu za tobą tęsknić.

Zwłaszcza teraz, kiedy znów chodzę z brzuchem...

– Co? – Chwycił ją w ramiona.

– ...będę miała mniej czasu niż przedtem.

– Będziesz miała dziecko?

– Nie masz oczu?

Przyjrzał się jej uważniej i dopiero teraz zauważył to, co wcześniej przeoczył. Pomimo gorsetu – który wkładała wyłącznie na jego przyjęcie – widać było, że przytyła w pasie. Piersi, ciężkie i dojrzałe, buntowały się przeciwko więzom, do których nie były przyzwyczajone.

– Kiedy? – zapytał.

– Wiosną. Gdy ptaki odlecą na północ.

Lucien przebiegł w myśli wszystkie konsekwencje tej sytuacji.

– Czy to może syn?

Wzruszyła ramionami, aż zafalowały pełne piersi.

– Chcesz mojego syna, Lucien? Jeśli urodzę syna, to co go będzie czekać w życiu?

Lucien pomyślał o domu, nazwisku, majątku i pozycji społecznej, jakie zyskał dzięki małżeństwu z Claire Friloux, o stanowisku wysokiego urzędnika w Gulf Coast Steamship. Wszystko to miał do zaoferowania jako ojciec swoich dzieci i jednocześnie niczego nie mógł ofiarować dziecku Marcelite.

– A co byś chciała, żebyś mu dał?

– Dom lepszy niż ten – wskazała gestem miejsce, gdzie spędzili tyle upojnych godzin. – I ługier rybacki, żeby mógł zarobić na życie. A później, może posadę w twojej firmie?

Lucien poczuł, że dławi go wzruszenie.

Syn.

Syn o czarnych włosach Angelle i śmiejących się brązowych oczach. Zdrowy i silny, zahartowany twardą pracą i morskim powietrzem. Syn, który nie będzie mógł nigdy nosić jego nazwiska, ale przekaze jego krew następnym pokoleniom.

A może, jeśli zły los się odwróci i Antoine Friloux, ojciec Claire, nie przeżyje Luciena, ten syn będzie mógł odziedziczyć część jego majątku.

– Dostaniesz nowy dom – obiecał szybko, muskając policzek Marcelite lekko drżącymi palcami.

– I przyślę ci łódź z ładunkiem desek. Znajdziesz tu ludzi do budowy?

Skinęła głową i jej spojrzenie złagodniało do aksamitnej czerni, jaką mają wody bayou³, oświetlone księżycem.

– Mógłbyś jeszcze przysłać mi mężczyznę, który pobylby tu ze mną, kiedy cię nie będzie. Takiego, który nauczyłby mojego syna, jak żyć w mieście.

– Naszego syna. Albo naszą córkę.

– Właśnie, może poszlibyśmy popatrzeć na naszą córkę?

Lucien wiedział, że Angelle zawsze śpi po południu.

Wiedział, że zobaczy mocno śpiące dziecko, skulone w kłębek na materacu wypchanym morską trawą. Znał ciekawsze widoki.

Wszedł za Marcelite do pokoju, wydając stosowne pomruki aprobaty na widok córeczki, śpiącej pod moskitierą. Angelle tuliła do siebie lalkę, którą kupił jej, gdy się urodziła. Zabawka, zniszczona od tulenia i zabaw, dawno straciła paryski szyk, jaki miał rząd lalek zdobiący pokój Aurore. Jak przystało na ojca, pogłaskał małą po główce i teraz mógł wreszcie się odwrócić i zobaczyć, jak jego kochanka się rozbiera.

Powiewna bluzka wylądowała na topornej drewnianej ławie. W ślad za nią pofrunęła ręcznie tkana spódnica. Marcelite stała przed nim w bieliźnie, na którą nie wybrzydzałyby nawet Claire – na początku lata podarował jej różowy, obszyty koronką gorset.

Śnieżnobiała koszulka miała jednak nieco wytarte wstążki, zanotował więc sobie w pamięci, że następnym razem musi przywieźć jej nową.

Uniosła ramiona, by rozpuścić włosy. Opadły jak grzywa, sięgająca do pasa. W obszernej, przewiewnej izbie panował miły chłód, lecz Lucien czuł, że zaczyna się pocić.

Podeszła bez słowa, wyciągając rękę po jego słomkowy kapelusz. Patrzył, jak starannie odkłada go na ławkę. Rozpiął wcześniej płaszcz, więc teraz jednym ruchem zsunęła mu go z ramion, po czym ze spokojną pewnością i wprawą zajęła się resztą jego garderoby.

Lucien zamknął oczy. Czuł szorstki, a zarazem delikatny dotyk kobiecych dłoni na piersi i na ramionach, chłodzonych powiewami wilgotnej bryzy spod dachu. Włosy Marcelite muskały mu twarz.

Z drzeniem wdychał zapach pomady, którą przygotowywała sobie sama z jaśminowych płatków.

– Ty mi też pomożesz, non?

³ *W dialekcie z Luizjany – określenie rozlewiska bagiennej, rzecznej delty (przy-
p. tłum.).

Otworzył oczy i zobaczył, że nadstawia mu plecy, podgarniając włosy do góry, aby odsłonić wiązania gorsetu. Walczył jakiś czas ze sznurówkami, a palce miał przy tym jak z drewna. Wreszcie Marcelite westchnęła z ulgą, a gorset ustąpił i opadł na ziemię.

Zanim zdążyła się odwrócić, złapał od tyłu jej piersi i zważył je w dłoniach, ciężkie, dojrzałe, bujne.

– I lugier dla naszego syna? – upewniła się, przęcąc ku niemu szyję. – Właśny statek, żeby mógł łowić ryby i zawozić je do miasta?

Jej lono falowało przy jego brzuchu w podniecającym rytmie, piersi tańczyły przed jego twarzą.

Lucien jęknął.

– Dostaniesz ode mnie wszystko, mon coeur. I twoje dzieci też. Zawsze! Oplotła go nogami. Podtrzymał ją i poniósł na łóżko.

– Lugier też?

– Też, i wiele innych rzeczy – szepnął, padając z nią na materac. – Zaufaj mi, zajmę się tobą. Zaufaj...

Aurore Le Danois śledziła matkę. Wystarczyłby jeden dźwięk – zbyt głęboko wzięty oddech czy szelest czarnych pończoch, ocierających się o siebie – a dziewczynka uciekłaby spłoszona.

Patrzyła, jak matka przechodzi przez pokój, wracając z galerii, gdzie przez pół godziny jednostajnie bujała się w fotelu. Jak mija mały stolik okryty serwetą, pod którym kryła się Aurore, jak dochodzi do drzwi sypialni, unosi rękę do czoła i mamrocze coś niezrozumiale. A potem jak znika za drzwiami.

Aurore czekała, jeszcze niepewna. Odczekała, aż minęła cała niemal wieczność, a potem zaczęła powoli, ostrożnie wychodzić spod stolika.

Dobrze znała codzienne obyczaje matki i wiedziała, że będzie teraz spać, pojękując na łóżku jak wiatr, zawodzący żałośnie gdzieś w gałęziach. Na razie, dopóki niania Ti'Boo nie wróci z codziennej wizyty u rodziny swego wuja, nikt nie będzie kontrolował małej Aurore. Może iść, dokąd chce, pobiec nad morze i tańczyć na wietrze. Może bawić się na plaży pod ciemnym, burzowym niebem.

A jeśli rozbłyśnie błyskawica...

Aurore klasnęła w ręce. Błyskawica rozedrze zasłonę chmur i znów lunie rześysty, srebrny deszcz, lśniący jak zwierciadło w jej pokoju w Nowym Orleanie.

Wiatr przybierał na sile. Liście wirowały radośnie, a płatki oleandrów fruwały w powietrzu niczym anielskie skrzydła. Za torami kolejowymi, wyznaczającymi krawędź polany, ciągnął się rząd pustych letnich domów. Tory były zresztą tak samo puste i wymarłe, jak i domy. W Krantz Place zaczęła się sezonowa pustka i stary muł, który przez całe lato ciągnął wagon tramwajowy

na plażę i z powrotem, dołączył do stada krów snujących się po pastwisku i korzystał teraz z zasłużonego odpoczynku.

Szkoda, że minęło lato, myślała Aurore. Latem były tu dzieci, z którymi mogła się bawić, czujnie pilnowana przez Ti'Boo. Tylko wówczas nikt jej nie mówił, że ma przerwać bieganie i odpocząć. Dorośli zapominali nagle, że jest wątłym, wielkookim dzieckiem, które po wysiłku może dostać gorączki, a nawet ataku duszności. Latem wolno jej było brodzić w wodzie Zatoki Meksykańskiej i zbierać muszle oraz inne skarby wyrzucone przez fale.

Ti'Boo obiecała nawet, że za rok nauczy ją pływać. Mokry wiatr zwał dziewczynce pasmo włosów z karku i przylepił do policzka. Z chichotem wyciągnęła ręce, aby pochwycić niewidzialnego, psotnego przyjaciela, a potem zaczęła kręcić się w kółko, wirując wśród coraz gwałtowniejszych powiewów morskiej bryzy. Wreszcie nikt na nią nie

krzyczał, nikt jej nie wołał.

Chciała jeszcze raz zobaczyć fale. W poniedziałek miała wracać do Nowego Orleanu. Jej ojciec specjalnie przyjechał z miasta, aby przywieźć ją i mamę z wakacji. Jutro, w niedzielę, na pewno nigdzie nie wyjdzie, bo choć to niedziela, nie pójdą do kościoła, gdyż tata powiedział, że osada, w której się on znajduje, nie jest odpowiednim miejscem dla jego żony i córki. Mama pomodli się w domu, a Aurore z pewnością będzie musiała tkwić z nią w dusznym salonie. Tylko dzisiaj, właśnie teraz, mogła wyrwać się spod opieki i pożegnać znajomą plażę. Wiedziała, że ojciec nie dowie się o eskapadzie.

Wcześniej tego dnia słyszała, jak rodzice się kłócą.

Tata chciał gdzieś pożeglować, a mama błagała go, żeby tego nie robił. Pan Placide Chighizola ostrzegał przed zbliżającym się sztormem, a ona zawsze mu wierzyła. Czyż nie wzmocnił jej zdrowia swoimi ziołami i dietą?

Tata rozzłościł się tylko, twierdząc, że Chighizola to szarlatan, a jego sztuczki to wudu, tyle samo warte, co woreczki gris-gris, noszone przez Czarnych dla odczynienia uroku. Gadanie o sztormie jest nonsensowne. Czy Claire nie czuje, jak chłód przenika powietrze? Każdy żeglarz wie, że wielkie sztormy poprzedza ciepły front.

Aurore widziała z ukrycia, jak matka pobladła.

Ojciec też zrobił się błąd, jednak kiedy zaczęła go błagać, by jednak został, podniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć. A potem odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Aurore uważała, że ma najprzystojniejszego ojca na świecie, w tym jednak momencie jego twarz była straszna niczym karnawałowa maska. Widziała, jak wargi wyszeptały coś bezgłośnie pod wypielegnowanym wąsem, i cieszyła się, że nie słyszy tych słów.

Ale powiedziała o nich Ti'Boo, która szybko wytłumaczyła dziewczynce, że tak to jest, że rodzice czasami się kłócą, i że kiedyś jej matka wypędziła ojca z domu miotłą.

Aurore chciałyby być tak dorosła, jak Ti'Boo; mieć dwanaście lat i móc wyjechać od rodziców, żeby pracować jako niania. To prawda, Ti'Boo musi codziennie meldować się u wujostwa, ale i tak jej życie jest cudownie swobodne. Och, Boże, kiedyś i ona, Aurore, będzie miała dwanaście lat i będzie wolna!

Gdy weszła na trakt wiodący między wydrami ku plaży, zobaczyła, że na brzegu nie ma rybaków.

W oddali, na tle ciemnego horyzontu, kilka kolorowych trójkątnych żagli walczyło z wściekłymi falami, nikt jednak nie łowił u brzegu.

Na widok wspaniałego majestatu spienionych fal zaparło jej dech w piersi. Nie była na tyle nieostrożna, by nie wiedzieć, że pożarłyby małą dziewczynkę.

Kiedy dała jeszcze jeden ostrożny krok naprzód, z kipieli wynurzył się pień pradawnego drzewa, wyrwany przez wiatr i wodę z głębi słonych bagien. Przewalał się po piasku niczym tarzający się potwór.

W oddali mignął srebrny język błyskawicy; Aurore klasnęła w rączki z zachwytem.

– Ro-Ro!

Odwróciła się gwałtownie na dźwięk głosu

Ti'Boo. Przez moment miała nadzieję, że zdoła się ukryć i niepostrzeżenie przemknąć do domu, ale szybko porzuciła tę myśl. Mogłaby się co najwyżej rzucić w fale.

Ti'Boo, zdyszana, z zaczerwioną buzią, nadbiegła ku niej przez wydmy.

– Ro-Ro! – krzychała bez tchu. – Ro-Ro! Co tutaj robisz!

– Ja... ja tylko chciałam ostatni raz побыć na plaży. Nie podeszłabym nawet do fal, naprawdę.

– O, Boże, aleś mnie przeraziła! Przecież wiatr mógł cię porwać! – Nastoletnia niania dramatycznym gestem załamała ręce.

– Nie myślałam, że mnie znajdziesz. Myślałam, że nikt...

– Nikt nie wie, oprócz mnie.

Aurore zmówiła szybką dziękczynną modlitwę.

– Tylko nie mów! Proszę, tylko nikomu nic nie mów!

– Cicho, mały ptaszku. – Ti'Boo pogłaskała jej ciemne loki. – Nie powiem, ale musimy stąd zmykać, bo jeszcze ktoś przyjdzie i nas zobaczy.

Dziewczynka z uwielbieniem popatrzyła na swoją ukochaną przyjaciółkę. Ti'Boo była taka śliczna z tą swoją okrągłą buzią i prostymi, czarnymi warkoczami.

– Nie chcę wracać do domu. Chcę zostać z tobą, na zawsze.

- Wrócę tu następnego lata i znów się tobą zajmę.
 - Chcę, żebyś pojechała ze mną do Nowego Orleanu.
 - Non, mój dom jest tutaj, w bayou. Jak by sobie moja maman poradziła beze mnie z całą naszą dwunastką?
- Buzia Aurore rozjaśniła się radością.
- Wobec tego zostanę z tobą w Bayou Lafourche, i pomogę wam.
- Ti'Boo roześmiała się w głos.
- A co twoja maman pocznie bez swojego małego ptaszka?
 - Co pocznie? – Aurore nie była pewna, czy mama w ogóle zauważyłaby jej nieobecność.
 - No właśnie, uschłaby z tęsknoty – znów zaśmiała się Ti'Boo, a potem wzięła małą za rękę.
 - No, chodźmy już, bo ktoś nas zobaczy.
- Aurore rzuciła ostatnie spojrzenie na fale i obiecała sobie, że wróci tu za rok. A potem posłusznie pozwoliła zaprowadzić się przez wydmy do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Raphael Cantrelle stał na wysokiej wydmy i oceniając dłonią oczy, patrzył w morze. W dali żeglowały pirackie statki o białych wzdętych żaglach i masztach tak wysokich, że zdawały się rozrywać czarne brzuchy chmur, by te rozstąpiły się, dając korsarzom wolną drogę do nieba.

Płynęli po niego. Zanurzył dłoń w kieszeni i pomacał skarby. Miał tam kawałek liny, piętękę chleba, wędzoną rybę zawiniętą w kawałek szmatki oraz odłamek szkła wypolerowany przez fale; prócz tego dwie muszle i kawałek drewna o kształcie sztyletu, wyłowiony któregoś dnia z wody. Piraci będą dumni, że biorą na pokład takiego bohatera. Sam Jean Laffite będzie go błagać, by zechciał pożegłować na jego flagowym okręcie.

On zaś nie powie nie.

Kiedy tak patrzył, statki zaczęły znikać jeden po drugim, aż pozostał tylko pusty, zasnuty chmurami styk nieba i wody. Dwie łodzie rybackie w pośpiechu zmierzały do portu. Rozpoznał jedną z dwóch canotes z czerwonym łacińskim żaglem i zielonym kadłubem. Należała do ojca Etienne'a Lafonta – chłopaka w jego wieku, jedyne, który się z nim bawił. Ale musiał się wtym celu wymykać potajemnie z domu.

Etienne był najlepszym po Juanie Rodriguezie przyjacielem Raphaela. Oczywiście też chciał być piratem, ale Juan miał nad nim tę wyższość, że on by ł piratem. Juan mógł nauczyć Raphaela wszystkiego, czego będzie potrzebował, by kiedyś zostawić matkę i odpłynąć z Dominikiem You i Złamanym Nosem. A jeśli tych starych korsarzy już dawno pożarły rekiny, jak twierdził Etienne, to trudno, odpłynie z kimś innym.

Raphael marzył, żeby wyjechać z Chéniere. Nie znał świata poza własną osadą; nigdy nie przepłynął nawet przez przesmyk na Grand Isle. Wiedział wszakże, że gdzieś musi być miejsce, gdzie żadna kobieta nie będzie ubliżać jego matce, a żaden mężczyzna nie będzie zabraniał swoim dzieciom bawić się z nim.

Niedawno odkrył, że jest inny niż chłopcy z wyspy.

Nie był przy tym jedynym dzieckiem, które nie miało ojca, wcale nie. Wody zatoki często upominały się o ludzką daninę, a potem wyrzucały na plażę łodzie niczym puste, wysrane skorupy. Ale te inne dzieciaki, choć brak im było ojca, miały troskliwe rodziny – wujów, kuzynów, dziadków i pradiadków, którzy znosili ich matkom ryby, mięso, mleko oraz świeże warzywa ze swoich ogródków. Zaś ich matki przyjmowano serdecznie we wszystkich domach.

Z nimi było inaczej; Raphael i Marcelite Cantrelle nie znali serdeczności.

Właśnie przed tygodniem Raphael dowiedział się od Etienne'a, że ma również rodzinę w okolicy – wuja, który powinien dbać o jego matkę. Cóż z tego jednak, skoro nikt nie przynosił jej ryb ani mleka. Naprawiała sieci i prała ludziom, żeby zarobić na ryby, których sama nie mogła nałapać. Jeśli zaś potrzebowała czegoś jeszcze, wydawała monety, подарowane przez pana Luciena, albo sprzedawała śliczne prezenty, które od niego dostała.

Etienne zaprowadził Raphaela tam, gdzie stał dom wuja – w najpiękniejsze miejsce na półwyspie.

Wzniesiony na niewysokim wzgórzu, królował nad innymi domostwami. Mówiono, że jest tak solidny, że wytrzyma nawet do Sądu Ostatecznego.

Od tamtego czasu Raphael wracał w to miejsce sześć razy. Dwa razy widział mężczyznę, który miał być jego wujem. Auguste Cantrelle był wysoki, dwakroć wyższy od Juana, o piersi szerokiej i wydętej jak żagiel. Jego ciemne, kręcone włosy były takie same jak u Raphaela. Za drugim razem wystąpił z cienia i Auguste Cantrelle popatrzył na niego, lecz zaraz potem odwrócił się z gniewną miną. Nigdy nie zapytał matki o tego wysokiego, potężnego mężczyznę. Raz kiedyś zagadnęła ją o swojego ojca, a wtedy powiedziała mu, że nie ma ojca ani rodziny, poza nią i Angelle. Czy to mu nie wystarczy?

Raphael nie pytał też matki o chłopców, którzy nie mogli się z nim bawić, ani o matki, które zakrywały dzieciom oczy, kiedy przechodził obok ich domów, ani o wyzwiska, które stale mu towarzyszyły.

Po co miałby pytać? Wolał nie wiedzieć.

Ręka chłopca znów wsunęła się do kieszeni. Tym razem wyciągnął chleb i rybę. Dzwony kościelne zdążyły już wydzwonić Anioł Pański, zaś żołądek sam przypominał, że już południe i pora na posiłek.

Raphael jednak nie chciał zjeść swoich zapasów zbyt wcześnie. Matka powiedziała mu, żeby po południu nie przychodził do domu, bowiem M'sieu Lucien ma przybyć z wizytą. Taka wizyta zwykle przeciągała się do zachodu słońca, miał więc przed sobą jeszcze wiele godzin. Jeśli natomiast by nie posłuchał i zjawił się za wcześnie, za karę poszedłby do łóżka jeszcze bardziej głodny niż zazwyczaj.

Ostatecznie rozwiązał ten problem, zjadając połowę prowiantu. Resztę starannie zapakował i zostawił na później. Wzmocniony i w lepszym humorze, postanowił poszukać Juana.

Juan Rodriguez mieszkał daleko poza osadą. Droga dłużyła się Raphaelowi, choć szedł szybkim krokiem. Domostwo nie różniło się zbyt wiele od jego własnego domu, lecz wokół, zamiast sąsiadów, były tylko bagna. Kiedy wieczorna bryza wiała ku domowi, zawsze niosła ze sobą moskity. Kiedyś zapytał o nie starego człowieka, a Juan odpowiedział, że te uprzykrzone owady wcale nie są gorsze od ludzi.

Komar zadowala się jednym czy drugim ugryzieniem, a niejedynemu człowiekowi potrafi wyssać cię do ostatniej kropli krwi.

Pewnego dnia Raphael spotkał starego obok sklepu Piccioli. Czekał tam w cieniu na matkę, z nudów ciskając grudkami ziemi w kurczęta. Nagle zauważył, że Juan zmierza ku niemu z krzywym uśmiechem. Stary człowiek poruszał się jak krab, szybkimi, drobiaźnymi krokami, które znosiły go to w jedną, to w drugą stronę. Co chwila przystawał, prostując się na moment, a potem ruszał znowu.

Był niski i zgarbiony, lecz nie nosił laski. Nosił natomiast kapelusz przytrzymywany czerwoną szarfą, zasuplaną przy jednym uchu. Nikt nie pozdrowił go, gdy tak kuśtykał. Raphael zauważył, że wielu ludzi przechodzi nawet na drugą stronę, wyraźnie go unikając. Zupełnie niepotrzebnie, gdyż Juan unikał ich z jeszcze większą determinacją, woląc chować się w cieniu, niż pokazywać na środku zatłoczonej ulicy. Tym razem jednak stopa uwięzła mu w splątanych korzeniach indyjskiego bzu i upadłby, gdyby nie Raphael, który rzucił się ku niemu i zdążył w porę podtrzymać.

Poorana zmarszczkami twarzy zaczerwieniła się z irytacji, zaraz jednak stary wymamrotał podziękowanie.

A potem sięgnął do kieszeni obdartych spodni, wyciągnął małą srebrną monetę, wcisnął ją zdumionemu chłopcu do ręki i szybko oddalił się swoim pokracznym krokiem.

Kiedy Raphael opowiedział o tym zdarzeniu matce, wysłuchała go uważnie, a potem wzięła monetę na domowe wydatki. W zamian opowiedziała mu, że Juan Rodriguez jest synem pewnej dziewczyny z mokradeł i człowieka, który pływał ze słynnym piratem Jeanem Laffite'em. Wielu ludzi z osady wierzyło zresztą, że sam Juan również pływał z piratami.

Zpracowana matka rzadko miała czas na rozmowy i opowieści, ale tego wyjątkowego dnia, obracając srebrną monetę w kieszeni, powiedziała Raphaelowi o innych ludziach z okolicy. Dowiedział się wtedy, że rejon Zatoki Barataria był kiedyś schronieniem korsarzy. Wielu ludzi, którzy tu mieszkają, są ich potomkami, mówiła, on zaś chłonał każde jej słowo, gdy opowiadała o niezwyklej mieszance ludzkich ras, napływającej na te tereny – Włochach, Hiszpanach, Portugalczycach, ludziach z Manilli i Chin, którzy suszyli krewetki na wysokich platformach w zatoce. Ale tylko opowieść o Juanie chciał usłyszeć jeszcze raz.

Z początku Raphael bał się sam wybrać do domu domniemanego pirata. Była to długa wyprawa, a na dodatek Etienne postraszył go kiedyś mrozącymi krew w żyłach historiami o duchach, które straszą ponoć na bagnach. Nie wytrzymał jednak długo.

Poszedł.

Pierwszego i drugiego dnia Juan nie chciał z nim rozmawiać. Kiedy jednak Raphael pojawił się po tygodniu po raz trzeci, przynosząc świeżej wody ze studni i zgłaszając się do pomocy przy naprawie palmowego dachu, stary wreszcie złagodniał.

Odtąd Raphael odwiedzał Juana niemal codziennie.

Czasami stary pirat wypływał swoją łodzią w morze i wtedy nie widzieli się i nie rozmawiali.

Czasami jednak miał szczęście i natykał się na Juana, siedzącego na ganku, chętnego do snucia dawnych opowieści. Raphael żył nimi tak samo realnie, jak żył chlebem, wypiekanym przez matkę w glinianym piecyku.

Tego dnia Juana nigdzie nie było widać. Łódki stały uwiązane na swoim miejscu – zarówno piroga, której używał do pływania po moczarach, otaczających jego dom, jak i płaskodenna żaglowa łajba, którą żeglował po zatoce.

Raphael zapukał do drzwi chaty, a kiedy nie usłyszał odpowiedzi, pchnął je lekko i ostrożnie zajrzał do środka. Wnętrze było o wiele bardziej prymitywne niż w jego rodzinnej chałupie. Podłogę stanowiło błotniste klepisko, a pozbi-jane byle jak, proste pniaki udawały meble. W narożniku znajdował się ołtarzyk podobny do tego, jaki miała matka Raphaela, tyle że bez posążku Matki Boskiej.

Tylko prosty drewniany krucyfiks i dwie świece.

Chłopak zamknął drzwi i wycofał się. Nie śmiał wchodzić do domu bez pozwolenia gospodarza.

Kiedy usłyszał w oddali grzmot, odwrócił się i ruszył z powrotem. Nagle wysokie trawy rozstały się tuż przed nim. Patrzył przerażony, jak z bagiennej mgły wyłania się jakaś postać.

– Hej, to ty, mały?

Raphael z trudnością przełknął ślinę.

– To ja – wykrztusił ze ściśniętym gardłem.

– Widzisz, jaki sztorm idzie? Nie boisz się?

Pokręcił głową, usiłując wyglądać jak dzielny pirat.

– Czego? To tylko burza.

– Non, ale wolałbym, żebyś miał rację.

– Zaraz przejdzie.

– Przejdzie... a potem wróci. – Stary klasnął w ręce. – O, tak! Bum!

– Skąd wiesz?

– Widziałem już takie. Mewy uciekają, i pelikany.

Krowy chowają się na wzgórzach...

– Dlaczego?

– Nie zginą tak od razu. To będzie wielka klęska.

– Mężczyzna szeroko rozpostarł ramiona. – Światła na niebie, dziś rano... widziałem światła... Ja wiem!

– Co mamy robić?

Rysy twarzy Juana nie drgnęły. Powoli, w milczeniu, pokręcił głową.

Raphael poczuł dreszcz zgrozy. Widział wiele sztormów w swoim krótkim życiu i wiedział, jak to jest, kiedy dom trzeszczy, jakby miał się rozpaść, a woda cieknie na głowę z nieszczelnego dachu.

Wyczuwał jednak, że Juan mówi tym razem o czymś znacznie groźniejszym. Próbował sobie wyobrazić straszny huragan nad osadą, ale nie potrafił.

– Wielki wiatr zabierze twój dom, mały. Zabierze i mój. I rozedrze je na kawałki.

Raphael natychmiast pomyślał o kilku rzeczach, które do niego należały, a których nie nosił w kieszeni.

Najważniejsza była para skórzanych butów, przywiezionych przez pana Luciena z Nowego Orleanu. Rzadko je wkładał, ale teraz, kiedy dorósł do krótkich spodenek i nie musiał już nosić długiej koszulki, stały się dla niego bardzo ważne. Pojutrze miała zacząć się nauka w nowo zbudowanej szkole.

Matka nie powiedziała jeszcze, czy go tam pošle, ale ciągle miał nadzieję. Jeśli tak, z pewnością będzie potrzebował butów.

Było jeszcze jego rosarium i mała piroga z drewnianym człowieczkiem, którą sam wydułab z miękkiego drzewa. I jeszcze lalka Angelle. No i sama Angelle...

Na myśl o siostrze oczy rozszerzyły mu się z przerażenia.

– Angelle też wywieje?

– Musisz powiedzieć swojej mamie, żeby zabrała ciebie i siostrę do sklepu Piccioli, kiedy zacznie wiać. Bo jeśli nie...

– Mój nonc, Auguste Cantrelle, też ma wielki dom.

– A, ten... – Juan skrzywił się pogardliwie. – On was nie przyjmie.

Raphael pomyślał chwilę i uznał, że Juan ma rację.

– A kiedy przyjdzie ten sztorm? – zapytał trzeźwo.

– Kto wie? Może zaraz, może później. – Stary pirat przysunął się, ujął w dłoń podbródek chłopca i długo, uporczywie wpatrywał się mu w twarz.

Raphael stał spokojnie, dzielnie odwzajemniając spojrzenie, choć prawdę mówiąc, miał ochotę uciec.

– Twój ojciec to był porządny człowiek – powiedział wreszcie Juan, cofając rękę. – Ty go nie znałeś, ale ja tak. Był dobry, silny. Do diabła z tymi, co mówią inaczej! – zakończył i splunął na ziemię.

Raphael zeszytniał z wrażenia. Chciał zadać mnóstwo pytań, ale zbyt oszołomiła go świadomość, że stoi przed nim ktoś, kto znał jego ojca.

Nagle stał się taki sam, jak inni chłopcy z osady.

W dodatku jego ojciec był dobrym człowiekiem!

– Chodź, pokażę ci coś, mały. – Juan odwrócił się i zaczął iść z powrotem drogą, którą przyszedł.

Raphael ruszył za nim podekscytowany. Zapomniał nawet, że boi się bagien.

Stary człowiek parł do przodu, rozdzielając wysokie trawy. Chłopiec podążał za nim, usiłując zapamiętać drogę. Ścieżka, choć mokra, była twarda. Zza zasłony traw, z daleka widać było drzewa, ustrojone w zwisające festony dzwicznej rośliny, oplątwy.

Gdy zbliżali się do grzbietu, gdzie stały trzy drzewa, Juan wszedł w wodę, która wlała mu się do butów.

– Idziesz? – upewnił się, zerkając przez ramię.

Raphael spojrział na wodę i pomyślał, co powie matka, kiedy wróci do domu w mokrych, ubłoconych portkach. A potem pomyślał, co powie Juan, kiedy on, Raphael, stchórzy. Ten sam Juan, który znał jego ojca.

Szybko dał krok naprzód. Stary z aprobatą skinął głową i ruszył dalej.

Śliskie błoto przesiąkało między palcami bosych nóg. Choć stopy Raphael miał twarde jak podeszwy, czuł bolesne ukłucia korzeni i muszli. Wołał sobie nie wyobrażać, jakie stwory czają się pod nim w głębi. Na szczęście po chwili znów byli na suchym lądzie.

Juan uniósł rękę i stanął, nasłuchując.

– Słyszysz co? – zapytał.

Raphael natężył słuch, ale na mokradłach panowała martwa cisza.

– Nic.

– Właśnie. – Juan znów zaczął iść. – Nic. Te ptaki, co nie odleciały, też nasłuchują.

– Nasłuchują wichury?

– Oui.

Przeszli jeszcze kawałek, aż wreszcie Juan stanął w cieniu, rzucanym przez środkowy z trzech okazałych cypryśników.

– Możesz znaleźć słońce?

Pytanie wydawało się śmieszne, gdyż niebo kryła ciemna zasłona chmur. W końcu Raphael z trudem wypatrzył błady przebłysk.

– Dobrze. A teraz patrz i zapamiętaj.

Juan odmierzył osiem równych kroków do przodu, a potem odwrócił się tak, by mieć drzewa z boku. Znów odmierzył osiem kroków w przód. Tu krzyżowały się cienie dwóch drzew. Obrócił się i ustawił pod kątem w stosunku do trzeciego. Gdy po raz trzeci odmierzył osiem kroków, stanął i wskazał na ziemię u swoich stóp.

– Tutaj.

– Co tutaj? – Raphael momentalnie znalazł się u jego boku.

– Kopać. Ty kop, tu.

– Mam kopać? – Spojrzał pod nogi. Ziemia wyglądała tak samo jak wszędzie. Zerknął na Juana.

– Po co?

Juan położył mu dłonie na ramionach i popchnął go lekko.

– Idź, zrób to jeszcze raz, hein?

Zaintrygowany Raphael odwrócił się i odszedł na krawędź cienia, rzucanego przez środkowe drzewo. Robił wszystko tak, jak kazał stary człowiek. Wydłużał nawet kroki, by przypominały kroki dorosłego mężczyzny. Wreszcie stanął, przekonany, że skończył w tym samym miejscu.

– Non! – Juan pchnął go z powrotem do punktu skrzyżowania się dwóch cieni, a potem obrócił pod ostrzejszym kątem.

– Co widzisz?

Raphael zmrużył oczy. W oddali, dokładnie naprzeciw niego, w dalekiej linii drzew na horyzoncie widać było szczelinę. Pokazał na nią, a stary przytaknął.

– Oui. Teraz znajdź miejsce.

Tym razem bez problemu trafił tam, gdzie trzeba.

Stary pochylił się, zbliżając twarz do jego twarzy.

– Znajdziesz je sam, hein?

– Oui.

– Jeśli wiatr mnie zabierze – powiedział Juan – wrócisz i wykopiesz. A potem powiesz swojej mamie, żeby zabrała cię daleko od tego miejsca, tam gdzie nikt cię nie zna i nie zna twojego ojca. Comprenez?

Raphael niezupełnie rozumiał, ale posłusznie skinął głową.

– A jeśli wiatr mnie nie zabierze... – stary człowiek wzruszył ramionami. – Któregoś dnia przyjdzie coś innego.

– Co zrobisz, kiedy nadejdzie wiatr?

– Wsiądę do mojej łódki.

– I odpłyniesz?

Juan uśmiechnął się łagodnie. Po raz pierwszy Raphael zobaczył, że twarz starego może przybrać inny wyraz.

– Mais oui, cher. I odpłynę w dal.

Lucien niepotrzebnie przeciągnął wizytę. Kiedy wracał do łódki, zaczął padać deszcz. Gęste czarne chmury pochłaniały resztki dziennego światła, plaża opustoszała. Był na niej tylko chłopiec, który szarpał się z łodzią, usiłując wciągnąć ją głębiej na ląd, by fale nie biły wściekle w nadwierzoną rufę.

– Raphael! – Lucien pobiegł ku niemu, widząc, że szczupłe ramiona prężą się na próżno. Ogarnęło go ciepłe, ojcowskie uczucie. – Spokojnie, synku, zaraz ci pomogę.

Chłopiec wyprostował się i odwrócił. W śniadej twarzy błysnął uśmiech.

– Bałem się, że zmyje ją do wody.

– Nie pozwolimy na to – odparł Lucien i nastroszył czarne kędziory chłopca.

Zawsze uważał, że Raphael wyrośnie kiedyś na przystojniaka, choć w jego wyglądzie było coś pogańskiego, jak u wszystkich ludzi z osady i z Grand Isle. Marcelite mówiła mu, że jej rodzina pochodzi z Włoch i z Portugalii, a także z Francji.

O ojcu Raphaela powiedziała niewiele – właściwie tylko tyle, że zostawił ją jeszcze przed urodzeniem dziecka i więcej się nie pokazał. Lucien nie pragnął wiedzieć więcej. Uznał przeszłość Marcelite i nawet pokochał jej syna. Była to wystarczająca rekompensata za to, co od niej dostawał.

– Odpływasz? – zapytał Raphael i jak stary żeglarz uniósł w górę pośliniony palec, by sprawdzić kierunek wiatru. – Masz dobry wiatr, szybko dotrzesz na miejsce.

– Masz rację. – Lucien znów zmierzwił mu czuprynę. – Może nawet szybciej, niżbym chciał.

– Juan Rodriguez mówi, że nadchodzi wielki sztorm. – Raphael zamasyżystym gestem rozłożył ręce, pokazując, jak wielki. – I wywieje nas wszystkich.

Deszcz zgęstniał. Lucien pochylił się, by zajrzeć chłopcu w twarz. Nie znalazł tam lęku, tylko podniecenie i ciekawość. Stłumił czuły uśmiech.

– Nie możesz wierzyć w każdą bajeczkę, jaką częstuje cię ten stary oszust, synku. O tej porze roku nie zdarzają się wielkie sztormy. I nie strasz matki tymi wieściami, dobrze?

Raphael zmarszczył brwi.

– Juan powiedział, że jeśli zacznie wiać, powinniśmy się schronić w magazynie Piccioli.

– Daj spokój, już ci mówiłem, że nie będzie wiać. Nie chcę, żebyś niepotrzebnie denerwował matkę.

Chłopiec posłusznie skinął głową, lecz jego oczy miały buntowniczy wyraz.

– W porządku. – Lucien zdjął buty i skarpetki, cisnął je do kokpitu razem z kapeluszem i zakasał spodnie. – Nieprędko wrócę. Dbaj o mamę pod moją nieobecność.

Raphael znów posłusznie przytaknął.

– A teraz pomóż mi ściągnąć łódkę.

Lucien przerzucił sobie cumę przez ramię i zaczął ciągnąć, idąc przez płytcinę. Czuł, jak Raphael pcha rufę z całej siły. Wreszcie wskoczył na pokład i korzystając z rozpędu, postawił żagiel. Fala odpływu i wiatr zrobiły swoje, szybko oddalił się od brzegu. Sylwetka małego chłopczyka malała w oczach z każdą sekundą. Pomachał mu na pożegnanie.

Przeciwny brzeg szybko rósł w oczach, podobnie jak sylwetka mężczyzny stojącego na brzegu. Z początku Lucien myślał, że to gospodarz, pan Krantz, pragnie się upewnić, czy gość wrócił bezpiecznie do pensjonatu. Stopniowo jednak stawało się jasne, że człowiekiem czekającym tak spokojnie w zacinającym deszczu jest jego teść, Antoine Friloux.

Lucien poczuł dławiący niepokój. Skąd się tu wziął Antoine? Przecież rozstali się wczoraj wieczorem w Nowym Orleanie. Stary musiał przyplynać parowcem, który nigdyś należał do niego.

Ale po co? Antoine Friloux lubił komfort, tymczasem teraz męczeńsko moknął w zimnych strugach deszczu. Nie zrobił kroku, by chwycić dziób łodzi Luciena i skierować ją do brzegu. Po prostu stał niczym ociekający wodą posąg, nieruchomo, prosto, ze skrzyżowanymi ramionami.

– Antoine? – Lucien udawanym gestem przykrył oczy daszkiem dłoni.

– Zaskoczony, co?

Lucien podszedł bliżej.

– A niby dlaczego?

Czujnie śledził każde drgnienie rysów teścia, usiłując odgadnąć jego intencje. Antoine Friloux był wysokim, szczupłym mężczyzną o bladej cerze, którą przekazał swojej córce i wnuczce. Ciemne włosy i wąs były jak zwykle starannie przycięte i ufrizonowane. Kołnierzyk nawet w deszczowej wilgoci zachował świeżą, nakrochmaloną sztywność.

Choć krople kapąły mu z kapelusza, a płaszcz namakał, ojciec Claire nie stracił nic z wyglądu dżentelmena.

– Sam ostatnio zostałem zaskoczony kilkoma niespodziankami – powiedział.

– Czy Claire...?

Antoine zbył kwestię machnięciem ręki.

– Claire ma się dobrze, o ile może mieć się dobrze kobieta, którą mąż wystawia na pośmiewisko.

Lucien rozpaczliwie myślał nad odpowiedzią.

Jasne, nie był ideałem, ale któryż mężczyzna nim był? Ciężko harował, żeby zapewnić tej kobiecie wszystko, czego potrzebowała. Wypełniał obowiązki, jakie nakładała na niego przynależność do stanu i pozycja. Zarówno publicznie, jak i w domu zachowywał dobre maniery i obejście właściwe dżentelmenowi z jego klasy. Jakim więc sposobem miałby krzywdzić swoją żonę?

– Czy wiesz, o co mi chodzi, Lucien? – zapytał Antoine.

Jego zięć zerknął na ciemniejące, pluące deszczem niebo.

– Czy możemy porozmawiać pod dachem?

– Wynająłem na noc domek. Możemy tam pójść.

Lucien skinął głową. Za wszelką cenę musiał zachować spokój. Antoine miał grubo po pięćdziesiątkę i wyglądał na cherlaka, ale pozory jak zwykle myliły. Mocno dzierżył wodze rodziny i swoich interesów w szponiastych palcach. Jednym ruchem mógł zmienić wszystko.

W oddali zagrzmiało złowrogo. Antoine ruszył się wreszcie i po chwili zaczęli brnąć w ulewę w stronę jego domku. Pan Krantz pomachał do nich z werandy. Przemoknięty, drżący Lucien marzył o kawie z koniakiem, ale nie śmiał nawet tego zaproponować milczącemu teściowi.

Domek, dawniejsza chata niewolników, był prosty i wygodny, świetny na lato. Tak jak inne domy, okrywało go barwne pnącze, oplatające balustradę galerii. Teraz jednak, w deszczu, wyglądał smętnie, jak gość balu nad ranem, zmęczony szaleństwami całonocnej zabawy.

Mężczyźni zdjęli płaszcze i buty w przedpokoju.

Ktoś zdążył rozpalic ogień w kominku i Lucien stanął przed nim, grzejąc dłonie. Antoine podszedł do barku i nalał sobie solidną porcję z karafki. Nie zaproponował drinka zięciowi.

– Marna pogoda na żeglowanie, nieprawdaż? – zagadnął, wypiwszy alkohol do połowy.

– Nie było tak źle, kiedy wypływałem. Potem nie miałem jak schronić się przed deszczem.

– Nie myślałeś, żeby poszukać schronienia w Chénierze? Podobno tamtejsi ludzie są bardzo gościnni.

– Nie myślałem. Wiedziałem, że Claire będzie się niepokoić, kiedy nie wrócę na noc.

– Co za uważający małżonek! – Antoine wychylił swojego drinka do końca.

– O co ci chodzi, Antoine? Pojechałem na Grand Isle, bo tak chciała Claire. Nie ma chyba nic złego w żeglarskich wycieczkach? Mam przecież prawo do drobnych przyjemności.

– Drobne przyjemności? – Antoine zaśmiał się szyderczo. – Och, myślę, że możesz być mniej ostrożny w sformułowaniach. Mówiono mi, że w czasie wizyt na Grand Isle czerpiesz ze źródła przyjemności pełnymi garściami.

Lucienowi coraz mniej podobał się kierunek, jaki przybierała ta rozmowa. O pewnych sprawach mężczyźni nie dyskutują. Było jasne, że za chwilę Antoine wymieni nazwisko kochanki swego zięcia, łamiąc niepisane dzentelmeńskie zasady. Nie miał pojęcia, skąd teść dowiedział się o Marcelite, lecz zarazem nie pojmował, co go mogą obchodzić cudze sprawy, nawet łóżkowe, nawet jeśli ich nie akceptuje. W końcu on, Lucien, dbał o jego córkę jak należy!

– Całe nasze życie składa się z obowiązków i nagród, które czasami nam je osładzają – powiedział sentencjonalnie, przerywając długą, nieznośnie znaczącą ciszę. – Nie jestem tu wyjątkiem.

– Czyżby? A co się dzieje, kiedy nagroda również staje się obowiązkiem do wypełnienia?

– Nadal nie wiem, o co ci chodzi.

– Dziwne, bo sprawa jest bardzo prosta. – Antoine nalał sobie następnego drinka. – Przypuśćmy, że coś, z czego czerpiesz ogromną przyjemność, stanie się dla ciebie ciężarem. Co wtedy zrobisz?

– Zależy, co to jest.

– Dobrze, wyrażę się jeszcze prościej. Przypuśćmy, że mężczyzna ma kobietę, którą kocha. Ta kobieta nie jest jego żoną, ale ma on też żonę i obowiązki wobec niej. I powiedzmy, że musi zostawić tę kobietę, bo jeśli tego nie zrobi, straci wszystko, czego dorobił się w życiu.

W cieple kominka Lucienem wstrząsnął lodowaty dreszcz.

– Widzę, że wreszcie zaczynasz rozumieć – powiedział z zadowoleniem Antoine. – W takim razie będę opowiadał dalej: otóż kobieta, która kiedyś dostarczała owemu mężczyźnie przyjemności, stała się obecnie ciężarem. Co smutniejsze, nie jedynym ciężarem. Są też bowiem i dzieci. Właśnie z ich powodu musi rozstać się z kochanką. Dobro prawowitej rodziny jest nienaruszalne. Nie ma szansy, aby któryś z bastardów mógł odziedziczyć cokolwiek, co należy do tego człowieka czy do rodziny jego małżonki.

Lucien przysunął się bliżej ognia. Nie było już sensu niczemu zaprzeczać albo udawać, że nie wie się, o co chodzi. Jedynym ratunkiem było złożenie obietnicy. Kiedy jednak ją wypowiadał, nie był w stanie ukryć drżenia głosu.

– Dzieci Marcelite Cantrelle nigdy nie odziedziczą niczego, co należy do rodu Friloux. Daję na to moje słowo.

– Twoje słowo? Jaką wartość ma słowo mężczyzny, który łądaczy się z kobietą niewolnika?

Lucien czuł, jak krew odpływa mu z policzków.

Zmartwiały popatrzył na Antoine'a.

– Co takiego?

– Nigdy nie przyjrzałeś się jej dzieciom?

– Raphael?

– Zamknij oczy i przypomnij sobie jego twarz. Co widzisz?

– Marcelite nic mi nie mówiła!

– Wcale się nie dziwię, nie jest aż taka głupia. Miała ci opowiadać, że ojciec chłopaka urodził się niewolnikiem i że był synem właściciela plantacji i służącej? – Uniósł rękę, gestem uciszając Luciena.

– A może miała ci wyznać, że kiedy została jego kochanką, własna rodzina wyrzekła się jej i wyjechała, zostawiając ją w ciąży z bękartem? A gdybyś nawet spytał o tego jej czarnucha, i tak nie przyznałaby się, że zniknął pewnej nocy i nigdy więcej nie widziano go w osadzie. Ani nie powiedziałyby ci, że chodził plotki, jakoby zamordował go jej brat.

– Nie!

– Tak – odparł spokojnie Antoine. Wysączył alkohol do dna, nie spuszczając wzroku z twarzy zięcia. – Kiedy przyjemność staje się ciężarem, rozsądny człowiek myśli, jak się go pozbyć.

Lucien patrzył na niego, ale jego wzrok był mętny, zblakany.

– Ani mojej rodziny, ani twojej nie splamiła kolorowa krew. I nie może splamić! – dodał dobitnie teść, gdy Lucien nie odpowiedział.

– Nawet jeśli to, co powiedziałeś o Raphaelu, jest prawdą, krew mojej córki nie została splamiona.

Angelle jest czysta.

– Czyżby? Czy możesz ufać kobiecie, która tak ochoczo szafuje swoim ciałem? Zastanawiałeś się, jaka krew może płynąć w jej żyłach? Ludzie z Chéniere to piraci, szmuglerzy i rybacy. Myślisz, że dbają o to, z kim się parzą? Nie, ich tylko obchodzi, czy będzie wiało, kiedy przyplynie następny statek albo czy będą pełne sieci. Więc czy wiesz na pewno, że krew twojej Angelle jest czysta?

Lucien pobladł jeszcze bardziej, Antoine zaś, kręcąc z dezaprobatą głową, odstawił szklaneczkę i podszedł do niego z zaciętą miną.

– Wiem, że moja córka nie może urodzić ci zdrowego dziecka. Zaczynam się starzeć. Mogę nie dożyć chwili, w której zobaczę wnuka, ani doczekać, aż dorośnie. Za to mam brata, a brat ma dzieci.

Dlatego nie pozwolę ci dać wszystkiego, czym jestem i co mam. Ani tobie, ani twoim bastardom.

– Przecież oni nie mogą dziedziczyć, więc...

– Mogą, jeżeli tak postanowisz! A gdy tylko Claire umrze, a ty ożenisz się z tą swoją Marcelite, mogą dziedziczyć wszystko.

– To się nigdy nie stanie!

– To prawda. To się nie stanie. – Antoine stanął twarzą w twarz z Lucienem. – Nie wiem, w jaki sposób to zrobisz, ale zerwiesz wszelkie stosunki z tą kobietą, od zaraz. Jeśli nie, zniszczę cię, chłopcze. Zrujnuję twoje życie w sposób, jakiego nawet sobie nie wyobrażasz. Najpierw oczernię cię i zniszczę towarzystwo, a potem finansowo. Kiedy skończę, nie będziesz miał już nic do przekazania swoim bękartom.

– A Aurore? Zniszczysz jej dobre imię razem z moim.

– Nie sądzę, żeby twoja córka dożyła tego czasu.

– Boże jedyny...

– Dziwne, że akurat tego imienia wzywasz. – Antoine Friloux wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawdził godzinę w blasku płomieni kominka.

– Kolacja jest o siódmej. Powinieneś się przebrać.

– Potrzebuję czasu, żeby się zastanowić, jak najlepiej...

– Masz na to cały jutrzejszy dzień. W poniedziałek odpływamy do Nowego Orleanu. Do tej pory musisz zostawić za sobą wszystkie wspomnienia o rozkoszach w Chénierie. A jeśli chcesz wiedzieć, co będzie, jeśli tego nie zrobisz... – Wsunął zegarek do kieszeni i uśmiechnął się mściwie. – Wówczas poznasz, czym jest żal za grzechy i pokuta, a ja poznam, jak to jest być okrutnikiem bez serca. Mam nadzieję, że oszczędzisz nam obu tych przeżyć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kościół Notre Dame de Lourdes stanowił największą dumę Chénierie Caminada, zaś ukoronowaniem tej dumy był masywny srebrny dzwon, wydzwaniający na Anioł Pański trzy razy dziennie i wzywający mieszkańców na msze. Nie było dla Raphaela piękniejszej muzyki niż jego dźwięczne tony.

Kiedyś matka opowiedziała mu historię dzwonu, wiedział więc, że przed laty ludzie z osady porzucili swoje połowy, polowania i naprawianie sieci, by zbudować kościół ku chwale Pana. Le bon Dieu, dobry Bóg, łaskawym okiem patrzył na ich dzieło, ale smucił się, że nie ma dzwonu, który mógłby sławić Jego Imię. Dlatego kapłan pierwszy dał w ofierze srebrną tacę z herbem swego rodu, a dobrzy ludzie z okolicy pospieszyli z darami ze srebra i złota. W ciemnościach nocy sąsiad śledził sąsiada, odkopującego tajne schowki, a rano kolekcja wzbogacała się o lśniące dublony z pirackich skarbów.

Kiedy zebrano dość kruszcu, zawieszono go do przetopienia, aż wreszcie na dzwonnicy dumnie zawisnął dzwon i jego dźwięk popłynął nad całym półwyspem, niesiony łagodnym wiatrem aż po jego krańce.

Teraz ten sam dzwon mówił Raphaelowi, że wkrótce zacznie się msza. Jak zwykle zjawiali się w kościele po procesji, a wychodzili przed błogosławieństwem.

Chłopiec nie rozumiał, dlaczego nie mogą zostać do końca. W każdym razie, oprócz pójścia do kościoła, niedziela była dla nich dniem podobnym do wszystkich innych. Co prawda matka nie naprawiała sieci, ale nie spędzali też czasu na odwiedzinach u rodziny czy przyjaciół, jak robili to inni mieszkańcy osady. Czasami tylko spacerowali wzdłuż plaży, zawsze samotnie. Chyba że przyplynał pan Lucien.

Gdy jak zwykle zajęli miejsca w ostatnim rzędzie, zaczęła się msza. Raphael z roztargnieniem słuchał znajomych słów i patrzył na ojca Grimaud.

Ksiądz był dla niego miły, kiedyś dał mu nawet kawałek trzciny cukrowej. Głos miał dźwięczny i grzmiący jak sam Pan Bóg. Ludzie słuchali go w ciszy, a potem śpiewali i podchodzili, by przyjąć komunię. Jednak ani matka, ani on nie poszli z nimi.

Kiedy wyszli, wiatr dał jeszcze silniej, a deszcz rozbryzgiwał się w kałużach pod stopami. Raphael nie powiedział jak dotąd matce o ostrzeżeniu przed sztormem, walczyły w nim bowiem sprzeczne nakazy Juana i pana Luciena. Wreszcie, gdy zmoczeni dotarli do domu i zasiedli do posiłku, nie wytrzymał.

Nie mógł już dłużej milczeć.

– Juan mówił, że idzie wielki sztorm. Jeszcze większy niż teraz. Mówił też, że nie możemy tu zostać, kiedy nadejdzie.

Marcelite naląła sobie mocnej czarnej kawy.

– A powiedział, kiedy to będzie?

– Non. Mówił tylko, żebyśmy się schowali w magazynach Piccioli. A potem M'sieu Lucien kazał, żebym nie zwracał ci głowy tym, co mówi Juan.

– I M'sieu Lucien myśli, że mnie ten wiatr nie niepokoi? – Marcelite otoczyła parujący kubek dłońmi.

Angelle wyciągnęła rączki do brata. Raphael wziął ją na kolana. Skorzystała z okazji i wyjadła z jego talerza resztki gęstego syropu z trzciny cukrowej, wycierając je kawałkami kukurydzianego chleba i smakowicie oblizując paluszki. Raphael poczuł się nagle bardzo dorosły. Lubił zapach jej kędziorkowatej główki i dotyk pulchnych, małych rączek na swoim policzku. Pewnego dnia jego siostrzyczka będzie na tyle duża, żeby pobiec za nim i nikt jej nie zakaże się z nim bawić. Już zresztą, kiedy opowiadał jej o piratach i skarbach, słuchała z otwartą buzią.

– Wielu ludzi chce się schować u Piccioli – powiedziała Marcelite. – Wszyscy się nie pomieszczą.

– Ja i Angelle jesteśmy mali. – Raphael odstawił siostrę na podłogę. Dziewczynka usiadła w jedynym suchym rogu, by bawić się swoją ukochaną lalką.

Marcelite nie odpowiedziała.

– Ojciec Grimaud nas przyjmie – oznajmiła wreszcie.

To nie była zła myśl, choć Raphael z przerażeniem myślał o długiej drodze do kościoła w tym deszczu. Kiedy jednak już dotrą na miejsce, nie będą się musieli niczego obawiać. Kościelny budynek jest naprawdę mocny.

Matka obdarzyła go jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

– Jesteś jeszcze dzieckiem, synku. Nie powinieneś się martwić takimi sprawami. – Wyciągnęła do niego ramiona, on zaś nieśmiało okrążył stół i pozwolił, by przygarnęła go do siebie. Pachniała jaśminem i jesiennym deszczem. Wtulił głowę w jej piersi, jakby był małym dzieckiem. Obiecał sobie jednocześnie, że jeśli nadejdzie wiatr, wyprowadzi mamę i Angelle w bezpieczne miejsce.

Ten sam kundel, który wczoraj obwąchiwał buty Luciena, dziś przeciął mu drogę ze spuszczonego ogonem, chyłkiem dobiegł do domu z zamkniętymi okiennicami i zaczął żałośnie wyć.

Żegluga do Chénieres była tak trudna, że dotarł tu dopiero o trzeciej. Kiedy wyciągał łódkę na brzeg, nic nie świadczyło jeszcze o powadze sytuacji.

Fale naniósł tylko więcej niż zwykle morskich stworzeń, które roily się, uwięzione w małych jeziorkach na plaży. Starsze dzieciaki urządziły na nie łowy.

W miarę jednak jak zbliżał się do wioski, do atmosfery wsączało się napięcie. W każdym domostwie, jakie mijał, kobiety zbierały i pakowały dobytek, wnosząc go do środka. Nawet dzieciaki dźwigały graty, które zwykle zaśmiecały podwórza, uginając się pod ich ciężarem. Na zewnątrz mężczyźni zabezpieczali łodzie i gorączkowo umacniali dachy i okiennice. Chowano też drób, gdyż drapieżne ptaki zbierały się na wzgórzach w czasie sztormów, węsząc łatwy łup.

Lucien pozdrowił młodego mężczyznę, prowadzącego krowę na postrzępionym postronku.

– Czemu ludzie tak się boją? – zapytał. Huk grzmotu zagłuszył jego słowa, więc powtórzył jeszcze raz, wolniej, gdyż jego francuski bardzo się różnił od gwary, którą tutaj mówiono.

Młódzian skrzywił się ze zniecierpliwieniem, jakby szkoda mu było czasu, by wyjaśniać coś oczywistego.

– Nadchodzi sztorm.

– Dobrze, ale mamy już listopad, a w dodatku trwa odpływ, więc nie może być zbyt duży.

– Wiesz to na pewno, M'sieu?

– A ty myślisz inaczej?

– Jeden Bóg wie, jaki to będzie sztorm. Na wszelki wypadek myślę o swoich krowach.

Lucien zaniepokoił się nieco. Co będzie, jeśli ci ludzie mają rację i jesienny sztorm zamieni się w kataklizm? Co zrobi Antoine, jeśli jego zięć nie dotrze na Grand Isle i nie wróci na kolację? Czy nie pomyśli, że zostawił Claire dla pięknej Marcelite?

Ta myśl wstrząsnęła nim bardziej niż dreszcze z powodu przemoczonego płaszcza. Przyspieszył kroku, by szybciej znaleźć się w domu kochanki.

Zastanawiał się, jak Marcelite da sobie radę, kiedy wiatr zamieni się w huragan. Jej dom jest marny, może zostać zniszczony, nawet bezpowrotnie. Pomyślał o Angelle i stwierdził, że mała będzie biedna, jeśli dach zacznie cieknąć. A jej matka? Co zrobi ona? Przecież nad jej głowę nadciąga nie tylko sztorm...

Przez całą drogę z Grand Isle Lucien układał słowa, jakimi powinien jej oznajmić, że już nigdy nie wróci. Nie było to łatwe zadanie. Marcelite Cantrelle nie była ani tępą, ani pokorną. W przeciwieństwie do prostych ludzi z osady mówiła po francusku i angielsku, potrafiła też czytać książeczkę do nabożeństwa. Słowem, mogłaby z powodzeniem dotrzeć do Nowego Orleanu, odnaleźć go tam i zaszantażować dziećmi z nieprawego łoża.

Wczoraj obiecał jej nowy dom na wiosnę i ługier dla syna, gdy ten dorśnie. Teraz będzie podtrzymywała te żądania, o ile nie doda następnych...

Niech to lichy! Poza chwilami przyjemności i zapomnienia, jakie dawała mu Marcelite, Lucien żałował, że zaangażował się w ten związek. Pragnienie, żar, spełnienie niewarte były całego dorobku, jaki miałby utracić, gdyby nie zechciał się ich wyrzec. Dorobku, który uczynił z niego mężczyznę o szanowanej pozycji. Zgoda – czasami, w Nowym Orleanie, tęsknił za prostym, bliskim natury życiem w nadbrzeżnej osadzie. Ale nie znaczy to, by kiedykolwiek zastanawiał się, czy warto rzucić wszystko i zostać z ukochaną.

Nie, nie ma mowy. Jeśli Antoine wyszpieguje, że zięć nadal widuje się z Marcelite, zniszczy go bez litości. Lucien wniósł do małżeństwa z jego córką niewiele poza dobrym nazwiskiem. Jego finanse były tak powiązane z finansami teścia, że Antoine w pełni je kontrolował.

Teraz rozwiązanie wszystkich tych problemów zależało od siły grzmotów, szalejących na zasnutym chmurami horyzoncie. Możliwe, że sztorm będzie naprawdę potężny. Wtedy sytuacja się skomplikuje...

Albo i nie. To może być nawet sprzyjająca okoliczność. Jeśli groza żywiołu wprawi Marcelite w przerażenie, zda sobie szybko sprawę, jak bardzo za-

leżna jest od łaski losu. Wówczas zaś wszystko, co Lucien jej ofiaruje, będzie wielkodusznym gestem, który przyjmie z pokorną wdzięcznością.

Po raz pierwszy od chwili rozmowy z teściem Lucien poczuł nadzieję. Tak, do licha! Pogarszające się prognozy były w istocie jego sprzymierzeńcem.

Postanowił nie wyjawiać na razie celu swojej wizyty, poczekać, aż żywioł przybierze na sile. Wybór właściwego momentu przesądzał pomiędzy zwycięstwem i klęską – a klęski Lucien wolał sobie nawet nie wyobrazić.

Stał pod znajomymi drzwiami, bezskutecznie usiłując strząsnąć wodę z płaszcza i wylać ją z butów.

– Marcelite! – zawołał, po czym pchnął drzwi i zajrzał do środka. W migoczącym świetle latarni zobaczył swoją konkubinę i dwójkę dzieci, tkwiących w kącie pokoju.

– Lucien! – Skoczyła ku niemu, pokonując odległość w trzech krokach. Zdążył zamknąć za sobą drzwi i pochwyił ją w ramiona. Dzieci patrzyły na niego szeroko otwartymi oczami.

Przemówiła po francusku, zapominając, że Lucien woli angielski:

– Myślałam, że wróciłeś do Nowego Orleanu.

– Odjeżdżam jutro. Miałem już nie wpadać, ale zobaczyłem, że zbliża się sztorm i... – znacząco zawiesił głos.

Objęła go w pasie i przyłgnęła do niego kurczowo.

Czuł, że jest mu wdzięczna; krępowało go to nieco.

– Zostaniesz z nami, tak? – zapytała nieśmiało.

– Zostanę, dopóki sztorm nie ucichnie.

– Wiatr zabił mojego ojca. Razem z wujami był na łowisku, kiedy zaczął się sztorm... Dopiero po wielu tygodniach morze wyrzuciło na brzeg łódkę pełną zgniłych ryb. Śmierdziało w całej osadzie, ale nie było w niej trupów.

Wzdrygnęła się. Pierwszy raz opowiedziała mu coś ze swojej przeszłości. Lucien tulił ją i czuł, jak bardzo jest przerażona.

Raphael wstał z łóżka, na którym siedział dotąd wraz z Angelle.

– M'sieu Lucien, jeśli wiatr się zwiększy, schronimy się w kościele! – powiedział z przejęciem.

– Nie wygłupiaj się, wystarczy, że umocnimy ten dom.

– Wiatr będzie za duży!

Lucien uważniej przyjrzał się chłopakowi. Teraz dopiero zobaczył, że czarne, wijące się kędziory nie są niewinną dziecinną czupryną. I że skóra Raphaela jest brązowa nie tylko od opalenizny. Zaś nos

– jak mógł wcześniej tego nie widzieć? – jest szerszy i wyraźnie większy niż u Marcelite.

Do licha, jak mógł nie widzieć, że Raphael, którego uważał za swego przybranego syna, jest kwarteronem?^{*4} Przecież wyraźnie można było poznać, że to mieszaniec! Ale Lucien był zbyt zauroczony jego matką, by to dostrzec.

Wiedział, jaka kara grozi za podobny brak wnikliwości.

W jego klasie społecznej surowo potępiano wszelkie rasowe mieszanek. Nie wolno było sprzeniewierzać się własnej rasie, a to właśnie w haniebny sposób uczyniła Marcelite. On zaś regularnie odwiedzał jej łóżko, sycąc się chętnym kobiecym ciałem, ilekroć miał na to ochotę. I nie przyszło mu do głowy, że wcześniej na jego miejscu był niewolnik.

Och, Boże!

Te rozmyślenia zrodziły w nim irytację.

– Powiedz mu coś! – Oderwał od siebie dłonie Marcelite. – Dziecko ma mi rozkazywać?

Matka odwróciła się do syna i przemówiła tak szybko, że Lucien prawie nic nie rozumiał. Ale przekaz stał się jasny, gdy Raphael, wysłuchawszy go, z niechęcią skinął głową. Ani na chwilę nie spuszczał przy tym oczu z Luciena. Nawet wtedy, gdy matka go strofowała.

– On ma dobre chęci, chciałby pomóc – próbowała usprawiedliwić gorliwie dziecko.

– Dobrze, Raphael, jeśli chcesz, żeby twoja matka i siostra były bezpieczne, chodź ze mną – powiedział nieoczekiwanie Lucien, odwracając się do drzwi. – Oczywiście, jeśli ci na tym zależy...

Chłopak zacisnął wargi, a potem ruszył za nim.

Raphael patrzył, jak matka nalewa Lucienowi gorącej kawy. Był przemoczony, zmarznięty i głodny, ale wiedział, że dopóty jest w ich domu ten mężczyzna, to on będzie obsłużony jako pierwszy.

Sam jeszcze wczoraj marzył, żeby Lucien zechciał zostać jego ojcem. Teraz nie był już przekonany, czy tego chce. Czy jego prawdziwy ojciec patrzy na to ze smutkiem z nieba?

Matka szepnęła coś do ucha M'sieu Lucienowi. Na zewnątrz wiatr wył coraz przeraźliwiej, jak gdyby chciał ukryć jej słowa. Pewnie pytała go, co mu się stało. Zwykle żartował i śmiał się, dzisiaj zaś był małomówny i poważny, jakby nie w głowie mu były żarty. I nie wziął jak zwykle Angelle na kolana ani nie zmierzwił pieszczotliwym gestem jego czupryny, pytając z rozbawieniem, czy znalazł już piracki skarb.

Niech sobie kpi. Raphael i tak nie zdradzi mu nigdy sekretu Juana. Choć nie bardzo pojmował, czemu stary zaprowadził go na bagna, czuł, że cała sprawa musi zostać zachowana w tajemnicy.

⁴ *Kwarteron – osoba mająca 1/4 krwi murzyńskiej (przyp.tłum.).

Matka nabrała warząchwią dwie porcje rzadkiej zupy z krabów i zawołała dzieci do stołu. Lucien podszedł do drzwi i usiłował wyjrzeć na zewnątrz.

– Leje coraz gęściej.

– W takim razie odpływaj, póki czas.

– Ja mogę odpłynąć, ale wy? Pozostanie tu jest kuszeniem losu.

Raphael przestał jeść i popatrzył na matkę. Milczała.

Zaczęła zgarniać okruszki ze stołu. Zauważył, że ręka jej drży, a wargi zaciskają się w wąską linię.

– Mamo – odezwał się nieśmiało – powinniśmy iść do kościoła.

– Co ty możesz wiedzieć? – zgał go z irytacją Lucien. – Dziecko powinno siedzieć cicho. Widać, że brak ci dyscypliny.

– Nie mów tak, to dobry chłopak – zaprotestowała matka.

– Nie mówiłaś mi o jego ojcu. Czy również był taki uparty?

Spojrzenie Marcelite uciekło w stronę syna.

– Wiele można powiedzieć o jego ojcu, ale...

– Czy więc był uparty?

– Inaczej bym go określiła.

– A jak?

– Dumny – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Był dumny i dzielny. Jego syn również taki będzie.

– A jakie to ma powody do dumy?

– Skończmy tę rozmowę.

– Nie, dlaczego? Jest wiele spraw, o których dotąd nie rozmawialiśmy. – Lucien nie spuszczał wzroku z Raphaela. – Ojciec chłopaka to tylko jedna z nich.

Angelle zaczęła popiskiwać i zsunęła się z krzesła na podłogę. Wyraźnie niepokoił ją ton głosów dorosłych. Ucichła, gdy dotknęła podłogi bosymi stopami, potem spojrzała na Raphaela z wyrazem zdumienia na buzi, aż wreszcie przysiadła na pleconej macie i zaczęła przesuwając po niej drobnymi rączkami.

Raphael zerknął w dół, ale niczego nie zauważył.

Dopiero kiedy stanął obok siostry, zrozumiał.

– Mamo! Cała podłoga jest mokra!

– Nic dziwnego, skoro dach ma tyle szpar. – Lucien wzruszył ramionami, a Marcelite pochyliła się i pomacała maty.

– Nigdy nie była taka mokra. To nie może być od wody z dachu.

– Deszcz zacina też z boków.

– Tak! Woda podchodzi pod drzwi! – Raphael z przerażeniem pokazał ręką sączący się strumyczek.

– On ma rację. – Marcelite podeszła do progu i oboje wyjrzeni na zewnątrz.

– Woda przykryła ziemię. Wszystko zalewa. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Deszcz jest po prostu tak gęsty, że nie nadaża wsiąknąć wgrunt. Kiedy osłabnie wszystko spłynie.

– Mówię ci, nigdy tak nie było. – Marcelite pochyliła się i przeciągnęła palcem po podłodze, a potem podniosła go do ust i posmakowała. – Jest słona!

Lucien spojrział na nią, powtórzył jej próbę.

Kiedy się wyprostował, miał minę, która przeraziła Raphaela.

– Daj mi mój płaszcz!

Matka podbiegła do wieszaka i szybko cisnęła mu okrycie.

– Raphael, pilnuj domu! – rzucił jeszcze Lucien, w pośpiechu naciągając płaszcz, a potem wybiegł na dwór.

Gdy tylko otworzył drzwi, fala wody i deszczu

wlała się do wnętrza. Z trudnością je za nim zamknęli.

– Zapal świece w kapliczce – nakazała matka.

– Pospiesz się, musimy zmówić ostatnią modlitwę.

– Maman, ale kościół...

– Już za późno, by iść tak daleko. Musimy poszukać innego schronienia.

Ale najpierw trzeba zmówić modlitwę. Potem spakujemy wszystko, co się da – przemawiała spokojnie, aby nie przestraszyć

Angelle. – Musisz być dzielny...

– Jak mój ojciec?

Musnęła jego policzek wierzchem dłoni i skinęła głową.

– Jest wiele rzeczy, o których ci nie powiedziałam.

– Jak to, że mój ojciec był dobrym człowiekiem?

– Był.

Raphael chciał zapytać o więcej, ale matka już zaczęła się krzątać.

– Zapal świece – ponagliła. – Będziemy mieli czas na rozmowę, kiedy sztorm ucichnie.

Kiedy wrócił Lucien, byli już spakowani i po modlitwie. Dzieci włożyły na siebie wilgotne wyjściowe ubrania, Marcelite zamocowała na plecach Raphaela niewielki tobołek. Szybko zamknęła drzwi za Lucieniem, powstrzymując sztorm, który wpychał się do domu.

– I co? – spytała.

– Zaczął się przypyływ. Przyprowadziłem swoją łódkę. Nie jesteśmy tutaj bezpieczni, bo te cholerne fale zalewają półwysep. Na moment straciłem grunt na plaży i omal nie zmyło mnie do oceanu. Widziałem, jak woda porwała psa... parę łodzi urwało się z cum...

– Dokąd pójdziemy?

– Kiedy wracałem z plaży, mijałem pewien dom. Pierwszy z prawej, na uboczu. Nikt nie odpowiedział na pukanie.

– To dom Julienu LeBlanca i jego syna. Pewnie popłynęli na łowiska ostryg.

– Z dziećmi nie ma co iść dalej. Schronimy się tam. Jestem pewien, że przyjęliby nas w potrzebie.

– Ja nie.

– Nieważne. I tak ich nie ma.

– Masz rację. – Marcelite włożyła płaszcz, prze- rzuciła sobie tobolek przez ramię i chwyciła w ramiona córeczkę.

– Ty i Angelle wejdziecie na łódkę, a ja z Raphaelem pociągniemy linę, dopóki nie będzie dla niego za głęboko.

– Tak wysoka jest woda?

– Z każdą chwilą coraz głębsza!

Marcelite mocniej przytuliła małą i dała znak Raphaelowi. Chciał jeszcze zgasić świece w kapliczce, ale wiatr dmący przez szpary zrobił to za niego. Zdażył się tylko przeżegnać i po chwili dołączył do matki.

Takiego świata, jaki powitał go za drzwiami, Raphael jeszcze nie oglądał. Przepastną ciemność nieba co chwila przesywały błyskawice, jak odblaski z boskiej latarni. Poryw wiatru pechnął ich z tak potężną siłą, że Raphael upadłby w wodę, gdyby nie chwycił się w porę ramienia matki. Wokół przepływało i wirowało mnóstwo przedmiotów – liście z dachu, deski, całe płaty płótna wydarte z żagli.

Chwilami przez ryk wichru i łomot grzmotów przebijał się rozpaczliwy ryk bydła.

Raphael brnął ku łódce, którą Lucien podstawił prawie pod drzwi, potem zaś trzymał ją kurczowo, najmocniej jak umiał, podczas gdy mężczyzna pomagał usadowić się Marcelite, tulącej w objęciach Angelle. Kiedy wsiadły, przesunął się w stronę dziobu, chwycił cumę i czekał na Luciena. Słyszał groźny ryk od strony plaży i wyobrażał sobie fale wysokie jak drzewa. Takie fale mogły z łatwością powalić jego dom i zrobić z niego kupę drewna.

Czym ludzie z Chénierze zasłużyli sobie na taką karę niebios?

Lina szarpnęła. To M'sieu Lucien stanął obok niego i chwycił cumę. Zaczęli brnąć przez wodę, lecz już po paru krokach chłopak stracił siły i marzył tylko o tym, by czym prędzej znaleźć się pod domem Julienu LeBlanca. Z początku bezustannie się potykał, ale po chwili przywykł do zmagania z prądem i porywistym wiatrem. Ścisnął linę tak kurczowo, aż ręce zeszytywniały mu jak szpony. Raz odwrócił się, aby zerknąć na matkę, ale zasłona deszczu była nieprzenikniona. Nie widział nawet zarysu jej twarzy.

Inni również nie poddali się sztormowi. Mijali rybaków, ciągnących łodzie znacznie większe niż ich łupina. Z ganku pewnego domu dwóch mężczyzn

podawało dzieci matkom, które już siedziały na pokładzie dużego lugiera. Raphael zazdrościł tym dzieciakom.

Ktoś krzychał, że magazyn Piccioli jest dobrym schronieniem przed sztormem. A potem nad półwyspem rozległ się nowy dźwięk, ledwo słyszalny przez huk wiatru i fal. Kościelny dzwon zaczął uderzać gorączkowo, jakby kołysało go piekło.

– La cloche! La cloche! – podniósł się krzyk, lecz M'sieu Lucien zdawał się go nie słyszeć. Parł uparcie naprzód, mijając lugier, podtopione domostwa i drzewa, gnące się w porywach wichury.

Raphael dyszał coraz ciężiej z każdym krokiem.

Zaczął marzyć, by usiąść w łódce i dać się pociągnąć.

Kiedy Lucien szarpnięciem liny dał mu znak, że są na miejscu, był bardzo zdumiony. Woda wirowała pomiędzy palami, podtrzymującymi dom, ale parząc na solidny budynek, miało się wrażenie, że niestraszne mu żadne sztormy ni ulewy.

Lucien podprowadził łódkę do schodów i czekał, aż Marcelite z Angelle wysiądą. Wówczas zawiązał solidny węzeł na jednym z filarów.

Marcelite pchnęła dzieci pod dach galerii, ale deszcz i tak zalewał ich ze wszystkich stron. Mała płakała. Raphael chciał ją pocieszyć, lecz wiatr wypychał mu słowa z powrotem w usta. Nadszedł Lucien i zaczął walić pięścią w drzwi. Nikt nie odpowiedział.

– Nie widzę tu ich canote – powiedziała Marcelite, tuląc do siebie Angelle.
– Musieli wypłynąć.

– W takim razie wchodzimy.

Wystarczyło mocniej pchnąć drzwi, by ustąpiły.

Nagle zrobiło się zacisznie, a woda przestała im się lać na głowy. Wnętrze było dla Raphaela zaskoczeniem.

Ściany, tak na zewnątrz, jak i wewnątrz, jaśniały bielą, a sufit wznosił się wysoko nad głową.

Na podłodze leżały maty z plecionki, a nie z palmowych liści. Podobne kilimki okrywały krzesła.

Miał ochotę zwiedzić cały dom, ale matka złapała go za ramię.

– Znajdę coś, żeby nas wytrzeć. Zajmij się teraz Angelle.

Wreszcie mógł wyszeptać siostrzyczce, że jest bezpieczna. Pogładził jej mokre loki, pocałował w policzek. Tymczasem M'sieu Lucien zapalił latarnię wiszącą u drzwi i ruszył na obchód domostwa.

Na progu sąsiedniego pokoju minął się z matką, która podbiegła do dzieci, niosąc płócienne obrusy.

Jeden dała Raphaelowi, drugim zaczęła wycierać małą.

– Wybraliśmy dobre miejsce – powiedział Lucien, wróciwszy do nich po chwili. – Dom jest mocny i ma niewiele okien. W pokoju z tyłu jest łózko, w którym mogą spać dzieci. Zostawiłem tam latarnię.

Raphael zaprotestował. Nie był zmęczony.

Chciał czuć i oglądać sztorm. Matka położyła mu dłoń na ramieniu. Doskonale rozumiał ten znak, wciąż jednak się buntował.

– Mogę pomóc, maman. Będę uważał, czy woda nie przybiera.

– Zaraz będziesz ją oglądał z drugiej strony drzwi, jeśli nie pójdziesz do łóżka! – zdenerwował się Lucien.

– Nie jesteś moim ojcem, żeby mi rozkazywać!

Mężczyzna odwrócił się ku niemu gwałtownie.

– Jasne, akurat tego mogę być pewien! – krzyknął z wściekłym wyrazem twarzy. – Gdyby to była moja krew, nie zachowywałbyś się w ten sposób!

Marcelite ścisnęła syna za ramię.

– Idź, synku. Ktoś musi być z Angelle, żeby się nie bała.

Raphael chciał się odciąć. Miał ochotę wrzasnąć, że cieszy się, że Lucien nie jest jego ojcem, ale nagle opuściła go odwaga. Niechętnie powłókł się do łóżka i położył obok siostry, pozwalając matce okryć się pledem.

– Opiekuj się nią i pilnuj, żeby nie zmarła – powiedziała na odchodnym, całując jedno i drugie w czoło. – Rano zaświeci słońce.

Na zewnątrz hulał wiatr. W oknie tańczyły cienie gałęzi, gnących się w szaleńczych porywach. Raphael usiłował wyobrazić sobie słońce, ale pod powiekami widział tylko sztorm. Kiedy matka przyszła po latarnię, już spał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W Nowym Orleanie niedziela była ulubionym dniem Aurore. Tylko tego dnia pozwalano jej pojechać do miasta, podczas gdy w tygodniu, pod groźbą złapania wszelkich możliwych chorób, musiała tkwić w domu i zadowalać się widokiem ogrodu oraz okalającego go muru. Co niedziela z radością jechała więc z rodzicami na mszę w imponującej katedrze Saint Louis, zaś po mszy gościła na obiedzie u dziadka Antoine'a.

Letnie niedziele w Krantz Place wyglądały całkiem inaczej. Nie chodzono do kościoła, modlono się za to w domu. Poza tym był to po prostu jeszcze jeden dzień wakacji, z tą może tylko różnicą, że w niedzielne wieczory organizowano czasem tańce w przystosowanej do tego celu sali jadalnej. Nawet

mniej bystre dziecko niż Aurore zauważyłoby gorące spojrzenia, wymieniane przez młodych przyjezdnych dandysów z miejscowymi kreolskimi pięknościami.

Niekiedy urządzano też koncerty i różne zawody.

Niestety, w tę akurat smutną, pustą niedzielę nikt nie pomyślał o rozrywce. Zaczęło się od tego, że Aurore, ubrana w białą, atlasową sukienkę z koronkami, klęczała obok matki, modląc się przez cały ranek. Potem był obiad, zaś po południu, kiedy rozpadał się deszcz i rozszalał wiatr, leżała w łóżku, gapiąc się w sufit, podczas gdy

Claire drzemała. Poprzedniego dnia niespodziewanie zjawił się wprawdzie dziadek, z którym mogłaby się pobawić, ale widziała go tylko przez chwilę. No, a ojciec znów odpłynął po kłótni z matką.

Kiedy nie wrócił na czas – to znaczy na wczesną kolację – Aurore zaczęła się niepokoić. Martwiła się o tatę, ale też i o mamę, która bladła coraz bardziej i raz po raz wzdychała. Aurore bez apetytu dziobała widelcem jedzenie na talerzu, nikt nic nie mówił i słychać było tylko wycie wiatru, od którego drżały ściany domu.

Do łóżka położyła się wcześniej niż zwykle, ciesząc się w głębi duszy, że nie musi już patrzeć na zbolalą i zdenerwowaną minę matki. Usnęła, a sny miała dobre, spokojne, w których nie było ani wichury, ani kłótni.

Gdy objęły ją i uniosły czyjeś ramiona, nie wiedziała, czy to wciąż sen, czy też jawa. Dopiero kiedy otworzyła oczy i spojrzała prosto w twarz matki, przekonała się, że nie śpi.

– Chodź, córeczko. Przenosimy się do domu wuja Ti'Boo. Tylko musisz być cicho – wyszeptwała Claire. – Dziadek Antoine uważa, że tu jesteśmy najbezpieczniejsze. Teraz śpi, więc musimy się wymknąć tak, żeby go nie obudzić.

Dziecko nie pamiętało, by matka kiedykolwiek tak je tuliła. Sennym gestem dotknęło jej policzka.

Był mokry od łez.

– Ti'Boo pomoże ci się ubrać – powiedziała Claire. – Ale pamiętaj, musisz być cicho, dobrze?

– A co to za hałas? – odszepnęła Aurore.

– To wiatr.

– Dlaczego idziemy do domu wujka Cleberta?

– Bo zabiera stąd Ti'Boo i mówi, żebyśmy też poszły.

Aurore bardzo chciała przedłużyć tę piękną chwilę matczynej czułości. Mama zwykle nie zauważała nawet, że ma córkę. Teraz więc dziewczynka popatrzyła w oczy jasnoniebieskie jak jej własne, a potem posłusznie skinęła głową.

– Dobrze, przytul mnie, mamó.

Do pokoju weszła Ti'Boo, niosąc ubranie. Matka puściła Aurore i szepnęła na odchodne:

– Poczekaj. Zaraz wrócę.

Ti'Boo w milczeniu zaczęła ją ubierać. Aurore czuła napięcie opiekunki, zniecierpliwionej jej niezgrabnymi ruchami. Wreszcie, kiedy była gotowa, Ti'Boo wzięła ją za rękę i poprowadziła przez salon ku wyjściu.

Nonc Clebert czekał już u drzwi. Nie miał latarni, ale pokój oświetlało bardzo jasne, ciągle rozbłyskujące światło, w którym było widać jego zmartwioną twarz. Cała odwaga, jaką natchnął Aurore kontakt z matką, wyparowała w jednej chwili.

Dziewczynka zaczęła pochlipywać.

Ti'Boo uszczypnęła ją boleśnie.

– Jeśli krzykniesz, Ro-Ro – syknęła jej do ucha – albo się rozbeczysz, to uszczypnę cię jeszcze mocniej!

Aurore, zaskoczona traktowaniem, jakiego nie знаła, z wrażenia zapomniała o płaczu.

– No właśnie. Bardzo dobrze – pochwaliła ją Ti'Boo. – Musisz być dzielna, Ro-Ro.

Po chwili zjawiała się Claire, zapinając długą pelerynę z kapturem i niosąc drugą dla córki. Bez słowa zawiązała ją Aurore wokół szyi, a potem wzięła dziecko za rękę.

– Dokąd się wybieracie?

Obie obróciły się gwałtownie i Aurore ujrzała dziadka Antoine'a, który stał zagniewany w drzwiach pokoju. Czuła, jak ręka matki drży.

– Pytałem, dokąd się wybieracie, Claire.

– Zabieram Aurore do domu monsieur Cleberta, tato.

– Nigdzie jej nie zabierzesz!

– Chodź z nami, tato.

– Claire, nie czujesz się dobrze. Nie możesz podejmować takich decyzji.

– Już podjęłam.

– Nie wolno ci!

– Nie zabronisz mi – odparła Claire, ściskając mocniej rączkę dziecka.

– Nie wyglądałaś na dwór? Nie widzisz, co się dzieje? Może upaść na was złamane drzewo. Zabraniam!

– Powinniśmy uciekać stąd już dawno, ale nie pozwoliłeś nam na to. Teraz mam ostatnią szansę i nie zabronisz mi jej wykorzystać! – odparła Claire i zaczęła iść ku drzwiom, omijając ojca wielkim łukiem.

– Mój dom stoi na wzgórzach, proszę pana, dalej od brzegu – odezwał się nonc Clebert. Był niski, lecz żyłasty i silny. Aurore była kiedyś u niego z Ti'Boo. – Poza tym chronią go drzewa. Tam bezpiecznie przeczekamy sztorm.
– Postąpił krok naprzód, jakby chciał ochronić Aurore przed dziadkiem.

- Pana też zapraszamy.
- Zabraniam ci zabierać je ze sobą!
- Niestety, nie spełnię tego rozkazu.

Dziadek ruszył energicznie do przodu, lecz nonc Clebert podskoczył do niego z uniesioną pięścią.

Antoine w jednej chwili stał się jakby mniejszy i starszy. Zatrzymał się w miejscu.

– Nie ma ze mną męża – powiedziała do niego Claire. – Nie wiem nawet, czy żyje. Czy chcesz, żebym straciła jeszcze i ojca?

– To szaleństwo! – upierał się dziadek. – Nie wyjdę z tego domu, Claire. Krantz zapewniał mnie, że będziemy tu bezpieczni, a słowo Krantza to słowo dżentelmena. Jeśli już musisz odejść, to przynajmniej zostaw mi Aurore. Jest za mała na takie eskapady.

– Aurore jest moją córką i pójdzie ze mną.

– Z każdą chwilą robi się coraz bardziej niebezpiecznie – ostrzegł nonc Clebert.

– Aurore! – Antoine rozpaczliwym gestem wyciągnął ręce ku wnuczce.

Dziewczynka nie wiedziała, jak się zachować.

Czuła się dosłownie rozdarta, miała wrażenie, jakby każdy z dorosłych ciągnął ją co sił za rękę w swoją stronę. Po jej policzkach popłynęły łzy. Zerknęła w stronę Ti'Boo i zobaczyła współczucie w jej oczach. Dziewczyna wyciągnęła do niej ramiona, a Aurore rzuciła się w objęcia przyjaciółki.

– Tato, proszę, choć z nami – nie przestawała błagać matka.

– Uspokój się, Claire! – skarcił ją ostro. – Przestaję się dziwić twojemu mężowi, że ma cię dosyć. Równie zła jesteś jako matka. Teraz rozumiem, dlaczego pan Bóg nie dał ci urodzić więcej dzieci!

Claire wydała przeciągły, jęklivy dźwięk, podobny do wycia wiatru za oknami, a potem zamaszystym ruchem owinęła się peleryną i dołączyła do córki. Nonc Clebert otworzył drzwi. Sztorm wchłonął ich natychmiast.

Lucien przekonywał sam siebie, że sztorm, choć wyjątkowo gwałtowny, szybko ucichnie. Nawet przybierająca stale woda nie była dla niego wystarczającym powodem do niepokoju. Marcelite natomiast bała się coraz bardziej. Wróciła właśnie z pokoju dzieci, trzymając latarnię w jednym ręku, a skraj mokrej spódnicy w drugiej. Stała przy frontowym oknie, spoglądając na zewnątrz, i westchnęła lękliwie.

– Wieje coraz mocniej.

– Przesada, po prostu boisz się sztormów. Nic zresztą dziwnego, skoro mieszkasz w takich warunkach.

Odstawiła latarnię na podłogę.

– Na szczęście teraz, dzięki tobie, wszystko się zmieni.

Nie dotknął jej, nie pocieszył.

– Nie, Marcelite, nie do końca. Kiedy odpłynę do domu po sztormie, już nigdy tu nie wrócę – powiedział powoli i odwrócił wzrok. Usłyszał, jak kobieta gwałtownie wciągnęła oddech. Nawet teraz, gdy powiedział już najgorsze, nie był w stanie przyznać się, że teść wymusił na nim ultimatum wobec niej. – Zaskoczyłem cię? Nie spodziewałaś się, że cię opuszczę, jeśli tylko się dowiem, jakiej rasy jest twój synalek?

– Mój syn to jeszcze chłopiec, dobry chłopiec. Czego od niego chcesz?

– Twój syn jest kwarteronem! To czarnuch! Jego ojciec był niewolnikiem, a matka dziwką!

Uniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

– W takim razie kim ty jesteś, Lucien? Masz z tą dziwką dwójkę dzieci, może zaprzeczysz?

Pchnął ją, a kiedy zachwiała się do tyłu, chwycił za ramiona, by nie upadła. Potrząsnął nią z wściekłością.

Czuł żal i rozpacz. Uświadomił sobie, że nie chce jej stracić, nawet gdyby od tego miała zależeć jego przyszłość.

– Nic już więcej nie mam z tobą wspólnego, rozumiesz? – krzyczał wbrew sobie. – Nic! Puszczaj... – warknął, gdy chciała uwiesić mu się na szyi. – Mówię ci, puść! – Odepchnął ją, aż oparła się plecami o okienną ramę.

– Myślisz, że tak po prostu pozwolę ci o nas zapomnieć? – Marcelite popatrzyła na niego przez potargane, mokre kosmyki, które wysypały się jej na czoło. – Nie wychowam sama tych dzieci! Walczę dla nich o każdy kęs! Trzęsiemy się z chłodu w zimie, a latem drżymy przed sztormami! Aby wyżywić twoją córkę, musiałam sprzedać kolczyki, które od ciebie dostałam! A wiosną urodzę następne dziecko i będzie jeszcze ciężej! Musisz nam pomóc... A jeśli nie zajmiesz się nami z własnej woli, sama do tego cię zmuszę!

– Ciekawe jak?

– Pojadę do Nowego Orleanu. Będę mówić wszystkim, że Lucien Le Danois jest ojcem moich dzieci, ojcem, który skazuje je na śmierć głodową!

Lucien poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

– Nie zrobisz tego!

– Non? Tak myślisz? Nie mam nic i nikogo, tylko te dzieci. Rodzina już dawno się mnie wyrzekła, a w tym przeklętym miejscu nic mnie nie trzyma. Pojadę do miasta i będziesz codziennie widywał mnie przed twoją wychuchaną rezydencją w Esplanade. I chętnie poznam twoją żonę, wierz mi!

Nie przypominał sobie, żeby wspominał jej, gdzie mieszka. A jednak wiedziała. Wiedziała, bo musiała już wcześniej rozważyć taką możliwość. Gorączkowo usiłował zapanować nad rozbieganymi myślami.

– Absolutnie nie miałem zamiaru zostawić cię bez pieniędzy, Marcelite – zaczął ją uspokajać.

– Dam ci je. Trochę teraz, trochę później. Kupisz sobie lepszy dom i nie będziesz bać się sztormów.

– Trochę teraz, trochę później, tak? – szydziła.

– Chcesz się mnie pozbyć tanim kosztem? Odprawić jak starego sługę?

– Daję i tak więcej, niż na to zasłużyłaś!

– Być może, ale twoje dzieci nie zasłużyły sobie niczym na taki los. Dla nich zrobię wszystko!

W furii, jaką płonęły oczy Marcelite, Lucien zobaczył swoją przyszłość. Zobaczył życie bez żadnej pozycji, majątku i zbytku. Zobaczył, jak zamykają się przed nim po kolei wszystkie ważne drzwi.

– Ile muszę zapłacić ci za milczenie?

Oddychała szybko i płytko, zaraz jednak ochłonęła i przemówiła. Spokojnie, powoli i z namysłem.

– Nie chcę więcej żyć w lęku przed najmniejszym porywem wiatru. Chcę wywieźć dzieci do Nowego Orleanu. Chcę pieniędzy na ich utrzymanie, a później na kursy handlowe, żeby mogły się uczyć... – urwała na moment. – Bylibyśmy niedaleko.

Zawsze mógłbyś do nas wpaść.

Żadnego z tych wymagań nie mógł spełnić, ale nie było sensu mówić jej o tym teraz. Lucien nie był w stanie zrezygnować ze wszystkiego, co posiadał – a tak by się przecież stało, gdyby zgodził się na jej warunki. Antoine natychmiast dowiedziałby się o ich umowie, zanim jeszcze Marcelite dotarłaby z dziećmi do miasta. Licho wie, jakim sposobem ten staruch odkrył prawdę, ale z pewnością miał dobre źródło informacji.

– Przez ten sztorm mówimy głupie rzeczy – rzucił pojednawczym tonem, przysuwając się bliżej okna. – Nie jesteśmy sobą, Marcelite. Później będzie czas na poważne rozmowy.

– Wszystko już sobie powiedzieliśmy.

– Bądźże rozsądna, moja droga, nie możesz stawiać warunków. Przecież nie masz ani przyjaciół, ani pieniędzy. Nie dasz sobie rady beze mnie. Jak zamierzasz dostać się do Nowego Orleanu?

Za co?

– Przez pięć lat oszczędzałam każdy grosz. Znajdzie się ktoś, kto za tę sumę zechce mnie zawieźć.

– Jak możesz tak traktować mnie po tym, co dla ciebie zrobiłem? Nie rozumiem...

– A ja nie rozumiem, jak ty możesz chcieć zniknąć stąd na zawsze po tym sztormie. Przecież nie będę miała domu! Chyba że znajdę sobie nowy, na Esplanade Avenue...

– Oszalałaś, Marcelite. Odebrało ci rozum.

– Mewa chroni swoje gniazdo przed jastrzębiem.

Lucien pojął, że jej desperacja jest ogromna i nie uspokoją jej żadne obietnice. W jego świecie była kobietą bez żadnej pozycji, nikim – a jednak potrafiłaby zrujnować mu życie.

Zaczął zastanawiać się, jak ją przekonać, gdy nagły łomot z zewnątrz przerwał jego myśli. Marcelite wyjrzała w ciemność, on zaś westchnął z ulgą, wdzięczny losowi za tę przerwę.

– Co się tam dzieje? LeBlancowie wrócili?

– Nie mam pojęcia.

Na deskach werandy załomotały kroki wielu stóp. Lucien zobaczył wblasku błyskawicy, jak ktoś chwieje się i przewraca pod naporem wiatru. Gdzieś z boku wysunęło się pomocne ramię, a potem znów zapadły ciemności.

Marcelite zniknęła na tyłach domu, by po chwili wynurzyć się z naręczem suchych ręczników.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich jakiś mężczyzna.

– Ktoś już tu jest! – krzyknął, odwracając się do innych.

W ułamku sekundy przedsiónek zaroił się od ludzi. Marcelite pełniła honory domu, jakby była gospodynią, zapraszając rozbitków do środka i rozdzielając im ręczniki. Lucien naliczył trzech mężczyzn, dwie kobiety i czwórkę dzieci. Jedna z kobiet łkała rozpaczliwie.

– Wszystko stracone! Nie mamy już domu!

Zerknął na twarze mężczyzn, łudząc się, że to tylko babska histeria. Niestety, z powagą potwierdzili jej słowa.

– Czy ktoś jest ranny? – zapytała Marcelite.

Mała dziewczynka wysunęła ku niej rączkę, lecz jedna z kobiet natychmiast odciągnęła ją z powrotem.

Marcelite podeszła ku niej i spojrzała jej prosto w oczy.

– Jesteśmy sąsiadkami, a sąsiedzi powinni sobie pomagać. Szczególnie teraz, nie uważasz?

– Pozwólcie jej. Niech ją zbada – odezwał się jeden z mężczyzn.

Kobieta mocniej przycisnęła do siebie dziecko, wreszcie puściła je i mała podeszła do Marcelite, spokojna i ufna, a potem patrzyła, jak ta miła pani, na którą jej mama spogląda z takim gniewem, opatruje skaleczenie i owija je czystym płótnem.

– Jak tu trafiliście? – zwrócił się do Luciena mężczyzna, który pierwszy wszedł do domu.

Lucien wyjaśnił szybko, co się stało, a potem dodał:

– Mam nadzieję, że monsieur LeBlanc nie będzie miał mi tego za złe.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– A jeśli nawet, to co? Co znaczy gniew jednego człowieka wobec furii tego sztormu?

– Czy wasz dom stał przy plaży?
– Nie tak blisko oceanu, jak inne. Myśleliśmy, że przetrwa. Był solidny, pale były głęboko wkopane w grunt...
– Może da się go jeszcze naprawić.
– W tej chwili ten dom to już tylko sterta desek, które ludzie będą zbierać na plażach Grand Isle.

Chcieliśmy przywiązać naszą łódź do drzew na podwórzu u Perrina, ale woda przybierała za szybko, a wiatr był za silny. Sztorm wcale nie cichnie, mon ami. On się z nami bawi jak kot z myszką. To jeszcze trochę potrwa.

Lucien wyjrzał za okno.

– Nie wierzę.
– Tak, tak. I przyjdzie następny – wtrącił się do rozmowy inny z mężczyzn, starzec, zapewne patriarcha swojej rodziny. Głos mu drżał ze starości i ze zmęczenia. – Byłem młody – mówił – kiedy przeżyłem straszny huragan. Wiatry szalały, wody się wznosiły, ale najgorsze zawsze nas z Bożą pomocą omijało. A potem, następnego dnia, i następnego, kiedy niebo się oczyściło, a wiatr złagodniał, znajdowaliśmy ciała wyrzucone przez fale. Ludzkie trupy, zwierzęta, kawałki domów... Przypływały z wyspy Darnière.

Młodszy mężczyzna musiał słyszeć tę historię już wiele razy. Skrzywił się ze zrezygnowaną miną i powiedział:

– Jeśli będziemy mieli szczęście, może i my przeżyjemy. Ale na L'Isle Darnière nie ma już od tamtego czasu ludzi. Jeżeli sztorm ma ochotę na coś więcej niż piasek i palmy, przyjdzie po nas.

– Już po nas idzie – pokiwał głową starzec.

– Jak wysoko jest woda? – zapytał Lucien.

– Kiedy tu szliśmy, sięgała do czwartego schodka.

Teraz będzie wyżej, szybko się wznosi.

– Zobaczcie! Ktoś tam jeszcze jest! – zawołała jedna z kobiet i otworzyła drzwi na galerię. Nowi goście wpadli do środka, niesieni falą wiatru i deszczu.

Obaj mężczyźni odeszli, by posłuchać nowych wieści, zaś Lucien chwycił za ramię przechodzącą Marcelite.

– Ci ludzie uważają, że sztorm się nasila.

– Czy ten dom to wytrzyma?

Pomyślał o opowieści starca i innych. Niegdyś wyspa Darnière była, tak jak Grand Isle, kurortem wypoczynkowym. Gdy wybuchł tamten pamiętny sztorm, w sali balowej hotelu trwały tańce. Woda wdarła się do środka i porwała tancerzy w spienioną kipieli.

Czy teraz, tutaj, na pewno byli bezpieczni? Czy miał prawo być tak pewien swoich racji, że nie dopuszczał do siebie prawdy?

– Jeśli mamy się stąd wynosić, lepiej zróbmy to teraz – powiedziała Marcelite. – Jeśli coś tylko nam grozi, uciekajmy.

Drzwi znów rozwarły się z łomotem. Do środka wpadło kolejnych dwóch mężczyzn.

– Zobacz, ci ludzie znają Chénierę i wybrali właśnie ten dom – oponował Lucien, próbując ją uspokoić. – Dlaczego uważasz, że możemy wiedzieć cokolwiek lepiej od nich?

– W takim razie sama wyprowadzę dzieci.

– Nie, niech śpią.

Marcelite wysunęła się spod jego ręki.

– Chcę je mieć przy sobie.

Nagle dom zadrżał tak, że podłoga zatrzęsała im się pod nogami. Ludzie rozwinęli natychmiast gorączkową aktywność. Jedni zaczęli rozbierać stół na deski i umacniać nimi frontowe drzwi, inni rzucili się na tył domu. Każdy zdawał się mieć jakąś misję – poza Lucieniem, który patrzył na nich, zastanawiając się, jak wysoko doszła już woda i czy jego łódka wciąż czeka, umocowana do pała. Pewnie nie.

Pewnie już dawno rozpadła się na kawałki. Jeśli zaś tak, to nigdy nie uciekną z tego domu.

Postanowił wyjść na zewnątrz i sprawdzić. Jeśli będzie cała, spróbuje przywiązać ją bliżej, do werandy.

Włożył płaszcz, choć był całkowicie przemoczony.

Widząc zdziwione spojrzenia mężczyzn, wyjaśnił im swoje zamiary. Uznali najwyraźniej, że zwariował, ale go nie zatrzymywali. Zaledwie wyszedł na galerię, przekonał się, że mieli rację.

Potężny podmuch wiatru cisnął nim o ścianę frontową, Lucien padł na kolana i musiał pełznąć, chwytając się słupków, by zajrzeć w dół. Woda stale przybierała. Gdyby dom nie stał na wysokich palach, już dawno zostałby zatopiony. Prąd rwał bystro, a fale atakowały z wściekłym hukiem.

Widział pnie drzew, unoszone przez żywioł, gałęzie, deski, jakieś szmaty, fragment dachu. Światło błyskawicy wyluskało z ciemności rogi martwego byka. Z oddali, przez ryk wody i wichru, przebił się świdrujący, rozpaczliwy krzyk. Zaś nad całym tym oszalałym chaosem królował jeden dźwięk – przejmujący dźwięk kościelnego dzwonu, który uderzając bezustannie i głośno, zdawał się wzywać mieszkańców Chénierę Caminada na ich własny pogrzeb.

Lucieniem wstrząsnął dreszcz. Bał się. Nie chciał umierać. Dotarł do schodów i wychylił się, rozglądając za łódką. Dostrzegł ją w kolejnym błysku światła. Prąd dopychał kadłub do potężnego pała, więc chwilowo była bezpieczna. Jednak każda zmiana kierunku wiatru mogła ją porwać i zniszczyć.

Zastanawiał się przez chwilę, czy warto ryzykować dla łodzi, ale momentalnie doszedł do wniosku, że bez niej stanie się kompletnie bezsilny.

Bezsilny...

Och, tak, był bezsilny! Ogarnęła go nagle wściekłość na myśl, że nie może już sam stanowić o swoim życiu. Marcelite i Antoine bezwzględnie go szantażowali. A teraz ten okrutny sztorm rujnował całą jego przyszłość i igrał z nim z szatańską uciechą.

Wściekłość sprawiła, że przestał się bać i wskoczył do wody. Trzymając się werandy, stanął na twardym gruncie. Woda sięgała mu powyżej kolan i była przenikliwie zimna. Z trudem prac pod wiatr, przebijał się ku łódce, starając się unikać płynących przedmiotów. Kiedy do niej dotarł, był tak wyczerpany, że ostatkiem sił złapał się rufy i trwał tak długą chwilę, uwieszony na niej bezwładnie.

Dopiero teraz po raz pierwszy pomyślał o Claire i Aurore. Czy na Grand Isle sytuacja jest równie groźna? Domek, w którym zostawił rodzinę, był przebudowaną chatą niewolniczą, nie umocnioną na wypadek tak potężnych wiatrów. Przypomnił sobie, jak kłócił się z Claire o przepowiednię Chighizoli.

Szarlatan zapowiadał sztorm. Czy Claire wzięła sobie to serca? Czy znalazła dość siły i odwagi, by znaleźć inne schronienie?

Coś trąciło go w pierś, coś miękkiego, bezwładnego.

Nie mógł się zmusić, żeby sprawdzić, co to takiego, gdyż nagle poczuł dławiący gardło strach.

Modlił się, by ta wodna zmora odplynęła, ale najwyraźniej uwięzła pomiędzy burzą a jego ramieniem.

Próbował przejść na drugą stronę łódki, ale ciągnęła za nim uparcie.

Wreszcie zmusił się, żeby spojrzeć. Zobaczył ciało dziecka. Właściwie dziewczynki, co odgadł po długości włosów. W blasku błyskawicy spojrzały na niego niewidzące oczy i serce Luciena zmartwiało z przerażenia. Raptownie odsunął się od łódki.

Wyswobodzony trup zniknął w ciemnościach, porwany prądem.

Kiedy kilka minut później Lucien stanął w progu, opierając się ciężko o framugę, zorientował się, że grupka uchodźców powiększyła się o dużą rodzinę.

Razem z nimi było już dwadzieścioro pięcioro ludzi.

W kącie wypatrzył Marcelite z dziećmi. Zrzucił ociekający wodą płaszcz, wziął Angelle z ramion matki. Mała była ciepła i wpatrywała się w niego z zaciekawieniem. Jednak zamiast niej Lucien widział przed sobą twarz tamtego martwego dziecka.

Udręczony, odwrócił wzrok i zobaczył, że Raphael również wpatruje się w niego z przejęciem.

Nie czuł dla tego chłopaka niczego poza litością.

Spojrzał w kierunku Marcelite. Po raz pierwszy uświadomił sobie, ile siły jest w tej kobiecie. Taka jak ona nie zrezygnuje łatwo z tego, co sobie posta-

nowiła. Podjęła walkę o życie swoje i swoich dzieci i nie podda się aż do śmierci.

Wstała, widząc, że na nią patrzy.

– Zrobię ci kawy. Zostawiłam dla ciebie trochę.

Lucien odprowadził ją wzrokiem. Należała do niego jak wszystkie te sny, w których o niej śnił. Jak mógł twierdzić, że ją porzuci?

Przymknął z bólem oczy. Martwe dziecko znów patrzyło na niego nieruchomymi źrenicami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lucien kończył swoją kawę, kiedy ktoś trącił go w ramię. Odwrócił się. Mężczyzna, który stracił dom, stał nad nim i wpatrywał się w niego z napięciem.

– Woda sięga już werandy. – Wskazał gestem drzwi.

Podeszli do okna. Lucien z trudem rozumiał pospiesznie wypowiedane słowa w miejscowym francuskim żargonie, nie musiał jednak rozumieć ich języka, by pojąć grozę sytuacji. Sztorm nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Najgorszy moment miał dopiero nadejść – kiedy wiatr się odwróci i masy wody, pokrywające w tej chwili półwysep, spłyną do zatoki, zabierając ze sobą wszystko po drodze.

Pozostali mężczyźni klócili się, jakie będą szkody.

Niektórzy uważali, że woda już więcej się nie wzniesie i uda się coś ocalić, inni szykowali się do ostatniej modlitwy.

– Czy jest jakieś inne, bezpieczniejsze miejsce? – zapytał Lucien jednego z nich.

Popatrzyli na niego, jakby był niespełna rozumu.

– Możesz się najwyżej wynieść w sam środek tego żywiołu.

– A jeśli nadejdzie chwila ciszy?

– Nadejdzie. A potem znów rozpęta się piekło.

Lepiej zostań z nami, człowieku, pomożesz nam uszczelnić tę chałupę. Po-tem przeniesiemy się na górę.

Lucien wyjaśnił plan Marcelite i pomógł jej wejść z dziećmi na strych. Usadowili się na kocu w samym kącie i wtulili mocno w siebie. Tutaj upiorne wycie wichru i kanonada ulewy były tak głośne, że zdawały się zagłuszać myśli, zostawiając jedynie strach i grozę. Dzieci płakały, co chwila słychać

było krzyki rozpacz i wołania o pomoc tych, którym nie udało się znaleźć schronienia. A nad wszystkim górowało nieustające bicie dzwonu.

Zanim zszedł na dół, zapewnił jeszcze raz Marcelite, że dom jest bezpieczny. Dołączył do mężczyzn, którzy na zmianę prowadzili obserwację przez otwór pozostawiony w osłonie okna. Gdy nadeszła jego kolej, zobaczył świat zupełnie inny od tego sprzed paru godzin. Łódka, którą przyplłynął z Grand Isle, unosiła się na wodzie wewnątrz werandy, wszędzie wokół nie było śladu łądu. Byli teraz samotną wyspą na dzikiej, szeroko rozlanej rzece. Przymknął oczy, nie chcąc widzieć, co unosi jej nurt. Po chwili odstał do tyłu.

– Tam giną ludzie – powiedział jeden z mężczyzn. – Musimy im pomóc.

Zgodnie stwierdzono, że powinni zrobić, co tylko jest w ich mocy. Ktoś zaproponował wywieszenie latarni w oknie strychu. Ktoś inny – utworzenie ludzkiego łańcucha dla wyciągnięcia rozbitków z wody.

Mężczyzna, który stracił dom, wystąpił naprzód.

Lucien dopiero teraz poznał jego imię – Dupres Jambon. Starzec, który wieszczył im zgubę, ojciec Dupresa, nazywał się Octave.

Dupres zacisnął dłoń na ramieniu Luciena.

– Otwórz okiennice w oknie na strychu i poproś którąś z kobiet, żeby trzymała tam latarnię. Potem zejdź na dół i pełnij wartę. Ja przygotuję wszystko do wyjścia na zewnątrz. Może będzie to konieczne...

Dom jęczał jak żywa istota, torturowana z nieludzką pasją przez wiatr i wodę. Wschodni róg zaczął się właśnie lekko zapadać.

– Myślisz, że ta chałupa to wytrzyma? – zapytał Lucien.

– Kiedy zrobi się cisza, zabieram rodzinę i szukam lepszego schronienia – odparł Dupres. – Tobie radzę to samo. Jeżeli wiatr powróci od wschodu, ten dom znajdzie się na jego drodze.

Lucien uznał, że należy słuchać nie tylko poleceń, ale i rady Dupresa. Kiedy zapadnie cisza, powiosłuje w inne, lepsze miejsce. Dobrze, że jego łódka jest mała. Łatwiej będzie nią manewrować. Kwestia bezpieczeństwa całkowicie zaprzątnęła jego myśli. Przypomniawszy sobie Grand Isle. Wyspa miała pośrodku wysoki łańcuch wzgórz, a domy otaczały stare, mocno zakorzenione drzewa. Chéniere była pod tym względem zupełnie bezbronna.

Jedyne, co mogli tu zrobić, to wybrać budynek leżący jak najdalej od wybrzeża, o możliwie solidnej konstrukcji, wejść do środka, a potem liczyć na łaskawość losu.

Pamiętał propozycję Raphaëla, dotyczącą kościoła.

Z początku zlekceważył ją wyłącznie dlatego, że wyszła od chłopca, którego postanowił nie lubić.

Ale teraz дума stała się tylko głupim, niegodnym odczuciem, a pomysł wydał mu się całkiem sensowny.

Ten budynek wznosili najlepsi cieśle na wyspie, z najlepszych materiałów. W dodatku był piętrowy, z wysoką wieżą. Zaczął szacować w myślach dystans, jaki dzielił ich od budynku, i szanse jego bezpiecznego przebycia.

Tymczasem woda wlewała się już do wewnątrz przez wszystkie szpary. Lucien czuł, jak dosięga mu kolan i z wolna, nieubłaganie pełźnie wyżej, do pasa, a potem do piersi. Lęk zaczął ustępować przed zgrozą, a zgroza zamieniła się w panikę. Chryste Panie! Czy ma zginąć tutaj, nie oplakany przez nikogo, bo ci, którzy zapłakaliby nad nim, zginą również? Czy ma umrzeć wśród prostych rybaków, nie zostawiwszy syna, któremu przekazałby dziedzictwo?

Woda sięgnęła mu piersi. Nie miał wyjścia, musiał wejść na schody za innymi mężczyznami.

Dom pojękiwał bez przerwy, a pomiędzy deskami ścian zaczęły otwierać się szpary. Jeśli wiatr się zwiększy, jeśli sztorm ciśnie na nich kolejne fale, budynek runie, posyłając ich wszystkich w ostatnią drogę.

Dotarł na strych. Marcelite przyłgnęła do niego z desperacją. Kobiety zawodziły wraz z wiatrem, a dzieci krzyczały i płakały. Lucien tulił Marcelite, tulił Angelle; nawet Raphael przysunął się bliżej, spragniony otuchy. Chłopiec usiłował być dzielny, ale dolna warga mu drżała.

– Czy Juan jest bezpieczny? – zapytał. – Tam w łodzi, na bagnach?

Lucien nie mógł znaleźć słów, by powiedzieć, że w obliczu takiego kataklizmu wszyscy muszą umrzeć. Siedział w milczeniu, czekając z udręką na koniec.

– Woda przestała się wznosić! – zawołał nagle jeden z mężczyzn u okna.

Marcelite złożyła dłonie i zaczęła się modlić, wymawiając bezgłośnie słowa. Lucien nasłuchiwał wiatru. Czy mu się zdawało, czy naprawdę wicher tracił moc? Dom nadal chwiało się i trzeszczało, ale jakby mniej, jakby ciszej...

Posadził Angelle na kolanach matki i wstał.

Wielu ludziom zaczęła wracać nadzieja, że najgorsze jest już za nimi. Jemu też. Pochwycił spojrzenie Dupresa Jambona. Mężczyzna pokręcił głową; nie wierzył, że w tym domu będzie bezpieczny.

– Zawsze jest chwila ciszy – powiedział. – A potem, kiedy wiatr wraca, przychodzi największa fala.

Lucien w milczeniu rozważał sytuację. Już nie bał się tak panicznie, jak przed chwilą. Czyż nie przyprowadził tutaj Marcelite z dziećmi, nie bacząc na huragan i ulewę? Czy nie zachował swojej łódki?

Żył, ponieważ kierował się własnym rozumem i miał odwagę podejmować wyzwania. Nadal powinien to robić. Usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wie o huraganach. Tak, po okresie ciszy wiatr wraca, zmieniając kierunek. Cisza może być krótsza lub dłuższa, ale kiedy nadejdzie, trzeba ją wykorzystać, trzeba spróbować odpłynąć w pewniejsze miejsce.

Marcelite i dzieci śledziły go z kącika, jakby wiedziały, że ich losy zależą od jego decyzji. Sam miał w sobie dość siły, by dotrzeć do bezpiecznego schronienia, nawet gdyby wiatr wrócił zbyt szybko.

Ale gdyby go zabrakło, Marcelite z dziećmi nie przeżyłaby, zdana na łaskę żywiołu.

Jeśli zaś tu zostaną wszyscy, także mogą nie przeżyć.

W duchu przeklinał Boga za to, że Ten nie odpowiada mu, co robić.

– Co się stało? – zapytała Marcelite, gdy do nich podszedł. Musiała wy-czuć jego rozterkę. – Zginjemy?

Nie odpowiedział. Nie miał siły jej pocieszać.

– Chcesz iść ze mną?

– A myślałeś, że nas tu zostawisz?

Ta odpowiedź zaskoczyła go. Zmarszczył brwi.

Sztorm zajął mu myśli, spychając wszystko inne w niepamięć, jednak ona miała czas, by pomyśleć o tamtych sprawach.

– Musisz sama zdecydować.

– Ja już przesłam przez piekło. – Popatrzyła mu w oczy jak ktoś, kto nie ma już nic do ukrycia. – Czy ten huragan może być gorszy?

Lucien nie rozumiał, jak mógł kiedyś uważać ją za prostą kobietę, która potrzebuje jego miłości i wsparcia.

Rozejrzał się szybko. Nikt już nie miał wątpliwości, że wiatr cichnie, a woda opada. Natura dawała im chwilę wytchnienia przed nowym koszmarem.

Kiedy porywy osiągnęły siłę zwykłego sztormu, wypełził przez okienko poddasza na uginający się pod jego ciężarem dach werandy i wyrzwał przez krawędź. Łódka kołysała się w pewnej odległości od domu. Będzie musiał zsunąć się do wody i doprowadzić ją blisko, by Marcelite z dziećmi mogła-bezpiecznie wsiąść.

Dupres i trzech innych mężczyzn też już poszli po swój lugier, który zo-stawili nieopodal. Lucien rozglądał się za nimi, lecz widoczność wciąż była bardzo słaba. Dzwon ani na chwilę nie przestał bić, nie dźwięczał już jednak żalobnie, tylko zwoływał ku ocaleniu. A może Lucienowi się tylko zdawało?

Czekał jeszcze chwilę, aby woda się uspokoiła, a potem zsunął się z dachu i zanurzył w zimne fale.

W kilku szybkich ruchach zdołał dotrzeć do łodzi i uchwycić się burty. Spojrzał w górę, w stronę niebios, jakby szukał potwierdzenia i natchnienia.

Na niebie ukazał się duży złoty księżyc, który co chwila przesłaniały ciem-ne strzępy chmur. Lucien usłyszał okrzyk, a w chwilę potem z mroku wyłonił się wielki kształt. To Dupres i inni ciągnęli lugier w kierunku domu.

Kiedy obie łodzie solidnie zacumowano przy balustradzie, mężczyźni wgramolili się do domu przez okno. Tam, po krótkich wyjaśnieniach, zebrali

swoje rodziny i najcenniejszy dobytek. Lucien znalazł siekierę i schował ją pod koszulę. Przyda się, gdy będzie trzeba torować drogę.

Dupres podszedł do niego i powiedział:

- Na moim lgrze znajdzie się miejsce dla wszystkich.
- Na mniejszej łódce mam chyba większe szanse.

Obaj mężczyźni zyczyli sobie szczęścia, po czym zabrali się do ewakuacji kobiet i dzieci.

Marcelite zeszła ze strychu jako ostatnia. Prowadziła Raphaela, a jeden z mężczyzn niósł Angellę.

Lucien wyciągnął ramiona po córkę, a potem powiódł całą trójkę do łódki. Raphael wskoczył pierwszy, za nim usadowiła się matka. Lucien pocałował małą główkę córeczki, podał ją Marcelite i wreszcie sam zeskoczył na chybliwy pokład.

– Trzymajcie się mocno! – krzyknął, sięgając po cumę. Zawahał się, zanim szarpnął węzeł, ale było już za późno na odwrót. Wiatr co prawda przycichł, lecz ustępująca woda wirowała złowrogo wokół pali, czyhając na nowe ofiary.

Z tyłu słyszał pokrzykiwania mężczyzn. Obejrzał się i zobaczył, że lugier również odpływa. Niżsi płynęli, ciągnąc za sobą cumy, a wysoki Dupres brnął przez opadającą wodę, nadając statkowi kierunek.

Zachęcony ich przykładem, Lucien odcumował.

Zanim zdążył zanurzyć wiosła, woda już porwała łódkę, niosąc ją w stronę zatoki. Z początku, choć wiosłował jak szalony, miał koszmarne wrażenie, że cofa się, zamiast płynąć w stronę kościoła. W końcu dostrzegł, że wprawdzie wolno i z mozołem, ale jednak posuwa się naprzód – tam, skąd woła go dzwon. Uspokojony, wyrównał rytm i mocno napierał na wiosła, zagarniając wodę silnymi pociągnięciami.

Krajobraz, który mijali, mógłby być ilustracją piekła. Obok burt przepływały trupy ludzi i zwierząt.

Raz wydawało mu się, że widzi błagalnie wzniesioną rękę, wynurzającą się z toni, ale odległość była zbyt wielka, by ruszyć na pomoc. Grozy dopełniał chór krzyków i jęków, rozlegających się z drzew, z dryfujących dachów zerwanych z okolicznych domów, oraz z okien tych budynków, które jakimś cudem ocalały. Lucien zamknął oczy, by nie widzieć tego horroru, i dalej wiosłował niczym galernik.

Im bardziej oddalali się od zatoki, tym słabszy prąd ściągał ich z powrotem. W pewnej chwili Lucien uderzył o coś wiosłem. Miał nadzieję, że to już twardy grunt, jednak następnym razem zagarnął znowu wodę. Kiedy zaczął się obawiać, że opadnie z sił, wiosła kolejny raz zaszurały o dno. Zatrzymał łódkę. Wysiadł i stanął w wodzie. Siegała mu do piersi, ale grunt pod nogami był pewny.

Coraz bliższe i wyraźniejsze bicie dzwonu teraz jakby spowolniało. Marcelite krzyknęła ostrzegawczo.

W ostatniej chwili przyciągnął do siebie łódź, unikając rozbicia o ścianę dryfującego domu. Zaraz potem obok nich przepłynęła inna łódka, zanurzona aż po burty pod ciężarem ludzi; rozbitkowie krzyczeli coś rozpaczliwie, lecz w chórze głosów nie rozumiał ani słowa. Zdaje się, że oni również zmiierzali w stronę bezpiecznego schronienia.

Po chwili wiatr ucichł całkowicie. To była właśnie owa chwila ciszy, o której mówił Dupres.

Powierzchnia wody wygładziła się, a złocisty blask księżycy, który przebił się spoza chmur, łagodził grozę apokaliptycznego krajobrazu. Sztorm zdawał się teraz koszmarnym snem, który nagle się urwał. Lucien brnął w tej ciszy przez wodę, ciągnąc łódź i rozglądając się pilnie wokół siebie. Półwysp zamienił się w wodną pustynię; wszystkie znaki orientacyjne, jakie znał, zniknęły. Nie było też słycać już dzwonu, którego dźwięk ucichł nagle i przestał wskazywać drogę. Czyżby i kościół padł pod naporem rwącego prądu? Lucien znów ogarnęła panika. Gdzie dzwon? Dlaczego nie bije? Jeśli ten przewodnik go nie poprowadzi, może pomylić drogę i zboczyć na bagna.

Stanął i ciężko dysząc, rozejrzał się bezradnie.

– Co się stało, Lucien?

Brakowało mu tchu, by wykrztusić odpowiedź.

– Trzeba iść do przodu, Lucien!

Usłyszał przerażenie w jej głosie. Teraz była całkowicie zdana na jego łaskę. To dodawało mu poczucia siły. Nie odpowiedział od razu; jeszcze łąpał oddech.

– Nie wiem, dokąd mam iść – wykrztusił wreszcie.

– Ja cię poprowadzę. Tylko proszę, idź!

– Jak poprowadzisz? Widzisz coś więcej niż ja?

– Jesteśmy już niedaleko. Słyszysz dzwon?

Donośny metaliczny dźwięk rozbrzmiał znowu, znacznie bliżej niż poprzednio. Ożyła nadzieja.

Lucien mocniej ścisnął linę, przeciągniętą przez ramię. Zanim ruszył, obejrzał się do tyłu na Marcelite...

I zobaczył najstraszniejszy widok w swoim życiu.

Czarne chmury, kłębiące się na zachodzie, utworzyły ciemny, złowrogi kłęb, rozświetlany zygzakami błyskawic. Spokój ciszy rozerwał grzmot, jeszcze daleki, ale toczący się coraz bliżej. Wiatr się zbudził i wiał ze wzrastającą siłą, zaś chmury skradały się nieubłaganie, jak ubrane w czarne płaszcze odziały zagłady. Dzwon znów się rozkołysał i bił teraz coraz głośniejszym i szybciej, jakby chciał pośpieszyć zdążających pod kościelny dach rozbitków.

Lucien odwrócił się i nateżając wszystkie siły, ruszył naprzód. Jedną ręką trzymał linę, która wrzynała mu się w ramię, a drugą odpychał przeszkody, zagradzające drogę. Nie potrafił ocenić, jak daleko jest od kościoła, ale wiedział, że ma coraz mniej czasu.

Zaczął padać deszcz, zrazu drobny, potem ulewny.

Błyskawice rozdierały niebo tak często, że zrobiło się jasno jak w dzień. Rozpaczliwe ryki ocalałych zwierząt, które czuły śmierć, mieszały się z narastającym wyciem wichru. Lucien parł tępo naprzód, nieświadomy niczego poza biciem dzwonu, które wzywało go, by szedł i nie ustawał.

Marcelite krzyknęła, że widzi latarnię w kościelnym prezbiterium. Stęknął i przyspieszył kroku.

Deptał teraz po resztkach czyjegoś zwanego domu.

Za nimi kotłowało się piekło – lecz jeszcze ich nie dopadło.

Nagle zorientował się, że łódź zaczepiła o jakąś przeszkodę. Szarpnął gwałtownie cumę, ale w tym momencie prąd pchnął łódkę w stronę ruin i lina naprężyła się niebezpiecznie. Pociągnął ją. Nie puszczała.

– Daj siekierę! – wrzasnął, podchodząc do burty.

– Szybko, na Boga!

W świetle błyskawic wyraźnie widział twarz Marcelite. Śmiertelnie przerażona, tuliła do siebie przeraźliwie płaczącą Angelle. Tylko Raphael zachował zdolność działania. Popęłnął po dnie łódki i podał Lucienowi siekierę.

Za plecami chłopca zobaczył, jak w oddali wiatr piętrzy falę wyższą od wszystkiego, co jeszcze znajdowało się na półwyspie. Krzyk, który usłyszał, pochodził z jego własnego gardła. Chwycił siekierę i jął rąbać gorączkowo pał, o który zapętleła się lina.

Drewno zaczęło się rozszczebiać. Jeszcze jeden cios, a łódź będzie wolna.

Znów odwrócił się w stronę nadciągającej fali i spostrzegł, że Raphael patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. Zmoczony deszczem kędziory przylgnęły mu do czoła, a tysiące kropel spływały po policzkach chłopca jak łzy. Za nim majaczyła skulona postać Marcelite.

Byli w jego mocy. Byli całkowicie skazani na jego łaskę. Jakie znaczenie miały jej groźby i szantaże, skoro była zdolna przeżyć z dziećmi tylko dzięki niemu?

Ale kiedy sztorm minie, Marcelite zapomni o tej chwili...

Wzniósł topór i opuścił go z całej siły. Cios nie trafił w pień. Przeciął linę i łódka zakotłowała się na wodzie, uwolniona nagle z uwięzi. Zaraz potem obróciła się wokół własnej osi i odpłynęła błyskawicznie, unoszona przez bystry nurt. Jeszcze chwila i znikła mu z oczu.

Usłyszał krzyk, lecz nie wiedział, czyje wydało go gardło. Zapewne jego własne. Po chwili nie widział już nic.

Z opuszczoną głową odwrócił się ku światłu, wzywającemu go z wieży kościoła. Na wpół płynąc, na wpół brodząc, doznał tam samotnie i wszedł po schodach na piętro.

Dzwon wciąż dźwięczał mu nad głową, gdy płaczący ojciec Grimaud powitał go i chwycił w objęcia. Dzwon, którego złowrogi głos potężniał w jego głowie, zagłuszał krzyki umierających i wycie wichury. Dzwon, który zagłuszał jego własny krzyk.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Phillip wrócił od Aurore Gerritsen, w salonie u Belindy siedziało osiem małych dziewczynek.

Rozpoznał Amy i jej siostrzyczkę, ale pozostałe widział po raz pierwszy. Każda miała przed sobą rozłożoną gazetę, a na niej kulę rudawej, rzeźbiarskiej gliny. Belinda stała w drugim końcu wąskiego pokoju, ubrana w długą, powiewną, błękitno zieloną szatę. Stroju dopełniał zielony turban na głowie.

Powitała Phillipa czujnym uśmiechem i z powrotem skupiła się na swoich zajęciach. Musiała przed chwilą zacząć wykład.

– Niewiele wiemy o plemieniu Nok, gdyż biali ludzie nie interesowali się zbyt historyą Afryki.

W każdym razie, zanim Rzymianie i Żydzi zaczęli się spierać o Jezusa i jego nauki, lud Nok już od pięciuset lat tworzył figury z terakoty. Był to ten sam rodzaj gliny, jaki macie w tej chwili przed sobą.

– A kiedy będziemy lepić? – zapytała niecierpliwie jedna z dziewczynek.

– Kiedy przypomniecie sobie zasady dobrego wychowania i posłuchacie mnie najpierw przez chwilę. Zanim zaczniemy, chciałabym, żeby jedna z was podeszła do mapy i pokazała mi Nigerię.

– Belinda sięgnęła za siebie, wyciągnęła mapę Afryki i rozwinęła ją przed oczami dzieci. Żadne się nie poruszyło. – Nikt nie wie?

Amy podniosła rękę i na skinienie Belindy podeszła do mapy. Marszcząc brwi, pokazała palcem środek kontynentu.

– Amy dobrze kombinuje – pochwaliła ją z uśmiechem Belinda. – Prawie jej się udało. Dzięki, Amy. Jesteś z siebie dumna?

– Jestem dumna – odparła Amy.

– Bardzo się cieszę. A teraz usiądź.

Phillip z zainteresowaniem wizytował lekcję do końca. Dziewczynki wierciły się i szeptały, widać jednak było, że Belinda potrafi skupić ich uwagę.

Tego popołudnia były częścią pradowej i potężnej kultury, a Belinda, jej kapłanka, stała się dla nich wzorem do naśladowania.

– Jak myślicie, co jedli ci ludzie? – zapytała pod koniec wykładu.

– Żyrafy? – zapytała nieśmiało siostrzyczka Amy.

– Och... to byłoby za długie i za wysokie danie, nie uważacie? – Belinda wyraźnie ucieszyła się z pytania. – Tak naprawdę naukowcy uważają, że ludzie Nok lubili to samo, co wy, czyli fasolę, kukurydzę i słodkie bulwy. I tak samo jak w Nowym Orleanie, doprawiali je ostrą papryką. Praktycznie większość waszych ulubionych potraw pochodzi z Afryki. Przywieźli je stamtąd niewolnicy, a biali panowie z czasem w nich zasmakowali. Kiedy w poniedziałek na kolację jecie czerwoną fasolę z ryżem, pamiętajcie, że to samo przed wiekami jedli wasi przodkowie z plemienia Nok! To jest prawdziwe afrykańskie jadło.

– Będziemy pamiętać! – krzyknęły chórem, bardzo przejęte.

– W takim razie zacznijmy rzeźbić, tak jak robili to nasi przodkowie – zaczęła Belinda. – Archeolodzy, to znaczy ludzie, którzy badają starożytne cywilizacje, znaleźli w Afryce rzeźby. O, takie wysokie... – Pokazała odległość pomiędzy rozpostartym kciukiem a palcem wskazującym. – Ale znajdowali również posążki wielkości prawdziwych ludzi. Ich rzeźby zawsze miały dwie cechy, po których można było je rozpoznać – puste oczy i przekłute uszy. Nie wiemy, dlaczego. Pokażę wam zdjęcia. Przypatrzcie się im dobrze, a potem spróbujcie same ulepić podobne figurki. Dacie radę?

– Jasne, że tak! – rozległ się zgodny chór.

– No to bierzcie się do roboty. Jeśli trzeba, pomogę wam, Phillip również. Znacie Phillipa, prawda?

Pierwszą reakcją Phillipa było wycofanie się w stronę drzwi. Niezbyt przeпадаł za dziećmi. Miał raczej mało doświadczeń z osobnikami poniżej lat dziesięciu i wcale nie pożałował więcej. Ale kiedy tu wchodził, myślał o dzieciach. O małej Angelle i Raphaelu.

W godzinę później miał już glinę pod paznokciami i na koszuli, a mała dziewczynka w za długiej sukience po starszej siostrze ufnie siedziała mu na kolanach. Od pół godziny usiłował namówić ją, by zeszła, była jednak tak samo niezłomna i uparta, jak kobieta, która prowadziła zajęcia.

Kiedy Belinda ogłosiła koniec zajęć, gwarny pokój błyskawicznie opustoszał. Zostało jedynie osiem małych figurek, zdobiących parapet.

Belinda oparła ręce na biodrach i popatrzyła zuchwale na Phillipa.

– No, wykrztuś to wreszcie.

– Co?

– Cokolwiek sobie myślisz.

Nawet nie wiedział, o czym myśli. Nie miał pojęcia, że Belinda prowadzi zajęcia pozaszkolne.

Nie mówiła mu o tym ani nie pytała o zdanie. Nawet go nie uprzedzała. Nie mówiła też, co jest ich treścią.

Zmrużył oczy. Popatrzył na nią z namysłem.

Czarna kobieta stała przed nim z podniesioną głową, dumna i piękna. Pragnął jej. Kiedyś wysłano go do Afryki, gdzie przeprowadzał wywiady z afrykańskimi przywódcami, przyglądał się rozgrywkom plemiennym, jadał prostą strawę z drewnianych misek w małych wioskach i wykwintne dania ze srebrnych talerzy w dużych miastach; i pożył czarnoskórych piękności, jakich nie spotkał nigdzie w świecie. Ale nigdy nie odczuwał wobec nich tego, co teraz czuł, patrząc na Belinę.

– Dlaczego się na to zdecydowałaś? – zapytał.

– I tak byś nie zrozumiał.

– Spróbuj, może jednak zrozumiesz.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, co to znaczy dla tych dzieciaków. Uczyłeś się w szkole z internatem w Szwajcarii, a potem skończyłeś Yale. Piszesz o prawach człowieka i obywatela, więc czasami zdarza się, że ktoś zamknie ci drzwi przed nosem.

Ale tak naprawdę nie wiesz, jak to jest, kiedy wyrastasz w miejscu, w którym nikt nie chce cię docenić, choćbyś był najlepszy. Nie chce cię docenić tylko dlatego, że...

– Że jesteś Murzynką.

– Że mam czarną skórę.

– Masz mi za złe, bo moje życie jest inne?

Westchnęła, a wraz z westchnieniem wyparowała z niej część buntowniczego napięcia.

– Nie mam ci za złe. Nie chcę tylko, żebyś się ze mnie śmiał i lekcewał to, co tutaj robisz. Czarne dzieciaki mają prawo wiedzieć, kim są, tak samo jak białe. Dopóki nie mają przeszłości, nie będą miały przyszłości.

Phillip postąpił krok ku Belindzie. Materiał jej sukni był miękki i chłodny jak jedwab. Przebiegł po nim palcami, wyczuwając pod nim jędrne ciało.

– Trzeba ich uczyć historii Afryki w szkole – powiedział. – Nie powinnaś tego robić w domu, po amatorsku. Ale podoba mi się, że masz mądre pomysły.

Belinda z przejęciem pokręciła głową.

– Myślisz, że rada szkoły będzie wogóle chciała słuchać moich sugestii? Miałam próbkę w zeszłym tygodniu, kiedy zrugali mnie, że puszczałam dzieciom jazz w czasie przerwy.

– Belindo, wiem, że jesteś z tych, którzy chcieliby zmieniać świat. Nie rozumiesz, że nie wszyscy tego pragną? Zwłaszcza ci, którzy podejmują decyzje?

– Więc nie uważasz, że to co robię, jest głupie?

Ta prawie trzydziestoletnia, niezależna kobieta wyglądała w tej chwili jak wrażliwe dziecko, czekające na pochwałę. Phillip dopiero teraz zrozumiał, ile znaczy dla Belindy jego akceptacja.

– Absolutnie nie – powiedział miękko, ujmując w dłonie jej twarz i całując ją delikatnie.

Piękno afrykańskiej sukni zachwyciło go jeszcze bardziej, gdy okazało się, że wystarczy kilka ruchów, by opadła jak płat wielkiego kwiatu. Z jego ubraniem nie poszło tak łatwo, ale poradzili sobie wspólnym wysiłkiem. Belinda nie należała do kobiet, które oczekują, że rycerz ich serca porwie je w ramiona i poniesie do łóżnicy. Sama zaprowadziła tam Phillipa.

Przeważnie kochali się niecierpliwie i pożądliwie, ale dzisiaj niespiesznie poznawali na nowo swoje kształty. Z wolna, lecz nieubłaganie zmierzali do granicy, kiedy to przyspiesza czas i serce, poganiając zmysły aż do szaleńczej gorączki spełnienia.

Kiedy było już po wszystkim, Phillip tulił do siebie Belindę i myślał o nasieniu, które w niej pozostawił. Wiedział, że nie padło na żyzny grunt, bowiem Belinda zabezpieczyła się przed niepożądaną ciążą. Powtórzył to słowo w myślach – niepożądaną...

Dlaczego niepożądaną? A gdyby tak został ojcem? Czyby się tym zmartwił?

– Jesteś dziwnie cichy – zauważyła.

Przygarnął ją ciaśniej. W domu było ciepło, ale nie chciał stracić tego jedynego w swoim rodzaju ciepła, jakie daje fizyczna bliskość.

– Chciałabyś mieć własne dzieci? – zapytał.

– Tak dobrze radzisz sobie z cudzymi...

– Owszem, ale nie muszę ich wychowywać.

– Pewnie dużo o tym wiesz.

Pochodziła z biednej, wielodzietnej rodziny i w ciężkim trudzie wywalczyła sobie wykształcenie i niezależność. Wiedział, że wszystko, o czym mówi, zna z własnego doświadczenia.

– Gdy patrzę na nie, myślę sobie często, że sama bym się nie zdecydowała – westchnęła.

– Jak można wydać na świat dziecko, o którym z góry wiadomo, że będzie obywatelem drugiej kategorii?

– Twoje dziecko należałoby do pierwszej.

Uśmiechnęła się.

– A ty? Chciałbyś mieć dzieci?

– Przy moim trybie życia?

Nie drażyła więcej tego tematu. Nigdy zresztą nie zmuszała Phillipa do ostatecznych deklaracji.

Leżała po prostu u jego boku, wyciszona i odprężona, grzejąc oddechem jego nagie ramię.

Rozmowy o dzieciach sprawiły, że przypomniało mu się, co mówiła o muryńskich dziewczynkach, którym dała dzisiaj lekcję – że nie będą miały prawdziwej przyszłości, dopóki nie poznają swojej przeszłości. Tym zaś tropem jego myśli powędrowały nieuchronnie ku Aurore Gerritsen. Czy między innymi z tego powodu opowiedziała mu swoją historię?

– Ta moja dzisiejsza rozmowa przybrała dziwny kierunek – odezwał się po chwili milczenia.

– Z tą Gerritsen? Jaki?

– Nie takiej historii oczekiwałem.

Belinda odsunęła się, by móc widzieć jego twarz.

– A co to za historia?

Miał dziwną potrzebę podzielenia się z nią tym, co usłyszał, zrzucenia z serca gniotącego ciężaru.

Opisał Belindzie tragiczne dni roku 1893 prawie w ten sam sposób, w jaki zrobiła to Aurore. Zdumiewało go literackie bogactwo szczegółów tej opowieści.

Z początku sądził, że ma do czynienia z typowym przypadkiem starczej pamięci do rzeczy dawnych.

Spotkał się już z takim zjawiskiem. Ludzie, którzy nie byli w stanie zapamiętać, co jedli poprzedniego dnia na obiad, mogli się godzinami rozwodzić nad detalami sukni czy fraka, w którym wystąpili na balu sprzed pół wieku.

Jednak w miarę jak Aurore kontynuowała swą opowieść, zrozumiał, że szczegóły – również odnoszące się do innych – zapamiętała na zawsze głównie dlatego, że były tak tragiczne. Przeprowadzał kiedyś wywiady z weteranami drugiej wojny światowej, którzy pamiętali każdy wystrzał, a z czasem zaczęli widzieć każde źdźbło trawy na polu bitwy i cierpienia towarzyszy.

Belinda długo nie odzywała się, kiedy skończył.

– Dlaczego? – zapytała wreszcie. – Dlaczego ona ci to wszystko opowiada?

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę?

– Mogę się tylko domyślać, że próbuje coś naprawić. Ale zupełnie nie wiem, w jakim kierunku pójdzie dalej. W każdym razie książka, kiedy już ją napiszę, posłuży jakimś jej tajemniczym celom.

– Możliwe, ale dlaczego wybrała ciebie? Zupełnie jakby nie było innych, białych dziennikarzy...

– Prawdopodobnie ma poczucie winy. Jej ojciec odciął linę, posyłając tę kobietę z dziećmi na pewną śmierć, głównie z powodu murzyńskiej krwi Raphaela.

Być może odpowiada jej dwuznaczność tej sytuacji – biała bogaczka powierza swą historię czarnemu. Już samo to mogłoby stać się pewnym zadośćuczynieniem. Może to dla niej pokuta?

– To wszystko, co ci opowiedziała?

– Dalszy ciąg jutro. – Poglądził ją po włosach.

Uwielbiał ich dotyk. Były niczym aksamit na pięknej, kształtnej głowie. – Dzięki, że zechciałaś posłuchać.

– Lubię cię słuchać, Phillipie.

Wiedział, że nigdy nie kłamie, więc wierzył jej.

Zastanowiło go, że po raz pierwszy zdradza tajniki swojej pracy kobiecie. Ale Belinda nie była zwykłą kobietą. Była wyjątkowa.

Tym razem Aurore wybrała bibliotekę. Tego dnia nie było pogody i widok z okien saloniku nie nastrojał zbyt optymistycznie. Kazała zaciągnąć zielone story i rozpalić mały ogień w kominku.

W rogu stał już stolik, gdzie Phillip mógł rozłożyć notatnik oraz magnetofon.

Gdy wyjmował i ustawiał ten ostatni, zabawiali się swobodną rozmową.

– Mam pewne pytania do twojej wczorajszej opowieści – zaczął, sadwiąc się obok niej na kanapce, dokąd zaprosiła go poufałym gestem.

– Spodziewałam się tego.

– Zacznę od sprawy oczywistej. Skąd dowiedziałas się, co zrobił twój ojciec?

– Wiesz, Phillipie... – zawahała się. – Ustanowiłam sobie pewien porządek opowiadania i wołałabym się go trzymać.

– Ale dojdiesz do tego?

– Dojdę do wszystkiego. Cierpliwości.

Skinął z uśmiechem głową i szybko przekartkował notatki.

– Dobrze, ale powinnaś mi przynajmniej powiedzieć, co działo się z tobą tamtej nocy. Czy dotarłaś do domu nonc Cleberta?

– Tak. Udało się, ale gdy sztorm się rozszalał, mama poroniła. Domek w Krantz Place, gdzie pozostał dziadek, został zniszczony i mój grand père zginął. My też byśmy zginęły, gdyby mama nie uparła się, żeby uciekać.

Phillip przez chwilę zajęty był pisaniem, wreszcie uniósł głowę i zapytał profesjonalnym tonem:

– Czy wszystko, co dotychczas opowiedziałaś, ma być zamieszczone w naszej książce? I czy ma to być materiał tylko do wiadomości twoich synów i wnuków? Czy mogę wykorzystać szczegółły do zaznaczenia tła i klimatu?

– Masz spisać wszystko, co powiedziałam, słowo po słowie, bez selekcji. Potem zobaczysz, dlaczego.

– W porządku. – Zaszleścił notatkami, a potem znów spojrzał na Aurore.

– Zdaje się, że nie jest ważne, czy cię wypytuje, i o co. W twoim opowiadaniu na wszystko będzie czas i pora.

– Poznajesz mnie coraz lepiej.

– Czy w takim razie możemy kontynuować?

Wolałaby, żeby porzucił tę zawodową oficjalność i zadał jej więcej pytań, odwołujących dalszy ciąg tej historii. Źle spała w nocy; opowiadanie o minionych wydarzeniach wyraźnie ją wzburzyło.

Obawiała się, że już nigdy nie zaśnie spokojnie.

– Myślę, że następny rozdział powinien się zacząć w dwanaście lat później. Zaprzyjaźniłam się z Ti'Boo, więc kiedy miała brać ślub, pojechałam do Bayou Lafourche...

Aurore przymknęła oczy, aby wyobraźnia mogła przywołać obraz gęstych cieni rzucanych przez drzewa, falujących połaci traw i ptaków majestatycznie szybujących nad plantacjami trzciny cukrowej.

Znów poczuła słodki aż do mdłości zapach gotowanej melasy, rozchodzący się pod koniec żniw; znów słyszała nawoływania pracowników z plantacji i młynów. Tamten klimat pozostał prawie niezmienny od czasów wojny secesyjnej.

Najchętniej cofnęłaby się z powrotem w tamte chwile, by tak jak wtedy mieć jeszcze całe życie przed sobą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tak się dziwnie złożyło, że dziedziczka jednej z największych nowoorleańskich linii parowcowych płynęła do krainy bagien na zdezelowanym caboteur, parowym kutrze wędrownego handlarza. Jeszcze dziwniejszy był sposób, w jaki opłaciła podróż.

Brosza, która spoczęła w kieszeni kapitańskiej marynarki, należała do ciotki Aurore, Lydii. Ciotka Lydia była tak podobna do jej ojca, że jakiegokolwiek kobiece ozdoby jedynie podkreślały męski zarys szczęki i lekki wąsik. Śmierć dopadła ją przed dwoma laty, w czasie przechodzenia przez ruchliwą ulicę Vieux Carré w Nowym Orleanie. Cóż, bywa, że sztywny kark i spojrzenie

skierowane wyłącznie do przodu nie ułatwiają życia, zwłaszcza gdy błyskawicznie zbliża się nowy, elektryczny tramwaj.

Aurore wyprzedawała biżuterię ciotki niemal od dnia, w którym ją odziedziczyła. Lucien dbał wprawdzie o potrzeby dziewczyny – miała więcej sukienek, niż mogło się pomieścić w przepastnych szafach i więcej kapeluszy niż dni w miesiącu. Nie miała natomiast własnych pieniędzy. Zdaniem ojca pannie z dobrego domu nie była potrzebna gotówka.

Mała kreolska lady winna prosić, o to co jej potrzebne – oczywiście ładnie prosić – a dostanie wszystko, czego dusza zapagnie.

Lucien nie domyślał się, jak silne stanie się u jego córki ukryte pragnienie pieniędzy. Nie podejrzewał kobiet o podobne namiętności. Ponieważ zaś Aurore nie miała odwagi jawnie poruszyć tej kwestii, wybrała sposób potajemnego sprzedawania wszystkiego, czego braku ojciec nie powinien spostrzec, albo – jak w przypadku kapitana rzecznego parowca – płacenia za usługi co cenniejszymi przedmiotami.

Broszka wydawała się niewygórowaną opłatą za podróż do Bayou Lafourche i z powrotem. Zadowolona z siebie, stała teraz oparta o poręcz, wpatrując się w malownicze brzegi i rozmyślając o czekającej ją wizycie. Wizycie u swej najlepszej przyjaciółki, która miała właśnie zakończyć paniński żywot.

Ti'Boo długo czekała na zamążpójście. W wieku dwudziestu czterech lat zaczęła już się uważać za starą pannę, une vieille fille. W bardziej odpowiednim wieku lat osiemnastu miała wprawdzie starającego się o rękę konkurenta, ale chłopak był tłusty i miał leniwą naturę, natomiast Ti'Boo po wielu latach służby nie miała ochoty na kolejną harówkę.

Potem propozycje się skończyły, matka Ti'Boo ciężko zachorowała, a opieka nad nią spadła na dziewczynę.

Z czasem matka wydobrzała, a siostry Ti'Boo podrosły i usamodzielnily się. Wówczas na horyzoncie pojawił się niejaki Jules Gilbeau, wdowiec z dwoma małymi synami i ziemią, której wystarczyło na niewielką plantację trzciny cukrowej czy bawełny. Pomimo dziesięciu lat różnicy wieku Ti'Boo powiedziała „tak”, kiedy poprosił ją o rękę.

Aurore wiedziała to wszystko z listów od przyjaciółki.

Ostatni raz widziała Ti'Boo, kiedy ona miała lat jedenaście, a Ti'Boo – siedemnaście. Spotkały się potajemnie, gdy Ti'Boo na jeden dzień przyjechała do miasta, Lucien załatwił w tym samym czasie swoje interesy gdzieś w Europie, a ciotka Lydia, która przed paru laty wprowadziła się do domu na Esplanade, aby zajmować się dziewczynką, wyszła na cały dzień.

Gdyby któreś z dwójki opiekunów było obecne, Aurore nie ośmieliłaby się nalegać na widzenie z przyjaciółką. Akadyjska*⁵ dziewczyna kojarzyła się jej ojcu wyłącznie z tamtym fatalnym latem, o którym na próżno usiłował zapomnieć. Ti'Boo nie pojawiła się więcej w Nowym Orleanie, choć wytrwale korespondowała z Aurore.

Pierwsze listy były grzeczne i wygładzone; później, kiedy znajomość przedziła się w zażyłość, stały się emocjonalne, pełne zwierzeń i sekretów. I tak przez lata niania i jej podopieczna zostały prawdziwymi przyjaciółkami.

Lucien nie orientował się zbyt dobrze, jaki charakter ma ta korespondencja, ale popierał pisanie listów, twierdząc, że panienka z dobrego domu winna ćwiczyć właściwy styl. Kiedy jednak po latach pisania Aurore poprosiła ojca, by pozwolił jej wyjechać na ślub przyjaciółki, Lucien był szczerze zdumiony.

– Ślub na moczarach? – skrzywił się, wstając z ulubionego fotela i sięgając do kieszonki po zegarek. – Nie wystarczy, jeśli wyślesz Térése jakiś drobny prezent?

– Chciałabym tam być, tato – upierała się Aurore grzecznie, lecz nieustępliwie.

– Ale dlaczego?

Odpowiedź miała już dawno przemyślaną.

– Myślę, że zmiana miejsca dobrze mi zrobi. Zieleni, powietrze i słońce wzmocnią mnie przed dalszą rundą balów.

– Są inne miejsca, gdzie można zażywać świeżego powietrza.

– Ale tylko tam naprawdę odetchnę od tutejszych spraw. Cleo będzie mi towarzyszyć w czasie rejsu, a na miejscu będę z pewnością dobrze pilnowana.

Rodzina Ti'Boo jest bardzo tradycyjna – Aurore pozwoliła sobie na uśmiech – Akadyjczycy pilnują swych córek nie gorzej, niż ty pilnujesz swojej.

– Czyżbyś uważała, że moja troska o ciebie jest śmieszna?

Ojciec nie miał za grosz poczucia humoru, ale nie zamierzała złośliwie dawać mu tego do zrozumienia, choć sam często ją upokarzał. Wiązały ją z Lucieniem silne uczucia, przeważnie nieodwzajemniane, czego nie mogła pojąć.

⁵ *Akadyjczycy – pierwotnie osadnicy z kanadyjskiego rejonu Accadii (Arkadii), o który rywalizowały Anglia i Francja. W II poł. XVIII wieku Anglicy przejęli kolonię i wygnali jej mieszkańców. Francuskojęzyczni wygnańcy osiedlili się między innymi w Luizjanie, na mokradłach bayou. Kreole nazywali ich cayoons albo cajuns. Wówczas utrwalił się stereotyp kajunów jako prostaków i odmieńców, mówiących dziwną mieszaniną języków europejskich i miejscowych narzeczy (przyp.tłum.).

– Chciałam cię tylko zapewnić, że będę tam bezpieczna – Aurore przeszła na ugrzeczniejszy ton dobrej córeczki. – A kiedy wrócę, na pewno będę miała mnóstwo fajnych historii do opowiedzenia.

Niestety, przynęta „fajnych historii” okazała się dla Luciena zbyt słaba. Dla niego Akadyjczycy byli prostytutkami zasiedzającymi na malarycznych, pełnych krokodyli bagnach. Kiedy córka wytknęła mu, że przez całe dzieciństwo wyjeżdżała na wakacje dla zdrowia właśnie w te malaryczne okolice, zacisnęła tylko usta jak ciotka Lydia. Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy.

I tak Aurore wybrała się w podróż wbrew jego woli. Lucien załatwiał jakieś sprawy w Nowym Jorku i w Minnesocie, a Cleo, najnowszy nabytek z całego szeregu gosposi, okazała się podatna na przekupstwo. Aurore zaplanowała wszystko tak, by wrócić przed ojcem. Gdyby coś stało temu na przeszkodzie, gotowa była ponieść konsekwencje.

Niewiele było rzeczy, których pragnęła, a które ojciec mógłby jej za karę odebrać. Rzadko zasługiwała na jego uwagę, a nigdy – na miłość. Jak więc mógłby jej zabrać to, czego nie dał?

– Mademoiselle Le Danois?

Drgnęła na dźwięk głosu kapitana. Nowy Orlean wchodził w dwudziesty wiek i obyczaje zmieniały się szybko. Angielski stał się językiem handlu i interesów, wypierając francuski. Aurore przyzwyczała się już do mówienia po angielsku, jednak ludzie z bayou, tacy jak kapitan, nie zdążyli się jeszcze przestawić.

– Już dopływamy? – zapytała po francusku.

– Bylibyśmy szybciej, ale za każdym razem kiedy tu płynę, hiacynty rosną coraz gęściej i hamują łopaty kół. Niedługo sprzedam statek i zacznę jeździć po bayou na mule przez te cholerne kwiaty! Ohyda!

– Jak coś tak miłego, jak pływanie statkiem, może być ohydne?

– Może być nawet tragiczne, czego doświadczył pani ojciec.

Aurore odwróciła się ku wodzie. Brzegi wąskiego szlaku wodnego tonęły w powodzi lawendowych kwiatów. Przywiezione tutaj ze Wschodu, zadomowiły się w Luizjanie na dobre, ciesząc oko gości, którzy nie przypuszczali nawet, że mogą być szkodliwe.

– Znał pan mojego ojca, kapitanie Barker?

– Słyszałem o nim.

– Mam nadzieję, że będzie miał pan go okazję poznać.

– Tak? A co będzie, jeśli się dowie, że pomagałem jego córce w ucieczce?

– Ja nie uciekam. A przynajmniej nie na długo.

– Całe szczęście. Odczułbym jeszcze większą ulgę, gdybym wiedział, że nie chodzi o mężczyznę.

Aurore jęknęła w duchu. Boże, czy wszyscy faceci muszą być tak próżni? Czy według nich kobieta może uciekać od jednego tylko w ramiona innego?

- Jadę na ślub przyjaciółki.
- To najdalsza część bayou, gdzie diabeł mówi dobranoc.
- I całe szczęście.
- Widzę, że panienki nie przeraża prymityw.
- Doprawdy, szkoda, że nie zna pan mojego ojca

– stwierdziła sucho. – Dobrze by się wam rozmawiało. Wsiadła na ten mały parowiec wczoraj o świcie, z pomostu u wylotu Saint Louis Street. Spływ po Missisipi był jej znany, ale gdy wypłynęli z kanału, zaczęły się tereny bayou i dopiero wówczas podróż stała się ciekawa. Przez cały dzień mogła podziwiać wspaniałe domy kolonialne.*⁶ Niektóre podupadły po wojnie Północy z Południem, bądź na skutek zubożenia właścicieli, były jednak takie, które królowały nad plantacjami, jak gdyby czasy białych ubranych plantatorów i ich córeczek w krynolinach nigdy nie miały przeminąć.

Pomiędzy rezydencjami stały skupiska skromniejszych siedzib i te najbardziej interesowały Aurore, gdyż podobne opisywała w listach Ti'Boo.

Miała aż nadto czasu, by je obejrzyć, bowiem handlujący kapitan dobijał do każdej większej osady.

Z tego samego powodu musiała spędzić noc na statku, w ciasnej kabinie, dzielonej z naburmuszoną kapitańską małżonką.

Domy w osadach stały niemal ściana w ścianę i zdawały się być nawlezione niczym perły na wąski brzeg mokradeł. Krowy i muły pasły się, uwiązane na trawiastych groblach, a dzieci pluskały się w wodzie w cieniu nielicznych, pochylonych nad nią drzew. Tak właśnie wyglądały osady Akadyjczyków, prawdziwe serce Bayou Lafourche, zaś Ti'Boo mieszkała w jednej z nich.

Młóące wodę łopaty kół zwolniły. Drogę parowca przeciął prom, leniwie przeciągany na stalowej linie w poprzek kanału. Po chwili kuter przyspieszył i Aurore znów mogła podziwiać niezwykły pejzaż Luizjańskich mokradeł.

Gdy zaczęli zbliżać się do kolejnej osady, na pomost wychodzący daleko w wodę wypadła grupka ludzi, którzy zaczęli gorączkowo machać rękami w ich stronę.

- Côte Boudreaux – oznajmił kapitan. – Ma tu chyba panienka przyjaciół.
- Aurore również pomachała ludziom na nabrzeżu.

Z daleka nie rozróżniała twarzy, ale domyślała się, że postać w niebieskiej sukience, w pierwszym szeregu, to zapewne Ti'Boo. Poczowała wgardle ucisk wzruszenia. Łopaty małego parowca coraz wolniej miały wodę, aż wreszcie

⁶ *Tzw. plantation houses (ang.) – rodzaj „dworu” – dawne, piękne, przeważnie osiemnastowieczne budynki, zwykle białe, piętrowe, z kolumnadą i gankiem (przyp. tłum.).

statek siłą rozpędu dobił do pomostu i teraz z bliska mogła zobaczyć twarz przyjaciółki, ocienioną staromodnym czepek.

– Ti’Boo!

– Ro-Ro!

Aurore przeszła na burtę i czekała cierpliwie, aż załoga spuści trap. Po chwili znalazła się w ramionach dawnej piastunki.

– Jakim cudem jesteś wyższa ode mnie! – Ti’Boo odsunęła ją od siebie na odległość ramienia. – To niemożliwe!

– Teraz ja mogłabym cię niańczyć – zaśmiała się Aurore, chciwie ogarniając ją wzrokiem. Ti’Boo była rzeczywiście niższa od niej. Nie miała już młodzieńczej, pulchnej figury, tylko bardziej kształtną, kobiecą. Za to skóra pozostała tak samo gładka i rumiana, jak w dzieciństwie.

– Boże, ale jesteś teraz szykowna, trés chic – powiedziała z podziwem Ti’Boo.

Aurore włożyła na podróż najprostszą, płócienną, skromnie zdobioną sukienkę. Na głowie miała marynarski kapelusz z dużym rondem i wstążkami.

Ale jej strój nie mógł dorównać prostotą koszulowej, bawełnianej sukience kajuńskiej przyjaciółki.

– Ech, zbyt szykowna. – Zbyła swoją wyższość lekceważącym machnięciem ręki. – Nawet nie wiesz, jakie to niewygodne.

– Wszystko jedno, wyglądasz pięknie – odparła Ti’Boo, a Aurore miała przez chwilę wrażenie, że znów jest nieśmiałym dzieckiem. – Chodź, poznaj moją rodzinę. – Przyjaciółka pociągnęła ją za rękę.

– Nie wszyscy mogli przyjść, bo trzeba szykować wesele. Ja pracowałam w ogrodzie, kiedy powiedziano mi, że statek nadpływa.

Zaciekawieni krewni otoczyli Aurore zwartym kręgiem. Poznała jej ojca, Valcoura, czterech młodszych braci oraz siostrę Minette, która była wyższą i smuklejszą wersją Ti’Boo. Valcour posłał chłopców na pokład po kuferek Aurore i inne bagaże, a potem poprowadził za groblę ku pylistej drodze wiodącej przez Côte Boudreaux. Jedna strona drogi była pusta, po drugiej zaś stał szpaler domów ustawionych tak blisko siebie, że z szerokich werand sąsiadki mogły swobodnie plotkować.

Ti’Boo przystawała przed każdym gankiem, dumnie przedstawiając przyjaciółkę niezliczonym ciotkom, wujkom i znajomym. Aurore nie zawsze rozumiała, co mówiono do niej w miejscowym francuskim żargonie, ale na pewno mówiono serdecznie.

Wizyta wywołała wyraźne poruszenie. Była w końcu dziewczyną z miasta, z wyższych sfer, nowoorleańską Kreolką, która pofatygowała się do bayou na ślub przyjaciółki. I to w dodatku sama, bez opieki! O czymś takim jeszcze tu nie słyszano.

– Mój ojciec nie wie, że przyjechałam – przyznała się Ti'Boo, gdy zdążyły ręka w rękę do jej domu.

– Czy będzie zły, kiedy się dowie?

– Mam nadzieję, że się nie dowie. – Aurore ciałniej spłotła palce z palcami przyjaciółki. Były szorstkie od ciężkiej pracy w kuchni, przy praniu i w ogrodzie. – A jeśli nawet... – Wzruszyła ramionami.

– Cóż, nie ma innych dzieci i raczej nie zapowiada się, żeby miał więcej. Nie wiem, co myśli, kiedy na mnie patrzy, ale tylko ja mam w żyłach jego krew, więc mnie nie skrzywdzi.

– Nie powinnaś tak mówić o swoim tacie – westchnęła Ti'Boo.

– Tutaj wolę udawać, że nie mam ojca. Lepiej, żebym była twoją... na przykład siostrą.

– Siostrą? Och, nie, mam ich aż za dużo. Może kuzynką? Kuzynką z Nowego Orleanu!

– Dobrze! – Aurore uśmiechnęła się. – Jestem twoją najdroższą kuzyneczką. Kiedy więc, kochana kuzynko, poznam Julesa Gilbeau?

Ti'Boo odciągnęła ją na pobocze, gdyż o mało nie najechał na nich furgon, ciągnięty przez parę roboczych koni.

– Jeszcze dzisiaj. Ma do nas przyjechać.

– Czy jest przystojny? Naprawdę przystojny?

– O, jeszcze jak! Choć prawdę mówiąc, ma parę drobnych wad. Na przykład jedną nogę krótszą, przez co chodzi o lasce. Nie ma też własnych zębów, ale powiedział, że obstalował nowe w Donaldsonville i przyślą mu je przed ślubem. A włosy zapuścił tak długie, że wiąże je w kok na czubku głowy, jak jakiś Chińczyk.

– Ti'Boo!

Ti'Boo ze śmiechem ścisnęła jej dłoń.

– Sama zobaczysz, chère.

Pomimo popołudnia i chłodniejszej jesiennej pory słońce paliło szyję i plecy Aurore przez sztywny materiał sukienki. Kurz, wzniecony przez pojazd, mieszał się z dusznymi oparami z moczarów.

Ten krótki spacer zaczynał ją męczyć. Za to siostra Ti'Boo, Minette, była wyraźnie ożywiona, choć nie tylko z powodu wizyty nie znanej wcześniej „kuzynki”.

– Kto powozi tym furgonem, Ti'Boo? – zapytała ścisłym głosem, patrząc na pojazd, który zatrzymał się przy następnej posesji. Jakiś młody człowiek zeskoczył z kozła i przywiązał konie do słupka ogrodzenia, a towarzyszący mu starszy mężczyzna zszedł ostrożnie na ziemię i dołączył do niego niespiesznie. Wóz był załadowany deskami, które wyglądały, jakby wyszły prosto z tartaku.

Młody zarzucił sobie kilka z nich na ramię, starszy chwycił je z drugiej strony i obaj ruszyli ku otwartej bramie.

– To Etienne Terrebonne – odparła Ti'Boo. – I jego ojciec, Faustin. Stary ma tartak na bagnach – dodała, zwracając się w stronę Aurore – Etienne jest jego jedynym dzieckiem.

– To jest Etienne? – Minette szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. – T'es sur de ça?

– Owszem, jestem pewna. Ostatnio widziałas go, kiedy jeszcze bawiłaś się w berka na grobli. Nie interesowali cię wtedy tacy młodzieńcy.

– Naprawdę były kiedyś takie czasy? – zachichotała Minnie i zabawnie przewróciła oczami.

Aurore śmiała się razem z Ti'Boo. O ile wcześniej obawiała się, że przyjazd tutaj nie był wart ojcowskiego gniewu, teraz całkowicie zmieniła zdanie. W domu nigdy nie zaznała takiej rodzinnej, bez troskłej atmosfery. Tam, w bogatych salonach, panowała powaga i nuda, tutaj, w skromnej osadzie – radość i śmiech.

Śmiech zamarł jednak jej na ustach, kiedy zobaczyła, jak Faustin Terrebonne potknął się o kamień, a ładunek zsunął mu się z ramienia, uderzając w pień drzewa na dziedzińcu. Zaraz potem dało się słyszeć wściekle, narastające brzęczenie.

– Szerszenie! – Ti'Boo z przerażenia wstrzymała oddech. – Poruszył gniazdo szerszeni. Będzie źle...

Ti'Boo miała rację. Rozwścieczone owady wypadły z gniazda, by wyładować gniew na najbliższych ofiarach. Faustin zakrył głowę rękami, zaś Etienne chwycił ojca i zaczął odciągać na bok.

Jeden z koni stanął dęba, a drugi, chrapiąc i rzucając grzywą, zaczął walić w ziemię kopytami. Jeszcze chwila i szarpnęły furgonem, zarżały, po czym poniosły przed siebie, łamiąc z łoskotem ogrodzenie.

Wypadły na drogę i pędziły teraz wprost na gromadkę, stojącą przed domem Ti'Boo.

– Z drogi! Szybko!

Aurore natychmiast odeszła na bok, pociągając za sobą Ti'Boo, lecz Minette i dwie dziewczynki, które towarzyszyły im w drodze, znieruchomiały z przerażenia i stały wpatrzona w nadbiegające wierzchowce.

– Minette! – wrzasnęła przeraźliwie Ti'Boo. – Uciekaj!

Minette posłuchała, lecz dziewczynki wciąż stały na środku drogi jak wmurowane. Aurore nie czekała, co będzie dalej. Wskoczyła na drogę i ruszyła na ratunek zmartwiałym z przerażenia dzieciom. Za sobą słyszała krzyki, gdzieś obok chrapliwy oddech koni i dziki grzmot kopyt. Pomyślała, że za chwilę koszmarnie uderzenie wgniecie ją w ziemię, nie przestawała jednak biec i klęła tylko zbyt długą spódnicę, która plątała się jej między kostkami.

Krzyk zamienił się we wrzask. Poczwała w powietrzu ostrą, gorącą woń końskiego potu i wówczas rzuciła się ostatkiem sił ku dzieciom, zbijając je z nóg tak mocno, że potoczyły się wraz z nią na bok, w kurz pobocza. Zaczepnęła powietrza, chciała krzyknąć, lecz zaraz otoczyły ją mocno czyjeś ramiona.

– Ro-Ro, wszystko w porządku?

Tak, wszystko było w porządku. Uświadomiła to sobie ze zdumieniem. Naprawdę nic jej nie było, zaś dwie zapłakane dziewczynki, kulące się w pyle drogi, również zdawały się całe i zdrowe.

Usiadła i rozejrzała się wokół siebie. Etienne Terrebonne uwiesił się właśnie u pysków koni i wstrzymywał je, uspokajał, szepcząc do nich w niezrozumiałym dla niej francuskim. Miały jeszcze dziki wzrok, ale już nie szarpały się i nie wierzgały.

– Widzisz? Etienne je zatrzymał! – entuzjazmowała się Ti’Boo. – Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak szybko biegał. Oczywiście poza tobą, kuzynko.

Na drogę wypadła kobieta w rozwianym białym fartuchu. Chwyliła jedną z dziewczynek i całując, przytuliła mocno do siebie. Nadbiegła też inna i ta sama scena powtórzyła się z drugim dzieckiem.

Przez dłuższą chwilę z podnieceniem komentowano wydarzenie, odtwarzając je po kilka razy i wylewnie dziękując parze bohaterów – Aurore i Etienne’owi.

Wreszcie przejęte i rozradowane matki zabrały dzieci do domów.

Aurore otrzepała sukienkę i znalazła kapelusz, który spadł jej z głowy podczas biegu. Ręce wciąż jeszcze się jej trzęsły, jednak twarz rozjaśniał już uśmiech.

No proszę, nie zdążyła nawet poznać dobrze tej okolicy, a już została bohaterką! Całe wydarzenie w kolejnych relacjach nabierało coraz bardziej heroicznych wymiarów. Oto ryzykowała życie dla dwóch małych dziewczynek. Oto wydając się na pewną śmierć, zasłoniła je, nieustraszona, swym ciałem i ocaliła.

Etienne podszedł do niej niepewnie. Pot błyszczał mu na czole, a pogryziony przez szerszenie policzek puchł coraz bardziej.

– Na szczęście wszystko dobrze się skończyło – zagadnął.

– Tak. Dzięki tobie.

Roześmiał się, jakby usłyszał coś zabawnego. Białe zęby rozbłysły w opalonej twarzy, w ciemnych oczach rozjarzyły się figlarne iskielki.

– Dzięki mnie? – powtórzył. – Spłoszony koń to nic takiego. Dwa – tym bardziej – mówił dźwięcznym, melodyjnym barytonem, którego Aurore słuchała z dziwną przyjemnością. – Ryzykowanie własnego życia – to się nazywa prawdziwa odwaga i bohaterstwo.

– Nie wiem, czy udałoby mi się odsunąć dziewczynki, gdybyś wcześniej nie dobiegł do koni.

– Na szczęście zdążyliśmy, ty i ja. Nie zniósłbym widoku takiej pięknej kobiety stratowanej przez te tchórzliwe szkapy.

Ti'Boo wystąpiła naprzód i stanęła między nimi.

– Poczekaj, Etienne, jeszcze nie zostałeś przedstawiony. – Popatrzyła nań znacząco.

– Och, właściwie to już się znamy, brakuje tylko nazwisk – zbagatelizowała sprawę Aurore, wyciągając przed siebie dłoń. – Jestem Aurore Le Danois, z Nowego Orleanu.

Czekała na odpowiedź, lecz mężczyzna zawahał się niespodziewanie. Pomyślała, że być może wstydzi się brudnych rąk.

– Etienne Terrebonne – powiedział wreszcie, ściskając jej rękę krótkim, szybko cofniętym gestem.

– Pani do nas... aż z Nowego Orleanu?

– Przyjechałam na ślub Ti'Boo.

– Ona zna Ti'Boo od czasu, kiedy była jeszcze dzieckiem – wtrąciła Minette. – A czy my byliśmy sobie przedstawieni?

Etienne odwrócił się ku niej uprzejmie.

– Zapewne nie. Rzadko się tu pojawiam, panienko – odparł i zaserwował jej staroświecki ukłon.

– Wszystko dobrze, Etienne? – zapytał Faustin, który przykuśtykał właśnie do nich, posykurując raz po raz z bólu.

– Tak, ojczu.

– To bierzmy się do roboty. Szerszenie się pochowały. Wyładujmy to drzewo, bo chcę już wracać.

Aurore przyjrzała się z zaciekawieniem dwójce mężczyzn. Ojciec i syn byli zupełnie do siebie niepodobni. Faustin był niski, żylasty, zgarbiony od upływu lat i wyczerpanej pracy, syn zaś – wysoki i gibki. I pogodny w przeciwieństwie do zgorzkniałego ojca.

Młodzieniec zmarszczył właśnie brwi i przesunął palcem po czerwonych śladach ukąszeń na ojcowskiej szyi, lecz Faustin niecierpliwie strząsnął współczującą dłoń i powtórzył:

– Do roboty. Ruszmy się, bo późno.

Etienne skłonił się po raz drugi, a potem zawrócił konie i poszedł wraz z ojcem, by naprawić uszkodzone ogrodzenie.

Grupka kobiet odprowadziła ich wzrokiem.

– Lepiej od razu się odkochaj – powiedziała Ti'Boo do siostry. – Maman nigdy nie pozwoli ci wyjść za człowieka z końca osady, a zwłaszcza za Etienne'a. Oni mieszkają na moczarach, prawie nic nie mają, tylko ten marny tartak...

Aurore bardzo niewiele wiedziała o moczarach i ich mieszkańcach. Wiedziała wszakże, że Ti'Boo ma rację. W wieku lat siedemnastu była już jedną z najbardziej poszukiwanych partii w Nowym Orleanie i miała świadomość tego, kto i dlaczego podejmuje decyzje odnośnie zamążpójścia młodych panieli. Jej ojciec – bo to on miał tu głos wiążący – podjął już wielu potencjalnych kandydatów do jej ręki. Rzadkie połączenie czystej kreolskiej krwi i stojącego za Aurore bogactwa wabiło zarówno zubożałych Kreoli, jak i obrotnych, dorobkiewiczowskich Amerykanów.

Mówiąc krótko, Aurore mogła przebierać (czy też raczej przebierać mógł jej ojciec). Jednak jak dotąd nie spotkała na żadnym z nowoorleańskich balów mężczyzny takiego, jak Etienne Terrebonne.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ti'Boo oczywiście ją oszukała. Jules Gilbeau miał komplet swoich własnych zębów i gęstą, siwiejącą czuprynę, a nie żaden kok. Był wysoki, prosty, o szerokich ramionach, niezbyt przystojny, ale też nie żaden szkaradny kuter-noga.

Gdy tylko znalazł się w pobliżu Ti'Boo, ani na moment nie spuszczał z niej zakochanego spojrzenia.

Kobiety w osadzie mówiły, że jego pierwsza żona była ponoć wiecznie zrzedzającą sekutnicą, która nie dałaby sobie rady z domem i dziećmi, gdyby nie mamusia i siostry. Ti'Boo powinna być o wiele lepszą żoną dla tego dobrego człowieka, wartego miłości i poświęceń.

Aurore, która wcześniej nie rozumiała sensu miłości i poświęcenia, pojęła to właśnie teraz. Cóż, Jules nie był w żadnym wypadku księciem z bajki. Ale życie w Bayou Lafourche było znacznie trudniejsze i cięższe, niż sobie wyobrażała. Najmłodsze dziecko w Côte Boudreaux wiedziało, że pomoc mężczyzny takiego, jak Gilbeau jest ważna dla przetrwania całej rodziny.

Jako honorowy gość nie miała obowiązku uczestniczyć w przygotowaniach do ślubu, ale matka Ti'Boo, Clothilde, kobieta mądra i subtelna jak jej najstarsza córka, od razu wyczuła, że dziewczyna chce być potrzebna i do czegoś się przydać, znalazła więc dla Aurore wiele pożytecznych zajęć, nie wymagających zarazem specjalnych umiejętności.

Szczególnie często proszono ją o szycie, przyszywała więc guziki i obrąbki, wyszywała rozetki na nocnych koszulach oraz inicjały na tuzinach chuste-

czek do nosa. Ti'Boo, która szła i haftowała po prostu niedościgle, zdobyła w tym czasie swoją ślubną suknię z jedwabiu w odcieniu kości słoniowej, z karczkiem obszytym koronką. Materiał na tę suknię przysłała jej Aurore w prezencie ślubnym.

Równoległe trwały inne przygotowania. Spodziewano się tłumu gości, toteż uczta musiała być wystawna. Co rano zbierały się do pomocy liczne kobiety, a było ich tak wiele, że czasami Aurore zdawało się, że wystarczy przejść w pobliżu domu Boudreaux, by zostać wciągniętym w wir przygotowań.

Już po pierwszym dniu zrezygnowała z zapamiętywania imion poszczególnych mieszkańców osady.

Nie przeszkadzało jej jednak, że nie wie, kim są ani jak się nazywają dziewczyny, z którymi ozdabiała ciasta, łupała i siekała orzechy na szerokiej werandzie oraz kręciła słodkie masy. Wielkookie, ciemnowłose, akadyjskie dziewczęta również szybko przestały się krępować obecnością damy z Nowego Orleanu i śmiały się z niej za każdym razem, kiedy tylko Aurore wzdrygała się, słysząc kwiki i wrzaski szlachtowanych na tyłach domu zwierząt.

Mężczyźni byli równie zajęci, jak kobiety. Po szlachtowaniu trzeba było rozebrać mięso i zrobić wędliny. I tym pracom jednak towarzyszyły żarty, dokazywania, snucie najprzeróżniejszych plotek i opowieści. Czarna kawa, świeżo palona i mielona przez Clothilde, płynęła szerokim strumieniem, podobnie jak bursztynowa whisky domowej roboty.

Rano w dniu uroczystości przedślubna gorączka sięgnęła zenitu. Valcour z synami i braćmi od świtu piekł prosięta na rożnach, zaś Clothilde nadzorowała ostatnie prace w kuchni. Aurore zajrzała tam dwa razy i natychmiast się wycofała, przytłoczona ogromem produktów i zadań. Setki krewetek, krabów i langust czekało na ugotowanie z ostrą papryką i ziołami. Jambalaya, wonna, mocno przyprawiona mieszanka ryżu, warzyw i kawałków kielbasy, gotowała się w parujących rondlach. Zupa z kaczką, której rodzinnej receptury Clothilde strzegła zazdrośnie i nie zdradzała nikomu, bulgotała obiecująco w żelaznym kociołku.

W panińskiej sypialni również panował rozgardiasz. Wszędzie rozłożone były różnobarwne suknie, szumiał gwar głosów, rozbrzmiewały okrzyki, raz po raz wybuchał śmiech.

– Jesteś pewna, że nie złamałaś igły, kiedy szylaś tę suknię? – zapytała Minnie. – Na pewno?

I nie zaplątała ci się nitka?

Aurore popatrzyła na nią z udawanym oburzeniem.

– No wiesz! Suknia jest piękna, po prostu doskonała. Ti'Boo będzie najpiękniejszą panną młodą na świecie.

– Ważne, żeby była szczęśliwa. A szczęśliwa panna młoda i złamana igła nie idą w parze.

– Jak to? – zapytała Aurore, a pozostałe dziewczęta roześmiały się, widząc jej minę.

– Nie wiesz? – zdziwiła się Minette. – Jeśli złamiesz igłę, szyjąc ślubną suknię, źle to wróży małżeństwu. Jeśli nić się zasupła, będą kłopoty.

– W takim razie to małżeństwo na pewno będzie szczęśliwe.

– Moje też – zapewniła Minette. – Mam nawet poważnego adoratora – dodała konspiracyjnym szeptem.

– Już? – zdziwiła się Aurore.

– Jak to „już”? Mam prawie szesnaście lat!

Mama miała tyle samo, kiedy wyszła za męża. A babcia piętnaście.

– I chcesz wyjść za pierwszego, który się pojawił?

– Mais non! Gonię go z domu, jak tylko przyjdzie!

Aurore próbowała zachować powagę.

– Ale on dalej przychodzi?

– Coraz rzadziej – wtrąciła się Ti'Boo, wchodząc do pokoju z grupką dzieciaków. – Wreszcie się zniechęci, tak podle go traktujesz, Minnie.

– I dobrze!

– Może gonisz go, bo kochasz innego? – dopytywała się Aurore.

– Może. Widziałam twarz mojego przyszłego odbitą w wodzie naszej studni. Teraz muszę tylko czekać, aż się pojawi.

– W studni?

– Jeśli spojrzysz do studni w samo południe – pospieszyła z wyjaśnieniem Ti'Boo – masz szansę zobaczyć twarz swego wybranka.

– A kogo ty zobaczyłaś?

– Nikogo. Choć tak się pochylałam, że o mało nie wpadłam do środka.

– Chodźcie! Niedługo południe. Aurore też musi spróbować! – Minette klasnęła radośnie w ręce.

– Ale ja wcale nie chcę wychodzić za męża – zaprotestowała gwałtownie Aurore.

Po tych słowach w pokoju zapadła martwa cisza – zjawisko prawie nieznanne w domu rodziny Boudreaux.

Aurore zastanawiała się, jak wytłumaczyć ten swój nagły protest. Czy wolno jej powiedzieć, że nigdy nie spotkała szczęśliwego małżeństwa, przynajmniej w swojej sferze?

Nie, nie uwierzono by jej. Zwłaszcza Ti'Boo i Minnie. Ich rodzice musieli bardzo się kochać, mimo biedy i ciężkiej pracy. Aurore nie widziała, by kiedykolwiek krzyczeli na dzieci, a tym bardziej na siebie. Często za to trzymali się czule za ręce, wymieniali przelotne pocałunki i wcale nie wstydzili się swoich uczuć.

Małżeństwo jej rodziców było skrajnie różne.

Właściwie trudno było mówić o małżeństwie. Ojca i matkę łączyły jedynie formalne więzy – wspólne nazwisko, majątek. I ona, ich córka.

– Nie umiem myśleć o zamążpójściu z taką niecierpliwością, jak wy – odważyła się wreszcie powiedzieć. – Zobaczcie, co stało się z moją matką...

Ti'Boo przysiadła obok i ujęła ją za rękę.

– No właśnie. Nie śmiałam pytać, bo bałam się, że sprawię ci przykrość. Czy Madame Le Danois ma się lepiej?

Z początku Aurore miała ochotę skłamać, ale potrzeba wyzalenia się bliskiej osobie zwyciężyła.

– Pół roku temu pozwolono mi się z nią zobaczyć.

Siedziała przy oknie i mamrotała litanie imion, jak młoda matka, która chce wybrać imię dla dziecka. To znaczy... dla chłopca – dodała i spuściła wzrok.

Palce Ti'Boo mocniej zacisnęły się na jej dłoni.

– I myślisz, że stało się tak przez małżeństwo?

– Nie wiem. Ona robiła wszystko, żeby ich zadowolić, mojego ojca i dziadka. Ale nie sądzę, żeby tak naprawdę jej na nich zależało, chyba że tamtej nocy, w czasie huraganu, kiedy namawiała dziadka, by uciekał wraz z nami... Potem obwiniała siebie o jego śmierć. Jego imię też występowało w tej litanii.

– Pamiętam, że błagała go, żeby uciekł od Krantza. Ale on nie posłuchał.

– Tak – Aurore przysunęła się bliżej do przyjaciółki – ja też pamiętam.

Pamiętała również nieustające, straszliwe wycie wiatru, jęki matki, która poroniła w nocy, zdjeta strachem o życie, a także rozpacz i grozę, jaka ogarnęła wszystkich na wieść o śmierci dziadka, przygniecionego ruinami domu, w którym czuł się tak bezpiecznie.

– Ale nie wracajmy do tego dzisiaj – Aurore urwała ciąg bolesnych wspomnień. – Nie przyjechałam przecież do Côte Boudreaux, żeby odwozić cię od małżeństwa, kuzynko. Chciałam tylko powiedzieć, że moja sytuacja jest... hm, trochę inna. Małe mam szanse na związek z miłości. Skąd zresztą bym wiedziała, że mężczyzna pragnie mnie dla mnie samej, a nie dla moich pieniędzy czy nazwiska?

Tego właśnie się bała. Bała się, że stanie się elementem transakcji, towarem; że poślubi kogoś takiego, jak jej ojciec – człowieka, dla którego kobieta jest wyłącznie ozdobą mężczyzny, ewentualnie kłaczą rozplodową. Kto wie, czy i ona nie wyląduje w szpitalnym pokoju bez klamek, jeśli tak się stanie? Może i ją czeka gapienie się w okno i powtarzanie bez końca imion dzieci, których nie będzie zdolna wydać na świat?

Na szczęście nie zostawiono jej czasu na rozmyślenia o tej smutnej perspektywie. Pracowity dzień trwał. Resztę przedpołudnia spędziła na galerii, pomagając popłakującej nainaine Ti'Boo w wykańczaniu tradycyjnych papie-

rowych kwiatów do kościelnej ceremonii, zaś wczesnym popołudniem zabrała się do czesania Ti'Boo. Zadanie to po wielkich dyskusjach powierzono właśnie jej. Ostatecznie kto miałby lepiej znać najnowsze fryzury, jak nie dama z Nowego Orleanu?

I tak przyjaciółka usiadła przed nią na krześle, a Aurore rozpuściła jej bujne włosy, miękkie i lśniące po myciu w deszczówce. Rozdzieliła je pośrodku, aż spłynęły dwiema falami, a potem zwinęła do tyłu, splatając w klasyczny grecki kok. Na koniec ostrożnie uwolniła z boków dwa cienkie pasemka i zawięła w loki wokół palca.

– Jules to dobry człowiek – odezwała się Ti'Boo, podejmując przerwany uprzednio wątek.

– Da się go kochać. Chcę mieć z nim własne dzieci, a jego synów już pokochałam.

– Będą szczęśliwe, mając ciebie za mamę.

– A ty? Chcesz mieć dzieci, Ro-Ro?

Tak, Aurore chciała mieć dzieci. Decyzja o macierzyństwie wiązała się jednak w jej przypadku z bolesną alternatywą: albo małżeństwo bez miłości i dzieci, na które przeleje wszystkie uczucia, albo samotność, życie bez męża – i bez dzieci.

– Nie wiem, Ti'Boo – odparła – ale jeśli kiedykolwiek będę je miała, postaram się być dla nich taka, jak twoja matka, nie moja. Dam im całą siebie, poświęcę dla nich całe życie. I nie pozwolę, by cokolwiek nas rozdzieliło, nawet choroba czy zły los. Nic i nigdy!

Ti'Boo ujęła dłoń Aurore i przyłożyła sobie do policzka.

– Ty też będziesz dobrą matką, Ro-Ro.

Wreszcie pojawiła się Clothilde z wiadomością, że wszystko zostało już przygotowane i Ti'Boo ma się ubierać. Podobnie jak nainaine, Clothilde płała i wzorem innych akadyjskich matek zaklinała się, że nie pójdzie na ślub, bo to dla niej zbyt smutne przeżycie.

Rzecz jasna nie spełniła jednak swej groźby.

W ostatniej chwili wystroiła się w najlepszą niedzielną sukienkę i wsiadła do powozu obok prześlicznej Ti'Boo, obok której z drugiej strony zdażył zasiać już ojciec. Panna młoda z rodzicami przebyła drogę do kościoła na czele całej procesji pojazdów.

Aurore, w bładozielonym batusie i kapeluszu z małym piórkiem, jechała w asyście ciotki i wuja Boudreaux w jednym z nich.

Wnętrze niewielkiego kościółka łagodnie oświetlały sącące się przez okna promienie słońca.

Pomimo panującego tu przekonania, że prawdziwe kwiaty są wyrazem próżności, przynoszono je z ogródków, by zdobiły uroczystość razem z papierowymi.

Ti'Boo szła do ołtarza wśród uśmiechów i łkań swoich najbliższych. Aurore także dyskretnie ocierała łzy wzruszenia.

Kiedy jednak padły ostatnie słowa i ceremonia zaślubin dobiegła końca, łzy momentalnie obeschły.

Ti'Boo i Jules wsiedli, teraz już razem, do bryczki i kawalkada wozów ruszyła galopem na wesele.

Mężczyźni z rodzin Boudreaux i Gilbeau strzelali z broni na wiwat, kobiety śpiewały, radosnym pokrzykiwaniom i dokazywaniom nie było końca.

W domu ustawiono meble przy ścianach, robiąc miejsce na bal de nocte, tradycyjne weselne tańce, mające zacząć się z nastaniem wieczora. Stoły ugięły się pod talerzami i misami, pełnymi najprzeróżniejszych smakołyków. Przy stołach zasiadły rzędem doświadczone matrony, by móc obsługiwać spragnionym i wygłodzonym weselnikom.

Aurore nie była głodna, gdyż przez cały dzień próbowała rozmaitych potraw. Zamyślona i zasłuchana w tęskne tony skrzypiec, samotnie wyszła na werandę. Tak jak się spodziewała i jak zapowiadała ojcu, Boudreauxowie pilnowali swego honorowego gościa nie gorzej niż własne córki i starali się chronić ją przed wszystkim, co mogłoby uwłaczać jej pozycji i czci, czuła się więc bezpiecznie.

W domu, po powrocie, będę mogła bez przeszkód kontynuować mój debiutancki rajd po salonach, pomyślała gorzko. I nic się zmieni, przynajmniej z pozorów. Nikt w każdym razie nie dostrzeże zmiany, która się dokonała w ciągu tych kilku dni spędzonych u Ti'Boo – zmiany w sercu panny Aurore LeDanais.

Obecność w domu państwa Boudreaux, bliskość przyjaciółki, prostota i życzliwość, jaką tu spotkała – wszystko to sprawiło, że jeszcze bardziej zatęskniła za innym życiem niż to, które wiodła w Nowym Orleanie. Obudziły się nagle uśpione wspomnienia letnich wakacji z dzieciństwa – zabawy na plaży, morze, przesycone wonią kwiatów popołudnia, kiedy to matka, siedząc na werandzie Krantz Place, patrzyła, jak Aurore bawi się z dziećmi letników.

Tak, kiedyś komuś zależało, by była choć trochę szczęśliwa, a dzisiaj...

Aurore westchnęła ciężko i spojrzała ze smutnym uśmiechem w stronę sali pełnej weselnych gości. Nikt się nią teraz nie zajmował, bowiem Clothilde doglądała całosci przyjęcia, a ciotki Ti'Boo zajmowały się kuchnią i stołami. Podtrzymując spódnicę jedną ręką, a kapelusz drugą, Aurore zeszła więc na drogę, gdzie rzędem stały powozy, i ruszyła na spacer wzdłuż grobli, by zanurzyć się w ciszy, samotności i wspomnieniach.

Na tle zmierzającego nieba przeleciała dzika gęś. Na przeciwległym brzegu kanału czapla pracowicie brodziła w wodzie, polując na ostatnią tego dnia rybę. Z dala dobiegł gwizd parowca, który pracowicie pokonywał kolejne

mile. Aurore z niechęcią pomyślała o swoim powrocie do domu, do Nowego Orleanu. Ona wróci do starego życia, zaś Ti'Boo rozpocznie nowe...

Była tak zamyślona, że dopiero po chwili zauważyła, że nie jest sama.

– Panno Le Danois? – Mężczyzna uchylił róna słomkowego kapelusza i skłonił się lekko. Z początku zaniepokoiła się nieco, zaraz jednak z ulgą spostrzegła, że jest nim Etienne Terrebonne.

– To ty, Etienne? – Dopiero teraz zobaczyła, jak daleko odeszła. – Clothilde będzie wściekła, że oddaliłam się sama.

– Już nie sama.

– Gdyby to wiedziała, byłaby jeszcze bardziej wściekła.

– W takim razie szybko wracaj do domu, zanim zauważy.

Aurore uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie ma potrzeby. Mnie nic nie grozi, a ona ma co innego na głowie. Wydała za mąż swoją córkę i wciąż to rozpamiętuje. Apropoz, nie widziałam cię wśród gości...

– Przyjdę na tańce. Nocuję w sąsiednim domu, dobudowuję tam nowy pokój.

– Jesteś cieślą?

– Cieślą, traperem, rybakim, zbieraczem roślin... Czym tylko chcesz. Jak każdy Akadyjczyk.

– To znaczy, że ciężko pracujesz.

Etienne skinął w milczeniu głową, ona zaś skrzyżowała ramiona i stanęła obok niego, patrząc na moczary. Doznawała w obecności tego mężczyzny przedziwnego uczucia. Zdawała sobie sprawę ze wszystkich dzielących ich różnic, lecz zarazem była głęboko przekonana o tym, że łączy ich bardzo wiele. Etienne musiał wiedzieć nie gorzej od niej, co znaczy pragnąć czegoś, czego nigdy się nie miało i na zdobycie czego ma się niewielkie szanse.

– Twoje życie w Nowym Orleanie musi być zupełnie inne – powiedział.

– Owszem. Na pewno jest nudniejsze, pełne formalnych zakazów i nakazów. Ciągłe się czegoś ode mnie oczekuje.

– A ty nie masz ochoty spełniać tych oczekiwań? Nie wierzę.

– Och, jestem bardziej zbuntowana, niż myślisz. Czy wiesz, że zabroniono mi tu przyjechać? Powinnam zostać w domciu i grzecznie przyjmować kolejnych kandydatów na męża. Gdyby ojciec się dowiedział, że jestem na ślubie Ti'Boo...

– Twojemu ojcu się to nie podoba?

– Mojemu ojcu mało co się podoba.

– W takim razie mamy ten sam problem.

Odwróciła się ku niemu, by lepiej widzieć jego twarz.

– My? Przecież zgodnie pracujesz ze swoim ojcem.

– Faustin Terrebonne nie jest moim ojcem. Spojrzała zaciekawiona na jego twarz. Piękny męski profil zuchwale rysował się na tle różowiejącego nieba. Kształtny nos, ładnie wykrojone wargi, kędziory włosów, opadających za uszy, dumne osadzenie głowy. Etienne Terrebonne – bratnia dusza.

– Kto w takim razie jest twoim ojcem?

– Naprawdę nazywam się Etienne Lafont i urodziłem się w Caminadaville, w Chénierie Caminada. Wiesz, gdzie to jest?

Puls Aurore przyspieszył. Zbieg okoliczności był zdumiewający.

– Lepiej niż myślisz. Przeżyłam na Grand Isle huragan, który zmiotł tamtą osadę.

– Grand Isle nie ucierpiała wtedy tak bardzo.

– Może i nie, ale gdyby wuj Ti'Boo nie uratował wówczas mojej matki i nie zabrał nas do siebie, pewnie by mnie tu nie było.

– Mnie też się udało, ale to chyba był cud. Prawie tysiąc ludzi zginęło wtedy w Chénierie – powiedział cicho, patrząc przed siebie w wieczorne niebo. – Straciłem całą rodzinę. Zmyła mnie fala, która zniszczyła nasz dom i wiele innych. Prąd rzucił mnie na wrak jakiejś łódki, uczepiłem się go i tak przetrwałem do końca sztormu. Ze strachu i z wyczerpania straciłem przytomność, ale na szczęście wcześniej schowałem się blisko masztu i nie zsunąłem do wody. Gdy się ocknąłem, byłem w domku na moczarach. Faustin dał tam schronienie paru rozbitkom. Widocznie moją łódkę zniosło na bagna. Długo dryfowałem. Znalazł mnie w cztery dni po tym, jak skończył się huragan.

– Widać Bóg ma wobec ciebie jakieś plany, Etienne.

– Tak też twierdziła Zelma, żona Faustina. Dostałem gorączki i przez kilka tygodni byłem na granicy śmierci, ale jakoś się jej wywinąłem. Dopiero gdy wyzdrowiałem, dotarło do mnie, że zostałem sierotą. Ale Zelma mnie przygarnęła. Ludziom mówiła, że ktoś mnie jej oddał, bo sama nie mogła mieć dzieci. Wyleczyła mnie i była dla mnie jak druga matka.

– Była?

– Umarła w Wielkanoc.

Aurore ciałniej splotła ramiona, jakby zrobiło się jej zimno. Jej los był tak inny, ale też tak podobny.

Czuła z tym chłopakiem bliską więź i zdawało się jej, że dobrze rozumie, co musiał przeżyć w dzieciństwie.

– A Faustin? Nie uważasz go za drugiego ojca?

– To stary, zgorzkniały człowiek. Nie jego wina. Miał ciężkie życie.

– Mój ojciec też jest taki – powiedziała od razu.

– Rozczarowany życiem? A może jest tylko surowy i staroświecki?

– Nie, to coś więcej. Mój ojciec ma wszystko, tylko nie to, czego zawsze pragnął. Sam omal nie zginął w czasie huraganu. Gdy zaczął się sztorm, był właśnie na morzu. Na szczęście zniosło go do Chénierie i zdołał schronić się w

kościelnie. Nigdy nie chce o tym opowiadać, ale nawet teraz, kiedy słyszy bicie dzwonu, robi się błąd.

Oboje zamilkli na chwilę, wracając myślami do tamtych przeżyć.

- Muszę wracać – odezwała się wreszcie.
- Mogę zaklepać sobie taniec?
- Oczywiście.

Odwróciła się i zaczęła iść groblą. Już w połowie drogi odwróciła się i obejrzała za siebie. Etienne nadal stał w tym samym miejscu, wpatrzony w wody bayou.

W czasie weselnej uczty Aurore siedziała wciśnięta pomiędzy dwie kuzynki Ti'Boo, które stale podsuwały jej jedzenie pod nos, aż zaczęła marzyć o rozluźnieniu gorsetu. Później skrzypek przerwał swoje przygrywki, zaś goście zgromadzili się wokół wuja Valcoura, który wygłosił zwyczajowe słowo do nowożeńców. Znalazło się w nim miejsce i na poważne myśli na temat losu, który przyjdzie odtąd dzielić dwójce małżonków, i na żarty z wieku pana młodego. Nikt jednak nie wątpił, że Ti'Boo złapała dobrą partię. Potem znów zabrzmiała muzyka. Tym razem do pierwszego skrzypka dołączył drugi, jego brat, oraz trzeci mężczyzna, który grał na akordeonie. O ile skrzypce były powszechnie znane, ten instrument budził prawdziwe zainteresowanie i podziw. Zwłaszcza że znalazł się w sprawnych rękach wirtuoza, który grał biegle i z wyczuciem, iście po mistrzowsku.

Aurore, jak wszystkie dziewczęta z dobrego domu, znała całą klasykę. Umiała zagrać niektóre etiudy Chopina i ponad połowę z „Pieśni bez słów” Mendelssohna na ojcowskim Steinwayu. Fortepian przypląnął z Nowego Jorku jeszcze w tym samym tygodniu, w którym ciotka Lydia uznała, że dziewczynka powinna zacząć muzyczną edukację.

Ale to granie, które słyszała teraz, było tak różne od klasyki, jak różne były od niej gwizdki, trąbki i prymitywne skrzypce ulicznych kapeli z Nowego Orleanu, które często przygrywały w tamtejszych lokalach i teatrach. Weselni skrzypkowie potrafili grać nie tylko na strunach swoich skrzypiec, ale też na strunach ludzkich serc, zaś akordeonista, młody przystojniak o aksamitnym spojrzeniu, wyśpiewywał francuskie strofy o niewoli, straconych miłościach i rodzinach, rozdzielonych na zawsze wygnaniem z Nowej Szkocji, tak przekonująco, że Aurore słuchała tego wszystkiego z zapartym tchem, całkowicie pochłonięta tym muzycznym żywiołem.

- Podobają ci się nasze pieśni?

Odwróciła się i zobaczyła, że obok niej stanął Etienne.

- Bardzo, ale mam nadzieję, że nie wszystkie będą tak smutne.
- Nie wszystkie. Po prostu nie możemy zapominać o naszej krzywdzie. Powiedział to takim tonem, że spojrzała na niego uważniej.

– Dlaczego? Co wam przyjdzie z ciągłego spoglądania w przeszłość?

– Ta przeszłość daje nam siłę. Przybyliśmy na te moczary, nie mając niczego, a teraz należą do nas. Niemców, Hiszpanów, Amerykanów, wszystkich, którzy przyjechali tu po nas, przyjmowaliśmy gościnnie, a potem robiliśmy z nich Akadyjczyków.

– A więc zawdzięczacie swoją siłę złemu losowi. Musicie być silniejsi niż inni.

– Silniejsi? – Wzruszył ramionami. – Bardziej uparci, oui.

– Więc i ty jesteś uparty? – spytała niby żartem, lecz jej oczy wpatrywały się w niego uważnie.

– Mais, oui. Czasem bardzo.

– W dążeniu do czego, Etienne?

– Do znalezienia swojego miejsca na ziemi.

– A gdzie jest to miejsce?

– Na pewno nie tutaj.

Aurore zaczęła zastanawiać się nad tą zaskakującą odpowiedzią, zanim jednak zdążyła dojść do jakiegokolwiek wniosku, dostrzegła, że Minette daje jej jakieś znaki z drugiego końca izby. Od razu się domyśliła, że popełniła gafę – rozmawiała z Etienne’em, podczas gdy pozostali mężczyźni stanęli razem z boku.

Szybko przebiegła pod ścianą w stronę kobiet – w samą porę, bowiem zagrano właśnie weselnego marsza. Zacerwieniona z przejęcia Ti’Boo wyszła na środek zaimprovizowanej sali balowej, mocno ściskając mężowską dłoń, i para młoda poprowadziła radosny orszak. Okrążali salę wiele razy, ciągnąc za sobą korowód weselników. Wreszcie marsz się skończył, a orkiestra zagrała walca. Parkiet natychmiast opustoszał i na środku pozostał jedynie Jules Gilbeau z panną młodą.

– Piękny ten ślub – westchnęła Minette, stając przy Aurore – ale mój będzie jeszcze piękniejszy

Aurore popatrzyła na Ti’Boo, przytuloną w tańcu do Julesa.

– Najważniejsze, żeby byli szczęśliwi. Myślę, że będą. On ją kocha – odpowiedziała.

– Podobno jest łagodny i dobry. Co innego Etienne. Ten ma już swoją reputację.

– Z powodu?

– Mówią, że ma w sobie ducha walki i że w obrębie setki mil nie ma mężczyzny, który umiałby walczyć tak jak on.

Aurore próbowała wywnioskować z tonu Minette, jaka w istocie jest ta reputacja Etienne’a Terrebonne’a.

Może niekoniecznie zła. W końcu nowoorleańscy dżentelmeni również odbywali kiedyś honorowe pojedynki pod starymi dębami, które teraz są ozdobą

parku miejskiego. Czy Etienne także walczył o honor? Czy w ten sposób chciał zrekompensować sobie to, czego zabrakło w jego życiu?

– Podobno odciął ucho człowiekowi, który szkalował jego ojca – poinformowała konfidencjonalnym szeptem Minette.

– Ucho? Nie, trudno mi w to uwierzyć. – Aurore rozejrzała się po sali, szukając wzrokiem Etienne’a.

Stał w grupce mężczyzn, ale przestrzeń wokół niego była pusta. Albo trzymano się z dala od niego z szacunku, albo ze strachu. – W każdym razie mnie wydał się... miły... rozmowny... i bardzo uprzejmy – dodała, szybko znalazłszy adekwatne słowo.

– Może być uprzejmy – odparła Minnie. – To całkiem możliwe. Jest w końcu wykształcony, choć pochodzi z samego końca Lafourche. Jego matka uczyła się ponoć u siostr w Donaldsonville, a przed ślubem pracowała jako nauczycielka. Mówią, że uczyła syna, ale tylko wtedy, gdy jego ojciec wybywał z domu albo spał, bo za dużo wypił.

Gdyby się dowiedział, że chłopak składa litery, zamiast pracować, dałby jej wycisk. Faustin uważa, że mężczyzna nie musi umieć czytać.

– Co za głupota!

– W każdym razie ten Etienne to najprzystojniejszy chłopak na weselu, no nie?

Aurore zastanowiła się nad odpowiedzią. Słowo „przystojny” nie bardzo pasowało do Etienne’a Terrebonne’a. Wielu mężczyzn miało bardziej regularne rysy. Tyle że jej spojrzenie ani razu nie zatrzymało się na żadnym z nich. Wolą patrzeć na Etienne’a.

– Przyciąga wzrok, to fakt – powiedziała. – Może to jego twarz widziałas w studni?

– Mais non! Niestety – odparła Minette, lecz w jej głosie wcale nie słychać było żalu. Przeciwnie, dziewczyna roześmiała się beztrudno i tajemniczo odwróciła spojrzenie w stronę sali.

– Który to? – Aurore w lot pojęła, o co powinna zapytać, gdy zaś Minette wskazała jej jednego z kawalerów, pokiwała z aprobatą głową.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bowiem państwo młodzi zakończyli właśnie inauguracyjny taniec, po którym rozległy się oklaski, a zaraz potem pary zaczęły dobierać się do walca. Aurore usunęła się dyskretnie na bok, by nie peszyć konkurentów

Minette, jednak ta zamiast w ramionach swego wybrańca, znalazła się w krzepkich objęciach jednego z wujów.

– Czy ten walc może być mój?

Aurore uniosła gwałtownie głowę. Znów ją zaskoczył.

– Obawiam się, że nie znam kroków. Wasze tańce są trochę inne...

– Szybko się nauczysz – odparł Etienne, po czym ostrożnie ujął ją za rękę. Dłoń miał szorstką, twardą. I ciepłą, budzącą zaufanie. Prowadził ją w przepiślowej odległości i ani przez chwilę nie pozwolił sobie na żadną poufalskość. Nie był też już speszony, jak wtedy, gdy po raz pierwszy dotknął jej ręki na zakurzonej drodze. Patrzyła na nią śmiało, lecz nie bezczelnie, tak jak patrzy człowiek, który zna własną wartość i nie musi chować wzroku ani nadrabiać miną.

Aurore mogła teraz dokładnie przyjrzeć się jego twarzy i przekonać się, co właściwie jest w nim takiego pociągającego. Oczywiście? Tak, bez wątpienia.

Były ciemne, wręcz mroczne, jak pochmurna zimowa noc, kiedy najmniejszy błysk gwiazdy na czarnym niebie wydaje się błyskiem nadziei.

– Czy naprawdę obciąłeś komuś ucho? – zapytała z głupią frant i natychmiast pożałowała własnej śmiałości.

Etienne roześmiał się cicho.

– Nie zdążyłaś jeszcze się zorientować, że tutejsi mieszkańcy wyolbrzymiają wszystko w swoich opowieściach? To nie było ucho.

– A co?

Znów się roześmiał.

– Jego mała część.

Aurore potknęła się, ale nie pomyliła kroku.

– Która część?

– Powiedzmy, że litościwie zostawiłem mu część, dzięki której słyszy.

– Mogę spytać, dlaczego to zrobiłeś?

– Dlaczego obciąłem, czy dlaczego nie obciąłem więcej?

Aurore uśmiechnęła się mimo woli. Muzyka ucichła i przez chwilę stali, czekając na następny taniec.

– Dlaczego w ogóle do tego doszło. Czy nie ma lepszych sposobów rozwiązywania sporów?

– Może i są. Wielu mężczyzn wdaje się w bójki z nudów. Niektórzy walczą, by pomścić dawne krzywdy. Jeszcze inni – nowe zniewagi.

– A ty?

– Wszystko po trochu.

Zastanawiała się, czy powinna bać się tego człowieka.

Ufała mu instynktownie, a jednocześnie miała świadomość – czy może raczej przecucie – że dla Etienne’a zło i przemoc są chlebem powszednim.

Spojrzenie miał spokojne, mądre; czuła wszakże, że powinna zmienić temat rozmowy, jeśli nie chce usłyszeć innych, być może jeszcze bardziej bulwersujących opowieści.

Na szczęście znów zagrano do tańca, tym razem skoczną polkę, i Etienne pociągnął ją za sobą w rozbawiony krąg weselników. Nie było mowy o rozmowie, gdyż Aurore musiała skoncentrować się na krokach. Dopiero gdy odprowadził ją na miejsce i uklonił się, by za chwilę odejść, zapytała:

- Etienne?
- Tak? – Uniósł oczy i spojrzał na nią wyczekująco.
- Mam nadzieję, że znajdziesz w życiu wszystko, czego szukasz. Tym razem to on był zaskoczony.
- Dziękuję. Tobie też tego życzę.

Do następnego tańca porwał Aurore starszy kuzyn pana młodego, a potem tańczyła bez wychnienia z kolejnymi gośćmi, starszymi i młodszymi, z których żaden nie chciał sobie odmówić tańca z kreolską przyjaciółką panny młodej. Starsi partnerzy uczyli Aurore kroków tradycyjnego akadyjskiego kontredansa, młodszy bawili ją lokalnymi anegdotami. Jednak Etienne nie poprosił już jej ani razu.

Aurore szukała go wzrokiem, podświadomie licząc na to, że spostrzeże ją i podejdzie. Raz widziała, jak tańczył z jakąś młodą kobietą, potem na dobre straciła go z oczu.

W czasie przerwy, gdy pociągała poncz w tłumie gości, podeszła do niej Minette.

- Wiesz, że za stajniami będą walki? – szepnęła konspiracyjnym tonem.
- Jakie walki?
- Kogutów!

Aurore wiedziała, że walki kogutów należą do ulubionych rozrywek Akadyjczyków. W Nowym Orleanie również je organizowano, i to pomimo zakazów władz, usiłujących położyć kres hazardowi i niepotrzebnemu męczeniu zwierząt. Nie sądziła jednak, że może to być jedną z weselnych atrakcji.

– Zresztą sama już nie wiem – Minnie przyłożyła dłoń do ust – możliwe, że będą walczyć ze sobą mężczyźni. I wiem, jak możemy to zobaczyć – dodała z przejęciem.

Aurore nie była przekonana, czy naprawdę chce oglądać podobne widowisko, jednak Minnie nie pozostawiła jej czasu do namysłu.

– Powiem mamam, że idziemy pomóc cioci Grace w kuchni, i naprawdę tam pójdziemy. A zaraz potem oznajmimy cioteczce, że idziemy wynieść ostatnie ciasto za dom, żeby ostygło. Wyjdziemy na dwór i przy okazji obejrzymy walkę, co ty na to?

- I nikt nie będzie nic podejrzewał? – zapytała dla formalności Aurore.
- Coś ty! Poza tym nie skłamiemy tak zupełnie, pomożemy mojej tante – zapewniła Minette, po czym dodała na zachętę: – Myślę, że Etienne też będzie walczyć.

– Boże!

– Tak, tak... – Minnie pochyliła się ku Aurore i zakończyła szeptem: – Jest tutaj człowiek, który poprzysiągł, że zemści się na jego ojcu za obrazę.

- Skąd to wszystko wiesz?
- Umieć słuchać.

Już po kwadransie, ułożywszy uprzednio pięknie polukrowane ciasta koło studni, Aurore i Minnie przekradały się niepostrzeżenie ku stajniom, zza których wyraźnie słychać było głośne okrzyki i przekleństwa. Przycisnęły się w cieniu wierzb, w bezpiecznej odległości od blasku bijącego od rozpalonego ogniska, i ze wstrzymanym oddechem patrzyły na oświetlane migoczącymi płomieniami twarze. Mężczyzn nie było wielu, większość z nich Aurore widziała po raz pierwszy.

Napiętym wzrokiem wpatrywali się w ptaki, skaczące po wysypanym trocinami kręgu, i nie sprawiali wrażenia, jakby mogło ich tu przywieść coś więcej niż tylko upodobanie do tej szczególnej lokalnej rozrywki.

Był i Etienne. Stał w pewnej odległości od innych, na krawędzi ringu, ale nie wątpiła, że przyjął zakład jak cała reszta. Przełknęła ślinę, gdy wrzask ptaków stał się głośniejszy. A potem zamknęła oczy, gdy jeden z mężczyzn – zapewne sędzia – wszedł na arenę, by wynieść z niej martwego, zadziobanego przez rywala koguta. Na moment uniósł go wysoko do góry, a wówczas okrzyki przybrały na sile. Najwyraźniej walka się podobała.

I tylko jeden z widzów był wyraźnie niezadowolony.

Zerwał z tysej głowy kapelusz, zmiął go w ręce i nerwowo uderzał nim po udzie. Po chwili postąpił krok naprzód, wyrwał ptaka z rąk sędziego i cisnął nim wściekle w tłum. Martwy kogut upadł wprost pod nogi Etienne'a, który poprawił na głowie kapelusz, a potem odezwał się zaczepnie:

– Ej, Vic, co z tobą? Jeszcze nie nauczyłeś się przegrywać? Ça c'est malheureux, przykra sprawa. Coś za często ci się to zdarza, nie?

Vic popatrzył na niego w milczeniu. Wzrok miał posepny, ciężki, nie było wątpliwości, że w Etienne widzi wyłącznie wroga.

– A ty co tutaj robisz, Tienne? – odezwał się wreszcie i przysunął bliżej, jakby przyjmował zaczepkę.

– Koguty to zabawa prawdziwych Akadyjczyków, a nie przybłędów znalezionych na moczarach. Wracaj na swoje bagna, gdzie wyją wilkołaki.

Twój ojciec to też odludek i wilkołak. W dzień haruje, a nocą wyje do księżycy. Pewnikiem dlatego go tutaj nie ma. W końcu dzisiaj pełnia. Albo ten tchórz nie przyszedł, bo się mnie boi, ot co! – zakończył i zawiadziacko wypiął pierś, zupełnie jak bojowy kogut.

– Ten tchórz postanowił cię oszczędzić. Bał się, że cię uszkodzi, Vic, tak jak ostatnio, kiedy upuścił ci krwi jak na kaszanke. Musisz uważać, człowieku.

Na tysej czasce znać wszystkie blizny.

Mężczyźni zarechotali, zaś Vic zacisnął gniewnie usta.

– To tchórz i basta! – warknął. – Śmierdzi od niego tchórzostwem! A ty? – Wyjął z kieszeni dużą chustkę i machnął nią przed nosem rywala. – Stajesz czy też się boisz o swój tyłek?

– Grand rond, wielkie koło! – rozległy się okrzyki podnieconych mężczyzn. – Tienne kontra Vic!

– O co chodzi? – szepnęła nerwowo Aurore, kiedy ciasny krąg mężczyzn zasłonił dwójkę przeciwników.

– Czy oni będą się bić?

Minette była przejęta, wystraszona, ale też zachwycona, i to wcale nie mniej niż kreolska młoda dama, która pierwszy raz wybrała się do opery.

– To pojedynek z chusteczką – wyjaśniła. – Każdy trzyma za swój róg i nie może puścić.

– Nie rozumiem, jak mogą walczyć i jednocześnie trzymać tę samą chustkę?

– Będą walczyć na noże.

– Noże!

– Cii... Sama zobaczysz.

Aurore wyszła z cienia, niepomna, że ktoś mógłby ją dostrzec. Nie mogła uwierzyć, że z tak błahego powodu można chcieć posiekać się nawzajem.

A jednak...

Już ostrza załśniły zimno w blasku ognia; już Etienne przycałił się w bojowej pozycji, chwycił róg chusteczki lewą ręką i podrzucił w prawej swój sztylet do góry, by zręcznie uchwycić go za rękojeść.

– Jestem gotowy, mon ami.

Aurore chciało się krzyczyć, protestować. To, co widziała, było dla niej nie do pojęcia. Walka kogutów wydała jej się nagle cywilizowanym widowiskiem.

Nie chciała patrzeć, jak dwóch dorosłych mężczyzn bierze się za czuby i kroi na kawałki. Nie chciała patrzeć, jak ten sam Etienne, który oczarował ją swoim wdziękiem, łapie za nóż i macha nim przed oczami przeciwnika. Musiała jednak patrzeć, nie mogła oderwać wzroku od tej przerażającej sceny.

Oto Vic natarł bez ostrzeżenia, rzucając się do przodu, by poprzec cios swoim ciężarem. Oto Etienne zrobił unik i odparował zamach. Vic zachwiał się, usiłując odzyskać równowagę, a wówczas rywal drasnął go krótkim ruchem w ramię.

– Krwawisz, Vic. Jak wieprzek u rzeźnika.

– Etienne jest lepszy, oszczędza go – skomentowała Minette. – Nie chce go zabić.

Niewielkie to było pocieszenie, nawet gdyby Minette miała rację. Vic zdawał się bowiem pozbawiony podobnych skrupułów. Jego dzikie spojrzenie pałało żądzą mordy. Znów zaatakował – i znów Etienne zręcznie się wywinął. Tym razem rozplątał Vicowi przedramię.

– Uważaj, bo zrobimy z ciebie półtusze!

Teraz Vic spróbował uderzyć od innej strony, jednak i ta próba się nie powiodła. Najpierw Etienne ramieniem zablokował jego ramię, potem zaś przyłożył ostrze do piersi Vica. Nie pchnął jednak, a tylko rozciął ubranie. Vic, zaślepiiony wściekłością, zaczął atakować raz po razie, lecz każdy z chaotycznych ciosów trafiał w powietrze. Za to Etienne raz rozpruł mu rękaw, a już po chwili zafundował krwawą szramę na szyi.

Kiedy w kolejnym, pełnym furii wypadzie Vicowi udało się wreszcie dosięgnąć Etienne'a, Aurore ze zgrozą uniosła dłoń do ust. Na szczęście ostrze przecięło tylko ubranie, omijając skórę. Podochocony Vic pchnął jeszcze raz, lecz Etienne ponownie się uchylił, tym razem dosłownie w ostatniej chwili.

Jego przeciwnik poleciał przed siebie siłą rozpędu, stracił równowagę i padł na ziemię, nie puszczając jednak z ręki chusteczki.

Wypuścił za to nóż, a to było równoznaczne z porażką. Zdążył jeszcze obrócić się na plecy, lecz tylko po to, by Etienne mógł usiąść na nim okrakiem i przyłożyć lśniące ostrze do serca.

Nie zadał ostatecznego ciosu. Zamiast tego przeciągnął nożem po napiętym płótnie chustki, rozcinając ją na pół. Teraz każdy z mężczyzn trzymał swoją część.

– Byłeś odważny, Vic – powiedział cicho Etienne, lecz Aurore słyszała każde słowo. – Bardzo odważny. Nie zabijam takich przeciwników.

W kręgu widzów rozległ się pomruk aprobaty. Vic popatrzył na biały strzępek w swoim ręku, na moment wbił nienawistny wzrok w twarz wroga, a potem wepchnął połowę chustki do kieszeni. Etienne puścił go, wstał i rozejrzał się wokół, jakby szukał czegoś w twarzach ciasno skupionych mężczyzn.

Po chwili przeniósł wzrok dalej, w ciemność, prosto na Aurore, która wciąż stała niczym sparaliżowana w cieniu wierzb. Chyba ją dostrzegł, bowiem uśmiechnął się lekko, a nawet nieznacznie uklonił. Co do tego nie była akurat przekonana, wiedziała jednak na pewno, że w ciemnych oczach Etienne'a Terrebonne'a nie ma śladu satysfakcji, a tym bardziej triumfu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Aurore Le Danois odpłynęła. Rankiem, przy akompaniamencie okrzyków żegnającego ją tłumu, wsiadła na rozklekotany parowy kuter jakiegoś ubożego kupca i wyruszyła do Nowego Orleanu, zostawiając za sobą bayou i Etienne'a Terrebonne'a.

W Côte Boudreaux Etienne przybił ostatnią deskę pokoju, który zamówił u niego Nestor Johnson. Sąsiad Valcoura był dla niego miły i traktował go łącznie po ojcowsku. Choć sam miał dorosłych, żonatych już synów, żaden z nich nie uznał potrzeby dobudowania oddzielnego pokoju dla ojca i nie wyraził chęci pomocy. Tymczasem Nestor potrzebował cichego kąta, w którym mógłby spokojnie zebrać myśli, nie słysząc trajkotania żony i córek.

Pytał Etienne'a, czy ten rozumie tę potrzebę. Etienne rozumiał. Wiedział, że uczucia i myśli bywają jedyną rzeczą, którą człowiek posiada na własność.

Już prawie skończył swoją robotę, pozostały tylko ostatnie prace na krytym strzechą dachu.

Jednak Nestor uznał, że z tak prostym zadaniem poradzi sobie jego syn. W końcu cała konstrukcja była poza tym gotowa.

Odłożył narzędzia, wyjrzał na werandę. Stary siedział zgarbiony na ławeczce, reperując sieci.

Zawsze kiedy Etienne spotykał taki widok, serce ścisnęło mu się boleśnie.

– Skończyłem – oznajmił.

– Widzę. Szybciej niż myślałem. – Nestor skinął głową z uznaniem. – Pieńki są tam, w puszcze.

Etienne uniósł zwój sznura z pływakami do sieci, leżący w kącie werandy, i wyciągnął z puszkę sumę, na którą wcześniej się umówili.

– Skąd masz tyle forsy, Nestor?

– To moja stara tak szparuje. Podbieram jej trochę od czasu do czasu. I tak nie zauważy. Zresztą zasłużyła sobie na to. To przez nią buduję ten pokój.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

– I co teraz, Tienne? Wracasz do domu?

– Najpierw zrobię sobie wycieczkę na mokradła.

– Daleko?

– Jak tylko się da.

– Po co? Tam już nic nie ma.

– Mieszkałem kiedyś w Chénierie...

– Daj spokój, spotkasz tylko duchy.

– Kto wie, czy nie chcę porozmawiać z duchami?

– Twoja sprawa – stary zaśmiał się cicho. – Jak chcesz, weź moją łódkę.

Etienne rozważył propozycję. Miał wprawdzie własną pirogę, ale łódka Nestora była szybsza.

Dowiozłaby go do celu, zanim zdążyłby zmienić zdanie.

– Naprawdę chcesz mi pożyczyć?

– Czemu nie? Teraz, kiedy mam własny pokój, nie muszę już uciekać na wodę.

– Pokój bez dachu...

– Zaraz, zaraz. Ma drzwi i zamek?

- Ma.
- A okna?
- Nie ma okien.

– I o to chodzi. – Nestor wrócił na ławkę i znów zabrał się za sieć. – Jak ci już mówiłem, Etienne, mam teraz wszystko, czego stary mężczyzna potrzebuje do szczęścia.

Gdy Etienne dotarł do celu, słońce zniżało się ku zachodowi. Długa podróż była męcząca, nawet dla kogoś, kto znał wody Lafourche tak dobrze, jak on.

A jednak nie zmęczenie odczuwał w tej chwili, raczej podniecenie. I smutek...

Dom wydał mu się mniejszy niż kiedyś. Dawniej otaczały go dorodne dęby, teraz sterczał samotnie z kłębowiska zarośli. Bluszcz zarósł okna, zastępując zielone żaluzje, które tak dobrze utkwily mu w pamięci. Wtedy, gdy Etienne stał cieniu, wpatrując się z przejęciem w tę oddaloną od ludzkich siedzib chatę, były opuszczone.

Tak, na zawsze zapamiętał ten obraz – drewniana, prosta budowla ukryta wśród poskręcanych dębów, zielone żaluzje i twarz mężczyzny. Zła twarz.

Teraz dom sprawiał wrażenie opuszczonego.

Drzwi wejściowe zwisały na jednym zawiasie, brakowało części dachu. Etienne zastanawiał się, który huragan go porwał – ten, który zabił jego rodzinę, czy ten, który przyszedł później, nie czyniąc już tak wielkich szkód, jak poprzedni. Tak czy inaczej, w zapadłej ze starości chacie nikt zapewne już nie mieszkał, tak samo zresztą jak w Chénierie. Stary Nestor miał rację – zostały tu tylko duchy.

Etienne miał już odejść, gdy nagle usłyszał zagniewany głos:

– Qui c'est ça?

Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, że na werandzie stoi mężczyzna – ten sam, choć nie tak wysoki, jak kiedyś, gdy oglądał go oczami chłopca.

– Fous le camp! Idź precz!

Etienne nie poruszył się. Nie wiedział, czy powinien posłuchać, czy też zostać. Ogarnęło go nagle przeczucie, właściwie pewność, że od tej decyzji zależy w jakiś sposób jego los.

Tymczasem mężczyzna podszedł do balustrady i osłonił oczy ręką, by lepiej przyjrzeć się intruzowi.

Miał na sobie znoszone, brudne spodnie. Długie włosy układały się w fale, gęsto przetykane siwizną.

Mocna niegdyś sylwetka przygarbiła się i skurczyła.

– Auguste Cantrelle? – zapytał Etienne przez ściśnięte gardło.

Mężczyzna zeskoczył z werandy i nieufnie zbliżył się do przybysza.

– A gdyby nawet, to co?

– Przypląnąłem do ciebie z Lafourche.

– Po kiego diabła?

– Żeby posłać cię do piekła!

Auguste gwałtownie cofnął się w tył.

– Kim jesteś? – zapytał cicho.

– Nie poznajesz? Twoim siostrzeńcem. Teraz drgnął, z wysiłkiem przełknął ślinę, kiedy jednak przemówił, jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

– Nie mam żadnego siostrzeńca. W ogóle nie mam rodziny.

– Już nie. Ale miałeś. I mogłeś dać jej schronienie w tym domu. Wolałeś jednak, żeby zabił ich huragan.

– Nie mam rodziny! Żyję sam!

– Nieprawda, nonc Auguste. To ty jesteś tym człowiekiem, który przyjechał na moczary i stanął nad łóżkiem dziecka, kiedy majaczyło w gorączce.

To ty powiedziałeś Faustinowi i Zelmie Terrebonne’om, że ten nieszczęsny chłopiec to Etienne Lafont, i ty zapewniałeś, że pochowałeś jego rodzinę po sztormie. Mówiłeś, że pogrzebałeś ją własnymi rękami...

Auguste przysunął się bliżej, złowieszco mrużąc oczy.

– Skoro tak powiedziałem, tak było. Jesteś Etienne Lafont i basta. Oui, zgadza się, pochowałem twoją rodzinę, z wyjątkiem ciebie. I tylko tyle mamy ze sobą wspólnego, nic więcej. Wynoś się więc, skąd przyszedłeś, i nie zawracaj mi głowy.

Etienne sięgnął po nóż i przeciągnął ostrzem po przegubie. Ciepła krew wypłynęła łagodnie i popłynęła wąską strużką po jego opalanej skórze.

Uniósł rękę, po czym nie spuszczać wzroku z Auguste’a, powiedział:

– To mamy ze sobą wspólnego, nonc.

– Powtarzam ostatni raz: uciekaj! Nic tu po tobie!

– Dlaczego powiedziałeś Terrebonne’om, że jestem Etienne? Skąd byłeś pewien, że Etienne nie uratował się, ucepiony szczątków jakiejś łódki tak jak ja? Czy jego też pochowałeś, nonc Auguste?

– Zwariowałeś, synku! Mówię ci przecież... Nazywasz się Etienne Lafont!

– Nie, Auguste. Nazywam się Cantrelle. Raphael Cantrelle – odparł powoli, a wraz z tymi słowami jego serce wypełniło potężne, dojmujące uczucie; uczucie, które zdławiło mu gardło, odebrało mowę, pozbawiło ostrości widzenia.

Miłość? A może nienawiść?

A może jedno i drugie...

– Non! – Mężczyzna potrząsnął gwałtownie głową, aż siwe włosy opadły mu na oczy. – Raphael Cantrelle nie żyje! Zginął w czasie huraganu! Nie rozumiesz tego? – Odwrócił wzrok i dokończył, patrząc w ziemię: – Pogrzebano go z matką i siostrą.

Widziałem tę mogiłę na własne oczy. Ten obcy z Nowego Orleanu sam pochował Marcelite i dwójkę jej dzieci; ten sam, z którym puszczała się na oczach całej wioski.

Raphael milczał. Wciąż czuł się dziwnie z tą nową świadomością własnej tożsamości. Raphael Cantrelle – właśnie tak się nazywał, a jego przypuszczenia potwierdziły się, gdy tylko ujrzał przed sobą wuja Auguste’a, jego twarz, wzrok, oczy, które odwracały się i patrzyły w bok, gdy stary uparcie powtarzał swoje kłamstwa. Raphael wiedział, że wuj kłamie. Wystarczył drobny impuls, by serce powiedziało mu, kim jest naprawdę i jaka krew płynie w jego żyłach – krew Marcelite, jego matki, krew jego siostry, krew Cantrelle’ów.

Zacisnął pięści i podszedł powoli do Auguste’a.

– Słyszałem o tobie różne opowieści, nonc – powiedział, a wówczas wuj uniósł wzrok i ich gniewne spojrzenia się spotkały. – Nawet w Lafourche było o tobie głośno. To ty zrobiłeś z mojej matki dziwkę.

To ty odmówiłeś jej pomocy, gdy została sama.

A została sama, bo ty zabiłeś mojego ojca!

Auguste był zbyt wściekły, żeby się bać.

– Idź precz i nie wracaj! Jesteś Etienne Lafont – powtarzał wciąż te same słowa niczym zaklęcie. – Raphael Cantrelle był bękartem, synem dziwki i jej kochanka. Ty zaś jesteś Etienne Lafont, sierota, ale z dobrej rodziny. Przeszłość się nie liczy i nie warto w niej grzebać, nie rozumiesz tego? Nieważne, co było, ważne, kim się stałeś...

– Stałem się człowiekiem bez duszy. Może to również nas łączy, nie uważasz, nonc Auguste?

– Nie chciałem tylko, żebyś zginął...

– Nie? Więc dlaczego zabiłeś mojego ojca?

Dlaczego skazałeś moją matkę i siostrę na śmierć?

Nie oszukasz mnie. Chciałeś się nas pozbyć, a jeśli umknąłem przed twoją ręką, to tylko dzięki łasce boskiej. No i jestem. Wróciłem, nonc Auguste.

Auguste już nie próbował niczego ukrywać.

– Ty durniu! – Zacisnął palce na balustradzie i znów potrząsnął gniewnie głową. – Nie wiesz, co to wdzięczność!

– Mam być ci wdzięczny?

– Tak, psie! Kiedy dowiedziałem się, że Terrebonne znalazł chłopaka podobnego z opisu do ciebie, od razu pojechałem, żeby sprawdzić, czy żyjesz. Jakiego szczeniaka pogrzebano wprawdzie z twoją matką, ale jego ciała nie sposób było rozpoznać. Inni byli pewni, że to ty, ale ja – nie.

Kiedy zobaczyłem, że żyjesz, mogłem cię przecież zabrać i potajemnie zabić. Ale nie zrobiłem tego.

Powiedziałem Terrebonne’om, że jesteś synem Lafontów, bo wiedziałem, że Etienne Lafont zginął. Dałem ci nowe życie, durniu, a ty co?

– Przykro mi, nonc. Ja tęsknię za dawnym.

– Bo nie wiesz, kim jesteś! Ale zaraz się dowiesz. Zaraz się dowiesz, skoro sam tego chciałeś. – Nie bacząc na nóż w dłoni Raphaela, Auguste z pogardą splunął młodzieńcowi pod nogi i wycedził: – Jesteś bękartem, czarnuchem, nieślubnym bachorem pewnego Mulata, który bezczelnie wlaź do łóżka Marcelite. Jesteś kwarteronem, mieszańcem. I masz to na zawsze zapisane w swoich rysach. Każdy, kto uważniej ci się przyjrzy, będzie wiedział. Mogłeś uchodzić za białego tylko dlatego, że dałem ci nazwisko rodziny, której czystości nikt nie ośmieliłby się kwestionować. Nikt nie poważyłby się na to, żeby oskarżyć Lafontów o zmieszanie krwi.

Niestety, wuj nie miał racji. Raphael aż za dobrze pamiętał rozmaite zaczepki, aluzje i dowcipy, rzucane przez dzieciaki z bayou w trakcie wspólnej zabawy. „Ach, Etienne, masz taką ciemną skórę, jakbyś opalił się już w łonie matki...” Albo: „Ach, Etienne, masz takie kręcone włosy, zupełnie jak tamten stary Murzyn z Cross Bayou...”

Wściekał się wtedy i buntował. Nie chciał słuchać, stawał do walki w obronie urażonego honoru. Ale teraz patrzył na wszystko inaczej – to dzięki tamtym przytykom i pokątnie szeptanym plotkom odzyskał swoje nazwisko. Był synem Marcelite Cantrelle, być może był synem Mulata, ale co z tego? Czy miałby się wyprzec własnego ojca? Ojca, o którym stary Juan powiedział, że był dobrym człowiekiem? Nie tylko zresztą on. To samo powiedziała mu jego matka, a Raphael wciąż słyszał w uszach jej słowa.

– Patrz, nonc, czy moja krew wygląda inaczej? – Podsunął mężczyźnie pod nos zakrwawiony przegub. – A może chcesz, żebyśmy się przekonali, czy twoja jest mniej czerwona?

– Dlaczego tu przyjechałeś? – Auguste chrapliwie wciągnął oddech. Na jego skroni perlił się pot, choć pod wieczór powietrze stało się chłodniejsze.

Dopiero teraz Raphael zauważył, że wuj z trudem łapie powietrze, a jego skóra ma siny, niezdrowy odcień. Pomyślał, że to pewnie jakaś choroba, i przez chwilę zrobiło mu się żal starego człowieka.

– Dlaczego mnie oszczędziłeś? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Bo za dużo było wokół śmierci.

– Co za wrażliwość!

– Nie tobie o tym sądzić.

– Powiedz, nonc, czy myślisz czasami o swojej siostrze? Czy śni ci się Marcelite? Zastanawiasz się, jak ukarze cię Bóg, kiedy umrzesz?

– Nie mam żadnych snów!

Raphael wiedział, że wuj kłamie. Widział to w jego udręczonych oczach.

– Nieprawda – powiedział. – Ciągłe o niej śnisz. I sam już nie wiesz, co gorsze – śmierć czy te nocne koszmary.

– Powiedziałem ci, że nie ty będziesz liczył moje grzechy. Wracaj do domu, Raphael. Żyj jako Etienne Lafont i zapomnij o przeszłości. Tylko tyle mogłem zrobić dla twojej matki.

– Czyli nie! Bo jestem Raphael Cantrelle, a nie Etienne Lafont. Syn szlachetnego człowieka i kobiety o dobrym sercu. Nie muszę się niczego wstydzić.

Może tylko wuja, który będzie smażył się w piekle!

Auguste otarł pot z czoła.

– Zostaw mnie, chłopcze – jęknął – jestem chory. Pozwól mi umrzeć w spokoju i nie przychodź tu więcej.

– Umrzesz, nonc Auguste, umrzesz na pewno. I tylko dlatego cię oszczędzę. Obyś umierał jak najdłużej i zdążył zanieść do Boga miliony modlitw. Módl się zwłaszcza o to, żeby twarz mojej matki, którą ujrzysz po śmierci, była uśmiechnięta.

Nie chowając noża i nie spuszczać wzroku z Auguste'a, Raphael odstąpił krok w tył. Potem drugi.

Wreszcie, widząc, że wuj spuścił wzrok i zasłonił twarz dłonią, odwrócił się i odszedł.

Moczary, wśród których dwanaście lat temu stała chata starego Juana, były teraz niczym dzika, nieskażona ludzką obecnością dżungla. Skłębione krzewy rosły kępami, maskując ślady, które mogłyby pomóc w odnalezieniu dawnej siedziby pirata- samotnika. Na próżno Raphael szukał studni czy choćby fundamentu glinianego pieca. Huragan, zrównując wszystko z ziemią, zniszczył także wszelkie punkty orientacyjne. W dodatku Raphael nie bardzo mógł ufać wspomnieniom utrwalonym w pamięci wystraszonego, przejętego siedmiolatka.

Miał ze sobą kawałek chleba i zimną fasolę.

Przysiadł na kępie, by się pożywić, zaraz jednak nadleciały moskity. Raphael zabrał wprawdzie moskitierę, plandekę i koce, lecz i tak wiedział, że noc będzie ciężka.

Rozpalił małe ognisko, by odegnać komary – a może duchy? – i ułożył się przy ogniu. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Nie mógł usnąć, głowę miał pełną wspomnień i dręczących myśli.

Moczary nocą były pełne życia, tętniły, pulsowały tysiącem najdziwniejszych odgłosów – lecz osada pozostała martwa. Z dawnej Chénierie zostało raptem parę domów, w których z początku próbowali mieszkać nieliczni ocaleni z kataklizmu mieszkańcy.

Jednak i oni w końcu się wynieśli. Ofiary huraganu pochowano w masowych grobach. Mogiły były płytkie, a podchodząca od dołu woda z czasem wypłukiwała szczątki. Nie sposób było zidentyfikować miejsca, gdzie spoczywał ten czy inny nieszczęśnik pogrążony w wodnym żywiole.

Mimo to Raphael odnalazł dawny cmentarz.

Ukląkł nawet i zmusił się do odmówienia modlitwy, wiedział bowiem, że matka, gdyby żyła, tak właśnie by się zachowała. Nie wierzył jednak, że Bóg wysłucha jego próśb. Nie wysłuchał kiedyś, czemu miałby wysłuchać teraz?

Popatrzył jeszcze chwilę w gwiazdy, wreszcie zamknął oczy. Natychmiast ujrzał przed sobą kobietę twarz. Kobieta nie była jednak jego matka. Ta była młodsza. Włosy miała proste, gładkie i miękkie, oczy – lawendowe niczym hiacynty. Uśmiechała się do niego, gdy zasypiał.

Kiedy słońce oświetliło moczary złotym blaskiem, Raphael znów zaczął szukać śladów chaty Juana. Tym razem mu się udało, choć o mały włos prze-gapiłby obramowanie dawnej studni. Kiedyś było ono wysokie, lecz z czasem nietrwała konstrukcja z drewna, trzciny i gliny zapadła się i schowała wśród bujnie porośniętych traw i pnączy. Nie znalazłby jej chyba, gdyby przypadkiem nie nastąpił na przegniłą belkę.

Schylił się i rozgarnął trawy. Teraz widać było wyraźnie zarysy studni. Dom Juana musiał być trochę na lewo. Za nim zalana wodą ścieżka wiodła ku wzniesieniom na linii brzegu.

Raphael był teraz znacznie wyższy niż wtedy, gdy Juan prowadził go w swoje tajemne miejsce, ale i woda sięgała wyżej, niż pamiętał. Z miejsca, gdzie powinien być dom, spojrzał tam, gdzie stały wówczas okryte porostami dęby, lecz zobaczył prawie pusty horyzont. Tylko linia wzgórz trwała na swoim miejscu. Zaczął iść ku nim, licząc na to, że odnajdzie jakimś trafem właściwą drogę.

W tym pośepnym, dzikim otoczeniu czuł się nieswojo. Nie bał się jednak. Jak można się bać, kiedy przeżyło się piekło? Kiedy widziało się na własne oczy, jak fala porywa matkę, małą siostrę, jak łódka rozpada się na kawałki i zapada w czarny, zięjący wir? Pamiętał, jak chwycił się rozpaczliwie jakiejś belki, jak wpełznął instynktownie na unoszone prądem resztki czyjejs łodzi, jak wczepił się kurczowo i trzymał co siłą, by nie zmyła go kolejna fala. Potem zabrakło mu siły i świat zaczął niknąć przed jego oczami...

Mniej wyraźne było wspomnienie przebudzenia.

Zapamiętał mglisty widok pochylonej nad nim kobiety i szybką, radosną myśl, że to mama. Czuł rękę, pieszczotliwie gładzącą go po włosach i chłodzącą rozpalone czoło. Wdychał silną woń olejku miętowego, używanego do zwalczania gorączki. Smakował na wargach słodycz miodu i czarnego bzu. Nie dopuszczał do siebie innych myśli, jak tylko tę, że oto zdarzył się cud i jego matka znów jest razem z nim.

Kiedy jednak otworzył oczy, zrozumiał, że matka nie żyje.

Długo nic nie mówił. Może bał się, że jeśli powie choć słowo, będzie musiał odpowiadać na kolejne pytania. A może gorączka odebrała mu mowę.

W każdym razie kiedy ocknął się po raz kolejny, u jego łóżka stał Auguste Cantrelle i opowiadał o nim tamtej kobiecie. Raphael nie był w stanie słuchać jego słów. Spozrzegł tylko, że wuj mówi o nim „Etienne”.

Później, gdy gorączka ustąpiła i poczuł się na tyle silny, by móc mówić, również nie wracał do bolesnych przeżyć. Zaczął żyć jako Etienne Lafont i uznał Zelme Terrebonne za swoją nową, przybraną matkę.

Czy zapomniał o swojej tożsamości? Właściwie nie, po prostu przeszedł do porządku dziennego nad zmianą, która się dokonała, a ta utrwaliła się z czasem w jego świadomości. Zewnętrznie stał się Etienne’em, wiecznie roześmianym chłopcem, w którego oczach błyskały wesołe iskierki i którego sam dobrze znał, jeszcze jako Raphael. Raczej instynktownie wiedział, niż rozumiał, że bycie Etienne’em jest bezpieczne – w przeciwieństwie do bycia Raphaelem Cantrelle, synem kobiety potępianej przez całą osadę, odrzuconej przez rodzinę i kochanka, który odciął cumę łodzi, by pochłonął ją huragan.

Bloto cmokało i bulgotało mu pod butami, ale uparcie szedł naprzód. Woda stała się tak głęboka, że zaczął mozolnie w niej brodzić, zanurzony po pas. Wreszcie stanął na twardym gruncie, wpatrując się w złamany pień dorodnego cypryśnika. Obok niego powinny stać jeszcze dwa inne drzewa, nie było jednak po nich śladu. Pozostało tylko jedno wyjście – cierpliwie poszukiwać resztek korzeni i wypatrywać wzgórków w trawie, pod którymi mogły kryć się pniaki. Zanim się jednak do tego zabrał, wyjął z worka złowioną poprzedniego dnia rybę i upiekł ją na ogniu. Zakąsił zdziczałymi winogronami, znalezionymi w ruinach Chénier.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy znalazł wreszcie pnie, których szukał. Stary, ułamany cypryśnik był prawdopodobnie środkowym spośród trzech, jakie rosły kiedyś w tym miejscu. Teraz musiał tylko poczekać do południa, aż cień, jaki rzucał ułamek pnia, wskaże właściwe miejsce.

Kiedy nadeszła pora, oszacował szybko, jak długi powinien być cień, gdyby drzewo pozostało w całości, i stanął w najdalszym punkcie. Potem odmierzył osiem kroków. Dobrze pamiętał, ile miało ich być. Teraz odwrócił się ramieniem do pnia i zrobił dalsze osiem kroków, do miejsca, w którym powinny skrzyżować się trzy cienie, gdyby drzewa rosły nadal. Usiłował wyobrazić sobie jedno z nich, ocenił swoją pozycję i po namyśle skorygował ją nieco. Dopiero wtedy odwrócił się raz jeszcze i popatrzył w stronę wzgórz i oceanu, by odnaleźć niewielką przerwę w odległej linii drzew. Niestety, zamiast ściany lasu zobaczył pusty horyzont, tylko gdzieniegdzie urozmaicony kępą roślinności. Przymknął oczy i próbował wypełnić ten krajobraz siłą wyobraźni. To, co widział kiedyś oczami siedmiolatka, zatarło się w jego pamięci. A przecież musiał wyznaczyć miejsce bardzo dokładnie. Wystarczy, by pomylił się choć o cal, a będzie kopał do sądneho dnia i nic nie znajdzie.

Ale czego właściwie szukał?

Wspomnienia o starym człowieku, którego zabrał sztorm?

Otworzył oczy, znów określił pozycję i odmierzył dalsze osiem kroków. Oznaczył miejsce kawałkiem drewna i wrócił po szpadel. Ostrze zagłębiło się z łatwością w usianą muszelkami ziemię.

Juan mówił, że trzeba kopać głęboko, lecz Raphael wiedział, że woda wypłukała warstwę ziemi i że wkrótce dokopie się do zalegającej pod gruntem wody. Pogłębił dół jeszcze odrobinę, po czym postanowił ponownie odmierzyć kroki.

Tym razem miejsce kopania wypadło nieco bliżej niż pierwsze, ale rezultat był identyczny – pusty dół podchodzący szybko mętną wodą. Przez resztę popołudnia przekopywał ziemię w różnych miejscach, aż wreszcie stało się jasne, że nic nie znajdzie.

Odrzucił szpadel, wyczerpany i zniechęcony, i otarł ramieniem pot z czoła.

Niepowodzenie mogło mieć wiele przyczyn. Być może zawiodła pamięć. A może kalkulacje były błędne. Możliwe też, że pomyłony stary Juan niczego nie zakopał; albo przeżył huragan, wrócił tu i zabrał swój skarb, a potem odpłynął, by nigdy nie wrócić do Chénierre. Do czego zresztą miałby wracać?

Raphael usiadł przy porzuconym szpadlu. Z dała dochodziły tęskne okrzyki mew. Był głodny, ale żeby zjeść, musiałby najpierw coś upolować. Zrezygnowany, pokręcił głową. Jako dziecko wiele myślał o piratach, marzył o ich pełnym przygód życiu, o skarbach. Czy zatem pamięć o skarbie starego Juana nie była pocieszającym mitem, utkanym przez jego wyobraźnię po śmierci matki? Miał zresztą wiele podobnych mitów. Potrafił na przykład wmówić sobie, że życie jest dobre. I że jego matka, gdyby żyła, zabrałaby go w inne, lepsze miejsce, gdzie wszyscy uważaliby go za dobrego, kochanego chłopca, a nie sierotę i odmienca.

Teraz dopiero zrozumiał, jak bardzo się ludził.

I tak dobrze, że udało mu się bezpiecznie przeżyć pod opieką Terrebonne'ów te kilkanaście lat. Gdyby ktokolwiek dowiedział się prawdy o jego ojcu, Raphael zostałby zepchnięty na margines. Wkońcu biali ludzie mieli czarnych w pogardzie, a w najlepszym wypadku zachowywali wobec nich obojętny dystans.

A czarni? Cóż, najgorsze było to, że jako mieszaniec Raphael nie przynależał nigdzie.

Owszem, żyli w tej okolicy kolorowi, którzy mówili po francusku z akademickim akcentem. Polowali, uprawiali ziemię, bawili się – ale zawsze w swoim kręgu. Nie przeszkadzano im, o ile z niego nie wychodzili. O ile nie zaczęły ich kusić białe kobiety i nie przejęły stylu bycia oraz pewności siebie białych mężczyzn. O ile nie narzekali na swój los i nie marzyli o lepszym. Pogodzonych ze swoją pozycją łaskawie akceptowano; innych – nie.

I dlatego właśnie Raphael nie miał szansy na akceptację. Żył jak biały, tańczył z białymi kobietami.

Wyedukowała go przybrana matka, która pragnęła dla niego czegoś więcej niż prostej egzystencji na moczarach. Przekroczył wszelkie dozwolone granice. Powiedzenie teraz prawdy o sobie równałoby się samobójstwu. Z drugiej strony, nawet gdyby milczał, ktoś wreszcie odkryłby tę niewygodną prawdę. Auguste twierdził, że jest wypisana w jego rysach.

Zelma tłumaczyła śniady odcień jego skóry mieszanką narodowości zamieszkujących Chéniere.

Inne rejony bayou były bardziej jednorodne pod względem pochodzenia mieszkańców, natomiast w rodzinnej osadzie Etienne'a Lafonta i Raphaela

Cantrelle'a mieszkali potomkowie Włochów, Portugalczyków, przybyszów z Wysp Kanaryjskich i oczywiście Francuzów. Niestety, Zelma odeszła już z tego świata i nie miał kto powtarzać tych wyjaśnień. Faustinowi pochodzenie przybranego syna było bowiem obojętne.

Słońce zniżało się ku linii oceanu. Trzeba było się zbierać. Wstał powoli, rozprostowując obolałe mięśnie, i schylił się po szpadel. Nagle coś przykuło jego uwagę. W kierunku, w którym patrzył, na horyzoncie, były drzewa. Nie tyle, ile pamiętał, ale jednak sporo.

A pomiędzy dwiema kępami widniała wyraźna przerwa. Trochę szersza niż przed laty, lecz przecież od tamtego czasu wszystko mogło się zmienić.

Raphael zmarszczył brwi. Czyżby to właśnie miał być właściwy kierunek? Czyżby zapomniał instrukcje Juana, mimo że uparcie przepowiadał je sobie przed zaśnięciem każdego dnia przez całe dwanaście lat?

A może jednak popełnił błąd w obliczeniach?

Spojrzał jeszcze raz na ułamany pień, który uznał od samego początku za szczątki środkowego cyprysnika.

Tymczasem środkowe w jego założeniach drzewo równie dobrze mogło być skrajnym – odnalazł przecież pod trawą ślady tylko jednego pnia.

Jeśli zaś tak, to nic dziwnego, że błędnie przyjęty punkt odniesienia zaprowadził go na manowce.

Zapomniał o zmęczeniu i zerwał się, aby zbadać miejsce, gdzie mogło znajdować się trzecie drzewo.

Grunt był tu bagnisty. Raphael zaczął brodzić w różne strony, usiłując wy-czuć nierówności bosymi stopami. I kiedy tracił już nadzieję, że coś odnajdzie, boleśnie uderzył się w palec o jakąś twardą przeszkodę. Natychmiast rzucił się na kolana, zaczął macać rękami w wodzie i niemal od razu natrafił na zatopiony pień.

Teraz wszystko poszło już łatwo. Oszacował, gdzie powinny się krzyżować cienie wszystkich drzew, odwrócił się w stronę widocznej na horyzoncie

przerwy w poszarpanej linii lasu i odmierzył osiem kroków.

Ano właśnie. Stał teraz jakieś sześć metrów dalej niż miejsce, w którym kopał uprzednio, prawie na krawędzi wody i ładu. Zaznaczył punkt gałązką i szybko pobiegł po szpadel.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, toteż z braku czasu musiał wybierać pomiędzy głębokością a szerokością kopanego dołu. Zdecydował, że będzie kopał płycej, za to szerzej. Zakładał, że przyipywy zabrały wierzchnią warstwę ziemi i cokolwiek Juan w niej zakopał, powinno być po latach znacznie bliżej powierzchni niż kiedyś. Kopał zajadle, mimo że po chwilowej euforii znów owładnęło nim zwątpienie i zmęczenie.

Kiedy łopata uderzyła w coś twardego, był tak otępiały z wyczerpania, że myślał, że to jedynie korzeń albo deska z rozbitej łódki. Dopiero gdy szpadel nie chciał zagłębić się po raz drugi, rzucił się na kolana i zaczął rękami odgarniać błotnistą ziemię.

Przedmiot, który wymacał, był płaski i czworokątny.

Raphael odgrzebał wierzch, wstał, a potem wbił z boku szpadel i podważył znalezisko od spodu.

Sięgnął po nie drżącymi rękami, wytarł połą koszuli. Znalezisko okazało się metalowym kuferkiem, zawierającym...

Nie, jeszcze kłódka. Choć stara i zardzewiała, trzymała mocno. Uporał się z nią za pomocą szpadla i dopiero teraz mógł usiąść z kuferkiem na kolanach. Jeszcze go nie otwierał, jeszcze czekał.

Co znajdzie w środku? Listy, fotografie, ślady życia innego człowieka, jego marzeń, uczuć? A może skarby?

Cokolwiek Juan ukrył przed światem i ludźmi, już nie wróci po swoją własność. Minęło zbyt wiele lat, już wtedy był chory i stary. A przecież po drodze był huragan, i to niejeden...

Raphael poczuł przyływ sympatii dla tego człowieka, który powierzył swą tajemnicę właśnie jemu, małemu chłopcu. Który znał jego ojca i mówił o nim dobrze.

Uniósł ostrożnie zardzewiałe wieko. Ostatnie promienie zachodzącego słońca wydobyły z wnętrza oślepiający blask skarbów, których widok poraziłby i oszołomił nawet największego bogacza.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lustro w biurze Luciena Le Danois potwierdziło jego najgorsze obawy: był bledszy niż wczoraj. Koło ust pojawił się siny cień, jak gdyby słabe, nieregularnie pompujące krew serce zaczynało przegrywać walkę z nieubłaganympostępem choroby.

Odwrócił się i wyrżał przez okno. Zobaczył nowe nabrzeże handlowe, wybudowane specjalnie dla Gulf Coast Steamship Line. Ta nowoczesna inwestycja stała się ukoronowaniem jego prezydenckiej kadencji. Była równie imponująca, jak SS Danish Dowager, najnowszy statek kompanii, której Lucien od lat szefował. W czasach Antoine'a, jego teścia, ogólnie dostępne nabrzeża były zatłoczone, nieprzepustowe, a opłaty za ich użytkowanie wciąż rosły. Dlatego też największe kompanie żeglugowe zmuszone zostały do wybudowania własnych, zaś Gulf Coast Steamship Line wcale nie była tu pierwsza. Ale stary Friloux nie rozumiał tych konieczności. Dopiero gdy ster firmy przejął on, Lucien, jej działalność nabrała rozmachu.

Cóż, czego można było oczekiwać od człowieka, który tak uparcie, wbrew wszelkiej logice, trwał przy starych, sztywnych zasadach? Najlepszym na to dowodem była jego postawa wobec pozamałżeńskich przygód własnego zięcia. Albo też – jakkolwiek okrutnie miałyoby to zabrzmieć – śmierć na Grand Isle w czasie huraganu. Antoine poniósł śmierć tylko i wyłącznie przez swój głupi upór.

Śmierć...

Śmierć prześladowała Luciena od lat. Zżył się z nią, choć wciąż jej się bał.

Śmierć teścia.

Śmierć Marcelite Cantrelle.

Śmierć chłopaka, którego uznał za syna.

Śmierć córki i nienarodzonego dziecka.

Krajobraz za oknem zafalował. Serce Luciena zabiło boleśnie, nierówno. Kiedy odziedziczył po Antoinie władzę nad firmą, nakazał przebudować biuro w ten sposób, by pogrubione ściany i zmniejszone okna nie przepuszczały dźwięków z zewnątrz.

Ale nawet najgrubsze ściany nie były w stanie pochłoniąć odgłosów z rzeki – huku parowych silników, gwizdów holowników i wreszcie przenikliwego dźwięku okrętowych dzwonów.

Właśnie z oddali zadźwięczał jeden z nich. Cholera, człowiek nie zwraca na nie uwagi, dopóki nie złączą mu bicia nad głową, wieszcząc ostatnią drogę.

Odsunął krzesło od biurka i usiadł, skłoniwszy głowę do kolan. Dopiero teraz udało mu się wziąć kilka głębszych oddechów. Dlaczego u progu nowego wieku, w epoce oszałamiającego postępu, nikt nie umie podreperować jego słabego serca?

Rok temu Lucien odbył długą podróż na północ, bezskutecznie poszukując pomocy u rozmaitych specjalistów. Każdy z nich był bezradny i każdy rozkła-

dał ręce. Oczywiście w Nowym Orleanie nikt poza jego osobistym lekarzem nie wiedział, jak wielkie postępy poczyniła choroba. Nawet Aurore nic nie podejrzewała. Na szczęście nie pytała o podróż, zajęta nieustającymi balami i rautami. Nigdy nie było jej w domu, gdy telefonowała.

Dzwon z oknem dźwięczał uparcie. Lucien wyprostował się i sięgnął do szuflady biurka po list.

Przyłożył go do piersi, czekając z nadzieją, że serce znów zacznie bić równo i mocno. Wymruczał po francusku fragmenty swojej własnej litanii pocieszenia, którą powtarzał tak często, że znał już ją na pamięć:

– Nie jesteś winny, mój synu. Musisz zrzucić ten ciężar i podjąć dalsze życie. Nic więcej nie możesz uczynić dla zbawienia biednych dusz, straconych w twojej łodzi. Tak wielu ludzi, całe ich setki, umarło tamtej nocy. Czy ojciec może winić siebie za to, że jego nowo narodzony syn został wyrwany przez żywioł z jego kochających objęć? Albo matka za to, że ukryła córki w domu, który porwała woda?

Takie są wyroki Boże, których nic nie zmienia.

Trzeba je przyjąć...

Umilkł i tak jak za każdym razem w podobnej sytuacji przypomniawszy sobie słowa ojca Grimaud.

Stary ksiądz miał rację – nie da się już odwrócić biegu wydarzeń tamtej fatalnej nocy. Nie da się cofnąć decyzji, słów, czynów. Gdyby zresztą Lucien wiedział, że tejże samej nocy woda pochłonie również jego teścia, czy coś by to zmieniło? Zapewne nic.

Zapewne...

– Tato?

Wyprostował się i wrzucił list od ojca Grimaud do szuflady. Nie podniósł się z fotela, by uniknąć kolejnego bolesnego skurczu serca. Skinął tylko córce głową na powitanie i gestem zaprosił ją, by weszła.

– Wiem, że nie lubisz, gdy tu przychodzę – zaczęła.

– A mimo to przyszłaś.

– Bo to, co się dzieje na rzece, pasjonuje mnie. Nie mogłam wytrzymać.

Przez chwilę miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie i zobaczył przed sobą młodą Claire Friloux.

Ale to była Aurore, jedyne dziecko Claire, które zdołała urodzić. Głos miała jak matka, lecz włosy o ton jaśniejsze, a oczy bardziej niebieskie.

Osiemnastoletnia Aurore była żywą dziewczyną o różanych policzkach i wibrującym śmiechu, który przyciągał uwagę mężczyzn. Lucien, istny pogromca konkurentów, szybko nauczył się jednak, jak gasić jej śmiech – i ich zainteresowanie.

Tego dnia miała na sobie ciężki ciemny kostium, niepasujący do drobnych dziewczęcych rysów. Koronkowa bluzka w odcieniu kości słoniowej zlewała

się z bladą cerą. Poznał kapelusz, który sam jej kupił; pióra rajskiego ptaka opadały z ronda kokieteryjnym łukiem na policzek – jedyny zalotny szczególnie u tej młodej i zbyt poważnej jak na swój wiek damy.

– Są chyba ciekawsze sposoby spędzania wolnego czasu.

– Może i są. – Uśmiechnęła się, ale ten uśmiech wcale nie rozjaśnił jej twarzy. – Czy nie uważasz jednak, tato, że jeśli mam urodzić ci kiedyś dziedzica kompanii Gulf Coast, to powinnam wiedzieć, jak ona funkcjonuje?

– Wystarczy, że twój mąż będzie wiedział.

– A jeśli nie będzie męża? – zapytała bez zmruczenia oka.

Chore serce znów boleśnie dało o sobie znać.

Kwietniowy poranek był wprawdzie chłodny i rześki, lecz Lucien czuł mimo to strużki potu płynące pod koszulą.

– Nie wygaduj bzdur – upomniął ją cicho.

– Bzdury? Nie spotkałam jeszcze mężczyzny, którego chciałabym poślubić.

– Ja też nie poznałem dotąd właściwego kandydata. Same chłystki i obiboki. Ale to także przez ciebie. Jesteś taka sama, jak te dzisiejsze młode kobiety. Wszystkie niecierpliwie marzycie o wielkiej miłości, a zapominacie o obowiązkach. Kiedy zrozumiesz, czego się od ciebie oczekuje, od razu znajdą się dziesiątki odpowiednich mężczyzn.

– Dziesiątki? Ho, ho... – Spojrzała na niego z błyskiem w oku, który go zaskoczył. Nie podejrzewał, że jego córka jest w stanie pozwolić sobie na podobne żarciki. – Czy wolno mi marzyć o tylu kawalerach, skoro nie mogę znaleźć nawet jednego?

Męczyła go ta rozmowa. Chciał, żeby Aurore sobie poszła. Problem małżeństwa córki i dziedzictwa kompanii Gulf Coast Steamship bez przerwy spędzał mu sen z oczu, od czasu gdy pewien chirurg w Minnesocie ostrzegł go, że niewiele już zostało mu życia.

– Co konkretnie chcesz zobaczyć?

Natychmiast poderwała się z miejsca.

– Pokażesz mi nowy dok?

– Nie mam czasu. – Wstał. – I nie widzę w tym żadnego sensu. Ale jeśli się upierasz – westchnął – każę cię oprowadzić.

– Wolalabym, żebyś ty mi pokazał.

– Przecież mówiłem, że jestem zajęty.

– A może po prostu źle się czujesz? – spytała ze szczerą troską. – Jesteś dziś bardzo blady.

Lucien nie był zachwycony, że to zauważyła.

– Daj spokój. Mówiłem...

– Pytam, bo ostatnio wyglądasz na zmęczonego. Jeśli boisz się, że ten spacer cię zmęczy, powiedz od razu.

– Nonsens! I nie powtarzaj nikomu swoich opinii! Jest wielu ludzi, których nie zachwycałaby wieść o moich zdrowotnych kłopotach.

– Nie rozumiem?

– Ponieważ włożyłem ogromne sumy w budowę Dowagera i tego doku. Zainwestowałem w naszą przyszłość. Unowocześniełem port, tak jak uczyniło to kilka innych kompanii. Ta inwestycja była moją inicjatywą, nie zaś zarządowi portu. To ja pożyczyłem zarządowi pieniądze na modernizację, rozumiesz?

– Nie bardzo.

– A te pieniądze musiały się skądś wziąć.

– Więc pożyczyłeś je im, żeby potem od nich pożyczać?

Lucien był zdziwiony, że córka go rozumie.

– W pewnym sensie. Pożyczyłem je od siebie samego z innych inwestycji i składników mojego majątku.

– Czy zarządcy zwrócą ci kiedyś pieniądze? Czy dok należy do ciebie?

– Gulf Coast jest wyłącznym użytkownikiem. Zostaniemy spłaceni kredytem na poczet przyszłych zysków.

– Z odsetkami?

Spojrzał na nią zdziwiony. Pochyliła się ku niemu z przejęciem, jej twarz nabrała rumieńców.

Nie przypuszczał, że kobieta potrafi tak bardzo się zaangażować w rozmowę o kredytach i inwestycjach.

– Nie. Zarząd nie może płacić odsetek. Możemy mieć tylko nadzieję, że firma zarobi wystarczająco dużo w odpowiednio krótkim okresie czasu. Ale to jest ryzyko.

– Bo w tym krótkim okresie możemy mieć kłopoty z płynnością.

– Nie będzie kłopotów, jeśli będziemy mieli dobry rok. Zresztą taka inwestycja powinna się według moich przewidywań zwrócić prawie natychmiast.

– Teraz zaczynam rozumieć. To wszystko jest bardzo subtelnie wykalkulowane, a ty jesteś gwarantem, że rozliczenia między portem a firmą zostaną bezpiecznie zrealizowane, prawda?

– Tak. – Zmarszczył brwi, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak poważnie z nią dyskutował. – Ale nie chcę już więcej męczyć twojej dziewczęcej głowy moimi interesami. To dla ciebie zbyt skomplikowane.

– Och, wcale mnie nie męczysz, tato. – Uśmiechnęła się, a jej uśmiech był zupełnie inny niż przedtem. – Za to sprytnie pominąłeś w ten sposób temat twojego zdrowia.

– Już ci mówiłem, że wszystko jest w porządku. Lucien marzył, by znów usiąść i zostać sam.

Zastanawiał się, kogo wysłać z Aurore. Jego sekretarz miał wprawdzie maniery dżentelmena, ale raczej nie dałby sobie rady z robotnikami portowymi i marynarzami. Dziewczyna wymagała opiekuna, który potrafiłby osadzić

tych prymitywnych typów, aby broń Boże jej nie zgorszyli, a jednocześnie zająć się nią w stosowny sposób.

– Poczekaj chwilę. Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, znajdę kogoś, kto cię oprowadzi.

– Naprawdę mi zależy, tato – odrzekła z przekonaniem. Znowu przemówiła jak jej matka, jednak tym razem Lucien dosłyszał w jej głosie ukrytą siłę i pewność, której zawsze brakowało Claire. Z zalem pomyślał, że przez lata nie doceniał swojej córki.

Aurore niecierpliwie chodziła po biurze ojca, czekając na jego powrót. Gdyby projektowała ten budynek, posadowiłaby go jak najbliżej wody; okna byłyby szerokie, aby można je było otworzyć i wpuścić do środka całe bogactwo rzecznej woni.

Od dzieciństwa pociągała ją atmosfera portu – widok bel bawełny, piętrzących się jak białe cegły zamku śnieżnego króla, spichrze pełne pachnących worków kawy z egzotycznych krajów Ameryki Południowej. Zachwycały ją pieśni robotników, rozładowujących statki, dzwonki mułów i przeraźliwe, parowe gwizdki lokomotyw, ostre wonie kreozotu, świeżo pociętych desek i dymu z węglowych palenisk. Będąc tam, czuła, że naprawdę żyje.

Pomyślała o Ti'Boo i dniach, które spędziły razem w Bayou Lafourche. Teraz jej przyjaciółka oczekiwała dziecka. Pisała rzadziej, ale z listów dosłownie promieniało szczęście. Jules okazał się troskliwym i pracowitym mężem, dbającym o byt rodziny, a ona wcale nie musiała czuć się jak zwierzę, złapane w pułapkę. Dziecko, którego się spodziewała, miało osłodzić niepowodzenia – zarazę, która zniszczyła skromne zbiory trzciny cukrowej, czy powódź, która zmyła połowę ich kuchennego ogródka.

Aurore nie mogła zapomnieć, jak cudownie i swobodnie czuła się w Bayou Lafourche. Cóż z tego, skoro musiała wrócić do pustego domu i pustego życia? Inne młode kobiety z Nowego Orleanu, debiutujące na salonach, potrafiły się rzucić w wir życia towarzyskiego, zapominając o całym świecie, ale nie ona. Może gdyby ojciec pozwolił jej iść na studia, byłaby szczęśliwsza. Jednak Lucien nie widział potrzeby dalszego kształcenia córki.

Przez małe okna ojcowskiego gabinetu patrzyła na harujących robotników i zazdrościła im ich losu.

Ci, którzy rozładowywali tony bananów, mogli się co najwyżej martwić tym, by nie ukąsiła ich tarantula czy jadowity zielony wąż, które przeżyły podróż w ładowni. Za to kiedy skończyli robotę, robili, co chcieli. Ona zaś musiała walczyć o każdy swobodny oddech, każdą myśl, każde marzenie. Paradoksalnie to oni byli wolni, a ona niewolnicą

Odwróciła się na dźwięk otwieranych drzwi.

Stała nieruchomo, wpatrując się w mężczyznę, który wszedł z jej ojcem do biura.

– Aurore, to jest Etienne Terrebonne, nasz nowy zarządca.

Odpowiedziała tak, jak nakazywała grzeczność.

Ukloniła się powściągliwie, ani na moment nie spuszczać wzroku z młodego człowieka. Trudno jej było jednak zachować spokój i obojętność na widok mężczyzny, który kojarzył jej się ze wspaniałą eskapadą do Bayou Lafourche.

– Jeśli dobrze rozumiem, pragnie się pani rozejrzeć po porcie, panno Le Danois? – zapytał oficjalnie z nienagannym angielskim akcentem. Ubrany był w dobrze skrojony garnitur, ale nie miał w sobie nic z dandysa. W wykrochmalonej białej koszuli i fularze wyglądał bardzo męsko i elegancko. Na szczęście nie zdradził słowem ani gestem, że się już znają.

– Tak, bardzo bym chciała zobaczyć port. Zostanie pan moim przewodnikiem?

– Jeśli pani zechce. – Skłonił się przed nią lekko.

– Z przyjemnością. To będzie dla mnie niezwykle przeżycie.

– Pamiętaj, Etienne – wtrącił się ojciec – nie życzę sobie żadnych incydentów, które mogłyby uwłaczać czci panny Le Danois.

– Kazałem już uprzedzić ludzi, że pańska córka będzie zwiedzała port, proszę pana.

– Dobrze – Lucien gestem dał znak, żeby wyszli – zostawcie mnie teraz samego.

Aurore była szczęśliwa, że może opuścić ponury gabinet. Kiedy znaleźli się na nabrzeżu, Etienne ujął ją pod ramię i poprowadził tuż przy ścianie budynku, by nie wjechał w nich wagonik załadowany po brzegi workami kawy. Po chwili wagonik przejechał, lecz on wcale nie puścił jej ramienia.

Przystanął w cieniu, patrząc sobie w oczy.

– Witaj znowu – odezwał się po chwili.

– Masz mi chyba wiele do opowiedzenia.

– A co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko.

– Wszystko? I jeszcze mam pokazać ci nabrzeże, tak?

– Nabrzeże może poczekać.

Uśmiechnął się po raz pierwszy, od kiedy zostali sobie przedstawieni. Aurore ze zdumieniem spostrzegła, że uśmiech Etienne’a wciąż działa na nią w jakiś niezwykle, czarowny sposób. Mimo upływu czasu znów czuła trudną do wytłumaczenia więź z tym przystojnym młodym mężczyzną.

– Mówiłem ci, że chcę znaleźć swoje miejsce w świecie, pamiętasz?

– Ale nie wspominałeś, że jest ono tutaj, w firmie mojego ojca.

– Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

– A ubranie? – Odstąpiła krok w tył, żeby lepiej mu się przyjrzeć. – I ten nienaganny angielski?

– Owszem, kiedy tu przyjechałem, mój angielski pozostawiał wiele do życzenia. Ale szybko się uczę. A co do ubrania... – Wzruszył ramionami. – Czy to takie znów ważne?

– Moim zdaniem bardzo ważne. Gdybyś przyjechał tu ubrany tak jak w bayou, ojciec mógłby cię najwyżej nająć do rozładunku, ale w żadnym razie nie dałby ci stanowiska.

– Masz rację.

– W takim razie powiedz mi prawdę. Dlaczego zdecydowałeś się tu przyjechać? I jak zdołałeś się przebić?

– Kiedy umarł mój ojciec, okazało się, że zostawił sporą sumę pieniędzy. Wykorzystałem je, by urządzić się w Nowym Orleanie. Chcę nauczyć się wszystkiego o żegludze i handlu. Myślę, że to dobry wybór.

– Kiedy to wszystko się stało?

– Niedługo po naszym spotkaniu.

Skreślił w stronę nabrzeża. Aurore ruszyła za nim. Przecielił pas, który szykowano pod linię publicznej kolei, a potem przeszli przez środek wielkiego składowiska beczek. To właśnie beczki były jednym z głównych towarów, jakie kompania Gulf Coast eksportowała do Europy. Kupowały je kraje produkujące wino, same ubogie w odpowiednie drewno. Beczek na placu ustawiono tyle, że można się było całkiem poważnie zastanawiać, czy w północnych stanach zostało jeszcze choć trochę lasów.

– Współczuję ci.

– Współczujesz? – Uniósł brwi.

– Z powodu ojca.

– Ach, dzięki za dobre serce.

– Dlaczego wybrałeś akurat żeglugę? I przede wszystkim, dlaczego Gulf Coast?

– W Nowym Orleanie wszystko ma coś wspólnego ze statkami. Ponadto jestem obyty z wodą i zupełnie nie ciekawi mnie kolej. Po co kłaść kilometry torów, kiedy ma się wielką rzekę, płynącą przez środek kraju? Niektórzy mówią, że Missisipi jest tak zatłoczona, że można przejść suchą nogą na drugi brzeg, skacząc z jednego parowca na drugi.

– Zgadza się. Tak przynajmniej było, kiedy byłem dzieckiem.

Odruchowo odsunęła się na bok, widząc szczura wskakującego na stos beczek. Etienne zauważył jej gest i powiedział:

– Nie powinniśmy tędy iść. Zabłocisz sobie buty.

– No i co z tego? – Uniosła spódnice wyżej.

– W końcu buty są do chodzenia, prawda?

– Tak, ale czy to najlepsze miejsce na spacer?

– Na pewno ciekawsze niż jakiś tam park. Zazdroszczę ci, że tu bywasz.

– Naprawdę? – wyraźnie niedowierzał.

– Tylko nie próbuj mi wmawiać, że jesteś jednym z tych mężczyzn, którzy uważają, że kobiety interesują się wyłącznie strojami i balami!

– Więc naprawdę, tak sama z siebie, chciałaś zwiedzić port?

– Oczywiście, inaczej nie zniosłabym szcurów i błota.

Etienne przyspieszył kroku, jakby chciał skrócić zwiedzanie do minimum.

– Czy kiedy zacząłeś tę pracę, skojarzyłeś nazwisko mojego ojca z moim?

– Z początku nie pracowałem dla niego. Moim pierwszym zajęciem było zbieranie opłaty brzegowej na pewnej przystani.

– W jaki sposób awansowałeś?

– Pewnego dnia spóźniłem się i łódź odplynęła, zanim zebrałem brzegowe. Dowiedziałem się, że jeden z parostatków twojego ojca płynie w górę rzeki, więc poprosiłem, by mnie zabrali w zamian za pomoc przy wylądunku. Dogańiłem tamtą łódź, pobrałem opłatę, a potem rozładowałem tysiąc kiści bananów.

– A jak wróciłeś do domu?

Etienne konspiracyjnie zniżył głos do szeptu.

– Wskoczyłem na barkę płynącą w dół rzeki.

Przespałem całą noc w beli bawełny. Rano byłem na swoim miejscu i zbierałem brzegowe jak gdyby nigdy nic.

– No dobrze, ale nadal nie wyjaśniłeś, jak zdobyłeś tę pracę – powiedziała ze śmiechem.

– Twój ojciec dowiedział się o całej historii i posłał po mnie swoich ludzi. Obejrzał mnie i powiedział, że szuka kogoś zaradnego i chętnego do pracy.

– No i co?

– Z czym? – roześmiał się Etienne.

– Czy domyśliłeś się, że Lucien Le Danois jest moim ojcem?

Zawahał się.

– Podejrzywałem. Ale nie dziwisz się chyba, że wolałem o to nie pytać.

Sama mówiłaś, że twoja wyprawa do Lafourche odbyła się bez wiedzy tatusia.

– W takim razie znasz moją tajemnicę.

– Nie obawiaj się...

– A ja znam twoją.

Przystanął gwałtownie i spojrzał jej w twarz.

– Co takiego?

– Naprawdę. Znam twoją przeszłość.

– Jak to?

– Tak to. Jesteś akadyjskim nożownikiem z Bayou Lafourche.

– I co zrobimy z tymi tajemnicami? – Etienne wyraźnie się rozluźnił.

– Będziemy ich pilnie strzec.

– Jasne – opuścił powieki, jakby już strzegł jakiegoś sekretu – tylko czy to w ogóle będzie konieczne? Przecież ty rzadko tu bywasz, a twój ojciec raczej

nie przejawia chęci zaproszenia mnie na kolację. Wątpię, czy nasze ścieżki będą się krzyżowały...

Mówił niedbałym tonem, lecz Aurore nie dała się zwiść. Etienne chciał wiedzieć, czy jeszcze ją zobaczy. Nawet jeśli podkreślał, ile ich dzieli i z jak różnych są światów.

– Myślę jednak, że będę przychodzić tu częściej – powiedziała. – Mój ojciec nie ma synów. Pewnego dnia Gulf Coast będzie moje.

– W takim razie rzeczywiście musimy na siebie uważać.

– Właśnie. – Przebiegła spojrzeniem twarzy, która tak ją wówczas zafascynowała. I fascynowała nadal. Po upływie roku stała się jeszcze bardziej atrakcyjna, bardziej zdecydowana i męska. Przymierzając Etienne'a do innych mężczyzn, nie miała złudzeń, że ten właśnie podoba jej się najbardziej.

– Opowiem ci o dokach. – Etienne zmienił temat, odwrócił się i zaczął iść naprzód. – Zanim zarząd portu przejął nad nimi kontrolę, były w prywatnych rękach. Pierwotnie zbudowano je wyłącznie z drewna, ale nasze są ze stali. Możemy tam zmieścić dwa statki, a kiedy zostanie zwodowany Danish Dowager, będzie dla niego specjalne miejsce przy naszym nabrzeżu. Ponadto możemy cały czas korzystać z innych, wynajętych doków.

– Chciałabym zobaczyć to wodowanie.

Zerknął na nią ze zrozumieniem.

– To naprawdę чудо. Piętnastokonne silniki, wielkie ładownie, specjalne urządzenia, dzięki którym można dostosować się do poziomu wody wrzecz. Opowiedzieć ci, jak działają?

Aurore skinęła głową i słuchała z autentycznym zainteresowaniem. Ale jeszcze bardziej interesujące było dla niej to, co Etienne powiedział jej wcześniej.

Czy może raczej to, czego nie powiedział.

Zdarzały się tego lata chwile, kiedy Lucien był pewien, że każdy jego oddech będzie ostatnim.

Niemіłosierny upał palił mu płuca i dławił serce.

Spał, siedząc na fotelu, przystawionym do otwartego okna sypialni. A gdy nie mógł spać, pisał listy do ojca Grimaud.

Rano chodził do biura, lecz rzadko zostawał do południa. Upał nad rzeką wydawał się jeszcze gorszy. Unikał także Pickwick Clubu, którego chłodne, ciemne wnętrza dawniej tak lubił. Teraz bał się, że jego niezdrowy wygląd może wywołać plotki. Czasami tylko podejmował wyprawę do doku, gdzie wykańczano Danish Dowagera, a najczęściej pod jakimkolwiek pretekstem już wczesnym popołudniem wymykał się do domu.

W październiku temperatury nieco spadły, przynosząc Lucienowi pewną ulgę. Jednak po męczącym lecie miał coraz mniej siły, by angażować się w

sprawy firmy. Wszystko zresztą funkcjonowało w niej poprawnie. Statki kursowały od portu do portu, przywożąc banany z Kostaryki i kawę z Brazylii; dostarczając bawełnę do Italii, wyroby drzewne do Francji i zboże do Anglii. Dzięki nowemu nabrzeżu załadowywanie i wyładowywanie było szybsze i łatwiejsze. I tylko ruch na rzece był coraz mniejszy, prawdę mówiąc, stanowczo zbyt mały, co niepokoiło Luciena i jeszcze bardziej dręczyło jego serce.

Dobrze, że przynajmniej miał dobrych, zaufanych ludzi, dzięki którym kompania mogła się rozwijać. Karl, jego sekretarz, sprawnie pilnował interesów pod nieobecność szefa. Tim Gilhooley, jego zastępca i człowiek do specjalnych poleceń, były bokser, potrafił w potrzebie zrobić użytek ze swej siły, ale też zrecznie wsunąć butelkę najlepszego bourbona z Kentucky do kieszeni klienta, którego trzeba było trochę urobić.

I wreszcie Etienne Terrebonne. Ten młodzieniec fascynował Luciena od samego początku. Najwyraźniej odebrał staranne wykształcenie, pomimo że urodził się w tak nieciekawym miejscu, jak Bayou Lafourche. Jego skóra była zbyt ciemna, jego krew zbyt wyraźnie latynoska – ale ubierał się starannie i wysławiał nader gładko. A poza tym, co najważniejsze, nie bał się ciężkiej pracy i wciąż nowych wyzwań.

Czasami Etienne sprawiał wrażenie nawiedzonego.

W ciągu kilku miesięcy nauczył się więcej o statkach i handlu niż pracownicy Luciena w ciągu wielu lat. Dwa razy awansował, ostatnio na zarządcę portu. Wykonywał swoje zadania pod troskliwym nadzorem Tima, chłonąc pilnie nową wiedzę.

W normalnych układach nie awansowałby tak szybko, mimo zdolności i zapału. Jednak Lucien nie miał już czasu, aby starannie i długo przygotowywać sobie następców. Gdy stało się jasne, że nie może liczyć na scedowanie firmy na męża Aurore, musiał poszukać innego wyjścia.

Aurore była jedną z najlepszych partii w Nowym Orleanie. Powinna liczyć na tłumy konkurentów, zwabionych wizją współdziedziczenia świetnie prosperującej kompanii. Rzeczywiście, było ich wielu, lecz ona potrafiła wszystkich skutecznie zniechęcić.

Zaś w roku 1906 nawet najsurowszy ojciec nie był w stanie zmusić córki, by wyszła za mąż wbrew swojej woli. Niestety.

I tak Lucien Le Danois, zmagając się z opornym sercem i z upartą córką, musiał szukać młodego człowieka, który byłby na tyle inteligentny, ambitny, obrotny i uczciwy, by mógł przejąć zarząd nad Gulf Coast po jego śmierci. Etienne Terrebonne szybko awansował na kandydata numer jeden. Propozycja otrzymania akcji, obietnica przejęcia funkcji Tima po jego przejściu na emeryturę, perspektywa rosnących dochodów i prestiżu – wszystko to powinno zdaniem Luciena na zawsze związać młodego człowieka z firmą, która na niego postawiła i mu zaufała.

Pewnego październikowego popołudnia, kiedy wkładał kapelusz i rękawiczki, szykując się do wyjścia z biura, usłyszał pukanie do drzwi. Miał nadzieję, że interesant będzie miał krótką sprawę.

Spieszył się na świeże kraby, które obiecał mu przyrządzić jego kucharz.

– Dzień dobry panu, panie Le Danois. – Etienne uprzejmie skłonił się w progu, zaś Lucien krótkim gestem zaprosił go do środka.

– Przejrzałem papiery, które mi przyniosłeś.

Wszystko w porządku. Znakomicie się spisałeś.

– Dziękuję panu. Czy mógłbym poznać pańskie zdanie na temat planu ubezpieczeń, jaki zaproponowałem?

– Gulf Coast zawsze podpisywała umowę z Fargrave- Crane. Wolałbym nie wprowadzać żadnych zmian.

– Doskonale rozumiem, sir. Myślałem tylko, że chciałby pan zaoszczędzić sporą sumę pieniędzy.

Dawniej Lucienowi nie przyszłoby do głowy, że mógłby rozważać sugestię Etienne’a. Właściciele i kierownicy wielkich kompanii działających u ujścia Missisipi mieli swój niepisany kodeks.

Wszyscy należeli do tych samych sfer społecznych i kręgów politycznych. Wymagali bezwzględnej lojalności i posłuchu, godząc się nawet na straty z tego tytułu. W zamian wspierali się wzajemnie w chwilach gorszej koniunktury. Osobiste poręczenie w sprawie pożyczki było w tym światku tyle samo warte, co poręczenie bankowe.

Ale Etienne’owi obca była wewnętrzna etyka tych kręgów. Za zgodą Tima rozpatrzył oferty nowych agencji ubezpieczeniowych, gdy odkrył, jak dużą sumę Gulf Coast płaci za ubezpieczenie swojej floty i ładunku. Jedyne wyjątkowa sytuacja firmy obciążonej kosztownymi inwestycjami sprawiła, że Lucien zezwolił na oszczędnościowe kalkulacje.

Uważał zresztą, że ma do tego prawo. Jego inwestycje podniosły standard portu, a decyzję budowy SS Danish Dowager, najnowocześniejszej i największej jednostki Gulf Coast, uważał za głęboko słuszną.

Postanowił podjąć kolejne ryzyko.

– Niech Tim dokładnie sprawdzi tę nową ofertę. A zwłaszcza, co to za ludzie ci Jacelle i Synowie. Wtedy porozmawiamy jeszcze raz.

– Tak jest, proszę pana.

– Zadowolony jesteś ze swojej pracy, Etienne?

– Bardzo.

– A ja z twojej.

Etienne uśmiechnął się i Lucien poczuł się jeszcze bardziej stary i bliski śmierci. Zazdrościł temu chłopakowi lat, które ten miał jeszcze przed sobą.

– Tęsknisz do rodzinnych stron? Mówiłeś, że twoi bliscy nie żyją, ale czy nie masz czasem ochoty wrócić tam i pożyć sobie spokojnie?

– Owszem, czasem mam. Ale jako chłopiec marzyłem też, że się stamtąd wyrwę. Zrobiłem to, muszę wykorzystać swoją szansę.

– No proszę. Widzę, że zawsze byłeś ambitny.

– Lucien włożył rękawiczki. – O ile znam Akadyjczyków, zwykle zadawają się byle czym. Dlaczego ty jesteś inny?

– Inny? Może tylko bardziej nieszczęśliwy.

– Ja też byłem inny. – Lucien odczuł niespodziewaną chęć podzielenia się swoimi przemyśleniami z Etienne'em. Było coś pociągającego w tej ledwie okiełznanej witalności, w intensywnym spojrzeniu ciemnych oczu, sile bijącej z ich spojrzenia.

– W jakim sensie, proszę pana?

– Powiedz, ile kreolskich rodzin zachowało swoje fortuny? – Nawet nie czekał na odpowiedź.

Obaj wiedzieli, że Kreole z Nowego Orleanu są wymierającym gatunkiem. Stare nazwiska jeszcze coś znaczyły, ale stopniowo ustępowały bardziej przebojowej, pospolitej krwi. – A wiesz, dlaczego tak się stało? – ciągnął Lucien. – Bo nie uznawali konieczności pracy. Nawet mój teść, Antoine Friloux, hańbił się nią tylko z przymusu. Wojna wyniszczyła większość naszych rodów. A ci co pozostali, nie wiedzieli, jak obracać resztą majątków, by przyniosła zysk. Ja wiedziałem. I teraz mam swoje finansowe imperium. Ale to tylko dlatego, że nie przerażała mnie ciężka harówka.

– Nader pouczający przykład – zauważył z szacunkiem Etienne.

– Jesteś jeszcze młody, chłopcze. – Lucien pozwolił sobie na westchnienie.

– Jeszcze wiele w życiu musisz się nauczyć. Widzisz, zawsze miałem nadzieję, że Bóg obdarzy mnie synem, bym mógł przekazać mu wszystko, co mam i co wiem...

Umilkł i przez chwilę w gabinecie panowała głęboka cisza. Etienne słuchał uprzejmie, lecz nie zachęcał też do dalszych zwierzeń.

– No dobrze, nie siedź tu do wieczora – odezwał się wreszcie Lucien. – Idź do domu, odpocznij. Albo rozejrzyj się za jakąś młodą kobietką. Jestem pewien, że niejedna miałaby ochotę pokazać ci wszystkie cuda tego miasta.

– Bardzo dziękuję, sir.

Lucien skinął mu głową na pożegnanie. Już w powozie przymknął oczy i ukołysany jednostajnym stukotem kopyt na granitowej kostce, zapadł w drzemkę.

Etienne patrzył, jak powóz Luciena włącza się w strumień innych pojazdów na nadrzecznej arterii. Powoził jak zwykle stary Murzyn, który służył rodzinie od czasów, gdy urodziła się Aurore.

Mówiła mu kiedyś, że bardzo lubi starego Fantome'a, bo ten zawsze gotów był ją kryć, kiedy coś przeskrobała wobec ojca. Etienne nie miał pojęcia, skąd wzięło się takie dziwaczne imię, wiedział wszakże, że on nie byłby w stanie polubić noszącego je człowieka. Fantome wydawał mu się zawsze złowrogą zjawą, sztywną i surową, majaczącą nieustannie w cieniu Aurore i jej ojca; widmem, które przeszywało go wszystkowiedzącym wzrokiem.

Etienne znał dobrze podobne spojrzenia, ten błysk, ten wyraz kojarzenia i rozumienia. Tak właśnie patrzyli nań kolorowi Kreole, zamieszkujący Vieux Carré. Ci gens de couleur stanowili klasę dla siebie. Uzyskali wolność na sto lat przed dekretem o zniesieniu niewolnictwa. Niegdyś wielu z nich miało swoje plantacje i niewolników, ale wojna zniszczyła ich pozycję. Teraz, w dwudziestym wieku, stawali się powoli przeżytkiem.

I te właśnie przystojne, gładkie hybrydy z minionej epoki rozpoznawały krew Etienne'a od jednego spojrzenia, odnajdując ją w szerokości ust czy łuku nosa. Oni rozumieli, dlaczego człowiek o mieszanej krwi najchętniej stałby się biały. Wielu z ich braci czy sióstr wybrało tę drogę. Spotykając go, zachowywali więc dyskrecję, ale domyślał się, co sądzą. A skoro wiedzieli jedni, dlaczego inni nie mieliby się domyślić? Grał w ryzykowną grę i każdy taki Fantome mógł pokrzyżować mu szyki.

Etienne zerknął przez okno za znikającym za rogiem powozem Luciena Le Danois. Przypomnił sobie ich pierwsze spotkanie przed rokiem. Obawiał się wówczas, że Lucien go pozna, a jednocześnie podświadomie liczył, że tak właśnie się stanie.

Gdyby został rozpoznany, musiałyby wymyślić błyskawiczną zemstę. Ale nic na to nie wskazywało.

Dawny kochanek jego matki, raz posławszy Raphaela na śmierć, uznał widocznie, że huragan spełnił swoją rolę, i nie był skłonny doszukiwać się rysów tamtego chłopca w twarzy obcego, młodego mężczyzny.

Luciena nie dręczyła niepewność, dręczyło go poczucie winy. I nawet w najgorszych snach nie podejrzewał, że po cichu, jak widmo, osacza go mściciel, który zabierze mu wszystko.

Z tyłu rozległo się skrzypnięcie drzwi. Etienne odwrócił się z obojętnym, uprzejmym wyrazem twarzy. Zobaczył Aurore, która szła ku niemu z dłonią wyciągniętą na powitanie.

– Odjechał, prawda? Widziałam powóz i skryłam się we wnęce. Myślałam, że wyjdzie wcześniej.

– Ale inni jeszcze nie wyszli.

– Powiedziałam im, że przyszedłam zobaczyć się z tatą, i przykro mi, że się z nim rozminęłam.

– Jeśli koniecznie chciałaś spotkać się ze mną, mogłaś wybrać inne miejsce.

Uniosła głowę, obrzucając go spojrzeniem niebieskich oczu.

– Czyżbyś chciał dać do zrozumienia, że mógłbyś mnie dziś zaprosić na przejażdżkę w plener?

W ciągu kilku miesięcy ich tajnych spotkań Etienne usiłował dopatrzeć się w Aurore Le Danois cech ojca. Na próżno. Ta dziwna kobieta, wodząca za nim bez przerwy rozmarzonym wzrokiem, zdawała się mieć zupełnie inną krew. Miała w sobie tyle samo ciepła, ile jej ojciec chłodu.

– Tak – powiedział, gładząc wierzchem dłoni jej policzek. – Powiedz, Aurore, jak się zdołałaś wyrwać?

– Skłamałam. – Zamrugała powiekami. – I dałam Cleo prezent, żeby się za bardzo nie dopytywała.

Poza tym mam przyjaciółki, które kłamią na moje życzenie. Uważają, że nasze schadzki są bardzo romantyczne.

– Ty też tak uważasz?

– Myślę, że mogłyby być jeszcze bardziej romantyczne.

Coraz intensywniej odczuwał jej obecność. Złociste, popołudniowe promienie słońca nadały cerze dziewczyny ciepłą, perłową barwę. Było w niej dziecko i kobieta zarazem. Pochylił się i musnął wargami chętne usta. Poczul, że Aurore drży, i przyciągnął ją bliżej siebie. Przyłgnęła namiętnie do jego torsu, miękkie piersi naparły na niego zza gorsetu.

– Etienne... – odsunęła się leniwie niczym człowiek otumaniony snem. – Ktoś może do nas wejść.

– Poczekaj. Zostań tu przez parę minut. Wyjdę pierwszy, wezmę dorożkę i będę czekał koło składu kawy. Tylko pamiętaj, nie wychodź za szybko.

Wychodząc z budynku, obejrzał się, czy Aurore nie idzie za nim. Najpierw nieświadomie naprowadziła go na Nowy Orlean i swojego ojca. Teraz pokazała mu nową, oszalamiającą możliwość zemsty, o jakiej dziecko o imieniu Raphael nie mogło nawet marzyć.

Oto planował wykończyć Luciena Le Danois,

zabierając mu wszystko. Nie tylko dobrze prosperujący interes, majątek i reputację. To byłaby zbyt mała kara za zbrodnie, których ten niegodziwiec się dopuścił. Zniszczy także Aurore, jego córkę – a wraz z nią wszelkie rachuby i plany. Odbierze przyszłość jemu i jego rodzinie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SS Danish Dowager miał być flagowym statkiem nowej floty Gulf Coast, przystosowanym zarówno do przewożenia pasażerów w luksusowych warun-

kach, jak i zabierania ładunku. Lucien planował budowę kolejnych tego typu jednostek, a swymi śmiałymi planami próbował zarazić wszystkich współpracowników i partnerów.

Aurore wiedziała jednak dobrze, że zarząd portu wcale nie jest entuzjastycznie nastawiony do tego projektu. Wydatki były ogromne, gdyż ojciec miał wygórowane wymagania i mimo gnębiącej go coraz częściej słabości i melancholii osobiście doglądał, by zbudowany w nowojorskiej stoczni statek wykończono przy użyciu najlepszych materiałów, wyposażono w najdoskonalwsze przyrządy i najelegantsze sprzęty. Kiedyś, w czasie jednej ze swych regularnych inspekcji w portowym doku, kazał wyrzucić wszystkie pojemniki z farbą za burtę, niezadowolony z jej zbyt bladego koloru.

Trasa Dowagera była gotowa już od dawna.

Ustalono, że w sezonie zimowym jednostka będzie pływać wahadłowym rejsem turystycznym między Hawaną a Nowym Orleanem, zaś przez resztę roku – do Nowego Jorku. W porównaniu z olbrzymimi liniowcami atlantyckimi należącymi do Cunard Line czy Hamburg-America, flagowy statek Gulf Coast ze stuosobową załogą i setką miejsc dla pasażerów nie przedstawiał się imponująco, był za to wygodny, luksusowy i nowoczesny. Nic więc dziwnego, że Aurore chciała zobaczyć go z bliska.

Wiele razy prosiła ojca, by pozwolił jej przychodzić do portu, aby mogła śledzić postępy robót, lecz on zbywał ją uparcie. Nie wiedział, że córka już dawno przestała słuchać ojca.

W grudniowe późne popołudnie, przed Bożym Narodzeniem, Aurore czekała ukryta w cieniu, o kilkanaście metrów od statku. Zapięła pelerynę, którą podwiewał chłodny wiatr. Fantome przywiózł ją tutaj powozem ojca i choć obiecał nie mówić nic Lucienowi, jego mina świadczyła o głębokiej dezaprobachie dla postępowania panienki. Ta dezaprobatą byłaby z pewnością jeszcze głębsza, gdyby wiedział, z kim spotyka się jego podopieczna.

Usłyszała kroki i ostrożnie wychyłała z cienia.

Brzeg rzeki był po zmroku niebezpieczny – wzdłuż pobliskiej Decatur Street ciągnęły się marynarskie spelunki i podejrzone meliny. Ojcowie miasta, w trosce o moralność obywateli, wyznaczyli wprawdzie granice dzielnic czerwonych latarni, lecz przecież każdy wiedział, że przestępczy światek nie da się zamknąć w rezerwacie. A rzeka i jej brzeg przyciągała wszystkich, którzy szukali sposobności do kradzieży czy rozróby. W jej ruchliwym ujściu, w zakamarkach portu i doków, równie łatwo jak szczena można było spotkać jakiegось obwiesia, zwabionego mnogością worków z ładunkiem, który można było dyskretnie opróżnić.

– Etienne? – zapytała niepewnie, widząc na tle bladego, zimowego nieba ciemną postać. – Etienne! – zawołała i z ulgą podbiegła ku ukochanemu. – Jak się cieszę!

– Dlaczego nie czekałaś w powozie?

– Bałam się, że cię nie znajdę.

– Straciłabyś mnie na zawsze, gdyby ktoś cię tu zauważył – powiedział szorstko, lecz ona, nie bacząc na ten ton, rzuciła mu się w ramiona.

Wciągu ostatnich kilku miesięcy gest ten stał się dla niej całkiem naturalny. Aurore żyła dla tych kradzionych chwil, choć stawały się one coraz ciężej okupione i coraz bardziej niebezpieczne.

Ojciec już dwa razy pytał, gdzie była po południu.

Ostatnio dłużej i częściej przebywał w domu, jakby coś podejrzewał. Kiedy zaś byli razem, kazał sobie dokładnie opowiadać, co robiła, z kim się spotykała i dokąd chodziła. Mało tego – nie dość, że zadawał szczegółowe pytania, to jeszcze uważnie słuchał odpowiedzi, co wcześniej nigdy mu się nie zdarzało.

Kiedyś Aurore byłaby szczęśliwa z tego powodu.

Ojcowskie zainteresowanie i uwaga była wszystkim, czego pragnęła. Teraz jednak to nadmierne zaangażowanie i wnikliwość pogłębiały tylko poczucie winy.

Aurore czuła się bowiem winna, że musi go oszukiwać, choć jednocześnie uczucie do Etienne'a usprawiedliwiała w jej oczach każdy grzech.

Etienne odsunął się, by uważnie spojrzeć w jej twarz.

– Jesteś gotowa, by wejść na pokład?

– Jesteś pewien, że nikt nas nie widział?

– Wszystko załatwiłem. Nikt nie będzie nas nachodził.

Ujęła go za ramię i przytuliła się mocniej. Gdy podeszli do statku, przy burcie pojawił się wachtowy.

Bez słowa opuścił prowizoryczny trap, kiedy zaś weszli, skłonił się przed nimi i zszedł na ląd.

Etienne wprowadził ją na pokład i wciągnął trap.

Zostali sami.

– Cały jest nasz, aż do dziesiątej.

– Nasz... – powtórzyła, lubując się tym słowem.

– Co najpierw? – zagadnął wesoło. – Kolacja we dwoje? Tańce? A może zwiedzanie?

– Zwiedzanie! – Aurore zawirowała radośnie, powiewając połami peleryny.

– Dobrze, tylko wezmę latarnię. Dopóki statek jest w doku, nie podłącza się prądu.

Jeszcze chwila i ruszyli na spacer po pokładach.

Na górnym przystanęli, by popatrzeć na rzekę.

Wtulili się w siebie i stali, oparci o reling, patrząc na migoczące światła miasta i przepływające w dole łódzie.

Etienne musnął palcami policzek Aurore. Zadrżała. Kiedy jej dotykał, miała poczucie, jakby coś się dopełniało; coś, czego brakowało od dawna i co wreszcie zostało jej zwrócone. Przymknęła oczy i pocałowała wewnątrz jego dłoni. Teraz zadrżał i on.

Trzymając się za ręce, przeszli na mostek, wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia nawigacyjne, a potem obejrzelni pomieszczenia dla załogi.

Przez szklane bulaje zaglądali do palarni i bawialni, kiedy zaś słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, zeszli na pokład spacerowy, a potem do wnętrza statku.

Palarnia była luksusowa. Wyłożono ją rzeźbioną, orzechową boazerią, podłogę wyścielono zaś puszystym dywanem w kolorze burgunda, na którym stały wygodne, skórzane fotele. Stoliki do domina albo do kart czekały już na pierwszych pasażerów.

Spragnionych zapraszał na drinki barek. Za bawialnią, w środku pokładu, umieszczono nawet niewielką salkę do pisania listów dla dam, z lustrami na ścianach i delikatnie rzeźbionymi stiukami na suficie.

– Gdybym wypłynęła w rejs na tym statku, spędzałabym tutaj całe godziny, pisząc do ciebie smutne listy – powiedziała Aurore, gładząc ostrożnie ozdobny sekretarzyk.

– Dlaczego uważasz, że podróżowałaś sama?

– A czy mogłoby być inaczej?

Etienne przysunął się bliżej.

– Ostatnio chyba nie narzekałaś na samotność? Zresztą żaden list nie wyrazi tego, co słowa. Bała się uwierzyć w to, co widziała w jego oczach. Przez całe życie pragnęła miłości, lecz zdołała się w końcu przyzwyczaić do życia bez niej.

Teraz, kiedy wreszcie ją spotkała, nie mogła myśleć o niczym innym. We śnie i na jawie, nocą i dniem, przy pracy i odpoczynku – istniał dla niej tylko Etienne.

– Nie chciałabym płynąć bez ciebie – westchnęła.

– Ale wyobrażasz sobie, jaki skandal byśmy wywołali, biorąc wspólną kajutę? – zachichotała.

– Dlaczego? – odparł poważnie. – Jeśli bylibyśmy po ślubie...

– Och, ślub byłby jeszcze większym skandalem. Ojciec ma inne plany odnośnie mojej osoby. Wściekłby się, gdybym za ciebie wyszła.

– Słowem nadaję się na jego najbliższego współpracownika, ale na pewno nie na zięcia?

– Przykro mi, ale on tak uważa, Etienne.

– A ty?

Aurore wbiła wzrok w lśniący blat sekretarzyka.

– Gdybym wyszła za ciebie, zrobiłby wszystko, żeby pozbaawić mnie prawa do majątku. Byłby gotów sam pozbyć się wszystkiego, żebym tylko nie miała co odziedziczyć.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nigdy nie potrafiłam zrozumieć postępowania mojego ojca, ale wiem, że oczekuje ode mnie całkowitego posłuszeństwa. Zniszczyłby nas oboje, gdybym nie podporządkowała się jego woli.

– W takim razie dlaczego jesteś tutaj? – zapytał, odsuwając się lekko. – Pociągają cię zakazane przygody? Pragniesz miło spędzić czas?

– A dlaczego ty tu jesteś? – odparowała. – Uznałeś, że warto uwieść córkę szefa i postarać się o korzystny mariaż?

Spodziewała się, że się oburzy. Większość mężczyzn tak by zrobiła. Ale nie Etienne

– Jestem tutaj, bo cię pragnę – odparł z prostotą.

– I pragnąłbyś nawet bez mojego nazwiska czy posagu? Nawet bez jednego udziału w Gulf Coast Steamship?

– Nie zależy mi na twoim nazwisku. I nie potrzebuję pieniędzy, bo mam własne.

Aurore zadrżała lekko.

– W takim razie dlaczego?

– Kiedy pierwszy raz cię ujrzałem, wiedziałem, że będziesz moja. Od początku tego chciałem.

– Są ładniejsze i mądrzejsze kobiety.

– Ale żadna z nich nie jest Aurore Le Danois.

– Czule ujął jej dłonie i uśmiechnął się lekko.

– Tylko lepiej od razu mnie uprzedź, bo nie chcę tracić czasu na darmo.

Zwłaszcza jeśli podzielasz poglądy swego ojca.

– Mój ojciec jest twoim szefem.

– Jego firma nie jest jedyną nad Missisipi i w Ameryce.

– Potrafiłbyś porzucić to, co z takim trudem osiągnąłeś?

– Moje cele są większe, niż myślisz – powiedział, przyciągając ją do siebie.

– Nie brałem ślubu z Gulf Coast, a posada u twego ojca nie jest szczytem moich marzeń. Znów się uśmiechnął, jego wargi musnęły jej usta. Były gorące, czułe, ich łagodny dotyk budził w sercu Aurore nie tylko ogień, lecz także jakąś tkiliwość, ufność. Zdawało się jej, że nie ma się czego obawiać, że może oczekiwać wszystkiego, czego zapragnie, że z Etienne'em jest bezpieczna.

Wsparła się na nim całym ciałem, westchnęła namiętnie. Marzyła, by pozbyć się tej nieznośnej bariery z ubrań i poczuć na swojej jego nagą, śniadą skórę. Po raz pierwszy pomyślała, że mogłaby żyć z tym mężczyzną wbrew woli i nakazom ojca.

– Poczekaj. Mam ci jeszcze wiele do pokazania – powiedział, łapiąc powietrze po długim pocałunku.

Aurore łakomie oblizwała wargi. Szybko się nauczyła, jak czerpać radość z tego cudownego tańca splecionych języków.

– Już i tak wiele mi pokazałeś.

Ujął ją za rękę drżącą dłonią i sprowadził po schodach w dół, do salonu. Na miejscu poprosił, by zaczekała, i po chwili zaczął zapalać jedną po drugiej kolejne świece, osadzone przed wielkimi ozdobnymi lustrami. Kiedy zaś wreszcie całe pomieszczenie oświetlił ciepły, migotliwy blask, znów ujął ją za rękę i poprowadził uroczyście do ustawionego w samym środku stołu.

– Mademoiselle Le Danois – skłonił się dwornie, wskazując gestem krzesło – proszę łaskawie, byś zechciała zjeść ze mną kolację.

Aurore aż klasnęła w ręce z radości. Czowała się jak bajkowa księżniczka. Wielkie pomieszczenie miało wysokość dwóch pokładów i wraz ze sklepionym sufitem, galerijką i lustrami rzeczywiście wyglądało jak sala balowa z bajek o Kopciuszku. W niszach pomiędzy lustrami stały posągi nawiązujące do greckiej mitologii, wśród których rozpoznała Apolla i Artemidę. Przez wysokie okna wlewał się romantyczny blask księżycy. Stół był zastawiony chińską porcelaną z monogramem armatora; pośrodku, w kryształowym wazonie, zdobiły go jasnozłote róże.

– Mademoiselle... – Etienne odsunął krzesło, gdy zaś usiadła, zniknął w cieniu jednego z bocznych pokoi, by już po chwili wrócić ze srebrną, nakrytą tacą. Uniósł kopulastą pokrywę, odkrył dwie małe, apetycznie rumiane kaczki, po czym doniósł jeszcze sałatę z kolorowych warzyw, wonny sos ostrygowy, szpinak z jajami na twardo oraz kompot owocowy z bitą śmietaną.

– Skąd to wszystko wyczarowałaś? – zapytała zdumiona.

Usiadł obok niej z tajemniczym uśmiechem.

– Lepiej nie pytaj.

– To jest cudowne, magiczne! Po prostu czary!

– Pokręciła głową z zachwytem.

– Mogę nakładać?

– Tak, proszę. Ależ jestem głodna!

Patrzyła, jak Etienne wprawnie dzieli kaczkę, podsuwała talerze pod kolejne dania, lecz skubnęła tylko z każdego po trochu – na tyle jednak dużo, by się przekonać, że tajemniczy kucharz, który je przyrządził, jest prawdziwym mistrzem.

Przez cały czas Etienne wpatrywał się w nią intensywnie. Jego ciemne oczy lśniły, gęste włosy opadły mu na czoło, rysy twarzy wygładziły się w blasku świec. Ona też mogłaby wpatrywać się w niego bez końca. Do tej chwili nie ośmieliła się myśleć o nim jako mężu, o dzieciach, które mogłaby mu urodzić, o wspólnych nocach – ale teraz, kiedy powiedział, że jej pragnie...

Uśmiechnął się, a wówczas zobaczyła w jego spojrzeniu żądzę – żądzę władzy i posiadania. Ale nie tak egoistycznego i bezwzględnego, jak u Luciena Le Danois. Te oczy były ciemne i aksamitne, kazały raczej myśleć o kolejnych sekretach, o słowach szeptanych w blasku księżyca, o pocałunkach bardziej namiętnych niż te, które dotąd wymieniali.

– Czy mademoiselle pozwoli poprosić się do tańca? – zapytał wreszcie, otarłszy usta serwetką.

– Jeśli czarodziej wyczaruje muzykę...

Znów zniknął w półmroku, jaki panował w rogu salonu. Pochylił się nad małym stolikiem, manipulując z uwagą przy jakimś urządzeniu. Po chwili rozbrzmiała wokół muzyka i rozśpiewał się męski głos. Aurore znów klasnęła w ręce jak mała dziewczynka.

– Gramofon! Etienne, pomyślałeś o wszystkim!

– Czy mogę prosić o taniec?

– Hm, chyba nie mam pana w swoim karneciku, ale mogę zrobić wyjątek – zachichotała i zaraz potem powalcowali pomiędzy stolikami w rytm trzeszczącej płyty.

Aurore była zachwycona. Przymknęła oczy i pozwoliła się prowadzić. Upajał ją Strauss, miękkie ruchy partnera, jego pewny chwyt i znakomite wyczucie rytmu. Miała wrażenie, że płynie, unosi się nad parkietem. Kiedy skończył się trzeci z kolei walc, nie myślała już o muzyce, tylko o przyprawiającym o zawrót głowy poczuciu wolności, jakie dawała jej bliskość tego mężczyzny. Rozchyliła usta, westchnęła leciutko, a wówczas on zaczął ją całować. Nim ucichły ostatnie dźwięki, stanęli, wtuleni w siebie, i coraz mocniej, coraz śmiej sycili spragnione miłości ciała.

– Aurore – przytulił ją mocniej, opierając policzek o włosy – och, Aurore...

– Nie wiem, kiedy będę mogła znów się wyrwać.

– Co się stało?

– Ojciec staje się coraz bardziej podejrzliwy.

Dzisiaj nie mógł się wykręcić od przyjęcia, ale zwykle wieczorami zostaje w domu. Liczy na moje towarzystwo...

– Jakoś sobie poradzimy – westchnął, po czym ujął jej twarz w dłonie i zajął prosto w oczy. – Czy mogę pokazać ci jeszcze jeden pokój? Taki, którego dotąd nie widziałeś?

– Och, tak... – Zmrużyła błogo oczy. Nie pytała, co to za pokój.

Kabina, do której ją zaprowadził, znajdowała się na pokładzie spacerowym. Była największa i najbardziej luksusowa, podzielona na salonik, sypialnię i niewielką łazienkę. Olbrzymie, miękkie łożo kusiło świeżą pościelą, przez szerokie okno wpadał srebrzysty blask księżyca.

Aurore nie próbowała udawać, że to dalszy ciąg zwiedzania statku. W tej chwili i w tym miejscu nie musiała już niczego przed nim udawać. Choć bo-

wiem niewiele wiedziała o miłości, jednego była pewna – że kiedy przyjdzie, trzeba ją pochwyć i nie puszczać; dać się jej ponieść i nie pytać o konsekwencje; ofiarować wszystko, co się posiada, i samemu odebrać swoją daninę.

Etienne jeszcze jej nie dotykał. Stał oparty o framugę z latarnią w dłoni i patrzył, jak Aurore ogląda pokój. Rozdzieliła ozdobne zasłony, wyjrzała na rzekę, powiedziała drżącym z emocji głosem:

- Zawsze byłam samotna. Ty też. Kto nas nauczy, jak być razem?
- Będziemy się wzajemnie uczyć.
- Zaczyniesz pierwszy?
- Tylko... kiedy będziesz pewna, że tego naprawdę chcesz.

Aurore popatrzyła mu prosto w oczy.

- Kocham cię, Etienne. Czy inaczej przyszedłbym tu z tobą?

Wszedł do środka, zamknął drzwi. Odstawił latarnię na toaletkę.

- Zawsze tak gładko ci to przychodzi?

– Pytasz, czy mówiłam te słowa do innych mężczyzn? – Położyła mu dłonie na ramionach i znów zatopiła się w jego żrenicach. – Nie miałam okazji, by je wypowiadać.

Etienne wytrzymał jej wzrok.

- To zmieni całe twoje życie.

– Mam nadzieję. – Wspięła się na palce i spróbowała pierwszego pocałunku. – Mój Boże, mam nadzieję... – powtórzyła z wargami na jego wargach.

Nie musiała dłużej czekać. Natychmiast otoczył ją ramionami, przygarnął do siebie mocno i zachłannie, a potem zaczął rozpinąć niezliczone zapinki i guziczki jej sukni, wyjmować kościane grzebienie z włosów, odsłaniać ukryte pod warstwą bielizny jasne, gładkie ciało.

Z początku pomagała mu w tym, potem sama zdjęła jego płaszcz i zsunęła mu z ramion koszulę.

Uczyła się dotyku nagiej piersi mężczyzny, bicia serca tuż przy sercu, żaru ust palących dotykiem policzki, szyję i piersi. Pozwoliła mu ułożyć się na łóżku, pozwoliła patrzeć na swą nagość, pozwoliła, by uczył ją tajemnic, których nie знаła i nie spodziewała się zgłębić. Przyjęła go zachłannie i w zamian dała sobie całą. A kiedy wreszcie znieruchomieli, szczęśliwi i zmęczeni, wiedziała, że miał rację.

Jej życie całkowicie się odmieniło.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdy Nowy Orlean ogarnęło szaleństwo ostatkowego karnawału, Aurore miała już pewność – nosiła w sobie dziecko Etienne’a.

Przynajmniej raz Cleo, której każde słowo zwykle trzeba było kupić, wydała opinię za darmo.

„Tak” – potwierdziła gospodyni – ta twoja przyjaciółka, moja droga Aurore, u której zatrzymała się, jak mówisz, miesiączka i której robi się niedobrze od woni końskiego łajna na ulicy, z pewnością jest w ciąży. W razie potrzeby Cleo obiecała służyć radą, jak pozbyć się niechcianego brzemienia, jednak Aurore nie pytała jej o to. Przerazona zarówno diagnozą, jak i ewentualnym remedium, zaszła się w swoim pokoju, by wszystko raz jeszcze przemyśleć.

Pokój wychodził na ogród z tyłu domu, gdzie zawsze kwitły kwiaty i krzewy. Ogrodnik Ephraim wykopywał z ziemi jedne, by posadzić następne, w zależności od pory kwitnienia. Krwiste tulipany jeszcze pyszniły się na grządkach, ale szparag pierzasty już padał pod ciosami łopaty, by ustąpić miejsca przebiśnigom.

Aurore nie znosiła tego procederu. Odgłos kwiatów, rzucanych na taczkę, wywołał kolejną falę mdłości. Wstała i zaciągnęła zasłony.

Dziecko...

Boże święty, dziecko!

Nie pragnęła dzieci. Nie wiedziała nic o ich nianczeniu i wychowywaniu – a tym bardziej o rodzeniu.

Czy będzie umiała je przytulić, odpowiedzieć na jego niewinne gaworzenie?

Będzie miała dziecko Etienne’a.

Zastanawiała się, jak mu o tym powie. Dopóki nie ustało miesięczne krwawienie, myślała tylko o nim, o tym wspaniałym mężczyźnie, jego ciemnych oczach znajdujących jej najszybsze myśli, niecierpliwych dłoniach błędzących w zakątkach jej ciała, słowach szeptanych wprost do ucha i budzących rozkoszne dreszcze. Etienne był dla niej niczym opium. Za niego mogłaby oddać wszystko.

Bezustannie kłamała, by móc się z nim spotykać.

Rzykowała utratę czci, bez wahania oddała swoje dziewictwo. Przehandelowała spokój i bezpieczeństwo dla szalonej miłości.

Lecz gdyby mogła cofnąć czas, bez wahania zrobiłaby to samo.

Zaczęła chodzić po pokoju, próbując uciszyć niespokojne myśli. Była zła, wszystko ją drażniło, wyposażenie jej panińskiego pokoiku zdawało się jej ironicznym komentarzem do stanu, w jakim się znalazła. Filigranowe tancerzki z porcelany, delikatne mebelki w stylu Ludwika XIV, brukselska kordonka zwisająca z baldachimem nad łóżem – wszystko kruche, wyrafinowane, subtelne, zamówione przez Luciena z myślą o grzecznej panience, która wąż-

cha kwiatuszki i czeka bezwolna, co przyniesie jej los, czy raczej szanowny papa.

A przecież ona była dorosła. Wiedziała, czego chce. Przecież miała mieć dziecko i pomimo nieznośnych młodości wiedziała, że ma w sobie dość siły, by je urodzić. Mała, blada, słabowita dziewczynka już dawno przeobraziła się w młodą, silną kobietę. Aurore nie była taka jak Claire.

Tak, urodzi to dziecko, przyjmie je.

Ciekawe tylko, co powie ojciec.

Opadła na łóżko i przymknęła oczy. Jej serce zabiło szybciej, ale wcale nie ze strachu. Aurore podjęła wyzwanie i była gotowa na wszystko, co ma nadzieję.

Dopiero po południu wstała i poszła do garderoby, aby wybrać inną sukienkę. Wcześniej zwymiotowała w łazience. Ale nogi już jej nie drżały, a ręce pewnymi ruchami przerzucały rzędy ubrań.

Etienne bał się nawet pomyśleć, że wszystko, do czego dążył, znalazło się właśnie w zasięgu ręki.

Przez całe lata w Bayou Lafourche myślał o zemście, lecz nawet gdy zdomowił się już na dobre w Nowym Orleanie, a potem w firmie Luciena Le Danois, nie wiedział, jak mógłby go zrujnować.

Uznał, że znalezienie sposobu może potrwać lata, toteż najpierw postanowił zdobyć jego zaufanie, wejść w łaski, a potem czekać, aż nadarzy się jakaś okazja.

Trzeba przyznać, że poszło mu nadspodziewanie łatwo. Od razu przyciągnął uwagę Luciena i bez specjalnych starań znalazł się w Gulf Coast Steamship, na dodatek – w przełomowym dla kompanii momencie. Lucien rozumiał potrzebę rozwoju, snuł wielkie plany, lecz sam nie miał dość siły, by je zrealizować. Potrzebował młodej krwi. I znalazł.

Kariera Etienne'a stała się wypadkową jego własnych zdolności i szeregu przypadków. Reprezentował sobą wyjątkowo szczęśliwe połączenie młodości, energii i inteligencji. Jego wychowanie i wykształcenie były wystarczające, żeby nie wzbudzać podejrzeń co do jego pochodzenia – i na tyle niewystarczające, by nie wzbudzać podejrzeń co do motywacji czy ambicji.

I oto teraz czuł, że zbliża się chwila zemsty.

Upływ czasu i rozmaite nowe okoliczności wcale nie osłabiły jego goryczy. Żądza odwetu była tak samo silna, jak przed laty; zmieniły się jedynie myśli o metodzie i sposobach. Lucien Le Danois wspomni wkrótce tamtą chwilę, kiedy to przeciął cumę łodzi, by rodzina Cantrelle'ów przestała zagrażać jego reputacji.

Sięgnął po ozdobnie przyciętą fotografię, odczytał dedykację na odwrocie: „Kocham” – Aurore.

Stała na tym zdjęciu sztucznie upozowana i uśmiechała się niepewnie, jakby cisnęła ją biała suknia, w której wystąpiła na balu debutantek.

Haftowany stanik podkreślał ponętny kształt piersi.

Włosy były szczesane z czoła i związane w węzeł. Tylko jeden długi lok załotnie opadał na nagie ramię.

Uroda Aurore zyskiwała w ruchu; nieruchome pozy raczej jej szkodziły. Była piękna tylko wtedy, kiedy się poruszała, mówiła, śmiała. Jednak miłość i ufność, jaka się wraz z nią pojawiła, zmieniły ją nie do poznania. Błada cera zyskała blask, smutne rysy ożywiły się, a usta uśmiechały się chętnie i zalotnie.

Etienne przesunął palcem po chłodnej szklanej powierzchni, chroniącej zdjęcie. Nieprawdopodobne, jak wiele pasji miała w sobie ta kobieta – zwłaszcza w łóżku, gdzie nie udawała niczego. Targnął nim znajomy dreszcz pożądania. Już dawno przestał się oszukiwać i wiedział, że uwiódł Aurore nie tylko po to, by zemścić się na jej ojcu. Ta dziewczyna nie miała w sobie nic z Luciena. Cierpiała przez niego, podobnie jak Etienne. I podobnie jak on, miała smutne dzieciństwo, choć inne były źródła jego i jej smutku. Najkrócej mówiąc, Aurore była jedną z wielu ofiar egoizmu Luciena Le Danois.

Dopiero teraz, po latach, zrezygnowała z beznadziejnej walki o uczucie ojca. Przyszła do Etienne'a niczym wygłodzone dziecko, zebrzące o byle okruszek.

I nagle jego wyrachowana strategia zemsty przerodziła się w żarliwą potrzebę roztoczenia opieki nad Aurore. Na zawsze.

Ktoś zapukał, wrywając go z zamyślenia. Odłożył fotografię do szuflady i otworzył drzwi. Stała w nich ta sama kobieta, na którą patrzył przed chwilą na zdjęciu. Padła mu w ramiona, zanim zdążył zamknąć za nią drzwi.

– Co tu robisz? – zapytał, zaskoczony. – Przecież uznaliśmy, że u mnie nie będziemy się spotykać. To zbyt niebezpieczne.

– Musiałam...

Przytulił ją mocno, poczuł drżenie jej ciała.

– Twój ojciec wie, że wyszłaś?

– Czekałam, aż pójdziesz do siebie na górę. Powinam być dzisiaj na przyjęciu i bałam się, że zechce pójść ze mną. Ale nie zszedł na dół. Chyba nie za dobrze się czuje. – Uniosła ku niemu bladą twarz. – Zresztą nie jest już ważne, co on myśli, Etienne.

– Wejdz, rozgość się. – Pchnął ją lekko na środek pokoju. – Zrobisz ci kawę, chcesz? Widzę, że zmarzłaś.

Aurore zbładła jeszcze bardziej.

– Nie, nie mogę pić kawy.

Zmarszczył brwi.

– W takim razie herbaty?

– Dobrze.

Posadził ją na sofce, a sam poszedł do kuchni.

Wrócił z parującymi filiżankami i usiadł naprzeciwko Aurore. Wsypał do herbaty cukru, wymieszał, po czym polecił krótko:

– Pij... No i jak? Teraz ci lepiej? Jeśli tak, to powiedz wreszcie, co się stało. Czy twój ojciec dowiedział się o nas?

– Nie, ale się dowie.

Czekał, co powie dalej, lecz Aurore milczała z udręczoną miną.

– Może zakaż ci wyjść za kogoś innego? – próbował odgadnąć. – Wysła cię gdzieś?

Pokręciła głową. Etienne poczuł pierwsze ukłucie lęku. Czyżby Lucien domyślił się, kim jest jego najbliższy współpracownik, i opowiedział Aurore całą historię? Nie, to niemożliwe. Nie wyznałby prawdy o tamtej nocy. Chyba że podałby fałszywą wersję.

– Czy martwisz się z powodu ojca? – dociekał.

– Nie. Nie chodzi mi o ojca. O nas...

Teraz zaczął bać się naprawdę. Musiała zmienić zdanie! Kiedy sprawy zaczęły zmierzać do pomyślnego końca, Aurore zdała sobie nagle sprawę, co traci. W chwilach uniesienia obiecał, że zadba o jej szczęście i bogactwo nawet wtedy, gdy ojciec wyrzuci ją z domu bez grosza przy duszy, lecz widać strach przed niepewnością i utratą wszystkiego zwyciężył. Już go nie chciała.

Gwałtownie potrząsnęła głową, jakby odgadła jego myśli.

– Nie, Etienne, nie przestałam cię kochać. – Chwyciła go za rękę. – Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek! Ale boję się...

– Czego? Powiedz mi wreszcie, na litość boską!

– Będziemy mieli dziecko.

Taka możliwość nie przyszła mu do głowy. Może tylko raz, kiedy zaczynali się kochać na statku, pomyślał, że mogłaby zajść w ciążę. Może podświadomie wyobrażał sobie wówczas minę Luciena, gdyby ten dowiedział się, że Raphael Cantrelle wypełnił jego córkę swoim nasieniem, nasieniem mieszkańca, kwarterona.

Ale ta myśl pojawiła się równie nagle, jak zniknęła, zaraz potem zaś Etienne zrozumiał, że odebranie dziewictwa Aurore nie jest aktem zemsty, lecz miłości.

– Dziecko – powtórzył cicho, czując, jak palce Aurore zaciskają się wokół jego dłoni. Uniósł je do ust i pocałował. – Jesteś pewna?

– Tak pewna, jak może być kobieta bez odwiedzenia lekarza.

– Dobrze się czujesz?

– Nie! Boję się, Etienne. Co teraz będzie?

Przymknął oczy. No proszę, oto niespodziewany finał całego dramatu. Zobaczył w wyobraźni twarz Luciena, bladą, udręczoną, wystraszoną tak samo, jak twarz jego córki.

– Wszystko będzie dobrze, Aurore – uśmiechnął się lekko i popatrzył na nią łagodnie. – Pobierzemy się. I wyjedziemy stąd. Nie wiem, może do Nowego Jorku, a może do Chicago? Będziemy żyć i mieszkać razem, nie oglądając się za siebie. Stworzymy wspólny, szczęśliwy dom...

– Dom? – Głos Aurore zadrżał. – Szczęśliwy? Jesteś pewien?

– Dlaczego mam wątpić?

– Wyrzuci mnie za próg tak jak stoję. Przyjdę do ciebie tylko z dzieckiem i z ubraniami na grzbiecie.

Coraz bardziej jej współczuł i coraz bardziej ją kochał. Biedactwo, była przekonana, że nic nie znaczy, bo tak wpajano jej od dzieciństwa. On jej wpajał, Lucien. Wszystkim dzieciakom powtarzał widać to samo – jemu przecież też. Pewnie tylko on zasługiwał na łaskawy wzrok niebios.

– Przyniesiesz mi siebie, a to jest najważniejsze – powiedział ciepło.

– Och, Etienne. – Łza spłynęła po bladym policzku.

– Ja naprawdę będę się starać. Będę pracować... ciężko... żebyśmy jakoś przeżyli... Niewiele umiem, ale mogę uczyć francuskiego... albo...

– Ciiicho... – Położył palec na jej ustach. – Nie musisz się o nic martwić. Nie zaznamy biedy, zapewniam cię, kochana. Pamiętasz? Wspominałem ci kiedyś o spadku, jaki dostałem po ojcu. Nigdy nie powiedziałem ci, co to jest.

– Nie musiałeś, to twój spadek.

– Niedługo będzie i twój. Jak tylko się pobierzemy. Poczekaj tu chwilę, nie odchodź. I nie denerwuj się więcej, Aurore, nie płacz...

Podniósł się i przeszedł do pokoju obok. Kiedy wrócił, siedziała nieporuszona w tej samej pozycji.

Postawił jej drewniany kuferek na kolanach, choć wiedział, że jest zbyt ciężki, po czym pogładził ręką gładkie sandałowe drewno.

– Tu są zamknięte marzenia pewnego młodego człowieka. I starego też.

– Twojego ojca?

Etienne nie odpowiedział wprost.

– Jestem pewien, że mój ojciec miał jakieś związane ze mną marzenia, ale już nigdy nie dowiem się jakie.

– I zostawił ci to?

– Tak – odparł i uniósł wieko.

W kufereku było niewiele klejnotów. Ktoś, kto zebrał skarb, prawdopodobnie przodek Juana, nie był zbyt sentymentalny. Kiedy dzielono łupy, wybierał raczej brzęczącą monetę w srebrze i w złocie niż biżuterię. Możliwe też, że część klejnotów została już sprzedana. Został tylko naszyjnik, para kolczyków

z diamentami i szmaragdami oraz pierścien z rubinem i szafirem. I jeszcze piękny zdobiony srebrny krzyż.

Aurore wyciągnęła po niego rękę.

– Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego! – Ujęła ostrożnie lśniący przedmiot, podniosła go do oczu, po czym odłożyła na stos złotych dublonów.

– Co to za skarby? Nie wygląda mi to na rodzinny majątek.

– To piracka fortuna.

– O, Boże...

Etienne nabrał garść złotych monet, przesiewając je sobie przez palce.

– Mogę się tylko domyślać, skąd pochodzi. Armada hiszpańskich okrętów przewoziła skarby z Nowego Świata do Europy. Niektóre z nich rozbiły się na wodach Luizjany, niektóre zdobyli piraci...

– Ale przecież twój ojciec...

– Kiedy ojciec znalazł mnie na moczarach po huraganie, wszędzie wokół leżały powyrywane z korzeniami drzewa. Po drodze do domu zauważył, że jedno z nich odsłoniło kufier, w którym był właśnie ten skarb. Ktoś musiał go zakopać dawno temu.

– I twój ojciec niczego nie sprzedał? Nie próbował polepszyć wam życia? Zapłacić za twoje szkoły, żebyś nie musiał harować?

– Zrozum, Aurore, był biednym, prostym człowiekiem. Tak naprawdę ten skarb niczego w jego życiu nie zmienił. Powiedział mi o nim dopiero na łożu śmierci.

– Dobrze, Etienne, ale te bogactwa miały kiedyś swoich właścicieli.

Pokiwał głową z pobłażliwym uśmiechem.

– Miały, owszem. Czyją więc teraz stanowią własność? Hiszpanów, którzy złupili Azteków? Majów, których już nie ma? Jak i komu miałbym je zwrócić?

Aurore westchnęła ciężko, jakby przytłoczona tym wszystkim.

– Ile to wszystko może być warte?

– Nie mam pojęcia. Niektóre monety są bardzo stare. Podejrzewam, że więcej można by za nie dostać niż za złoto, z których zostały wykonane.

– Zabrał kuferek z jej kolan. Nadal była blada, a zmęczone powieki opadały jej na oczy. Schylił się i ucałował je delikatnie. – Rozumiesz teraz, dlaczego nie powinnaś się bać?

– Tak – uśmiechnęła się blado. – Wyjdę za bogacza.

– Och, nie jestem bogaczem. Jeszcze nie. Ale ten kapitał może się stać załącznikiem prawdziwej fortuny, Aurore. Razem rozkręcimy jakiś interes. Mamy środki.

– Poczekaj, Etienne. Wciąż czegoś nie rozumiem. Dlaczego mając ten skarb, pracujesz dla mojego ojca?

– Gdyż pieniądze nic nie znaczą bez wiedzy i doświadczenia. A tego, czego się u niego nauczę, nie znajdę w najlepszych nawet szkołach.

Chyba mu uwierzyła. Uspokojona, skinęła głową.

– Wiesz, że mój ojciec i tak nie zaakceptuje cię jako zięcia?

– Nie potrzebuję jego akceptacji – odparł dumnie. – Wystarczy mi jego córka.

– Jest twoja, Etienne. – Policzki Aurore wreszcie nabrały zdrowszego, różowego koloru. – Była twoja zawsze. I będzie!

Pochwyił ją w ramiona i przygarnął zachłannie. Usiłował myśleć wyłącznie o ich przyszłym szczęściu.

Nie udało mu się. Wciąż zastanawiał się, co powie Lucien.

– Posłuchaj – szepnął z ustami na jej włosach. – Nie chcę, żebyś cokolwiek mówiła ojcu. Będzie usiłował nas powstrzymać. Umówimy się w jakimś miejscu, będę miał bilety na pociąg. Wyjedziemy z Luizjany i nawet nie obejrzymy się za siebie!

W jej oczach dostrzegł radość, nadzieję, ale też żal.

Gdy jednak zaczął ją całować, żal zniknął.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W Tłusty Poniedziałek król ostatkowego karnawału przebrany za francuskiego monarchę z dawnych dobrych czasów przyплыwał na królewskim jachcie do ujścia rzeki i odbywał paradę do Gallier Hall. Na trasie pochodu białozłotą karocę pozdrowiały wiwatujące tłumy. W miarę jak zegar wybijał godziny, brakujące do rozpoczęcia uroczystości, miasto ogarniała gorączka. Po południu, kiedy miała

się zacząć parada Proteusza, ulice zdawał się przebiegać dreszcz – poczynając od ekskluzywnych rezydencji na Saint Charles Avenue, po zatłoczone slumsy Freetown w dzielnicy Algiers.

Na godzinę przed paradą napięcie sięgnęło szczytu. Dzieci dokonywały ostatnich przymiarek strojów, mężczyźni palili tytoń, kobiety poprawiały fryzury. Wreszcie wylał się z domów potok ludzi i gęstniejąc, parł przez miasto ku Canal Street.

Aurore przepychała się przez radosny tłum, idąc pod prąd. Na ulicach rozbrzmiewała przeraźliwa kakofonia automobilowych trąbek i końskiego rżenia. Na rogu jakiś mały chłopiec powiewał karnawałowym biuletynem, prosząc

przechodniów o dziesiątaka. Aurore kupiła jeden, choć nie był jej już do niczego potrzebny. W połowie drogi do ujścia rzeki uświadomiła sobie, że nie sie ostatnią pamiątkę swojego życia w Nowym Orleanie. Być może już niedługo, oderwana od rodzinnego miasta, będzie tęsknie spoglądać na barwne litografie i marzyć, że kiedyś znów znajdzie się w domu.

Ale czymże tak naprawdę był jej dom? Teraz jej dom będzie tam, gdzie powiedzie ją Etienne. Z obawy, że ojciec mógłby się czegoś domyślić, wołała nie pytać, dokąd jadą. Chciała rozstać się z nim bez kłamstw.

Tłum gęstniał. Z dala dobiegały dźwięki orkiestry.

Jednak im bliżej było rzeki, tym bardziej stawał się nierealny cały ten karnawałowy rozgardiasz i gwar. Jeszcze zanim doszła do nabrzeża, Aurore zaciągnęła się głęboko niezwykłą, tajemniczą wonią rzeki i natychmiast zwilgotniały jej oczy – z nadmiaru powietrza w płucach i ze wzruszenia.

Nie żałowała karnawału. Nigdy naprawdę nie zasmakowała w jego szaleństwie, nie wypuszczano jej bowiem na ulicę. Ale tę rzekę pokochała całym sercem i żal jej było się z nią rozstawać.

Przyspieszyła kroku, gdyż robiło się późno. Wieczorem Etienne miał na nią czekać na dworcu. To ona zdecydowała, że wyjadą właśnie dzisiaj. Wybrała ten dzień, bo wiedziała, że ojca pochłoną bez reszty przygotowania do parady. Zanim zacznie się bal, a on dostrzeże brak córki wśród innych debiutantek, Aurore będzie już daleko.

Skręciła w lewo, ku nabrzeżu Picayune, niedaleko

Francuskiego Rynku. Tam cumowały statki z ładunkiem ryb, ostryg i świeżych warzyw, przywożonych z południowych bayou. Teraz, o zmroku, targowisko opustoszało. Pozostały zacumowane statki, zamienione chwilowo w pływające domy.

Aurore obrzuciła uważnym spojrzeniem zatłoczone pokłady. Szukała Ti'Boo, dawnej i jedynej przyjaciółki, do której przed kilkoma dniami wysłała list przez tego samego kapitana, który zawiózł ją kiedyś do Côte Boudreaux. Informowała w nim, że opuszcza Nowy Orlean, i prosiła o ostatnie spotkanie przed wyjazdem. Nie miała pojęcia, czy wiadomość dotarła i czy Ti'Boo będzie mogła przyjechać. Miała przecież dwuletnie dziecko – zdrową dziewczynkę o imieniu Pelichere. Podróż z Bayou Lafourche mogła się okazać dla niej zbyt daleka, nie mówiąc już o kosztach.

Już straciła nadzieję, kiedy zobaczyła znajomą postać, wysuwającą się spod brezentowej pałatki.

– Ro-Ro! – Ti'Boo zrećźnie przemknęła przez zastawiony skrzynkami pokład i zeskoczyła na brzeg. Po chwili z radosnym krzykiem przyjaciółki padły sobie w ramiona. – Ro-Ro!

– Ti'Boo! Nie wierzyłam, że przyjedziesz! Jak ci się udało?

– Nie pozwoliłabym, żebyś odjechała bez pożegnania.

Aurore zanurzyła twarz we włosy dawnej niani.

Potrzebowała jej odwagi, by zacząć nowe życie. – Przyjechałaś sama?

– A skąd! – Ti'Boo wskazała głową Julesa, który wyszedł właśnie na pokład lugiera. – Nie pozwolił mi jechać samej. Woli mieć mnie i Peli na oku.

– Czy był zły?

– Zły? – Ti'Boo zaśmiała się. – Dlaczego? Przecież o niego dbam.

Jules podszedł do nich, by się przywitać. Czupryna mu posiwiała, należał jednak do tego rodzaju mężczyzn, którzy z wiekiem zyskują na urodzie, więc wydał się Aurore znacznie bardziej przystojny teraz niż na weselu. Pozdrowił Aurore krótko i zaraz przeprosił, mówiąc, że musi sprawdzić po raz ostatni cumy.

– Posłuchaj, Ti'Boo, wychodzę za mąż – oznajmiła krótko, gdy zostały same.

Przyjaciółka nie okazała zaskoczenia.

– Czy twój ojciec wie? – spytała na wszelki wypadek.

Aurore pokręciła głową.

– Nie wie i na pewno byłby przeciwny. Znasz mojego wybranego. To Etienne Terrebonne z Bayou Lafourche. Przyjechał tutaj i pracuje u mojego ojca.

– Etienne? – Ti'Boo wciąż miała nieprzeniknioną minę. – Czemu właśnie on?

– Bo go kocham.

– Nie boisz się, co powie ojciec?

– Nie, bo i tak tego nie usłyszę. Wyjeżdżamy dzisiaj wieczorem. Pobierzemy się w innym stanie.

– Oj, Ro-Ro... – Ti'Boo z troską pokręciła głową.

– Tak?

– Nie możesz uciec od tego, kim jesteś. Ani ty, ani Etienne.

– Spróbujemy. – Aurore ścisnęła ramię przyjaciółki.

– Chodź, przejdziemy się.

– Jules pójdzie za nami.

– Tym lepiej, będzie bezpieczniej.

Ruszyły naprzód, trzymając się pod rękę.

– Smutny musi być taki ślub bez bliskich – westchnęła Ti'Boo.

– Przecież wiesz, że nigdy nie miałam rodziny.

– A twoja maman?

– Już przestała mnie poznawać; zresztą ojciec zabraniał mi ją odwiedzać.

Nawet zakonnice, które się nią zajmują, twierdzą, że najszcześliwsza jest, gdy zostawić ją samą sobie.

– Biedna Ro-Ro...

– Nie, już nie! – Aurore przekonywała ją z entuzjazmem.

– Teraz mam kogoś, kto mnie kocha!

Nie masz pojęcia, jakie to cudowne, po tylu latach!

– Mhm.

– Poczułam, że muszę koniecznie zobaczyć cię przed wyjazdem. Nie wiem, kiedy znów się spotkamy.

Jutro ojciec o wszystkim się dowie.

– Będzie cię szukał.

– Nie sędzę. Raczej wykreśli mnie ze swojego życia na zawsze.

Przez chwilę Aurore poczuła ukłucie żalu. Ojciec nie wierzył, że jego córka kiedykolwiek będzie w stanie samodzielnie kierować firmą, ona miała jednak nadzieję, że znajdzie się kiedyś dla niej jakieś miejsce, chociażby skromne. W mieście były już kobiety, które zajmowały się interesami. Jedna odziedziczyła nawet codzienną gazetę i z powodzeniem prowadziła ją aż do śmierci. Były i takie śmiałkinie, które pracowały na rzece. Kilka dowodziło parowcami, a jedna została pilotem.

Aurore uważała się za nie mniej zdolną. Wiedziała, że starczy jej zapału i inteligencji i że potrafi sprostać niejednemu mężczyźnie. Wierzyła, że któregoś dnia udowodni to ojcu. Żałowała, że nie może włączyć się w pracę firmy już teraz, kiedy lada chwila miał opuścić dok nowoczesny Dowager, a Gulf Coast miał dysponować własnym nabrzeżem – ale nie traciła nadziei na przyszłość.

Jednak decyzja o wyjeździe przekreślała wszystkie te plany.

– Nie potrzebuję do szczęścia Gulf Coast – powiedziała, jakby chciała przekonać sama siebie.

– Zacznę nowe życie z Etienne’em. Kto wie, może któregoś dnia dorobię się własnej kompanii żeglujowej?

– Zaczekaj, Ro-Ro. Nie spiesz się tak. Czy ty dobrze go poznałeś?

– A ty dobrze znałaś Julesa?

– Nie, ale znali go inni. Nasze rodziny znały się od zawsze. Jesteśmy nawet dalekimi krewnymi.

– Przecież znasz Etienne’a, Ti’Boo. Czy masz do niego jakieś zastrzeżenia? – Pytanie Aurore było czysto formalne i oczekiwała natychmiastowego zaprzeczenia. Kiedy więc milczenie przyjaciółki stało się podejrzanie długie, zaniepokoiła się.

– Ti’Boo?

Ti’Boo wciąż milczała. Dopiero huk fajerwerków rozpoczynającej się parady wyrwał ją z zamyślenia.

Czyżby zastanawiała się, co wolno jej powiedzieć?

Czy znała jakiś sekret dotyczący Etienne’a?

– Słyszałaś, że mieszkał z Faustinem i Zelmą Terrebonne’ami, prawda? Kiedy dochodził do siebie, rozpoznał go człowiek z Chéniere Caminada...

– Wiem.

– Podobno ten człowiek zaczął po sztormie żyć jak pustelnik. Il a pas tout.

– Dotknęła znacząco czoła, sugerując, że stracił zmysły. – Są tacy, którzy mówią, że ich oszukał.

– W jaki sposób, Ti'Boo? Co usiłujesz mi powiedzieć?

– To tylko plotki, ale... – Ti'Boo rozejrzała się szybko – ...ale niektórzy zastanawiają się, czy Etienne nie jest mieszanej krwi.

Aurore drgnęła i popatrzyła na nią zdumiona.

– Etienne?

– Tak. Moja mamana opowiedziała mi tę historię, kiedy byłam już po ślubie. Widocznie uważała, że wcześniej nie powinnam jej słyszeć. Zresztą sam Faustin po jakimś czasie nabrał podejrzeń. Stał się milkiwy i zgorzkniały. Potem zaczął pić. Nie wysłał chłopaka do przytułku tylko dlatego, że nie pozwoliła mu Zelma.

– Ale dlaczego? Skąd tak okropne podejrzenia?

– Tylko z powodu jego twarzy.

Aurore przymknęła oczy i zobaczyła w wyobraźni oblicze ukochanego.

– Nie! – Podniosła powieki. – To niemożliwe!

Gdyby Etienne miał w sobie choć kroplę murzyńskiej krwi, od razu bym to dostrzegła. Przecież znam czarnych lepiej niż ty, Ti'Boo. Służą nam w domu, w ogrodzie, w stajni, dosłownie wszędzie. Jedni mają skórę ciemniejszą, inni jaśniejszą, ale...

– No właśnie – przerwała jej Ti'Boo – są też i tacy, którzy z powodzeniem mogą uchodzić za białych. Szczerze mówiąc, współczuję im. Wyobrażam sobie, jakie to straszne, kiedy mężczyzna musi udawać kogoś innego, niż jest. A jeszcze bardziej należy współczuć kobiecie, która go kocha. Zwłaszcza jeśli urodzą im się dzieci.

Teraz Aurore zamilkła na długą chwilę. Wcześniej miała zamiar powiedzieć Ti'Boo o dziecku, ale teraz straciła nagle śmiałość.

– Przecież bym wiedziała... – odezwała się wreszcie.

– Ojciec by wiedział.

– Czy myślisz, że tak łatwo jest to rozsądzić?

Może być tak, może być inaczej. W każdym razie ludzie z dawnej Chénierre pochodzą z różnych stron. Coś tam się mogło przyplątać i możliwe, że Etienne jest dzieckiem mieszanców. Rozważ to, Ro-Ro.

Aurore puściła ramię przyjaciółki.

– Nie zrobię tego.

– Nie będziesz się zastanawiać nad pochodzeniem

Etienne'a czy będziesz udawała, że nie ma żadnej sprawy?

– Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką, Ti'Boo.

– Jestem, Aurore. I śmiem twierdzić, że jedyną jaką masz.

Aurore nie odpowiedziała. Czowała się paskudnie.

Była wściekła na Ti'Boo, lecz podejrzenia, raz zasiane, nie chciały się tak łatwo wyplenić. Usiłowała o nich zapomnieć – bez skutku. Przypomniła sobie, jak szorstkie są w dotyku włosy Etienne'a, jak szerokie ma kości policzkowe i nos, jaki jest odcień jego skóry...

– Nie musimy więcej o tym rozmawiać – powiedziała ciepło Ti'Boo. – Jeśli uznasz, że ta sprawa nie istnieje, dla mnie też nie będzie istnieć.

– Ti'Boo! – ktoś krzyknął za nimi po francusku.

Aurore obejrzała się i ujrzała Julesa, który gwałtownymi gestami wskazywał na ujście rzeki oraz rosnącą na niebie z sekundy na sekundę ognistą lunę.

Niemal w tym samym momencie rozdzwoniły się dzwony, a przeciwpożarowe syreny podniosły alarm.

– Ogień... – szepnęła Aurore, zdjęta nagłą zgrozą.

Ogień był straszliwym zagrożeniem, mimo bliskości wody. W porcie bez ustanku dyżurował Samson, stary tender strażacki, ale i tak każdy pożar, nim zdążono go opanować, pochłaniał zgromadzony na nabrzeżu i w portowych kanałach majątek. Niejeden potężny statek znalazł się z tego powodu na dnie.

Po chwili jej najgorsze przypuszczenia zmieniły się w pewność. Ogień trawił port, płonął przy nabrzeżu Gulf Coast, wzbijając ku niebu czarny warokcz dymu. Aurore puściła się pędem w tamtą stronę. Słyszała za sobą głosy Ti'Boo i Julesa, nawoływania strażaków, przeraźliwy dźwięk dzwonek i tupot kroków na nabrzeżu. Przyspieszyła.

Zapomniała o Etiennie i podejrzeniach Ti'Boo. Myślała teraz tylko o rodzinnej firmie.

I o ojcu.

Fantome podał płaszcz swemu panu, lecz Lucien odprawił go niecierpliwie, nakazując, by czekał w powozie. Chciał jeszcze przyjrzeć się sobie lustrze przed wyjściem.

Wyjściowy strój i lepsza pogoda sprawiły, że

wyglądał dzisiaj lepiej niż zwykle. Być może poprawiła mu też samopoczucie bliska perspektywa wodowania jego największego i najnowocześniejszego statku. Tak czy inaczej, po raz pierwszy od dawna pomyślał, że doktorzy też się w końcu mogą mylić.

Ostatnio dbał o siebie. Nie popłynął na łodzi w paradzie Proteusza i zamierzał się wykręcić od uroczystej kolacji w Opera House i z balu. Jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie. Uznał, że musi się przyjrzeć młodzieńcom, którzy zamówili tańce u jego córki.

Zakochana kobieta ma szczególnie, kwitnący wygląd.

Tak właśnie wyglądała ostatnio Aurore. Patrząc na nią, bez trudu odgadł, że jej serce wreszcie zabiło dla kogoś żywej. Ano właśnie – dla kogo?

Rozważywszy wszystkie możliwości, Lucien doszedł ostatecznie do wniosku, że wybrańcem może być Baptiste Armstrong, syn handlarza bawełną o szacownym, wspartym wieloma pokoleniami nazwisku.

Osobiście nie wybrałby dla córki tego chłopaka – lekkoducha, który czerpał garściami z fortuny ojca i tylko od czasu do czasu raczył zająć się interesami – był jednak skłonny przymknąć oczy na wiele spraw z uwagi na dobre pochodzenie nkandydata. Ba, miał nawet zamiar porozmawiać tego wieczoru z Charlesem Armstrongiem. Być może razem zdołają urobić chłopaka i pchnąć go we właściwą stronę.

– Monsieur Le Danois?

Odwrócił się, marszcząc brew. Fantome powinien czekać w powozie.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Zaraz przyjdę!

– Jest tu pan Terrebonne. Mówi, że musi z panem porozmawiać.

Lucien wyciągnął zegarek i sprawdził czas. Przyjęcie miało się niedługo zacząć.

– Dobrze. Poproś go, ale niech się streszcza. Po chwili do pokoju wszedł Etienne. Lucien skinął mu krótko, nie chowając zegarka do kieszonki.

– Co tam?

– Przepraszam, że przeszkadzam – Etienne zdjął z głowy kapelusz – ale chyba domyśla się pan, że nie przyszedłbym tu, gdyby sprawa nie była pilna.

Przeprosiny nie złagodziły irytacji Luciena. Sam się dziwił, czemu tak nerwowo reaguje na prośbę ulubionego współpracownika.

– O co chodzi? Mów szybko, bo czeka powóz.

– Musi pan koniecznie coś zobaczyć.

– Nie mam czasu.

– Sprawa jest wyjątkowa, sir.

W oczach młodzieńca dostrzegł dziwne podniecenie, drapieżne i dzikie. Zaniepokoił się nieco, a jego serce zaczęło szybciej bić.

– Coś się stało?

– Lepiej, jeśli pan sam zobaczy. Musimy tylko przejść do biura.

– Aż takie to ważne?

– Sam pan się przekona.

– Dobrze, chodźmy. Fantome nas podwiezie.

Mam nadzieję, że nie niepokoisz mnie nadaremnie, Terrebonne – dodał, choć teraz wolałby już, żeby sprawa Etienne’a okazała się nie wartą jego uwagi błahostką, za którą mógłby zmyć chłopakowi głowę.

Budynek Gulf Coast był ciemny i pachniał stęchlizną. Elektryczne światło wcale nie przydało mu ciepła. O tej porze byli tu sami, tylko we dwóch.

Po wyjściu z powozu Lucien odesłał Fantome’a do Opera House, żeby ten przeprosił w jego imieniu za spóźnienie.

– Proszę, wejdźmy na górę. – Etienne wskazał gestem schody i przepuścił go przodem.

Lucien musiał odpoczywać na każdym półpiętrze.

Etienne przystawał za nim cierpliwie, nie mówił jednak nic i tylko patrzył, jak jego pryncypał oddycha ciężko i ociera z czoła perlący się pot. Gdy dotarli do biura, zdyszany Lucien opadł na krzesło w sekretariacie, zaś Terrebonne usłużnie zapalił światło.

– No, co tam chciałeś mi pokazać?

Młodzieniec podszedł do dębowej szafy, wyciągnął teczkę i wręczył ją szefowi z ceremonialnym ukłonem. Lucien zmarszczył brwi, widząc tę niezwykłą u podwładnego demonstrację, ale nic nie powiedział. Przejrzał papiery, a potem oddał je z ciężkim westchnieniem.

– Nadal nie rozumiem, co tu może być ważnego. To kopie umowy ubezpieczeniowej dotyczącej Dowagera...

– Sugeruję, by zwrócił pan baczniejszą uwagę na podpis.

Lucien położył dokumenty na biurku i ponownie się w nie wpatrzył.

– Nie widzę problemu – powiedział z lekkim zniecierpliwieniem.

– Nic dziwnego, gdyż nie zna pan podpisu George’a Jacelle’a. Jednak zapewniam pana, że – wskazał na podpis u dołu ostatniej strony – nie jest on autentyczny.

– Co takiego?

– Po prostu ma pan w ręku podrobione dokumenty. George Jacelle nie widział ich na oczy.

Powiedziano mu, że postanowił pan ubezpieczyć statek w Fargrave-Crane.

Lucien nadal zdawał się nie rozumieć, jaki jest sens tych słów. Patrzył na Etienne’a niby gniewnym wzrokiem, lecz coraz bardziej obawiał się dalszego ciągu tej dziwnej rozmowy.

Jego rozmówca zaś poczuł właśnie, jak słodka może być zemsta. Wreszcie mógł zacząć ją smakować, napawać się nią, sycić; wreszcie miał szansę bawić się z wrogiem jak kot z myszką, patrzeć na jego upadek, dawkować cierpienie, z wolna, okrutnie, z namysłem.

– Głupia sprawa, M’sieu Lucien – uśmiechnął się krzywo – czy mogę znów się tak do ciebie zwracać?

– Jak to znów? – Lucien drgnął, kompletnie zaskoczony.

– Tak to. Kiedyś nazywałem cię „M’sieu Lucien”. Dawno, bardzo dawno temu. Nie pamiętasz?

– O czym ty mówisz? – Powinien być wściekły na smarkacza, że tak bezczelnie się spoufala, ale czuł tylko narastający lęk. – Najpierw jakieś sfałszowane podpisy, o których nic nie wiem, a teraz znów te bzdury!?

– O wielu rzeczach jeszcze nie wiesz, M'sieu. A przecież zawsze lubiłeś być panem sytuacji, prawda? Mało co wymknęło ci się spod kontroli. Byłeś nawet panem czyjegoś losu.

Lucien usiłował wstać, ale młody człowiek stanowczym gestem pchnął go z powrotem na fotel.

– Co się stało, M'sieu? Taki żeś słaby? A może teraz to ja wezmę twoje sprawy w swoje ręce?

– Jak śmiesz! Już u mnie nie pracujesz!

– Już nie potrzebuję tej roboty. – Etienne pochylił się nad nim i zajął mu w oczy. – Popatrz na mnie, M'sieu. Przyjrzyj mi się uważnie i powiedz, kogo widzisz.

– Szaleńca!

– Ha, to zbyt proste! Gdybym był szalony, mógłbyś mnie zagadać i uciec. Ale to ja ucieknę i zostawię cię tutaj, żebyś zobaczył, co ci zgotowałem na koniec życia. – Terrebonne! Ty naprawdę postradałeś zmysły!

– Najpierw mi się przyjrzyj, potem mów. I pomyśl o małym chłopcu o imieniu Raphael...

Oczy Luciena rozszerzyły się ze strachu.

– Raphael? – powtórzył cicho przez wyschnięte wargi.

– Raphael Cantrelle. Ten sam, którego posłał do świata umarłych, a który teraz wrócił i odtąd zawsze będzie nosił to imię. Nie Etienne. Już nigdy nie będę Etienne'em Terrebonne'em. Jestem Raphael i tak zostanie. No, powiedz, czy kiedykolwiek wyobrażałeś sobie, że zobaczysz dorosłego Raphaela?

– Sam go pochowałem!

– Jak widać nie.

Lucien znów spróbował się podnieść, ale tym razem własne ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

– Pewnie chciałbyś wiedzieć, co się stało z moją matką i siostrą – ciągnął tymczasem młodzieniec, o którym wciąż nie umiał myśleć jak o synu Marcelite, którego szeroko otwarte oczy widział na moment przed tym, jak ostrze siekiery opadło na burtę łodzi.

– Wiem, co się stało...

– I ja wiem, M'sieu. Szkoda, że nie mogły ożyć tak jak ja, prawda? Bo je naprawdę pochowałeś. We wspólnej mogile, wraz z innymi ofiarami. Tylko dlaczego nie ustawiłeś im nagrobka? Zresztą, może to i lepiej, że napisy nie kłują ludzi w oczy.

Marcelite Cantrelle – ukochana metresa Luciena Le Danois. I Angelle Cantrelle – jego umiłowana córeczka...

Lucien zakrył twarz dłońmi, głowę schował w ramionach.

Milczał i tylko z jego piersi dobywał się nierówny, chorobliwy świst.

– Nie wątpię, że jesteś ciekaw szczegółów – znów odezwał się Raphael. – Zastanawiałeś się pewnie, jak one umarły. Powiem ci, M’sieu... Kiedy odciąłeś cumę, naszą łódkę wyniosło na zatokę.

Sam to zresztą widziałeś. Poryw wichru wyrwał Angelle z ramion matki i cisnął nią w wodę. Maman skoczyła za burte, ale nie zdążyła jej chwycić.

Nawet nie utonęły razem... – urwał gwałtownie, jakby wzruszenie odebrało mu głos. Lucien wykorzystał tę chwilę i spytał ledwo słyszalnym szeptem:

– Czego chcesz?

– Niczego. Wszystko już mam.

Raphael zebrał papiery i podszedł do okna, żeby wyrzeć na rzekę. Wiedział, że Lucien nie ruszy się z fotela. Już był bez sił, a jeszcze przecież czekały nań nowe wieści.

Nie denerwował się i nie męczyła go niezręczna cisza. Wiedział, co się wydarzy, zaplanował bowiem czas co do sekundy i sprawdzał wszystko w myślach po wiele razy. Kiedy murami wstrząsnął huk eksplozji, nie musiał nawet patrzeć. Ciekawiej było śledzić grę kolejnych uczuć na twarzy Luciena Le Danois – lęk, niepewność, trwogę, która zdusiła mu głos, kiedy zapytał:

– Co to?

– Pieśń zemsty, M’sieu. Drugi akord.

Ale znekany Lucien jeszcze nie rozumiał.

Raphael pokręcił głową i powiedział z teatralnym westchnieniem:

– Ech, to był piękny statek, M’sieu. Zbyt piękny, żeby być twój.

Teraz wreszcie Lucien zdołał wstać i dobrać do okna. Rzeka stała się morzem ognia. Toczyła płomienie zamiast wód. Zaś gdzieś w głębi tego ogniste-go żywiołu majaczył czarny, osmalony kadłub.

– Tak, tak, to twój Dowager – potwierdził Raphael. – Teraz rozumiesz, dlaczego pokazałem ci ten podpis? – W odpowiedzi usłyszał tylko rozpaczliwy jęk. – Sam kazałeś mi załatwić ubezpieczenie – mówił dalej. – Ja miałem przygotować dokumenty dla Jacelle’a, ty zaś miałeś ubezpieczyć resztę floty w Fargrave-Crane. Chciałeś jednocześnie oszczędzić pieniądze i ocalić twarz. Unikałeś nawet towarzyskich spotkań, byle nie musieć się tłumaczyć, gdyby ktoś podjął ten temat...

– Ty draniu!

– Podpisałeś więc dokumenty i wysłałeś mnie z nimi do Jacelle’a. Przykro mi, ale w tym właśnie momencie postanowiłem, jak to mówią, namieszać, M’sieu. Powiedziałem im, że zmieniłeś zdanie i postanowiłeś kontynuować współpracę z Fargrave-Crane, a następnie sfałszowałem podpis Jacelle’a na naszej kopii umowy. Sugerowałem mu, żeby zaniechał dalszych nacisków, aby cię nie zniechęcić.

Jeśli pragnie dołączyć do grona najlepszych ubezpieczycieli w Nowym Orleanie, tłumaczyłem, powinien spokojnie czekać, dopóki nie poinformuję go, że nadszedł jego czas. No i Jacelle wycofał się, jak na dżentelmena przystało.

– Poczekaj, łajdaku! – Lucien odwrócił się gwałtownie, jakby chciał uciec, jednak kolejne słowa Raphaela osadziły go w miejscu.

– Teraz już wiesz, że Dowager nie ma ubezpieczenia, podobnie jak wszelkie towary zgromadzone w porcie. Ciekawe, czy coś ocaleje, gdy będzie po wszystkim. A swoją drogą – mówił

Raphael, nie spuszczać wzroku z twarzy wroga – byłem naprawdę zdumiony, kiedy odkryłem, jak łatwo cię zniszczyć. Gulf Coast podjęła ryzyko, pożyczyla więcej pieniędzy, niż powinna, poczyniła śmiało inwestycje. Pokorowa zagrywka, M'sieu.

I rzeczywiście, szczęście, na które tak liczyłeś, jak dotąd ci sprzyjało. Cóż, zdaje się, że właśnie przestało sprzyjać...

Za oknem rozdzwoniły się dzwony. Płomienie z doków i nabrzeża strzelały już wysoko na kilka pięter. Lucien zakrył uszy, zachwiał się i chwycił kurczowo najbliższego krzesła

– Może i mnie zrujnujesz – wykrzyknął – ale ja pociągnę cię za sobą! Powtórzę wszystko, co mi tu powiedziałeś! Przed prokuratorem!

– Tak? A jakie będziesz miał dowody mojej winy? – Raphael z szyderczym uśmiechem pomachał mu dokumentami przed nosem, po czym rozdarł je na pół i jeszcze raz na pół, a strzępki wepchnął do kieszeni. – Gdybyś się jednak zdecydował, mam pewien argument, który cię utemperuje.

Mogę opowiedzieć komu trzeba tę samą historię, którą opowiedziałem tobie.

– I myślisz, że zaciekawia kogoś wydarzenia sprzed szesnastu lat?

– Plotki na ten temat krążyły od dawna. A kiedy przypomni się to i owo, twoja reputacja będzie zrujnowana. Czy na tym właśnie ci zależy? Lucien zmrużył oczy. Wiedział, że jest pokonany.

Nie godził się jednak na kolejne upokorzenia.

– Ty wszawy bękarcie! Powinieneś zginąć w tamtym huraganie! Jakim prawem pozostałeś żywy?

– Nie rozumiesz? Musiałem przeżyć, żeby pomścić matkę i siostrę.

W pokoju zrobiło się cieplej. Raphael nie planował pożaru w biurach Gulf Coast, lecz bele bawełny zalegające portowy plac zajęły się równie szybko, jak stosy belek przesyconych krezotem. Teraz wystarczyłby jedynie silniejszy powiew wiatru, a pożar ogarnąłby cały budynek.

– Jeszcze nie wiesz wszystkiego – postanowił do końca być bezlitosny. – Powiem ci szybko, póki jeszcze dychasz, bo za chwilę może być za późno.

Twoja córka jest w ciąży. Ze mną. Dzisiaj wyjeżdżamy.

Lucien osunął się na kolana i zaczął spazmatycznie łapać oddech. On zaś stanął nad nim, skrzyżowawszy ramiona, i przyglądał mu się z nieruchomą twarzą.

– W ten sposób tracisz już drugą córkę, M'sieu, a twoje dziedzictwo na zawsze łączy się z moim.

Żałuję tylko, że skaziłem swoją krew krwią Le Danois.

– Łzesz! – zacharczał z wysiłkiem Lucien. – To kłamstwo!

– Jeśli dożyjesz jutra, przekonasz się, że Aurore uciekła. A zresztą będziesz miał okazję przekonać się wcześniej, kiedy przeczytasz list, który kazała włożyć ci pod poduszkę. Nie jesteś wart swojej córki, M'sieu. Lecz wiedz, że nie jestem zupełnie bez serca, więc zostawię ci odrobinę nadziei. Kocham ją, bo nie ma w sobie nic z ciebie. Kocham ją i będę o nią dbał tak, jak ty nigdy nie dbałeś. I mam tylko nadzieję, że nie odnajdę ciebie w żadnym z naszych dzieci. A będziemy mieć ich wiele, M'sieu. Wiele, wiele dzieci, które przedłużą ród Le Danois i ród Cantrelle'ów.

Plomienie z płonącego statku wystrzeliły jeszcze wyżej. Raphael wiedział, że za chwilę cały majątek Gulf Coast Steamship pójdzie z dymem – i czekał na to z dreszczem mściwej satysfakcji. Oto spełnił obietnicę, którą złożył jako mały chłopiec. Oto dokonał zemsty. Matka i siostra mogą odtąd zasnąć spokojnie w objęciach Najwyższego.

A Lucien rychło doczeka piekła. Właśnie osunął się na podłogę i leżał teraz twarzą do ziemi, bezsilnie drapiąc palcami dywan, pokryty siwą warstwą popiołu. Oddech miał świszczący, wysilony. Człowiek, który zabił jego najbliższych i próbował zabić jego, był teraz strzępem człowieka.

– Pożegnaj cię już, M'sieu – powiedział, nachylając się nad nim. – Budynek wprawdzie jest bezpieczny, ale jak sam widzisz, w życiu zdarzają się różne niespodzianki. Nie trać czasu, uciekaj. Ja sobie kiedyś poradziłem, może i tobie się uda.

W progu odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na pokonanego. Dziwne, ale wciąż brakowało mu czegoś do pełni triumfu. Lucien leżał cicho i tylko ubranie unoszące się na piersi świadczyło, że jeszcze żyje. Czy na tę właśnie żałosną scenę czekał przez całe swoje życie?

Do licha! Zamiast radości czuł pustkę – taką samą pustkę, z jaką żył przez lata, zanim zakochał się w córce tego człowieka.

Trudno, to już przeszłość. Od dzisiaj raz na zawsze odwraca się od przeszłości i zaczyna nowe życie. Fantome pewnie wróci po swego pana i wyciągnie go stąd. Teraz trzeba gnać na stację, gdzie już czekają bagaże. Aurore na pewno zobaczy dym i zaniepokoi się o ojca, ale on szybko ją uspokoi.

A kiedy wsiądą do wagonu i pociąg ruszy, wreszcie będzie mógł poczuć radość spełnienia.

Pędem zbiegł po schodach. Powietrze za drzwiami było aż gęste od dymu i popiołów. Turkot kół wozów strażackich i krzyki ludzi niosły się od rzekize zdwojoną siłą.

Widok płomieni był fascynujący. Raphael szedł ku rzece tą samą drogą wzdłuż magazynów, którą kiedyś prowadził Aurore, i wpatrywał się w nie jak mały chłopiec w palenisko. Bliżej doków dym zgęstniał groźnie. Teraz dopiero zobaczył z bliska, że Dowager jest już tylko wypaloną skorupą, a wszystko wokół nieubłagane trawi pożoga.

Oto miał swoją zemstę. Jej oślepiający blask rozpałał wodę rzeki, tworząc niezapomniany spektakl.

Lecz przed oczami Raphaela pojawił się naraz widok innej wody – potężnej fali, unoszącej kruchą łupinę łodzi z uczepionymi jej, przerażonymi pasażerami.

Znów poczuł, jak łódka staje pod nim dęba, poczuł śliskie drewno ławki pod palcami i drzazgi ze złamanego masztu. Zamrugał powiekami, lecz obraz, zamiast zniknąć, stał się jeszcze wyraźniejszy.

Przez wycie huraganu przebił się krzyk matki.

Zacisnął powieki, ale i tak widział, jak ciało siostry, ciśnięte w powietrze, znika pod falą wysoką jak stary dąb. Rzucił się ku matce, lecz ta strząsnęła jego ręce i skoczyła małej na ratunek, natychmiast niknąc w huczącej kipieli...

Nie pamiętał, ile czasu trwał później, kurczowo uczepiony kawałka łodzi. Jak widać, wystarczająco długo, by utrwalić w sobie na zawsze pragnienie okrutnej zemsty.

Niestety, kiedy ta już się dokonała, zamiast radości czuł rozczarowanie i niesmak. Marzył o tej chwili i modlił się o nią, teraz zaś, kiedy jej doczekał, jego modły okazały się bluźnierstwem.

Lucien skazał przecież na śmierć swoją kochankę i jej dzieci w jednym, tragicznym momencie, gdy owładnęła nim panika i egoizm. On zaś przez całe lata przeżywał kolejne chwile okrutnych kalkulacji, budując z nich nienawiść i żądzę odwetu. Czy nie wiedział, że nawet najbardziej wyrafinowana zemsta nie będzie w stanie przywrócić mu utraconych bliskich?

Zacisnął pięści, odwrócił się i zaczął biec ku wyjściu, które prowadziło na Rampart Street. To właśnie tu umówił się z ukochaną. Musi ją teraz jak najszybciej odnaleźć, zaprowadzić na dworzec, odwieść od tego ponurego miejsca. Aurore nie może się dowiedzieć, jaki jest jego udział w zniszczeniu rodu Le Danois. Nigdy.

Przystanął na chwilę, gdyż zdusił go kaszel.

Nagle coś ukąsiło go boleśnie w kark. Gwałtownym ruchem strząsnął rozpalony płat, który błyskawicznie spopielał. Obejrzał się i zobaczył, że jęzory ognia dosięgły magazynów. Drewno, zaimpregnowane łatwopalnymi chemikaliami, zajęło się momentalnie.

Nie miał już wątpliwości – budynek firmy nie ocaleje. Na bruku załomotały nowe wozy strażackie, ale gaszący z pewnością musieli wiedzieć, że ich wysiłki będą daremne. A Fantome? Gdzie jest stary Fantome? Przecież powinien przyjechać już po swego pana. Czyżby nie zdołał przebić się do portu? Cholera!

Jeśli Lucien zostanie na górze, spłonie z całym budynkiem. A gdyby tak go uratować, dać znać strażakom, by po niego poszli?

Ale czy warto?

Podbiegł do drzwi wejściowych i zatrzymał się, szarpany sprzecznymi uczuciami. Widział przed oczami twarz Aurore i czuł, że do końca życia nie usnie spokojnie u jej boku, jeśli teraz pozwoli, by zemsta dopełniła się do końca.

– Etienne!

Odwrócił się gwałtownie.

Aurore, kaszłąc i krztusząc się, biegła ku niemu przez kłęby dymu, jakby przyzywana jego myślami.

– Etienne!

Za jej plecami dostrzegł dwoje ludzi. Rozpoznał

Ti'Boo i Julesa Gilbeau z Bayou Lafourche. Jeszcze chwila i Aurore padła mu w objęcia.

– Co tutaj robisz? – Chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie.

– Zobaczyłam ogień... Etienne, to Dowager!

W jej oczach dojrzał lzy i serce ścisnęło mu się z bólu.

– Nic już się nie da zrobić, kochana.

– I dok też, Etienne! Wszystko, co ojciec stworzył, przepadło!

– Trudno – odgarnął włosy z jej czoła – to już nieważne. Teraz musimy stąd uciekać. Jak najszybciej.

Zaraz zaczną się palić biura. Wiatr niesie tu ogień.

– Nie! – Szarpnęła się. – Musimy ratować, co się da! Co się da!

– Nic się nie da uratować...

– Musimy!

– Musimy uciekać! Jules – pchnął Aurore w stronę mężczyzny – zabierz ją i biegnijcie szybko do Rampart Street. Dogonię was. Muszę tylko sprawdzić, czy nikogo nie ma w środku.

– W środku? – Aurore zeszywniała z przerażenia.

– Uciekaj, kochana, proszę... – Rozpaczliwie myślał, jakich argumentów powinien użyć. – Tam jest twój ojciec – powiedział wreszcie. – Powiedziałem mu o naszym wyjeździe, wpadł w furję. Wyrzucił mnie z biura, ale nie wiem, czy sam nie został w środku. Trzeba to sprawdzić.

– Mój ojciec?

– Idź już, Aurore! – Korzystając z jej zaskoczenia, wepchnął ją wreszcie w objęcia Julesa. – Jules, szybko! Sprawdź, czy jest tam Lucien, i zaraz wracam.

– Nie, ja też pójdę! – Aurore wyrwała się Julesowi z niespodziewaną siłą i nim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać, zniknęła w czeluści klatki schodowej.

Raphael rzucił się za nią. Dobrze wiedział, jaki widok zastaną w gabinecie, i to napełniało go zgrozą. – Tato! Mój Boże, tato...

Lucien leżał dokładnie tam, gdzie go zostawił.

Jęknął, słysząc głos córki, ta zaś przyklękała przy nim, chwyciła go pod ramię i usiłowała odwrócić bezwładne ciało.

– Pomóż mi, Etienne!

Raphael ukląkł przy niej i przytrzymał jej ręce.

– Zabiorę go stąd, Aurore, obiecuję. Tylko błagam cię, idź już. Nie możesz tu zostać. Jeśli chcesz ze mną wyjechać, musisz iść!

Wyszarpnęła gwałtownie dłonie.

– Nie zostawię go! Tatusiu! Tatku... – Podbiegł Jules i razem odwrócili nieprzytomnego na wznak.

Powieki mu zadrgały. Po chwili otworzył oczy, ale wciąż nie mógł mówić. – Tato, to ja, Aurore! Tato!

Boże, co za koszmar. Raphael widział rozpacz ukochanej i czuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

Czy tak miał wyglądać ten jego triumf?

– Posłuchaj, najdroższa – zaczął gorączkowo tłumaczyć – jeśli zostaniesz, on nigdy nie pozwoli ci za mnie wyjść. Jules wyniesie go w bezpieczne miejsce. Zrozum, twój ojciec już o nas wie, więc tym bardziej musimy uciekać. Przykro mi, ale musisz wybierać...

– Jak możesz kazać mi wybierać?! – Łzy popłynęły po twarzy Aurore niepowstrzymanym strumieniem.

– To przecież mój ojciec. On umiera, Etienne, nie widzisz tego?!

– Nie umiera! – krzyknął, choć dobrze wiedział, że nie ma racji. Twarz staro mężczyzny była śmiertelną maską. Życie uchodziło z niego z każdym oddechem.

– Au-rore... – Lucien poruszył ustami i chyba tylko z ich ruchu zrozumieli, co powiedział.

– Jestem, tatusiu, jestem... – Ułożyła sobie jego głowę na kolanach i pochyliła się jak najniżej, by słyszeć, co mówi. – Zostanę z tobą, wszystko będzie dobrze, nie martw się.

– Etienne...

Uniosła głowę.

– Wzywa cię.

Lucien przewrócił oczami i zacisnął gniewnie usta.

- Aurore...
- Spokojnie, tato. Etienne jest z nami.
- On... to drań... bękart.

Gwałtownie wstrzymała oddech.

– Tatusiu, nie myśl teraz o tym. Później porozmawiamy o przyszłości. Zaraz cię stąd zabiorę.

– To... bękart. Z ojca niewolnika... Twoje dziecko... pozbaź się go. On to zrobił... w odwecie na mnie. Podpałił Dowagera...

Z ust Aurore wyrwał się krótki okrzyk.

– Tato, nie wiesz, co mówisz! Przestań, proszę!

– Wiem. – Lucien szarpnął się, jakby usiłował usiąść. – Jesteś moim dzieckiem... jedynym.

– Chwycił ją za ręce i ścisnął spazmatycznym gestem. – Zemsta... tylko... To szalenie... Jeśli mnie kochasz... pozbaź się...

Łkanie, które wstrząsnęło jej ciałem, było ciche i rozpaczliwe. Spazmy Aurore przeszywały Raphaela tak samo boleśnie, jak słowa jej ojca.

– On nie wie, co mówi, kochana – próbował ratować sytuację. – Jest chory, lecz mimo to zrobi wszystko, by zmieszać mnie z błotem. Nie chcę, byś ode mnie odeszła.

– Tato! – Aurore pochyliła się nad umierającym. – Etienne jest dobrym człowiekiem! On mnie kocha!

– Nie... on cię nienawidzi. Chciał zemsty. Powiedział o waszym dziecku. Był tu, kiedy wybuchł statek. Mówił, że to on... Ma murzyńską krew,

Aurore, i nigdy cię nie kochał... Chciał nas zniszczyć... tylko to. Sfałszował dokumenty... są w jego kieszeni. Nic nieubezpieczone. Nic... – Znów usiłował usiąść, ale bezsilnie opadł z powrotem na podłogę.

Aurore wybuchnęła płaczem i nie była już w stanie wykrztusić ani słowa. Raphael chciał ją objąć, ale strząsnęła jego rękę.

– Moja córeczka... – szeptał tymczasem Lucien. – Kochałem cię, chciałem dać ci... wszystko. Nie odchodź, Aurore... Zostań. Ratuj, co się da... Gulf Coast... zajmij się... nie odchodź...

Sine wargi znieruchomiały, oczy uciekły w głąb czaszki. Aurore potrząsnęła gwałtownie bezwładnym ciałem, gdy zaś to ani nie poruszyło się, ani nie wydało żadnego więcej dźwięku, wykrzyknęła tak przejmująco, że Raphael wstrząsnęły lodowate dreszcze.

– Nie! Och, nie! Tato, nie...!!!

Z gęstniejącego w pokoju cienia dobiegło łkanie innej kobiety. Raphael uniósł głowę i zobaczył Ti'Boo oraz obejmującego ją Julesa. Mężczyzna przykląkł, odciągając ciało ojca od córki, a Raphael wyciągnął ręce do Aurore.

– Nie! – krzyknęła, stając z nim twarzą w twarz. – Najpierw powiedz, czy on mówił prawdę.

Nie znalazł słów, którymi mógłby odpowiedzieć.

– Boże, nie! – z krzykiem odrzuciła głowę do tyłu. – Więc to prawda? Prawda?!

Raphael sam miał ochotę krzyczeć.

– Jest jeszcze coś, Auroro. Coś, czego ci nie powiedział. Kocham cię. I to też jest prawda. Chcę cię i naszego dziecka!

– Podłożyłeś ogień?

Znów nie odpowiedział.

– Zrobiłeś to, Etienne? Mów, tak czy nie?

– Nie zrozumiesz, dopóki nie poznasz całej prawdy.

– Etienne! Powiedz...

Nie potrafił, nie umiał, nie chciał.

– Zrobiłeś to – wyjąkała, cofając się ze zgrozą. – A reszta? Czy twój ojciec był niewolnikiem? Czy twoja krew jest...

Czekał, aż wypowie to słowo, ale nie chciało przejść jej przez gardło. Zrozumiał nagle, że jego nadzieje były głupie, a marzenia o miłości – szalone.

Patrzył na Auroro i po raz pierwszy widział w niej Luciena.

– Mój ojciec był dobrym człowiekiem – powiedział spokojnie. – Czego nie możesz powiedzieć o swoim.

– Przystań! – Dorskoczyła do niego z pięściami, ale przytrzymała jej ręce i unieruchomił.

– Uspokój się. Już zapomniałaś, że nosisz w łonie moje dziecko? Wnuka niewolnika – dodał i zaśmiał się gorzko. – Urodzisz dziecko człowieka, którego właśnie uczynisz się nienawidzić. I je także znienawidzisz, prawda? Przeniesiesz nienawiść i pychę swojego ojca na następne pokolenie. Nauczysz nasze dziecko, żeby znienawidziło siebie, tak jak ty nienawidzisz mnie.

– Nie urodzę żadnego dziecka!

Odepchnął ją z pasją.

– Popełnisz śmiertelny grzech, bo tak kazał ci ojciec? Zabijesz własne dziecko?

– Zabiję!

– Ro-Ro! – Ti'Boo wystąpiła z mroku. – Daj spokój, nie mów takich rzeczy. Chodźmy stąd.

Jules chciał wyprowadzić Auroro, ale wyszarpnęła mu się.

– Nie będzie żadnego dziecka, Etienne! Nigdy!

– Będzie! Urodzisz je i oddasz mnie! – Postąpił ku niej, a gdy Jules stanął mu na drodze, odepchnął go z całej siły. – Dziecko będzie moje, rozumiesz? – powtórzył, dysząc ciężko.

– Nigdy! – Auroro z uporem kręciła głową.

– Jeśli zechcesz je zabrać, pójdę do szeryfa. Powiem, że podpaliłeś statek. Dowiem się, o jakim oszustwie mówił ojciec, i dopilnuję, żeby cię zamknęli.

– A ja rozgłoszę wszystkim, że Aurore Le Danois ma ze mną nieślubnego bachora, że puściła się i teraz chce zemsty. Nie ma żadnego dowodu, że miałem coś wspólnego z tym pożarem.

– Ti’Boo i Jules będą świadkami!

– Nie złożymy żadnych zeznań.

Aurore odwróciła się i zobaczyła w ich twarzach lęk. Ti’Boo pokręciła głową i wzięła przyjaciółkę w ramiona.

– Ro-Ro, sama widzisz, że wszystko stracone. Błagam cię, chodźmy już. Jules wyniesie twojego ojca. Ogień podchodzi coraz bliżej...

Aurore znów zanosła się płaczem. Szlochając, idąc w stronę schodów, podtrzymywana troskliwie przez przyjaciółkę, zaś Raphael patrzył, jak Jules z wysiłkiem podnosi bezwładne ciało Luciena i zataczając się pod jego ciężarem, taszczy je do wyjścia.

– Nie, nie, nie... – powtarzała w udręce Aurore,

a jej jęki niosły się głuchym echem ze schodów, lecz wcale nie cichły, a ylko nakładały się na siebie i potężniały w rozpaczliwej pustce, która zawładnęła jego duszą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Szpitalna izba zakonu miała gołe ściany i podłogę z kafelków, którą rano i wieczorem myła na kłęczkach postulanka w białym habicie. Siostra przełożona Marie Baptiste prosiła Aurore, aby nie rozmawiała z kandydatką i nawet nie pytała o jej imię. Aurore leżała więc w niemej udręce, krztusząc się od ostrej woni środka dezynfekującego.

Nie miała wątpliwości, że stanowi to część pokuty za poczęcie nieślubnego dziecka. Przed pięcioma miesiącami siostry przyjęły ją do siebie, gdyż zapłaciła im hojnie, a ponadto zostały przekonane, że należy to do ich chrześcijańskich obowiązków.

Dały jej cełe, posiłki i możliwość bezustannej kontemplacji oraz modłów. Kiedy jednak wczorajszego dnia zaczęły się bóle, nie zrobiły nic, by ulżyć jej w cierpieniu. Przez tę udrękę musiała przejść sama, a im większy ból znosiła, tym lepiej. Czyż nie jest powinnością kobiety cierpieć za grzechy Ewy? I czy Aurore nie cierpiała podwójnie, w trudzie wydając na świat dziecko, tylko po to, by się z nim rozstać?

Zacisnęła powieki, modląc się o śmierć. Ból był nie do wytrzymania. Tylko w nielicznych, krótkich chwilach mogła uciec w sen, czy raczej dziwny stan tępego zamroczenia, kiedy to jeden skurcz właśnie mijał, a kolejny jeszcze nie nadszedł.

W sali bez okien straciła rachubę czasu. Gdy zaczął się poród, odmówiono jej jedzenia i picia, nie mogła więc mierzyć czasu porami posiłków.

Siostry, które zjawiały się, by sprawdzić jej stan, czyniły to w kompletnym milczeniu. Kiedy zaś w chwili słabości błagała o pomoc, mówiły tylko, że dziecko nie jest jeszcze gotowe do wyjścia i że trzeba cierpliwie czekać.

Wszystkiemu winien był Etienne. To on zabrał jej cnotę, bogactwo, ojca i młodość. To on zostawił ją z dzieckiem, które naznaczył swą skażoną krwią, aby nie mogła go dla siebie zatrzymać, nawet gdyby chciała. I oto teraz wisała się w bólach, by wydać na świat jeszcze jedno – komu potrzebne? – życie.

Marne życie, nieszczęśliwe, co do tego nie miała wątpliwości.

Chyba... chyba że nie będzie po nim widać mieszanej krwi.

Prześcieradła były mokre od potu. Aurore rozkopała okrycia wbrew zakazowi siostr. O tej porze roku, w sierpniu, panował tu nieznośny, wilgotny upał. Wiele miesięcy temu Cleo zabrała ją do innego pokoju, bez czystych białych ścian i umytej podłogi.

Tam w rogach zwisały festony pajęczyn, a karaluchy roiły się we wszystkich szparach. Tam też położyła się na brudnym łóżku i z odrazą wdychała złowieszczy smród wstrętnej baby. Tam zrozumiała, że bez względu na dziką nienawiść do Etienne'a Terrebonne'a i bez względu na wszelkie koszty, nie jest zdolna zabić.

Zamiast tego zwróciła się ku Bogu. Poszła do klasztoru i obiecała, że po urodzeniu dziecka włoży biały habit kandydatki do zakonu i poświęci resztę życia oczyszczeniu swej grzesznej duszy.

Początkowo była pewna swoich zamiarów, ale teraz, po niekończących się godzinach męczarni, zmieniła zdanie. Zrozumiała, że nigdy nie uwolni się od nienawiści. Że modlitwy, pokuty i dobre uczynki niczego nie zmieniają. Nienawidzi tego człowieka i nigdy mu nie wybaczy, a przecież b y oczyścić duszę, powinna umieć okazać miłosierdzie.

Drzwi otwarły się. Nie zdołała stłumić jęku.

Siostry były fachowe i bezduszne. Wykonywały przy niej niezbędne czynności, nie zwracając uwagi na krzyki i protesty, zupełnie jakby była zwierzęciem w oborze. Aurore chciała wierzyć, że ich obecność oznacza upragniony czas rozwiązania, ale obawiała się, że chodzi raczej o kolejne bolesne badanie.

– Ro-Ro?

Otworzyła oczy i zobaczyła Ti'Boo. Przez chwilę myślała, że majaczy.

– Ti...

– Cii... Nie mów nic, bo się zmęczysz. Wszystko będzie dobrze, Ro-Ro, uspokój się. Zostanę z tobą.

– Jak...? – Ból przeszył ją jak nóż, odbierając oddech.

– Cicho, nie napinaj się tak. Nie trzeba walczyć z bólem, bo będzie jeszcze gorszy.

– Nie mogę... Aaa! – znów pozwoliła sobie na krzyk, choć nakazano jej nie litować się nad sobą.

– Weź głęboki oddech i ściśnij mi rękę – powiedziała

Ti'Boo, chwytając jej dłonie. – Ktoś wkrótce przyjdzie cię doglądać. Siostra Mathilde wysłała do mnie rano wiadomość. Wcześniej prosiłam ją, by to zrobiła, kiedy twój czas nadejdzie.

Tym razem, gdy przyszedł kolejny skurcz, Aurore skwapliwie ścisnęła rękę Ti'Boo. Była jej wdzięczna.

To w końcu dzięki niej mogła się schronić w tym niewielkim, ceglanym budynku, skrytym w odludnym bayou, gdzie w zakonie o zaostrej regule francuskojęzyczne zakonnice oddawały się pracy i modlitwie, utrzymując tylko niezbędny kontakt ze światem. Miejsce to leżało przy tym na tyle blisko Côte Boudreaux, że Ti'Boo już dwa razy ją odwiedziła – i na tyle daleko od Nowego Orleanu, że mogła być pewna, że Etienne jej tu nie znajdzie.

– Etienne... Widziałaś go?

– Nie znajdzie cię, Ro-Ro. Ściskaj teraz, mocniej!

– On... chce... dziecka!

– Chce jedynie cię unieszczęśliwić.

Na twarzy Aurore łzy zmieszały się z kroplami potu.

– Udało mu się – jęknęła.

Ti'Boo otarła jej czoło chusteczką.

– Nie martw się. Znalazłam dom dla twojego dziecka. Nigdy go tam nie znajdzie.

– Czy oni... Czy ci ludzie... wiedzą?

– To jasnoskórzy mieszkańcy. Nie mogą mieć własnych dzieci, więc chętnie przysparzą twoje.

Aurore stawiała sobie setki pytań. Nienawidziła ojca dziecka z tą samą siłą, z jaką niegdyś go kochała.

Za chwilę przeniesie nienawiść na tę małą istotę. Już teraz z obrzydzeniem myślała o jej rasie. Co prawda mogłaby uciec z dzieckiem na bardziej tolerancyjną Północ i mieć nadzieję, że sprawa pochodzenia się nie wyda, ale czyich rysów wypatrywałyby wówczas w jego twarzy? I jak odpowiadałaby na kłopotliwe pytania, gdyby dorosło? Jaką matką byłaby Aurore Le Danois, dawniej dziedziczka Gulf Coast Steamship, dla tego potomka niewolnika?

– A czy to... czy to dobrzy ludzie?

– Naturalnie. Nie posłałabym twojego dziecka do złych.

– Co będzie, jeśli... jeśli będzie wyglądało jak białe? Czy nie lepsza byłaby biała rodzina?

– Lepiej, żeby było tym, kim jest, Ro-Ro.

– Masz rację. Zmieszana krew zawsze wyjdzie na jaw.

– Tak, Aurore. Zresztą dosyć już było kłamstw, prawda?

Aurore aż za dobrze wiedziała, na jakie życie skazuje swoje dziecko. Całe tłumy czarnych i mieszańców, obojętnie, jak jasną mogli pochwalić się skórą, obsługiwały ją od najmłodszych lat, a ona nie poświęcała im nawet przelotnej myśli. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że mogłaby w jakikolwiek sposób związać się z nimi. A teraz jednemu z nich miała urodzić dziecko!

Czy będzie to kolejne dziecko, urodzone i wychowane po to, by służyć białym mężczyznom i kobietom? Zmuszone do niebezpiecznej jazdy na tylnej platformie tramwaju, bo miejsca w środku zarezerwowane są dla białych? Naucone, że różaniec wolno odmawiać jedynie z dala od ołtarza?

Pozbawione prawa głosu w wyborach i możliwości decydowania o własnym losie? Czy tego wszystkiego ma zaznać mały Le Danois, członek jej rodu, jej dziecko?

– To dobrzy, szczęśliwi ludzie – zapewniła

Ti'Boo. – Twoje dziecko również będzie u nich szczęśliwe i kochane.

– To nie wystarczy! – zawyła Aurore, kurczowo ściskając jej rękę. Poczula przemożną, histeryczną potrzebę wyparcia dziecka ze swego łona. – Och, nie...!

– Co się stało? – Ti'Boo pochylała się nad nią, a zobaczywszy jej twarz, odgadła natychmiast.

– Zaczekaj... Biegnę po siostrę Marie Baptiste. Zaraz wracam, Ro-Ro! Trzymaj się!

Aurore trwała w napięciu, sparaliżowana nagłym lękiem. Dotąd chroniła dzieciątko w bezpiecznym zaciszu swego ciała. Chroniła nawet przed własną nienawiścią – do niego, do Etienne'a, do siebie samej. Teraz zrozumiała, że dłużej nie będzie mogła go ochraniać.

Nadszedł kolejny impuls, kolejny skurcz nakazujący jej pchać, przeć z całym siłą, rodzić... Trudno, dziecko i tak jest dla niej stracone.

Należy do obcych, do ludzi o innej skórze.

Nie do niej, nie...

– Nie! – krzyknęła raz jeszcze i wraz z tym krzykiem dziecko wypchnęło swoją główkę. To było pierwsze słowo, którym powitał je świat.

Clarissa leżała cichutko w wiklinowym koszyku, dostarczonym przez siostry zaraz po porodzie. Od czasu pierwszego krzyku, jaki wydała dwanaście godzin temu, płakała niewiele i niewiele też spała.

Przeważnie leżała z otwartymi oczkami i przebierała nóżkami i rączkami, jakby chciała walczyć z powietrzem, którym od tak niedawna mogła oddychać.

Aurore pochyliła się nad nią, łamiąc nakazy przełożonej – siostra zabroniła jej czulić się do córki, a nawet zbyttno się w nią wpatrywać. Dlatego małą przynoszono tylko na karmienie, a potem wkładano do kosza i pozwalano leżeć obok matki.

Dbano jednak o to, by ta nie przywiązała się zanadto do dziecka.

Clarissa była najpiękniejszym niemowlęciem, jakie Aurore kiedykolwiek widziała. Malutką główkę pokrywała burza mięciutkich jak kaczycy puch, brązowych kędziorków. Jej oczy miały cudownie nieokreślony, dymny odcień – ani ciemnobrązowy jak u ojca, ani jasnoniebieski jak u matki – skóra zaś była jasna, mleczna, choć z wiekiem, rzecz jasna, mogła ściemnieć. Z pewnością nie był to jednak delikatny róż cery Aurore, lecz złocisty odcień, który nasuwał pytanie, czy skóry dziewczynki nie zdążyło dotknąć już słońce.

Nie zdążyło. Ten oliwkowy odcień był wynikiem zmieszania ras.

Ostrożnie wyjęła córeczkę z koszyka i utuliła ją w ramionach. Matczyną mądrością przeczuła, że Clarissa będzie kiedyś piękna, niebezpiecznie piękna, tak jak wiele kobiet o mieszanej krwi. Żadna biała pani nie zatrudni takiej w swojej kuchni czy na pokojach.

Łzy popłynęły po jej policzkach. Aurore zaczęła chodzić po pokoju, kołysząc dziecko i nucąc mu do snu. Wcale nie czuła się zmęczona. Owszem, była obolała, ale nie miała ochoty leżeć. Przerwał jej dopiero skrzyp otwieranych drzwi.

– Proszono cię, żebyś nie brała dziecka na ręce.

W progu stała ciemna postać siostry Marie Baptiste.

Tej samej, która już niedługo miała przejąć kontrolę nad każdą chwilą życia Aurore.

– To moje dziecko – powiedziała miękko. – Za dwa tygodnie już jej nie zobaczą. Czy siostra naprawdę tego nie rozumie? Czy naprawdę nie ma w siostry sercu odrobiny zwykłego współczucia?

Przełożona nie odpowiedziała. Czerń habitu wtopiła się w mrok korytarza. Aurore znów została sam na sam ze swoimi myślami.

Matce i córce dano dwa tygodnie. Dwa tygodnie wspólnego życia, w czasie których mała miała pić wyłącznie mleko matki, aby zachować zdrowie i nabrać odporności na choroby. I Clarissa ssła matczyną pierś, nie przeczuwając, że niedługo rozstanie się z jej smakiem, zapachem, miękkością i ciepłem. Pokarmu Aurore miała pod dostatkiem, więc kiedy tylko dziewczynka zakwilila, podsuwała jej wilgotny sutek. Małeńkie usteczka ochoczo zabierały się do ssania, a ona odczuwała rozkoszną ulgę, czując, jak nabrzmiałe mlekiem piersi stają się lżejsze i mniej bolesne.

Opowiadała Clarissie wszystkie historie ze swojego dzieciństwa. O Ti'Boo i o huraganie, o dziadku Antoinie, o ojcu i jego wspaniałej kompanii żeglugawej, którą miała odziedziczyć. Bardzo chciała zapewnić córkę, że została poczęta z miłości, ale słowa te nie chciały jej przejść przez gardło. Zupełnie jak gdyby pamiętna noc na statku i kilka następnych stały się wspomnieniami innej kobiety.

Ti'Boo odwiedzała ją dwa razy, za każdym razem przyprowadzając ze sobą małą Pelichere.

Aurore domyślała się, że przyjaciółka chce stworzyć miłą atmosferę, lecz widok tych dwóch Ignących do siebie, kochających się istot był dla niej trudny do zniesienia. Ona też chciała tak kochać.

Chciała, ale nie było jej wolno.

W swojej dobroduszej prostocie Ti'Boo nie zdawała sobie również sprawy, jak straszliwie Aurore nienawidzi ojca swego dziecka. Im dłużej była z Clarissą, im szybciej zbliżał się moment rozstania, tym zajadłej pożądała zemsty. To jego dziedzictwo, jego krew oddzielała ją od córki!

Natomiast wspomnienie chwili, w której Etienne zaklinał się, że weźmie dziecko i zajmie się nim, przejmowało Aurore dreszczem strachu.

Na szczęście Etienne nie wiedział, gdzie jej szukać. Pozostała wprawdzie w Nowym Orleanie, by uczestniczyć w pogrzebie ojca, a potem przekazać Timowi Gilhooleyowi wszelkie uprawnienia do kierowania firmą i ratowania, co się da, ale później rozpoczęła długą podróż do klasztoru, klucząc po drodze i myląc tropy, dopóki nie zyskała pewności, że nikt jej nie znajdzie.

Gdyby Etienne dowiedział się o klasztorze, już dawno by się pojawił. Jego nieobecność była dowodem, że zdołała wywieść go w pole. Nigdy zatem nie zobaczy córki i nie on będzie decydował o jej losie. Żałowała tylko, że nie może wykrzyknąć mu w twarz, że w tej rozgrywce to ona jest górą.

Ostatniego dnia przed rozstaniem z Clarissą Aurore postanowiła pomodlić się w kaplicy. Nazajutrz miała oddać dziecko, a w kolejnym tygodniu złożyć śluby. Kiedy przejdzie te ceremonie, straci wolność.

Poświęci się Panu, a wtedy nie będzie w jej sercu miejsca na gniew. Pragnęła poprosić Boga o miłosierdzie i łaskę, o zrozumienie i siłę; błagać, by opuścił ją jad zatruwający jej umysł.

Ułożyła też specjalną modlitwę za Clarissę i obiecała sobie, że będzie odmawiać ją przez resztę życia.

Łaskawy i miłosierny Jezu, spraw, proszę, by Clarissa znalazła spokój i szczęście. Błogosławiona Mario, Najczystsza Dziewico, czuwaj nad nią i chroń ją od złego. Błogosławiony, dobry Ojcze, spraw, by moja córka wiedziała, że matka kochała ją całym sercem...

Gdy wychodziła z pokoju do kaplicy, Clarissa słodko spała. Kompletka już się skończyła, toteż klasztorne korytarze były ciche i puste. Siostry rozeszły

się do swoich cel, by oddać się prywatnym modłom, kontemplacjom, może biczowaniom...

Aurore zadrżała na tę myśl, zaraz jednak pocieszyła się, że takie życie być może i jej przyniesie ukojenie.

U wejścia do kaplicy zanurzyła palce w wodzie święconej, przeżegnała się i z pokornie pochyloną głową ruszyła do ołtarza. Ciemności rozświetlała jedynie wieczna lampka. Uklękła przy barierce, nie podnosząc głowy, i trwała chwilę w milczeniu. Tyle miała modlitw, tyle grzechów, wołających o przebaczenie, że naprawdę nie wiedziała, od czego powinna zacząć. Znów się przeżegnała i dopiero teraz popatrzyła w stronę ołtarza.

Z początku nie zauważyła niczego niezwykłego. Był bardzo skromny, okryty białym lnianym obrusem, na którym ustawiono srebrne naczynia liturgiczne.

Klasztor należał raczej do biednych, bowiem ubogich rodzin z bayou nie stać było na hojne datki, dlatego też nie spotykało się tutaj złota i brylantów. Może jednak z tego powodu bardziej czuło się tu obecność Boga niż gdzie indziej; Boga, który miał moc dać jej odwagę do podjęcia decyzji.

Było tylko zło, które tkwiło wciąż w głębi jej duszy, nie osłabiło Jego głosu...

Nim opuściła wzrok, kątem oka dostrzegła niezwykle, cudowny błysk, który powstał z odbicia światła załamane w bajecznie barwnych klejnotach.

Jej spojrzenie momentalnie pobiegło ku krzyżowi, ustawionemu w samym środku ołtarza.

Nie był to skromny, prosty krzyż, który widywała tu codziennie. Ten krucyfiks widziała tylko raz, zapamiętała go jednak doskonale. Wykonany był w hiszpańskim stylu z ciężkiego, bogato zdobionego srebra.

Sama trzymała go w rękach Spoczywał w kufierku pełnym skarbów, a człowiek, do którego należał, zapewniał ją, że razem zaczną nowe, wspaniałe życie.

Etienne pojawił się nazajutrz. Czekwała na niego, siedząc przy koszyku, w którym Clarissa spała z piąstką w buzi, od czasu do czasu ssąc przez sen kciuk.

Aurore wiedziała, że przyjdzie. Z samego rana wypytała siostrę Marie Baptiste o nowy krucyfiks, ta zaś wyjaśniła, że podarował go poprzedniego dnia jakiś mężczyzna, prosząc zarazem o pamięć i modlitwę dla jego tragicznie zmarłej matki. Aurore uśmiechnęła się tylko i oznajmiła przełożonej, że jeśli ów mężczyzna powróci i będzie chciał się z nią widzieć, ona jest gotowa się z nim spotkać.

I wrócił. Siostra Marie Baptiste wprowadziła go do pokoju, szybko wyszła i zostali sami.

– Więc mamy córkę – powiedział bez powitania.

– Ja mam.

– Powiedziałem, że po nią przyjdę.

– Tak.

– Naprawdę myślałaś, że uda ci się uciec?

– Widać byłam naiwna.

– Siostra Marie Baptiste mówiła, że wkrótce złożysz śluby.

– Siostra Marie Baptiste się myli. Doszłam wczoraj do wniosku, że nawet Bóg nie pomoże mi zapomnieć o tobie i krzywdzie, jaką mi wyrządziłeś.

Badawczo wpatrywała się w twarz Etienne'a, lecz jego kamienne, nieru-
chome rysy nie drgnęły ani na moment. Mogła się tego spodziewać.

– A nasza córka? – zapytał tylko.

– Ti'Boo znalazła rodzinę, która weźmie ją na wychowanie. Mój ojciec nie żyje, a moje życie jest zrujnowane. Czy została ci choć odrobina serca, byś nie mścił się także na moim dziecku?

– Ta dziewczynka jest również moim dzieckiem. Ponieważ ty jej nie chcesz, ja ją wezmę.

Będzie miała ojca.

– A gdybym powiedziała, że ją zatrzymam, dałbyś mi spokój?

Wzruszył ramionami. Aurore miała potrzebę zadania wielu jeszcze pytań, ale musiała ją stłumić. I tak nie usłyszałaby prawdy.

– Dokąd ją zabierzesz? – zapytała łamiącym się głosem.

– Tam, gdzie będzie miała dobrą opiekę.

– Muszę wiedzieć więcej. Dokąd?

– Z powrotem do Nowego Orleanu.

Nie podała go do sądu. Tim, wysłuchawszy jej opowieści, doradził, aby da-
ła spokój, jeśli nie chce ściągnąć wiecznej hańby na rodowe nazwisko.

Tymczasem Etienne zamierzał pozostać w Nowym Orleanie, a to groziło
tym, że ich brudny związek kiedyś się wyda.

– Jeśli zostajesz wmieście, muszę być pewna, że będziesz zachowywał się
przyzwoicie – powiedziała chłodno.

Uśmiechnął się tak, że przeszedł ją zimny dreszcz.

– Jak zmierzasz to sprawdzić?

– Jeszcze nie wiem, ale są sposoby.

Po raz pierwszy spojrzął na dziecko. Poglądził miękko czuprynkę.

– Będę musiał dać jej imię, nie sądzisz?

– Ma już imię. Clarissa, po mojej matce. Tak została ochrzczona.

Popatrzył na nią ciężko, wymownie. A potem na dziecko – łagodniej, czu-
lej. Aurore nienawidziła siebie teraz za splakane, podpuchnięte oczy, za ból,
za żal, za to, że przegrała. Tak, została pokonana i zdawała sobie z tego sprawę.
On mógł sobie pozwolić na życie z Clarissą; ona – nie.

I to właśnie była jej klęska.

– Jeśli ukarzesz mnie, Aurore, ukarzesz własną córkę – odezwał się Etienne. – Wiesz dobrze, jak to jest...

Zacisnęła powieki, by nie patrzeć na małą.

– Zabieraj ją i bądź przeklęty! Kiedy otworzyła oczy, pokój był pusty.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Nie zamierzałam cię zwodzić, Phillipie. I nie twierdziłam, że tej historii łatwo się słucha.

Phillip nie odpowiedział. Spakował notes i długopisy, wyjął wtyczkę z kontaktu i zaczął składać magnetofon.

– Milczysz? – Aurore odwróciła się od okna.

Po szybko spływały krople deszczu, który lał bez przerwy od rana. – Mimo to sądzę, że masz już pewne odczucia co do spraw, o których ci opowiadam.

– Nie jestem tutaj po to, żeby mieć odczucia. Moim zadaniem jest przelać fakty z twojego życia na papier. A fakty są takie, jakie są.

– Wyrzekłam się dziecka. Własnego dziecka.

Oddałam je mężczyźnie, którego nienawidziłam z całej duszy...

– Tak, mówiłaś o tym. – Phillip wstał. Nie miał ochoty ani chwili dłużej zostać w tej bibliotece, gdzie ogień płonący na kominku zdawał się wysysać całe powietrze. Najchętniej rozpiąłby kołnierzyk koszuli. Marzył, by odechnąć rześkim lutowym powietrzem, wystawić twarz pod strugi chłodnego deszczu i przejść się brzegiem Missisipi.

Aurore poczekała, aż zbierze rzeczy i zacznie iść ku drzwiom, i dopiero wówczas zadała kolejne pytanie:

– Czy przyjdiesz jutro?

Niepotrzebnie pytała. Musiał doczekać końca tej historii; dał na to słowo. Stara kobieta uczyniła go swoim powiernikiem i oczekiwała przebaczenia za winę, z którą musiała żyć tak długo. Wybrała czarnego człowieka, gdyż skrzywdziła czarne dziecko – to proste.

– Przyjdę, jeśli nadal tego chcesz – odparł krótko.

– Chcę.

Skinął głową i zamknął za sobą drzwi.

Ulice Nowego Orleanu były mokre i śliskie. Na czas pobytu w mieście Nicky pożyczyla Phillipowi samochód. Jechał powoli, wyprzedzany przez niecierpliwych kierowców, którzy tak jak całe to miasto żyli na wysokich obrotach, napędzani raz po raz potężną dawką adrenaliny. Zaparkował przy North Rampart, niedaleko Club Valentine, i skierował się ku Basin Street.

Basin była ulicą krótką i stylowo niekonsekwentną – choć nie zawsze tak wyglądała. Niegdyś wyznaczała granicę Storyville, oficjalnej dzielnicy nocnych uciech, złośliwie nazwanej tak na cześć Aldermana Sidneya Story’ego. Z jego to bowiem inicjatywy w 1897. roku wszelką zgniliznę moralną skupiono w jednym miejscu, by nie rozprzestrzeniła się jak zaraza po mieście, gorsząc prawych obywateli. Najbardziej pruderyjne damy i ich brzuchaci mężowie krzyczeli wprawdzie o sankcjonowaniu prostytucji, ale większość odetchnęła z ulgą.

Dzięki temu, unikając konsekwentnie pewnych ulic, mogli udawać, że wszystkie pozostałe są przyzwoite i czyste.

Dzielnica kwitła aż do roku 1917. Z początku pracowało tam ponad dwa tysiące prostytutek, a tysiąc innych operowało na jej pograniczu. Ceny tamtejszych domów i działek były najwyższe w mieście, a inwestycje na tym terenie uważano za najkorzystniejsze. Prawi obywatele, którzy sami nie splamiliby się prowadzeniem podejrzanych przybytków, bez skrupułów zbijali na nich fortunę, kupując je i wynajmując.

Teraz Storyville, z całym swoim tanim efekciarstwem, z zadymionymi barami i tancbudami, gdzie grano do białego rana, było już tylko legendą. Utrzymało się wyłącznie w ludzkiej pamięci, a nowobogacka dzielnica Iberville Housing Project pochłonęła je niczym żarłoczny smok.

Phillip wiedział bardzo niewiele o dzieciństwie matki – poza tym że mieszkała przy Basin Street w czasach, kiedy Storyville pracowało jeszcze na swą sławę. Ona sama rzadko o tym wspominała i były to raczej krótkie wzmianki, natomiast krewni, których mógłby wypytać o szczegóły, nie żyli.

Matkę wychowywał dziadek, pianista jazzowy Clarence Valentine, który zmarł w Paryżu niedługo po urodzeniu się Phillipa. Od tego czasu mieszkali tylko we dwójkę – matka i syn – a Jake pojawił się już znacznie później.

Do tej pory Phillip nie interesował się zbyt, czemu nie ma rodziny. W drugiej połowie XX wieku więź rodzinna nie była już tym samym co kiedyś. Chodził do szkoły z bogatymi Europejczykami, którzy lepiej znali swoich służących niż rodziców, nie przejmował się więc, że nie zna ojca, który porzucił Nicky jeszcze przed jego urodzeniem.

Muzycy z jej zespołu stali się dla niego zastępczymi wujkami i dziadkami – i to mu wystarczało.

Dopiero teraz zapragnął dowiedzieć się więcej.

Opowieść Aurore Gerritsen sprawiła, że poczuł potrzebę odnalezienia własnych korzeni. Po raz pierwszy odczuł, co znaczy do nikogo nie przynależać, być wydziedziczonym, pozbawionym rodzinnej historii, odcięty od przeszłości. Być może przysłużył się tu też związek z Belindą i kult afrykańskich korzeni czarnej rasy, jaki wyznawała, kto wie?

Tym razem nie zastał Nicky na próbie. Było jeszcze wcześniej i odwrócone do góry nogami krzesła piętrzyły się na klubowych stołach. Większość światel była wygaszona, atmosferę zaś podtrzymywał tylko wszechobecny, ciężki od przypraw zapach przyrządzanych w kuchni owoców morza.

Nicky siedziała w kącie pod lampą, z nogami na stole, zajęta wertowaniem jakichś papierów. Na jego widok uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie.

– Phillip? Nie jestem przyzwyczajona do tak częstych wizyt mojego syna.

Pocałował ją w policzek i przysunął sobie krzesło.

– Co porabiasz?

– A, papierkowa robota. – Odłożyła faktury na blat.

– Myślałem, że to działka Jake’a.

– Owszem, ale wyjechał na parę dni na północ. Jego siostra jest chora. Pamiętasz Lottie?

Phillip skinął głową. Kiedy Jake i Nicky pobrali się, jego rodzina zjechała tłumnie na ślub. Jake był jednym z dziesięciorga rodzeństwa.

– Zastanawiam się, jak to jest na tych ich rodzinnych zjazdach – mruknął.

– Pojedź kiedyś z nami i sam się przekonaj.

– Potrzebujesz wsparcia?

– Nie w tym rzecz – roześmiała się. – To porządni ludzie. Najlepszym przykładem jest Jake, prawda? Jedyny problem, że jest ich tak dużo.

– Ty również miałaś wielu ludzi wokół siebie, kiedy byłaś dzieckiem.

– Tego nie da się porównać.

Przysunął się bliżej z krzesłem, zadowolony, że tak szybko udało mu się skierować rozmowę na pożądaną temat.

– Opowiedz mi o tym. Tak rzadko opowiadasz o swojej przeszłości...

– Myślałam, że masz ostatnio dosyć cudzej przeszłości, a ty jeszcze pytasz o moją! A propos, jak tam twój wywiad?

– Właśnie uświadomił mi, jak mało wiem o naszej rodzinie.

– Nie ma wiele do opowiadania.

– W ogóle nie pamiętasz swojej matki?

– Umarła po moim urodzeniu.

– A ojciec?

– Też umarł, jeszcze zanim dorosłam.

– Jacyś krewni?

– Nic mi o nich nie wiadomo.

– I naprawdę nie wiesz nic więcej?

– Opowiadałam ci o dziadku. Poza nim rodziną byli dla mnie wszyscy ludzie, którzy pomagali mnie wychować. Byli mi tak bliscy, że nikogo więcej nie potrzebowałam.

Phillip znalazł te wyjaśnienia na pamięć. Nie szczędziła mu szczegółów swego życia po jego urodzeniu, ale jej własne dziecięce lata zawsze stanowiły tajemnicę.

– Chyba nie lubisz o tym mówić, prawda?

– Dlaczego? Po prostu nie mogę mówić o czymś, czego nie pamiętam – powiedziała, sięgając po nuty.

– Nie pamiętasz nic z okresu, kiedy jako dziecko mieszkałaś przy Basin Street?

– Bardzo niewiele. Nie potrafię ci nawet powiedzieć, ile miałam lat, gdy się stamtąd wyniosłam. Na pewno byłam jeszcze młodzianka. No i wiem, że potem bardzo brakowało mi muzyki. Na Basin Street zawsze była muzyka.

– Tam, gdzie zamieszkałaś, nie było jej?

Popatrzyła na niego, czy raczej przez niego, jakby był ze szkła.

– Były lekcje muzyki – powiedziała powoli.

– Ojciec je opłacał.

– Więc wtedy jeszcze żył?

– Tak.

– Pamiętasz, jak umarł?

Zbyt długo wahała się z odpowiedzią.

– Nie.

Nicky była niemal chorobliwie szczerą i do prawdomówności przywiązywała ogromną wagę. Jedyna kara, jaką Phillip zapamiętał z dzieciństwa, była mu wymierzana właśnie za kłamstwa.

Teraz po raz pierwszy widział, jak jego matka kłamie. Cokolwiek pamiętała, absolutnie nie chciała się tym dzielić.

– Czasami mam poczucie, że przyszedłem na ten świat znikąd – poskarżył się. – Jakbym zmaterializował się z powietrza. Ciekawe, co powiem moim dzieciom...

– O, masz zamiar mieć dzieci?

– Jeszcze nie wiem.

– Ale myślisz o tym?

– Na razie myślę o przeszłości, nie o przyszłości.

– Naprawdę chciałabym ci pomóc.

Tym razem czuł, że matka mówi szczerze. Z powodów których nie rozumiał, nie mogła powiedzieć mu więcej.

– Powiedz chociaż, czy moi dziadkowie byli dobrzy.

– Zrozum, naprawdę nie wiem nic o mojej matce.

Ale ojciec był porządnym człowiekiem. Jestem pewna, że byłby z siebie dumny.

– Dobrze i to. W każdym razie, gdybyś uznała, że możesz mi powiedzieć więcej, chętnie się zjawię, żeby posłuchać.

Nie przeczyła, że jest coś więcej. Sięgnęła przez stół i przykryła jego dłoń swoją.

– A może byś tak kiedyś przyszedł tu z Belindą?

Zarezerwuję dla was stolik.

Phillip już dawno poszedł, kiedy Nicky odłożyła wreszcie swoje papiery. Prawdę mówiąc, niewiele zrobiła po jego wizycie. Nie mogła się skupić na codziennych sprawach, bowiem jej synowi udało się sprawić coś, co do tej pory uważała za niemożliwie – przywrócił jej zdolność pamiętania.

Już we wczesnym dzieciństwie nauczyła się nie oglądać za siebie. Była z natury beztroskim dzieckiem, które chętnie przerzucało się z jednego doświadczenia w drugie. Pędziła do przodu w kolorowym, pełnym muzyki świecie, otoczona kobietami, które ją rozpieszczały, i mężczyznami, którzy dawali jej pieniądze tylko za to, że była śliczna i urocza.

Później, gdy spojrzenia w przeszłość stały się nagle zbyt bolesne, świadomie starała się patrzeć tylko przed siebie, w przyszłość. Robiła różne rzeczy, by przetrwać, i nie żałowała niczego. Jednak czasami, w najbardziej niespodziewanych momentach, wspomnienia podstępnie wracały. Wystarczył zapach majowych magnolii, parna letnia noc – a znów była w tamtym domu i w tamtej dzielnicy.

Wstała i wyszła przed drzwi. Niebo zaczynało ciemnieć. Na ulicę wyległy grupy młodzieży, które jeszcze niedawno bawiły się tu jako dzieci. Te dorastające dzieci, nawet jeśli w tej chwili nie zdawały sobie z tego sprawy, chciały wiedzieć, kim są.

Jej syn był już dorosły, a jednak i on rozpaczliwie potrzebował prawdy. Pragnął odkryć siebie, odnaleźć swoje miejsce, swoje źródło. Dałamu wszystko, co mogła, ale nie dała tego, co stało się dlań nagle tak ważne – poczucia rodzinnej ciągłości i przynależności.

Szła wolno wzdłuż ulicy, skrzyżowawszy ramiona na piersi. Miasto Nowy Orlean zrobiło wszystko, by zatrzeć jakikolwiek ślad Storyville. Basin Street czasowo zmieniła nawet nazwę na North Saratoga i dopiero w latach czterdziestych, gdy wróciły do łask nostalgiczne nastroje, zaistniała na nowo.

To, że jej klub mieści się przy Basin Street, było czystym przypadkiem. Przed laty wybrali z Jakiem to miejsce spośród licznych ofert, gdyż najbardziej im pasowało. Teraz jednak Nicky zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie było w tym czegoś więcej, jakiegoś ukrytego motywu. Może wspomnienia z dzieciństwa, głęboko wyparte do podświadomości, doszły do głosu przy podejmowaniu decyzji?

Może to niby praktyczne posunięcie podyktowała nostalgia?

Popatrzyła na drugą stronę ulicy. Teraz już nie potrafiłaby powiedzieć, gdzie znajdował się ten budynek – Magnolia Palace, dom jej dzieciństwa.

Identyczne piętrowe ceglane budynki ciągnęły się w obu kierunkach, a wszelkie ślady dawno zostały zatarte.

Tak, nic nie zostało z Magnolia Palace.

Nic, poza wspomnieniami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nowy Orlean, rok 1913

Miłosne pojękiwania Violet brzmiały niczym niskie tony trąbki Manuela Pereza. Tę drobną, śliczną dziewczynę Nicolette lubiła najbardziej.

I nie tylko ona. Kiedy Violet tanecznym krokiem przechadzała się po salonie dla gości w krótkich, falbaniastych spódnicach, lśniących zapinanych bucikach i bez pantalonów, podobała się wszystkim.

Tego ranka Nicolette po raz pierwszy usłyszała tak niskie, przeciągłe jęki i wprost nie mogła uwierzyć, że dobywają się one z gardła słodkiej Violet.

– Jak długo ona tak wytrzyma? – wyszeptwała.

– Przecież musi nabierać powietrza, no nie?

– Nie musi. Kiedy mężczyzna ją pompuje, ona nadyma się jak balon. Będzie miała duży zapas powietrza.

Nicolette przechyliła głowę i zmarszczyła brwi.

Choć jeszcze nie miała sześciu lat, umiała już czytać i wykonywać proste rachunki. Zaś o życiu wiedziała więcej niż niejedna kobieta. Szybko odgadła, że Fanny żartuje.

– Nie, czekaj, ona oddycha – wyszeptwała z podnieceniem.

– Przestała jęczeć i oddycha! Słyszę wyraźnie! – wykrzyknęła, zapominając o konspiracji.

– Cicho! – syknęła Fanny, ale było już za późno.

Nicolette poczuła rękę, chwytającą ją za kark, i strach wyculił jej zmysły. W nozdrza uderzył zapach świeżo wywoskowanej podłogi oraz fala gęstej, zmysłowej woni pudru, dymu tytoniowego i potu, stale przesycająca atmosferę tego domu.

Zabolała skóra na głowie, gdy ojciec gwałtownym gestem skrzył jej włosy i zaczął odciągać ją od drzwi. Spłoszone kroki Fanny zatupotały na schodach,

ucichły w dole i wówczas Nicolette usłyszała krótkie, zadane gniewnym głosem pytanie:

– Co ty tu robisz?

Łzy zakreśliły się jej w oczach, a gardło ścisnęło się tak, że nie mogła wykrztusić słowa.

– Mówię do ciebie, Nicolette!

– Słuchałam – wykrztusiła. – Nie robiłam nic złego.

– A wolno ci tu przychodzić?

Próbowała pokręcić głową, lecz twardego chwyt męskiej ręki nie pozwolił jej na to.

– Nie – odparła, czując, jak łzy zaczynają płynąć po jej policzkach.

– Przecież mówiłem, że nie wolno ci się tu plątać! – warknął, puszczejąc ją nagle. – Popatrz mi w oczy!

Odwróciła się powoli i dopiero teraz zobaczyła, jak bardzo jest wściekły. Dobrze wiedziała, że Rafe Cantrelle to najprzystojniejszy mężczyzna w Nowym Orleanie. Widziała tylu mężczyzn, że miała go z kim porównać. Ale kiedy był wściekły, wyglądał przerażająco.

Szybko uciekła spojrzeniem w dół.

– Czekaj – przytrzymał ją – może jednak mi powiesz, dlaczego tu przyszłaś?

Była zbyt przerażona, by odpowiedzieć. Wsunęła palce bosej stopy pod krawędź perskiego dywanu i czekała, aż ojciec ją uderzy. Wiedziała, co znaczy przemoc. Zdarzało się, że mężczyźni, odwiedzający Magnolia Palace, aby spróbować słodczy śliczniutkich oktoronek^{*7}, wzmacniali swoje doznania widokiem posiniaczonej czy zakrwawionej kobiety.

– Fanny cię do tego namówiła?

– Nie. Chciałam tylko spytać, czy Violet mnie uczesze – odparła i odważyła się zerknąć na ojca spod gęstych rzęs. – Naprawdę. Nie myślałam, że ona będzie tak wcześniej pracować. – Sięgnęła do kieszeni fartuszka i wyciągnęła ciasteczka ryżowe owinięte w białą serwetkę. – Przyniosłam jej, żeby mi pomogła.

– To nie jest wytłumaczenie.

– Poza tym czułam się samotna...

– Samotna! Nie wolno ci tu przychodzić, zrozumiano? Przez moment zastanawiała się, co by zrobił, gdyby powiedziała „nie”. Uderzyłby? Czuła, że miałby ochotę to zrobić. Zawsze wyglądał tak, jakby chciał uderzyć, choć nigdy tego nie robił.

– Zrozumiano – odparła z pokorą.

⁷ *Osoba o jednej ósmej krwi murzyńskiej (przyp.tłum.).

– Dobrze. Idź już sobie i więcej tu nie wracaj..

Pobiegła za Fanny, ale na podeście odwróciła się jeszcze, by zerknąć na ojca. Stał w tym samym miejscu i patrzył za nią twardym wzrokiem.

Przyjaciółkę znalazła w spiżarce, ukrytą za workami ryżu.

– Wychodź – powiedziała. – No! Wyychoodź już do mnie, kooochana... – zaśpiewała fragment piosenki.

– Nie chcę, pan Rafe na mnie nakrzyczy.

– Pan Rafe już sobie poszedł – skłamała Nicolette.

– Co ci zrobił?

– Nic. Zabronił mi wchodzić na górę. Ale ja lubię tam być. No, wylaż wreszcie!

To była prawda. Pomimo lęku, który czuła przed ojcem, Nicolette wiedziała, że znów powędruje na górę, kiedy tylko nadarzy się sposobność. W ciągu dnia góra była najmiłszą częścią domu. Tam urzędowały jej ukochane towarzyski – Violet, Dora, Emma i Florence. W swoich pokojach miały lustra na wszystkich czterech ścianach i szafy pełne sukienek z piórami i błyskotkami, które później, wieczorem, lśniły w czerwonym świetle lamp. Violet pozwalała Nicolette przebierać się we wszystko, co się jej podobało. Czasami nawet ubierały się jednakowo i udawały, że są siostrami.

Fanny zdziwił się wreszcie schowek i uznała, że można wyjść. Na wszelki wypadek rozejrzały się ostrożnie po korytarzu, kiedy zaś uznały, że nie ma w nim nikogo, ruszyły do kuchni.

Nagrzana i duszna kuchnia pachniała omletami i kawą. Wcześniej Nicolette pomagała Caroline zemleć ją i zaparzyć. Pod jej nadzorem nalala wrzątku do filiżanki na małą czarną dla pana Rafe'a. Później

Caroline rozgrzała wielki żeliwny rondel i usmażyła ciastka ryżowe z resztek wczorajszego ryżu.

Teraz Caroline była na targu z Arthurem, szefem domowej służby i powożącym w jednej osobie, zaś na kuchni, w duchówce, grzał się gar ze smakowicie pachnącym gulaszem. Poza szefową, która od rana była na nogach, żadna z panienek nie wstawała wcześniej niż w południe. Wówczas czekał już na nie obfity posiłek.

Kiedy jeszcze spały, matka Fanny, Lettie Sue, oraz dwie pokojówki starannie usuwały wszelkie ślady nocnej działalności – kręgi od kieliszków na pięknych meblach, sterty niedopalonych cygar, błoto, a czasem jeszcze gorsze resztki z dywanów. Po tych zabiegach dom odzyskiwał blask i przez resztę dnia stanowił oazę spokoju.

– Twój tata ma diabelski wzrok, wiesz? – powiedziała Fanny.

Nicolette nigdy nie widziała diabła, ale uznała, że rzeczywiście mógłby mieć oczy jak jej ojciec.

Zresztą, skoro tak mówiła Fanny, na pewno miała rację. Przecież była starsza. Poza tym mieszkała w mieście, przy Battlefield, dokąd jechało się tramwajem.

Chodziła nawet do szkoły razem z braćmi i siostrami, oczywiście tylko wtedy, kiedy nie pomagała matce w Palace.

W głębi korytarza rozległy się głosy. Nicolette rozpoznała surowy ton ojca.

– Kłamałaś! Pan Rafe jeszcze tu jest – przeraziła się Fanny.

– I co z tego? Ukryj się, jak chcesz. – Nicolette wzruszyła ramionami i wyszła na ocienioną winoroślą werandę, by popatrzeć na ulicę Basin, budzącą się powoli do życia. Z pobliskiego baru dobiegały dźwięki trąbek i pianina, nawoływania, śmiechy i wprawki, wyśpiewywane kobiecym głosem. Konny wóz turkotał po nierównym bruku, woźnica wykrzykiwał, że ma jeżyny do sprzedania, od czasu do czasu zagłuszały go gwizdy lokomotyw z pobliskiego dworca.

Trzy kobiety w kapeluszach z piórami, mieszkanki innego domu w dzielnicy, szły chodnikiem, paplając między sobą zawzięcie. Nie były to na pewno tanie dziwki z bram. Nicolette wiedziała, na czym polega różnica. Takie dziewczyny nie były ubrane jak damy, większość z nich mieszkała w mieście, a do dzielnicy przychodziły tylko do pracy. Wynajmowały do spółki jakiś marny pokój i używały go na zmianę.

Takie jak one nie potrzebowały ładnych ciuszków ani pięknych salonów. Właściwie nie potrzebowały niczego. Wystawały w bramach Iberville i Conti – półnagie, wulgarne, natrętne – i zaczepiały wszystkich przechodzących mężczyzn. Były zupełnie inne od kobiet z Magnolia Palace, które rozbiierały się tylko na górze i tylko dla džentelmenów.

– Poszedł? – zawołała Fanny od drzwi.

– Tak – odkrzyknęła Nicolette, widząc, jak ojciec wychodzi z budynku na ulicę.

– Fajnie! Ja idę do stajni, a ty?

Nicolette popędziła w ślad za Fanny po schodach i wypadła za nią na dwór. Letnie słońce prażyło w gołe nogi i ręce. Wiedziała, że nie powinna opuszczać domu bez pozwolenia. O tej porze powinna liczyć słupki, tak przynajmniej mówiła szefowa.

Ale szefowa nigdy jej nie sprawdzała.

Czasami Nicolette żałowała, że szefowa nie rozmawia z nią tak miło, jak z Violet. Wszystko, co robiła Violet, było ważne, nie szcędzono dla niej pochwał i uśmiechów. Ale pewnego dnia i ona dorośnie. Zacznie pracować w pokoju obok Violet, a szefowa zmieni do niej swój stosunek.

W stajni zastali Tony'ego Pete'a, który wybierał właśnie gnój z boksów. Nicolette rzuciła się na niego z takim rozpędem, że widły z brzękiem wypadły mu na posadzkę.

– Hej, Nickel, nie rozrabiaj! – upomniął ją surowo. Ale nie był zły. Tony Pete nigdy nie był na nią zły.

– Fanny i ja chcemy się przejechać!

– Teraz nie można. I nie proście mnie, bo nie chcę, żeby szefowa wpadła tu z batem.

– Ale my chcemy jeździć!

– Trudno. Nie ma jazdy.

Nicolette doskonale wiedziała, że i tak jej pozwoli.

Tony Pete jeszcze nigdy nikomu nie odmówił.

Wszystkie kobiety z Magnolia Palace wysyłały go po sprawunki, bowiem Tony, choć miał tylko dwanaście lat, doskonale wiedział, która apteka na Bieneville sprzedaje kokainę spod lady, u których gazeciarzy można kupić skręty z marihuany i gdzie są najlepsze prezerwatywy. Często załatwiał dziewczynom kredyt, a potem odbierał należność w niedzielę, kiedy szefowa wypłacała im trzecią część ich dochodu. Jeśli zaś któraś z nich nie mogła od razu spłacić wszystkiego, nie robił szumu, tylko czekał spokojnie.

– Tony, proszę! – Nicolette złożyła ręczki wdzięcznie jak do modlitwy i przechyliła głowę tym samym gestem, którym Violet wabiła swoich klientów.

– Będę dla ciebie dobra, Tony Pete, proszę!

– Na razie jesteś za młoda, żeby się na coś przydać, Nickel. – Tony z przeciwnym uśmiechem przeczesał palcami gęstą, niesforną masę jej loków.

– Ale dobrze, jedna jazda. Tylko że jeśli zobaczy nas szefowa...

Radosny wrzask zagłuszył jego słowa. Tony Pete nałożył siodło gniadej kobyły o imieniu Trooper, rozejrzał się chyłkiem, a potem wyprowadził konia na dziedziniec.

– Młodsze najpierw – powiedział, podstawiając Nicolette dłoń, by mogła wskoczyć na koński grzbiet.

Wsiadając, dostrzegła nadąsaną minę Fanny.

– Będziesz pierwsza następnym razem – obiecała, nie chcąc, by coś popsuło stosunki między nimi, a potem przytuliła policzek do końskiej szyi.

Mogła mieć tysiące najprzeróżniejszych zajęć i rozrywek, ale jazda na Trooper należała do najukochańszych.

Dlatego też Nicolette marzyła o tym, że pewnego dnia będzie miała swoje własne konie. Będzie na nich jeździła, wałąc bosymi piętami w boki i kłusując przez nieznanne jej ulice.

Miała właśnie zejść po ostatnim okrążeniu i ustąpić miejsca Fanny, kiedy klacz zarżała pod nią niespodziewanie. Odpowiedziało jej inne rzenie, dochodzące zza ogrodzenia. Nicolette obejrzała się za siebie i zobaczyła powóz, który zatrzymał się na podjeździe. Nie był to zwyczajny widok. Po południu powozy i automobile tak tłoczyły się na Basin Street, że nawet na podjeździe

trudno było znaleźć wolne miejsce, jednak o tej porze dnia rzadko kto tędy przejeżdżał.

Tony Pete pomógł zeskoczyć jej na ziemię, a ona natychmiast pobiegła, by zobaczyć, kto przyjechał.

Wyglądziła sukienkę i przeczesła czuprynę palcami.

Jeśli zawitał do nich jakiś dżentelmen, mogła dostać parę centów za przekazanie wiadomości. Im ładniej wyglądała, tym panowie byli hojniejsi.

Nicolette lubiła spełniać drobne posługi dla dżentelmenów, którzy odwiedzali dom. Dawali jej w zamian pieniążki, cukierki, albo obdarzali pachnącym whiskey i tytoniem, soczystym ojcowskim całusem. Dobrze wiedziała, że jest tu faworytką.

Kiedy nie było ojca, podawała wino w salonie w swojej najlepszej sukience, a czasami nawet deklamowała wiersze, których nauczyła ją Violet.

Nie rozumiała wprawdzie większości słów, ale domyślała się, że lepiej nie wymawiać ich w obecności ojca. Jakiegokolwiek były, panowie byli zadowoleni.

Dostawała brawa i kolejne podarki.

Pieśni, których uczył ją Clarence Valentine, również lepiej było nie śpiewać w obecności pana Rafe'a. Nie, nie dlatego, że miały zdrożne słowa. Po prostu ich znajomość świadczyłaby o tym, że Nicolette bywa w salonie w czasie odwiedzin gości, bo to dla nich przecież śpiewał Clarence.

Clarence też zresztą ją lubił, i to bardzo. W ogóle ojciec oraz szefowa byli chyba jedynymi osobami w Magnolia Palace, którzy się na nią wściekali i wydzierali, a tego Nicolette bała się najbardziej.

Powóz miał zaciągnięty dach, co wydawało się dziwne, zważywszy na upał. Gdyby ona jechała w takim powozie, złożyłaby dach, wystawiając twarz na powiewy wiatru. Uśmiechnęła się przyjaźnie do starego człowieka, siedzącego na koźle, jednak jego twarz pozostała smutna i nieruchoma.

Posłużyła się zalotnym uśmiechem Violet, ale i to nie poskutkowało.

– Mogę przekazać wiadomość – powiedziała usłużnie. – Mogę zrobić jeszcze wiele innych rzeczy...

Nie odpowiedział, ale przestał się jej przyglądać.

Odwrócił wzrok, jakby widok stał się zbyt bolesny.

Wykręcił się na koźle, zapukał w ścianę pojazdu, a wówczas otworzyły się drzwiczki i wyjrzała zza nich kobieta.

Uśmiech Nicolette zbladł. Na hojność mężczyzn zawsze mogła liczyć, ale z kobietami była zupełnie inna sprawa. Trzymały swoje pieniądze tak krótko, jak Tony Pete wodze Trooper, kiedy oprowadzał ją po dziedzińcu. Owszem, chętnie poprawiały jej uczesanie czy sukienkę, ale na tym zazwyczaj się kończyło.

Kobieta patrzyła na nią tak intensywnie, że Nicolette spieszyła się nieco. Uświadomiła sobie nagle, że ma brudną buzię i pogniecioną sukienkę, zaczęła więc ją wygładzać. Potem skłoniła się i zapytała z dorosłą elegancją, która niezawodnie śmieszyła goszczących w Magnolia Palace mężczyzn:

– Szanowna pani? W czym mogę pomóc?

Kobieta skinęła głową. Jej usta poruszyły się lekko, ale nie padło z nich żadne słowo. Odchrząknęła.

– Możesz do mnie podejść?

– Jasne. – Nicolette zrobiła kilka kroków, ciekawie zaglądając w głąb powozu. Tajemnicza dama wyglądała na starszą niż Violet, ale młodszą od szefowej. Była biała, miała miękkie brązowe włosy i niezwykle jasne, niebieskie oczy.

– Usiądziesz na chwilkę obok mnie?

Dziewczynka zmarszczyła brwi, szybko jednak przypomniała sobie, że wygląda wtedy jak małpka.

Violet pokazała jej to kiedyś w lustrze.

– Gorąco tam jest?

– Nie za bardzo.

– Okay. – Jednym susem skoczyła na stopień, a potem rozsiadła się na siedzeniu naprzeciwko nieznamym. – Mam brudną buzię – przyznała się.

– Myłam ją wczoraj, ale...

– Masz... śliczną buzię.

– Violet mówi, że mężczyźni będą za mnie dużo płacić.

Palce kobiety wpiły się w siedzenie.

– Kim jest Violet?

– Moją najlepszą przyjaciółką. Chociaż nie, to Clarence jest najlepszy.

– A kim jest Clarence?

– Gra na pianinie w salonie dla gości. I też śpiewa. Profesor^{*8} Clarence Valentine, nie słyszała pani o nim?

– Nie.

– On potrafi zagrać wszystko. Fokstrotą, ragtime'y, jazz. Czasami śpiewa bluesa. Ale tylko późno w nocy, kiedy dżentelmeni się rozejdą. A pani śpiewa?

– Nie.

– Bo biali ludzie nie śpiewają za dobrze, prawda? Tak mówi Clarence.

– A ty umiesz śpiewać?

⁸ *Pianiści grający w barach i domach dzielnicy rozrywki zwani byli „profesorami”. Każda miejscowość w okolicy miała swojego słynnego profesora – (przyp.tłum.)

– Umieć – odparła z dumą. – Clarence mówi, że mam w sobie na tyle dużo murzyńskiej krwi, że umieć śpiewać naprawdę ładnie.

Kobieta milczała.

– Po co pani tu przyjechała? – ośmieliła się zapytać Nicolette.

– Przywiozłam ci coś.

– Mnie? – Dziewczynka otworzyła szeroko oczy. – Dlaczego mnie? – zapytała odruchowo, ale natychmiast połapała się, że pytanie jest nieestosowne.

– Dziękuję, merci. Widzi pani? Znam też francuski. Wszystkie kobiety w Magnolia Palace muszą znać francuski, bo mężczyźni lubią słyszeć ten język. Parę przecznic dalej jest dom zwany francuskim. Była pani tam? Ale tam nie mówią po francusku, tylko robią to po francusku...

– Skąd wiesz, co się robi w takich domach, Nicolette?

– Skąd pani zna moje imię?

– Znałam twoją matkę.

– Ja nie mam matki. – Nicolette nieufnie zmarszczyła brwi, tym razem zapominając o małpiej minie i lustrach.

– Wiem, ale kiedyś miałaś, a ja ją znałam. I wiem, że dzisiaj są twoje szóste urodziny.

– Nikt mi nie mówił o urodzinach.

– Widocznie o nich zapomniano. – Kobieta sięgnęła pomiędzy fałdy spódnicy i wyjęła paczuszkę owiniętą w srebrny papier. – To jest twój prezent urodzinowy.

– Naprawdę?

– Jak najbardziej. – Wyciągnęła rękę ku Nicolette i włożyła jej paczuszkę w dłoń. Jej własne dłonie drżały lekko. – Otworzysz go teraz?

– Pewnie! – Dziewczynka niecierpliwie rozerwała papier, a kiedy uniosła wieko, zobaczyła złoty medalion spoczywający na wyściółce z miękkiej bawełny. – To dla mnie? – wyszeptwała.

– Tak. Ale pamiętaj, Nicolette, to musi być nasz sekret.

Oczy dziewczynki załśniły.

– Sekret?

– Tak, kochanie. Nie możesz nikomu mówić o naszym spotkaniu. A zwłaszcza ojcu.

– Dlaczego?

– Zdenerwuje się. – Głos kobiety załamał się na moment. Odkasznęła. – Czy mówił ci coś o twojej matce?

– Nie mam matki.

– A więc nie mówił. Był bardzo nieszczęśliwy, kiedy odeszła.

– Ona umarła.

– Właśnie, odeszła do aniołów. Pewnie nie chce jej wspominać, bo to zbyt bolesne. Ten medalion należał do niej.

– Do mojej mamy?

– Tak.

Nicolette uniosła w górę serce, dyndające na złotym łańcuszku. Medalion był prosty, zupełnie inny niż biżuteria, którą nosiły dziewczyny i szefowa.

Ale sześć małych diamentów, osadzonych wśród wygrawerowanego wzoru z różyczek, błyszczało naprawdę ślicznie.

– Czy była ładna?

– O, nie tak ładna jak ty. Ale bardzo, bardzo cię kochała. I nie chciała cię zostawić.

Nicolette z trudem przepchnęła łańcuszek przez zmierzwiłone, gęste włosy. Nieznajoma kobieta chciała jej pomóc, ale na szczęście dała sobie radę sama.

– Skoro nie chciała, to nie powinna odchodzić – stwierdziła.

– Nie zawsze coś wychodzi tak, jak byśmy chcieli, kochanie.

– Tak czy nie tak, nie potrzebuję matki. Mam Violet i Clarence’a.

– A ojciec?

– Pan Rafe? – Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Czy on jest dla ciebie dobry, Nicolette?

Co za pytanie? Nigdy się nad tym nie zastanawiała.

– Skrzywdził cię kiedyś?

– Nie. – Nicolette pokręciła głową. – Lubiłby mnie tylko bardziej, gdybym tak nie rozrabiała.

Za głową kobiety rozległo się pukanie. Nieznajoma drgnęła i zerknęła dyskretnie przez okienko.

– Pamiętasz, co powiedziałam o medalionie? – zapytała z naciskiem. –

Musisz go ukryć, żeby ojciec niczego nie zobaczył. Jeśli go znajdzie, będzie na nas zły.

Nicolette wypolerowała palcami serduszko i spróbowała otworzyć wieczko. Kobieta nacisnęła zamek i wtedy wieczko odskoczyło.

– Widzisz, jak to działa?

– Nie ma nic w środku.

– Któregoś dnia włożysz tam fotografię.

Pukanie rozległo się znów, tym razem głośniejsze.

– Lepiej już idź, kochanie – powiedziała kobieta, zaraz jednak, jakby przeząc swoim słowem, przytrzymała ją na siedzeniu.

– Przyjedzie tu pani jeszcze?

– Chciałabym. Ale jeśli twój ojciec mnie zobaczy, będzie wściekły.

– Tu pani mieszka?

– Nie.

– A może tu pracuje?

– Nie!

– No to pewnie się już nie zobaczymy – stwierdziła

Nicolette, przesuając się ku drzwiom.

– Czy mogę cię uścisnąć? W imieniu twojej mamy?

– Dobrze.

Żarliwość uścisku zdziwiła dziewczynkę. Odwzajemniła go jednak laskawie i pozwoliła przytulić swój policzek do policzka kobiety.

– Pamiętaj, tylko nie mów nic ojcu – wyszeptwała jeszcze dama, wtykając jej medalion pod sukienkę, żeby nie było go widać.

– Okay. Uwielbiam sekrety!

– Do widzenia, kochanie!

Nicolette wysunęła się z jej objęć i zeskoczyła na ziemię. W podskokach pobiegła ku stajniom, zanim jednak zniknęła za rogiem, przystanąła i obejrzała się za siebie. Tajemnicza dama wciąż za nią patrzyła, kiedy zaś spostrzegła jej wzrok, uśmiechnęła się blado i niepewnie pomachała ręką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nicolette stała na paluszkach w dusznym wnętrzu szafy i zaglądała przez dziurę w ścianie do drugiego pokoju. Mrugała powiekami, gdy pot zalewał jej oczy, ale nie poruszyła się ani razu.

Na piersi czuła chłodny dotyk medalionu. Od tamtej pory nie widziała pani z powozu, lecz zdołała zachować ich wspólną tajemnicę. Znalazła schowek w swoim pokoju – dziurę w tynku, zakrytą oddartym skrawkiem tapety – i kiedy zaganiano ją do kąpeli albo była w nocnej koszuli, chowała tam swój skarb.

– Widzisz coś? – szepnęła Fanny.

– Ciii... – Nicolette zmrużyła oko, by lepiej widzieć. Większość pokoi w Magnolia Palace posiadała garderoby, a w nich szafy. Jednak ta szafa była inna niż wszystkie, co odkryła Fanny, kiedy odkurzając pokój Flo, musiała odłożyć na półkę gorset. Okazało się, że w tylnej ścianie jest dziura do podglądania.

Dziura była spora i idealnie okrągła, jak gdyby ktoś zrobił ją celowo. Przeznaczona była dla oczu dorosłych, lecz dziewczynki poradziły sobie, wdrapując się na stos pudeł po kapeluszach. Dzięki temu mogły na zmianę obserwować, co się dzieje w pokoju Violet.

Violet miała klienta. Nie był ani niski, ani wysoki, włosy miał ani jasne, ani ciemne. Siedział rozparty w fotelu i patrzył, jak Violet powoli rozplata przed nim włosy.

Nicolette wiedziała, że dla tego mężczyzny dziewczyna zawsze ma czas. Z innymi umiała być szybka, niektórych udawało jej się nawet obsłużyć w dwie minuty, ale ten podobno płacił jej specjalnie, żeby się nie spieszyła. Nicolette nie bardzo rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi, i teraz liczyła na to, że wreszcie się dowie. Jeśli oczywiście wytrzyma na tym stosie kapeluszy.

Violet wyjęła ostatnią spinkę i złoty płaszcz włosów opadł w dół, ku smukłej talii.

– Mam nie zdejmować pantofelków, Henri? – zapytała.

– I co, i co? Widzisz coś? – wyszeptała podekscytowana Fanny.

– Szs... jeszcze nic – skłamała Nicolette.

– Fanny! – dobiegło do nich wołanie z korytarza.

– Kurna, matka mnie woła. Zaraz będzie mnie szukać!

– No to idź, bo jak cię tu znajdzie, to cię zleje.

Fanny znów zakłęła, a Nicolette zachichotała cichutko. Zazdrościła przyjaciółce jej plugawego języka.

– Dobra, a jakby cię nakryli, to ani dudu, że tu byłam, jasne?

– Jasne, kurna – odparła szybko i po chwili została sama.

Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Teraz, nie niepokojona przez nikogo, będzie sobie mogła patrzeć do woli. Wreszcie dowie się, na czym polega to „pompowanie”, jak wyrażała się Fanny.

Przycisnęła mocniej czoło do ściany. Mężczyzna zanurzył rękę we włosy Violet i ścisnął w dłoni jej pierś. Dziewczyna nawet nie drgnęła.

– Zostaw pas i podwiązki – powiedział.

– Oui.

Violet nie była Francuzką, ale Nicky wiedziała, że klienci lubią, gdy ją udaje. Za pieniądze robiła dokładnie wszystko, czego chcieli. Szefowa powtarzała nie raz, że jasnowłosa Violet o wielkich, niebieskich oczach lalki i cerze złocistej dzięki kropli czarnej krwi ściąga więcej klientów niż którakolwiek panienka w okolicy. Dodawała przy tym, że kolorowa krew dodaje kobiecie szczególnego smaku. Wszystkie dziewczyny w Magnolia Palace miały tę przyprawę. Clarence twierdził, że szefowa ma jej w nadmiarze.

– Oui – powtórzyła Violet i wślizgnęła się klientowi na kolana. Oplotła go nogami, przegarnęła palcami jego włosy, a potem zaczęła rozpinać mu ubranie. Mężczyzna odrzucił głowę do tyłu, jęknął z rozkoszą, przesunął dłońmi po jej nagim ciele.

Pracowite ręce Violet nie przestawały go rozbierać, on zaś wzdychał raz po raz i gapił się tępym wzrokiem w lampę wiszącą pod sufitem.

– Pachniesz jak dziwka – mruknął. – Jak facet, któremu dawałaś przede mną.

– Pachnę jak fiołki, M'sieu.

– Akurat, tanią wodą za dwadzieścia pięć centów.

– Mógłbyś mi podarować drogie perfumy, żebym pięknie dla ciebie pachniała. Przecież nie musisz wydawać na żonę, bo jej nie masz, Henri.

– To się wkrótce zmieni.

Dłonie Violet znieruchomiały na ułamek sekundy.

– Więc przestaniesz przychodzić do swojej Violet?

– Tego nie powiedziałem. – Pochylił się do przodu, żeby mogła mu ścisnąć koszulę. Jego dłonie znów zbłądziły ku jej piersiom. Zebrał je i ścisnął razem w dłoni.

Violet gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Takie małe cycki u dziwki – powiedział. – Sam nie wiem, czemu do ciebie chodzę, Vi.

– Bo daję ci rozkosz.

– A lubisz to? – Pomiętosił jej biust.

– Och, oui! – Jęk był rozkoszny, gardłowy, ale Nicolette wiedziała, że jest udawany. Ten facet zwyczajnie dręczył Violet i nawet ona, która nie wszystko tu rozumiała, zdawała sobie z tego sprawę.

– Lubię słuchać tych jęków. Kobieta nie powinna zapominać, kto ma nad nią władzę.

Rozpięła mu rozporek i wsunęła dłoń do środka.

– Henri – wyszeptwała – chodź już do łóżka.

– A nie zapomniałaś o czymś?

– Tam cię obmyję.

Przyciągnął ją bliżej siebie.

– Opowiedz mi, jak niedobra byłaś w tym tygodniu.

Jęknęła jeszcze głośniejsze, błagalnie.

– Och, byłam niedobra, bardzo niedobra...

Puścił jej piersi. Odetchnęła. Zanim jednak zdążyła się odsunąć, twarda ręka wczepiła się we włosy, skręcając je boleśnie aż do skóry.

– Gadaj!

– Ja... spałam z innymi mężczyznami, Henri.

– Pieprzyli cię, co? I dobrze ci z nimi było?

Lękliwie uniosła wzrok.

– Nie, Henri...

– Kłamczuszka. – Uśmiechnął się łagodnie, lecz zaraz potem szarpnął jej głową do tyłu. Krzyknęła, kiedy ugryzł ją w sutek. – Co jeszcze robiłaś?

Mów!

– Tańczyłam nago za pieniądze. Przepraszam... – objęła go za szyję – bardzo cię przepraszam!

– Nie będziesz więcej?

– Nie, proszę...

– Suka. – Odepchnął jej głowę, a potem popatrzył na swoją dłoń, jakby brzydził się jej dotyku.

– Powiniennem stłuc ci pysk.

Nicolette zmartwiała z przerażenia, do gardła podpłynęła jej fala mdłości. Nie takie sceny miała zamiar oglądać. Gdyby mogła, pobiegłaby do pokoju Violet i powstrzymała tego okrutnego mężczyznę, ale wiedziała, że jest za mała i za słaba. Zresztą i tak nikt by go nie powstrzymał. Szefowa zawsze mówiła, że mężczyźni powinni dostawać to, za co płacą.

– Pokaż mi, jak się kajasz, Vi – nakazał Henri.

Znów chwycił jej głowę, tym razem za podbródek, a potem puścił. Wstała z jego kolan i odeszła.

Nicolette nabrała nadziei, że na tym się skończy, ale mężczyzna wstał również i podszedł do nagiej dziewczyny. Spodnie opadły mu na podłogę. Stał za nią...

Nicolette starała się nie uronić ani jednego momentu i gotowa była trwać do końca, choćby miała zwymiotować. Widywała już porozbieranych mężczyzn na korytarzach Magnolia Palace. Raz nawet jakiś gołas zaczął ją gonić, kiedy rano otworzyła drzwi i zobaczyła go na podłodze z jedną ze służących.

Jednak ten mężczyzna był inny, większy i bardziej groźny. Jego stercząca męskość celowała prosto w Violet, jak pałka policjanta patrolującego ich dzielnicę. Nicolette z przerażeniem pomyślała, że zaraz zrobi jej krzywdę.

Tyle że Violet zdawała się spokojna. Umyła go starannie. Ostra woń środka dezynfekującego sprawiła, że ukryta w szafie Nicolette zaczęła dławić się tłumionym kaszlem. Gdy ponownie przystawiła oko do dziury w ścianie, ujrzała Violet rozłożoną przed klientem w dziewczęcych pantofelkach, pończochach i podwiązkach. Nie ruszała się, czekała, wpatrując się w niego wielkimi oczami.

Położył się na niej, przygważdżając jej ramiona do materaca.

– Tylko nie graj przede mną dziwki – syknął.

– Nie ruszaj się i niczego nie udawaj. Będę cię teraz używał tak długo, jak zechcę. A kiedy skończę, może zechcę zacząć jeszcze raz, zrozumiałeś?

Violet przytaknęła, nerwowo przygryzając dolną wargę.

– I pamiętaj: jesteś niczym – powiedział z pogardą. – Naczyniem na moją spermę. Żyjesz tylko po to, żeby dawać mi rozkosz, po nic innego.

Nicolette patrzyła do końca. Śledząc zaś dalsze poczynania tego dziwnego mężczyzny, wcale nie miała wrażenia, że Violet dostarcza mu jakiegokolwiek rozkoszy. Nie uśmiechał się, nie wydawał żadnych dźwięków. Poruszał się jedynie po niej w dół i w górę, jakby chciał wydusić z niej ostatni oddech, a kiedy skończył, wczepił palce w jej włosy, by nie mogła uciec, i zasnął.

Violet leżała cicho u jego boku i patrzyła tępo w sufit. Nie płakała, co uspokoiło Nicolette. Gapiała się tylko w ten sufit, jakby widziała tam coś bardzo ciekawego.

Po południu tego samego dnia Nicolette wykapała się, przebrała w najładniejszą sukienkę, a potem założyła medalion – jedyną biżuterię, jaką posiadała. Brakowało jej Violet przy zapinaniu guziczków, ale starsza przyjaciółka nie zeszła jeszcze z góry.

Ojciec pojawił się na chwilę, lecz zaraz gdzieś poszedł i nie spodziewała się, że wróci przed nocą.

Gdyby zamierzał się zjawić, szefowa nie pozwoliłaby jej przecież zejść do salonu, by mogła posłuchać, jak gra Clarence.

Szefowa nie lubiła Nicolette, nie miała jednak nic przeciwko jej wieczornym wizytom w salonie.

Mówiła, że panowie zachowują się bardziej po dżentelmeńsku w jej obecności, a niektórzy szczególnie uwielbiają małe dziewczynki i takie jak ona małałaty szczególnie ich „rajcuja”. Dzisiaj spytała zaś nawet, czy Nicolette chce podawać wino gościom i zbierać dla siebie wszystkie napiwki. Czy chciała? Jasne! Zbliżało się przecież Boże Narodzenie i miała zamiar kupić prezenty dla Clarence’a i Violet.

Clarence nie lubił wprawdzie, kiedy przebywała w salonie w towarzystwie gości, ale przecież na pewno się na nią nie pogniewa. Na wszelki wypadek nie powiedziała mu wcześniej, że przyjdzie.

Kiedy weszła, dwaj mężczyźni siedzieli już rozparci na pluszowych zielonych kanapach pod oknem.

Obok nich przysiadły Emma i Dora, zaś Maggie przechadzała się po pokoju, wyzywająco kołyszając biodrami. Jeden z gości wodził za nią ciężkim wzrokiem, co znaczyło, że wkrótce zniknie z Maggie na górze.

– Witam panów – powiedziała Nicolette słodkim głosem, tak jak uczyła ją Violet. – Czy mają panowie ochotę na wino? A może na szampana?

Drugi z mężczyzn roześmiał się. Był wysoki, o obfitych bokobrodach.

– Ho, ho, kogo my tu mamy? – zarechotał. – Dziecko-dziwkę?

– Cicho! – Rudowłosa Emma zmierzyła go surowym spojrzeniem. Specjalizowała się w patrzeniu na dżentelmenów z góry i mówiła, że wielu specjalnie czeka na takie traktowanie. – Chodź tu, Nicolette, poznaj naszych panów.

Nicolette podeszła bliżej. Ucieszyła się, że żaden z gości nie jest tym, którego widziała z Violet.

– Mamy świetny szampan, Mumm Extra Dry – zachwalała.

Znów się roześmiali, a ten bez bokobrodów zamówił butelkę. Przyniosła ją niezwłocznie i przekazała

Maggie, która rozlała alkohol do kieliszków stojących na stoliczku przy drzwiach. Jak zwykle, porcje dla dziewczyn rozcieńczyła mocno wodą.

Bokobrodziasty klient wyciągnął z kieszeni dolara i błysnął nim Nicolette przed oczami, kiedy przyniosła mu kieliszek.

- Daj mi buzi, koteczku, a coś dostaniesz.
- Tylko uważaj z nią – ostrzegła Emma.
- Och, tylko mały cmok w policzek

Nicolette uznała, że transakcja jest opłacalna, i pocałowała mężczyznę ostrożnie. Bokobrody okazały się całkiem miłe i miękkie. Zanim jednak zdążyła się zorientować, przytrzymał ją i mocno pocałował prosto w usta. Odskoczyła jak oparzona, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Dwa dolary! – powiedziała stanowczo, stając przed nim z wyciągniętą ręką. Śmiali się jeszcze głośniejszej. – Należy mi się – nalegała, przestępując z nogi na nogę.

Mężczyzna posłusznie sięgnął do kieszeni i wręczył jej kolejną monetę.

- Zasłużyłaś sobie, koteczku. Jak się postarasz, to jeszcze coś dostaniesz.

Nicolette uznała, że go lubi. Wsunęła pieniądze do kieszeni sukienki. Widziała, że tak właśnie robią wszystkie dziewczyny.

- Mogę jeszcze zaśpiewać. Chce pan posłuchać?

Za jej plecami rozległo się głośne kaszlnięcie, aż za dobrze słyszalne na tle cichej, dyskretnej muzyki.

Cofnęła się, oparła o fortepian.

– Tylko jedną piosenkę, Clarence – poprosiła przymilnie, mrugając długimi rzęsami.

- Nickel, jak tata się o tym dowie, weźmie na ciebie kija.

- Nie ma go przecież. Clarence, och, tak cię proszę!

Clarence był silnym, niedźwiedziowatym mężczyzną, który zanim uczynił z grania swój zawód, nosił dla zarobku bele bawełny w miejskim porcie.

Jako muzyczny samouk nie umiał czytać nut, ale potrafił zagrać każdą melodię. Grając w Magnolia Palace, awansował do kasty czarnych ludzi z centrum miasta, mniej szlachetnych niż podmiejscy Kreole, ale za to zamożnych.

Dziś miał na sobie szary, prążkowany garnitur z szerokim krawatem, w którym połyskiwała wysadzana klejnotami spinka, siejąc tężowe błyski po ścianach. Z westchnieniem opuścił długie palce na klawiaturę. I mimo że parzył na Nicolette ze smutkiem, dźwięki, które wydał jego instrument, były tak radosne, że zdawały się rozsadzać ściany salonu.

Nicolette splotła ręce przed sobą i czekała, aż przebrzmia wstępne akordy Alexander's Ragtime Band. Później wystąpiła krok naprzód i zaśpiewała.

Panowie z początku nie przerwali rozmowy i nie zwrócili na nią większej uwagi, lecz już po pierwszej zwrotce dżentelmen z bokobrodami uciszył gestem swego towarzysza i zwrócił błyszczący wzrok ku śpiewającej.

Nicolette lubiła mieć słuchaczy. Tylko wtedy była pewna, że jest zauważana. Zaśpiewała głośniej, klaszcząc do rytmu, i zaraz potem, przy refrenie, zawtórowały jej klaskaniem wszystkie dziewczyny.

Kiedy muzyka ucichła, skłoniła się, zarumieniona z radości. Clarence od razu zagrał następny utwór – Swipsej’s Cakewalk – którego nauczył się podobno, kiedy jej nie było jeszcze na świecie. Pływał wówczas po Missisipi, a gość, który pokazał mu melodię i akordy, nazywał się Scott Joplin*⁹

Teraz Nicolette zaczęła tańczyć. Podskakiwała, robiła piruety, wyrzucała ręce do góry, a mężczyźni pokrzykiwali do rytmu i rzucali jej do stóp drobniaki.

I znów występ zakończyły gromkie brawa.

Nicolette schyliła się, by pozbierać monety. Podniosła i schowała wszystkie, co do jednej, kiedy zaś się wyprostowała, w drzwiach ujrzała ojca.

Zaciskając w rękę pieniądze, z ociąganiem ruszyła w jego stronę. Szefowa, która stała obok, odsunęła się z szelestem spódnicy, by ją przepuścić. Rafe w milczeniu położył dziewczynce dłoń na ramieniu, po czym pchnął ją w kierunku pokoiku koło kuchni. Za załomem korytarza zatrzymał się i ścisnął mocniej drobne ramię.

– Co tam robiłaś? – zapytał tonem niewróżącym nic dobrego.

– Śpiewałam. – Wołała nie mówić o serwowaniu szampana, a już na pewno nie o pocałunku za dwa dolary.

– Kto ci pozwolił tam iść?

– Nikt.

Chwył zacisnął się mocniej.

– Kto?

Zaryzykowała szybkie spojrzenie na ojca.

– Szefowa.

– Tylko nie kłam!

Nie chciała kłamać, ale szefowa była jedyną osobą, na którą mogłaby z czystym sumieniem zrzucić całą winę.

– Czy to szefowa cię ubrała i posłała na dół? A może Violet?

– Nie! – Tym razem spojrzała mu prosto w oczy, na moment zapomniawszy o strachu. – Violet jest zajęta na górze.

– Sprawdź to.

– Ja tylko śpiewałam! – Przygryzła dolną wargę, ale nie rozplakała się jeszcze. – Umiem śpiewać...

Potrząsnął nią gwałtownie i uniósł, aż jej kończyny zadyndały bezwładnie jak u szmacianej lalki, którą Nicolette dostała kiedyś od Clarence’a. Zapo-

⁹ *Słynny twórca ragtime’ów (przyp.tłum.).

mniała o monetach, które ścisnęła w spotniałej garści. Z brzękiem rozsypały się po podłodze.

Chciała je pozbierać, ale ojciec był szybszy i sam podniósł wszystkie.

– Masz więcej?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zresztą, po co pytam... Odwracaj się, rozepnę ci sukienkę i sam sprawdzę.

Próbowała zapewnić, że nie ma więcej, ale niesłuchał. Rozpiął guziki i niecierpliwie ściągnął z niej sukienkę przez ramiona.

Nie znalazł pieniędzy – za to dostrzegł na szyi córki błysk złota. Szybkim ruchem zdjął medalion i puścił Nicolette, która drżącymi rękami zaczęła się ubierać.

– Kto ci to dał?

Nie odpowiedziała. Żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

– Ktoś z domu?

Pokręciła głową.

– Ukradłeś? Dał ci to jeden z mężczyzn?

Już miała przytaknąć, lecz w ostatniej chwili pojęła, że jeśli to robi, ojciec dowie się, że wcześniej również bywała w salonie. Było coś w wyrazie jego twarzy, co przerażało ją bardziej niż spokojny głos czy nieruchoma postawa. Nie wiedziała, co oznaczają nagle zwężone źrenice i pobladłe policzki.

Jakiś głos z głębi serca powiedział jej, że musi wyznać prawdę, gdyż jeśli tego nie zrobi, grozi jej coś jeszcze gorszego niż dotychczas.

– Dała mi to pewna dama – powiedziała cicho.

– Jaka dama? Gdzie?

– Dama w powozie.

– Kiedy?

– W moje urodziny. Powiedziała, że to ma być nasz sekret.

Rafe znieruchomiał. Już wcześniej stał spokojnie, ale teraz wyglądał jak posąg wyrzeźbiony z marmuru.

– Idź do swojego pokoju – odezwał się po nieznośnie długiej chwili.

– Ta pani powiedziała, żebym zatrzymała sobie ten medalion – upomniała się Nicolette.

– Jeżeli jeszcze raz zejdziesz do salonu, zabiorę cię stąd, rozumiano?

– Proszę...

– A jeśli jeszcze raz odezwiesz się do któregoś z gości, albo... – na moment zawiesił głos, a w oczach pojawił mu się lodowaty błysk – ...albo zobaczysz się choć raz z tą kobietą, odeślę cię stąd na zawsze, jasne?

– I już nie zobaczę Clarence i Violet?

Patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu. Pomyślała, że pewnie jej nienawidzi. Nikt jeszcze nigdy tak na nią nie patrzył. Nawet szefowa. Zamrugała powie-

kami, by rozpedzić gromadzące się łzy. Zdawało się jej, że w głębi korytarza, za plecami ojca, widzi postać mężczyzny, który był dziś u Violet. Zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, tamten człowiek już zniknął, a ojciec oddalał się wielkimi krokami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Belinda leżała u boku Phillipa i równo oddychała przez sen. Cienka bawelniana koszulka zadarła się, odsłaniając smukłe uda. Nigdy nie dotykała go, gdy spali, jak gdyby taki akt zawłaszczenia był niedopuszczalny i bardziej przypominał gesty należących do siebie małżonków niż wolnych od zobowiązań kochanków. Szczodrze obdzielała go sobą, ale nie prosiła o nic w zamian.

Phillip również nie zamierzał ofiarować jej niczego, co miałyby jakkolwiek trwałą wartość.

Owszem, dawał Belindzie prezenty, robił zakupy, kiedy u niej przemieszkował, zapraszał ją do lokali.

Mimo to postrzegał ich związek tak, jak inne związki w swoim życiu – byli razem, dopóki uważali za stosowne. Nie miałby żalu, gdyby inny, bardziej spolegliwy mężczyzna zajął miejsce u boku Belindy.

Ona zaś nie miałaby chyba żalu, gdyby z powodu pracy opuścił ją na długo, a potem wrócił już obojętny na jej wdzięki.

Leżał z rękami skrzyżowanymi pod głową i wpatrywał się uparcie w sufit sypialni. Promienie porannego słońca przesiewały się przez cienkie zasłony, lecz wąskie okna nie przepuszczały za dużo światła.

Ten dom był azylem Belindy, jej świątynią, miejscem, gdzie mogła się schronić przed światem, który traktował ją tak szorstko i obojętnie. Wyrastała w nędzy, w domu gdzie dzieci spały po trzy na jednym materacu, a starsze szybko musiały się uczyć gotować, sprzątać i niańczyć młodsze, bowiem matka umarła wkrótce po urodzeniu szóstego z nich. Belinda twierdziła, że jej mama odeszła, bo nie miała już ochoty żyć.

Było jeszcze czterech braci i siostry z drugiego małżeństwa ojca. Kiedy i on umarł, rodzeństwo zostało przydzielone poszczególnym członkom rodziny, którzy mieli równie duże gromadki własnych dzieci. Belindzie udało się chyba najlepiej. Jako najstarsza trafiła do starej ciotki ojca, prawie ślepej, bezdzietnej kobiety, która potrzebowała jej opieki.

Reszta dzieciństwa i młodość były bardzo ubogie – dwie sukienki na zmianę, do szkoły i do kościoła, a niedzielny obiad taki sam, jak wszystkie inne. Za to ciotka była miła i dobra, zaś po jej śmierci stało się jasne, dlaczego tak skrupulatnie wyliczała swoją skromną rentę – oszczędności całego życia zapisała Belindzie z przeznaczeniem na studia.

Bracia i siostry Belindy rozpięchli się po całych Stanach. Ktoś pracował na więziennej farmie w Arkansas, kto inny żył całkiem nieźle z napraw telewizorów. Dwie siostry wyszły za mąż i miały dzieci, a jedną znaleziono martwą przy szlaku kolejowym, wiodącym wzdłuż Missisipi. O reszcie słuch zaginął. Belinda na próżno usiłowała ich odnaleźć.

Możliwe, że to właśnie jej przeszłość sprawiła, że tak mało oczekiwała od Phillipa. Otrzymała w życiu jeden dar i dobrze go spożytkowała. Nie oczekiwała następnego. Nie spodziewała się, że Phillip pokocha ją i z nią zostanie, czy nawet że będzie dla niej bardziej czuły. Ludzie przychodzą i odchodzą, on był jednym z nich.

– O czym tak rozmyślasz?

Poruszył się, słysząc jej głos.

– O tobie.

– Serio? – zaserwowała mu senny, poranny uśmiech. – Od tego właśnie chcesz zacząć dzień?

– Co mam dla ciebie zrobić, Belindo?

Nie była zaskoczona. Niewiele rzeczy ją zaskakiwało.

– Z przyjemnością wypiłabym filiżankę kawy. Wiesz, gdzie jest ekspres...

– A potem?

– Hm. Ciekawe, do czego zmierzasz?

– Na pewno nie mam na myśli seksu.

– Rozumiem.

– Niczego ode mnie nie oczekujesz?

Zmierzyła go uważnym spojrzeniem spod opuszczonych rzęs.

– Niczego – odpowiedziała spokojnie. – Nie będę zdziwiona, jeśli się okaże, że znów wyjeżdżasz. Twoja walizka czeka spakowana, jak zwykle. A co? Czy już po ciebie dzwoniли?

Rzeczywiście, kiedy przyjeżdżał do niej, nigdy się nie rozpakowywał. Wyciągał ubrania z walizki, nosił je, potem prał, starannie składał i pakował z powrotem. Garderobę dobierał zawsze pod kątem podróźnej wygody.

– Nigdy nie zaproponowałaś mi miejsca w szafie.

– Ależ proszę, jeśli chcesz, możesz je mieć.

Nie był pewien, w jakim kierunku podąży ta rozmowa. Czuł się niezaspokojony, jak dziecko, które zapytało o coś i nie wie, jak pytać dalej.

– Nigdzie nie jadę. Chyba że chcesz, żebym sobie poszedł.

– Dlaczego sądzisz, że tego chcę?

- Cenisz swoją prywatność.
- Ale ty jesteś dyskretny i łatwy we współżyciu.
- W bliskim też?

Zastanowiła się przez chwilę. Niemal przejrzał jej myśli.

- Nie – odparła wreszcie. – Za bardzo się spinasz.
- A ty nie?
- Nie wiem.

Wiedział, że nie kłamie. Naprawdę nie wiedziała, bo rzadko była z kimś blisko. Poczuł przyływ czułości, który musiał powściągnąć siłą. Poglądził dłonią policzek Belindy i zanurzył palce w jej gęste włosy.

– Do niedawna w ogóle nie zastanawiałem się, kim jestem i czego chcę. Teraz ciągle o tym myślę. To przez tę kobietę.

– Aurore Gerritsen?

– Zrozum, nie można wysłuchiwać tego wszystkiego, a potem nie myśleć o własnym życiu. Gdyby człowiek był stary, jak ona, pozostałoby mu tylko żałować, że nie żył inaczej. Ale jeśli jest młody i zaczyna rozumieć, jak wiele można zmienić...

– A jeśli ten człowiek nie ma zastrzeżeń do swojego życia?

– Wówczas nic nie zmienia, to jasne.

– Ty miałbyś ochotę coś zmienić? Wiesz co?

– Dobre pytanie. – Phillip pokręcił bezradnie głową. – Może jestem podobny do pani Gerritsen? Może robię to, co wydaje mi się konieczne, i uważam, że inaczej nie można? Sam nie wiem.

Miał jeszcze ochotę zapytać, czy ona nie chciałaby żyć inaczej, ale bał się, że Belinda znów obróci to pytanie przeciwko niemu, a on nie będzie wiedział, co odpowiedzieć.

Przysunęła się do niego bliżej i ostrożnie objęła go ramieniem. Poczuł dtyk smukłych palców na sztywnym karku. Dopóki się nie odprężył, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest spięty.

Aurore nie spała prawie całą noc. Kiedy była młoda, takie bezsenne czuwanie nie przeszkadzało jej w normalnym funkcjonowaniu. Wiele razy doczekała świtu, nie zmrużywszy oka u boku męża, a potem wstawiała jak gdyby nigdy nic, by pełnić swoje obowiązki.

Tego ranka ledwie zdołała się ubrać. Z obawą pomyślała, że już niedługo będzie musiała prosić o pomoc służbę. Palce sztywniały albo drżały niepomahowanie, nogi uginały się, kiedy usiłowała wstać. Na szczęście nie uległa dotąd własnej słabości, jednak za miesiąc, dwa... Kto wie?

Poleciała nie rozpalać dzisiaj kominka w bibliotece.

Zrobiło się ciepło, jak to często bywało w lutym w Nowym Orleanie. Słońce złociło zdobione grzbiety książek, które tak bardzo kochał Hugh, jej starszy syn. W smużkach słonecznego światła wirowały powoli drobinki kurzu.

Sięgnęła po jeden z tomów ustawionych w ozdobnej biblioteczce i zaczęła go kartkować. Chwilę później do pokoju wszedł Phillip.

– Słyszałeś powiedzenie, że nie można sądzić książki po okładce?

– Słyszałem.

Zamknęła tom i wstawiła go na swoje miejsce.

– Mój mąż tak właśnie robił. Pewnego dnia wszedł do księgarza na Royal Street i kupił wszystko, co było na półkach. Nie przeczytał z tego ani strony. Potem odkupił całą bibliotekę dzieł filozoficznych od pewnego profesora tylko dlatego, że podobał mu się kolor skóry na oprawie.

– Żył pozorami?

– Hm, Henry Gerritsen miał wiele oblicz. To jeszcze było najlepsze. W każdym razie z pewnością nie był intelektualistą. Za to nasz syn, Hugh, dosłownie połykał te książki. Czytał wszystko, co tylko wpadło mu w ręce.

– A drugi syn?

Nie spojrzała na niego.

– Ferris nie miał tyle cierpliwości – odparła – i nadal mu jej brak. Choć nie powiem, że był mniej chłonny niż jego brat. – Wiesz, z początku uważałem, że to różnice pomiędzy twoimi synami kazały ci zaprosić do pisania właśnie mnie. Myślałem, że pozwalając, by Murzyn spisał historię twojego życia, próbowałaś się opowiedzieć po stronie Hugh.

– Nie było moją intencją opowiadanie się po czyjejkolwiek stronie.

– Ale nie wydajesz się zdziwiona faktem, że mogłem tak sobie pomyśleć.

– W moim wieku człowiek przestaje się dziwić.

– Dopóki cię nie spotkałem, uważałem, że potrafię bardzo profesjonalnie podporządkowywać pytania i odpowiedzi swoim celom. Teraz widzę, że jestem zielony.

– Ta opowieść konsekwentnie zmierza do swojego celu.

Popatrzyła na jego skupioną twarz. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Phillip nie domyślił się jeszcze jej zamiarów. Wzięła oddech, usadowiła się wygodniej na sofie. Phillip włączył magnetofon, sam przysiadł na kozetce i otworzył notes.

– Nie byłam pewna, czy dzisiaj przyjdiesz – powiedziała, kiedy był już gotowy.

– Przecież powiedziałem, że przyjdę.

– To, co mówiłam wczoraj, musiało być dla ciebie bardzo drażliwe.

– Ponieważ mam murzyńską krew, jak twoja córka?

– Ponieważ jesteś człowiekiem, a moje postępowanie wykracza poza zasady, które ci wpajano i w które uwierzyłeś. Zgodnie z nimi należy za wszelką

cenę walczyć o dzieci i poświęcać się dla nich. Tymczasem okazuje się, że życie może wyglądać zupełnie inaczej.

– Czy widziałaś jeszcze potem swoją córkę?

Aurore wygodniej oparła się o poduszki.

– Tak, owszem. Musiałam się sporo natrudzić, by ją znaleźć. Etienne zmienił jej imię, o co go zresztą podejrzewałam. Ale zmienił również swoje imię i nazwisko. W rezultacie miała już sześć lat, kiedy ją odnalazłam.

– Powiesz mi, jak miała na imię?

Skinęła głową. Zastanawiała się, czy jeśli je wypowie, Phillip zacznie wreszcie coś kojarzyć. Równocześnie była pewna, że pod koniec tej serii wspólnych sesji będzie rozumiał wszystko.

– Nicolette – odparła. – Dał jej na imię Nicolette.

I jak możesz przypuszczać, wrócił do swojego dawnego imienia i nazwiska. Objawił się światu jako Rafe Cantrelle.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Aurore zamieszkała przy Frenchmen Street w dzielnicy Faubourg Marigny. Piętrowa kreolska rezydencja należała wcześniej do jednego ze współpracowników Luciena. Płaciła tu minimalny czynsz, choć dom, mimo że wymagał poważnego remontu, wart był wiele więcej. Usiłowała nawet ustalić uczciwszą stawkę, otrzymała jednak odpowiedź, że myli się w swych kalkulacjach, więc dała spokój.

Na pozbieranie się po rozstaniu z dzieckiem wyznaczyła sobie tydzień. Kiedy zaś mleko przestało płynąć z obolałych piersi, a łzy obeschły, opuściła klasztor i ruszyła do Nowego Orleanu, by ratować co się da ze swojego dziedzictwa.

Gdy zjawiła się w mieście, nie znalazła wielu pomocnych rąk. To, co uważano z początku za wielką tragedię, w czasie jej długiej i dziwnej nieobecności zmieniło się w podejrzaną tajemnicę.

Katastrofa Gulf Coast Steamship stała się katastrofą dla kredytodawców Luciena. Rozeszły się pogłoski, że Le Danois popełnił samobójstwo, gdyż nie ubezpieczył swojego majątku, przeznaczając pieniądze na ryzykowne inwestycje z luksusowym SS Dowagerem na czele.

Co gorsza, owa zła fama nie zeszła do grobu wraz z jej ojcem. Dobrze pamiętano Claire, która od lat żyła zamknięta w zakładzie dla obłąkanych.

Czyżby ziarno szaleństwa, które zapuściło korzenie w rodzie Le Danois, przeszło na córkę po śmierci ojca? – pytano tu i tam. Cóż bowiem można myśleć o młodej kobiecie, która znika bez wieści na długie miesiące, nie interesując się wyprzedają swoich pięknych posiadłości i upadkiem kwitnącej niegdyś firmy? – dodawano skwapliwie. To już koniec tej zacnej rodziny – kwitowano wreszcie – choć jak widać, nie była ona tak zacna, jak się zdawało.

I tak oto Aurore, która opuszczała Nowy Orlean jako jedyna dziedziczka dumnego kreolskiego rodu, po powrocie mogła liczyć jedynie na podejrzliwe spojrzenia i docinki. Jej szanowane niegdyś nazwisko znalazło się w pogardzie. Dosłownie na palcach jednej ręki dało się policzyć ludzi, na których mogła polegać bez zastrzeżeń.

Tim Gilhooley pozostał na posterunku. Funkcjonując raczej jako rzetelny zarządca niż błyskotliwy menedżer, ocalił tyle, ile zdołał – zaszczurzone biuro w dole rzeki, którego nie dosięgły płomienie, barki, holowniki nadające się już chyba tylko na złom, parę kontraktów i jeszcze mniej obietnic.

Sylvain Winslow, gospodarz Aurore, regularnie zapraszał ją na przyjęcia organizowane przez swoją żonę, by dać jej szansę pokazania się w towarzystwie.

Kilka dawnych przyjaciółek dopuszczało ją nieco bliżej do swego kręgu, dzieląc się łaskawie plotkami.

Najważniejsze jednak było to, że Ti'Boo przeprowadziła się do Nowego Orleanu. Kolejny huragan zrujnował bayou, podkopując byt jej rodziny, toteż kiedy Julesowi zaproponowano posadę mierniczego w Vieux Carré, nie wahał się ani chwili i sprowadził żonę z dziećmi do miasta. Teraz tylko w porze żniw odwiedzali swoje rodzinne strony.

Ti'Boo wyraźnie odpowiadało miejskie życie.

Miała wprawdzie mnóstwo roboty z czwórką dzieci i niewielkim, schludnym domkiem w Bayou Saint John, ale nie narzekała. W ogródku hodowała warzywa i zioła, mięso kupowała na targu, bowiem Jules zarabiał nie najgorzej. Kiedy Aurore przyjeżdżała z wizytą, dom Ti'Boo zawsze pachniał świeżo upieczonym chlebem i smakowitymi sosami.

Aurore bardzo potrzebowała przyjacielskiego wsparcia w pierwszych latach po urodzeniu córki.

Co rano budziła się do życia, które przecież nigdy nie było jej życiem. Dawny, wygodny i dostatni byt wracał we wspomnieniach niczym bajka. Teraz rzeczywistością były karaluchy wyłazające ze szpar, wilgotne zimno albo nieznośny zaduch.

Całe szczęście, że zostali z nią Fantome i Cleo, choć prawdę mówiąc, nikt inny nie zechciałby trzymać ich na służbie – Fantome był za stary, a Cleo zbyt

chimeryczna. Oboje byli natomiast szczerze jej oddani i całkowicie wobec niej lojalni.

Dbali o Esplanade, dopóki posiadłość nie została sprzedana, a potem przeprowadzili się ze swoją panią na Frenchmen i usiłowali zachować tam pozory dawnego życia rodzin Le Danois i Friloux.

Pomimo wysiłków obojga wiele codziennych obowiązków i tak spadło na Aurore. Częściowo sprzątała i robiła zakupy. Fantome dbał o obejście, stajnię i konia, ale w tajemnicy przed nim zajmowała się również ogrodem, wiedząc, że stary Murzyn haruje ponad siły.

Nie była przygotowana na tak nędzną egzystencję i na taką porcję pogardy i odrzucenia. Nie była również przygotowana do pracy w firmie. Mimo to każdego ranka o ósmej udawała się wraz z Timem do nowo otwartego biura w Tchoupitoulas. Gulf Coast Steamship, założona przez jej dziadka i umiejętnie zarządzana przez Luciena, przestała istnieć.

Zastąpiła ją skromniejsza Gulf Coast Shipping, wyrosła na jej gruzach.

Tim radził Aurore, by sprzedała wszystko i zainwestowała w lokaty bankowe, by móc żyć ze skromnej renty. Odmówiła. Im bardziej wchodziła w sprawy firmy, tym wyraźniej zdawała sobie sprawę, że w coraz mniejszym stopniu może liczyć na Tima. Był w stanie radzić, by sprzedała kompanię, ale niewiele więcej. Lata spędzone w zarządzanej twardą ręką firmie Luciena nauczyły go ostrożności, przeszkadzającej w interesach. Tim przepuścił już kilka dobrych okazji, gdyż wydawały mu się zbyt ryzykowne, a z wiekiem jego asekuranctwo odbijało się na każdej niemal decyzji.

Tymczasem rywalizacja na rynku przewozów rzecznych przybierała na sile. Nowe stulecie okazało się nielaskawe dla wielu linii żeglugowych, które nie były w stanie sprostać konkurencji ze strony rozwijającej się gwałtownie sieci kolejowej. Ponadto pogorszyła się żeglowność samej Missisipi. Jej nurt, dawniej zapełniający się tłumem parowców, kutrów i barek, wyglądał coraz częściej jak puste ulice Nowego Orleanu w stronę popielcową.

Gulf Coast właściwie cały czas była o krok od bankructwa i tylko konsekwentne, śmiałe zarządzanie mogło postawić ją na nogi. Aurore starała się jak mogła, jednak przywrócenie dawnego blasku firmie oraz nazwisku Le Danois zdawało się niedosiężnym celem dla młodej i w dodatku dotkniętej środowiskowym ostracyzmem kobiety, która mieszkała w rozpadającym się domu, a w czasie rzadkich towarzyskich okazji mogła najwyżej liczyć na łakome spojrzenia dobrze strzeżonych małżonków swoich dawnych przyjaciółek.

Spojrzenia takie były wcale nierzadkie, bowiem po ciąży i porodzie figura Aurore zrobiła się bardziej kobieca i nadała jej urodzie nowego powabu.

Stała się atrakcyjna dla mężczyzn i wiedziała, że niejeden marzy o niej jako o kochance. Niestety, nikt nie szukał w niej żony.

W miesiąc od bolesnego, zbyt krótkiego spotkania z córką na podjeździe Magnolia Palace, Aurore Le Danois stała przed lustrem, przymierzając stare ubrania, wyciągnięte z szafy. Sylvain i jego żona Vera zaprosili ją na piknik do swojego letniego domu w Milneburgu. Tam, nad jeziorem o brzegu zabudowanym letnimi domkami, pawilonami i knajpkami, chętnie spędzano niedzielne popołudnia.

Aurore chętnie przyjęła zaproszenie. Chciała się rozerwać, zabawić, odgonić natrętne myśli. Uśmierzyć ból serca, które ani na chwilę nie chciało zapomnieć dotyku drobnego ciała córeczki i widoku dziecięcej ręki, machającej jej na pożegnanie.

Jej serce pamiętało też Etienne'a, jednak dla niego była w nim tylko zimna nienawiść. On sam nazywał się teraz Rafe Cantrelle. Nie rozumiała, dlaczego. Być może potrzebował nowej tożsamości jako właściciel burdelu. Aurore złapała się kiedyś na tym, że myśląc o nim, używa tego właśnie imienia. Jak gdyby Etienne Terrebonne, człowiek, którego kochała, nigdy naprawdę nie istniał.

Już wtedy, w klasztorze, mówił, że wróci z dzieckiem do Nowego Orleanu, ale nawet w najgorszych snach nie podejrzewała, że nazwie je Nicolette i umieści w jednym domu z dziewczkami, alfonsami i pijakami.

Niestety, tak właśnie się stało. Wiedziała o tym, bowiem od dawna obserwowała córkę z ukrycia.

Ale tylko tamtego – jakże pamiętnego! – dnia, usłyszawszy głosy dzieci na dziedzińcu, nakazała Fantome'owi podjechać pod budynek. Wcześniej widziała, jak Rafe wyjeżdża, i było jej obojętne, kto jeszcze może ją zobaczyć. Jej dziecko było przecież tak blisko...

Już z daleka spostrzegła, że Nicolette jest piękna, a bliskość dziewczynki potwierdziła tylko ten osąd.

Ciemne, wijące się włosy były lśniące i gęste – ale czy miał kto je czesać i zaplatać? Cerę miała ciemniejszą od matki, prawie tak samo ciemną jak Rafe, z tym cudownym, złocistym odcieniem, przy którym orzechowe oczy wydawały się jeszcze bardziej piękne i egzotyczne.

Czy Nicolette mogłaby uchodzić za białą? Czy zdołałaby wślizgnąć się do lepszego świata? Czy z wiekiem rysy zdradzą jej prawdziwe pochodzenie?

I wreszcie – czy Aurore potrafiłaby wychować córkę, wiedząc, że ta ma w sobie krew Rafe'a Cantrelle'a?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania i wiedziała, że nigdy nie pozna.

Przymierzyla kolejną suknię, choć myśli o Nicolette sprawiły, że odechciało się jej nagle jechać na piknik. Nie mogła wszakże kierować się własnym nastrojem. Sylvain Winslow stanowił dla Gulf Coast jedyną nadzieję wejścia do biznesowych kręgów w mieście. Jako hurtownik, a przede wszystkim prezes izby handlowej, miał praktycznie dostęp do każdego, kto mógłby pomóc fir-

mie Aurore lub jej zaszkodzić. Już wcześniej poodrzuczał wszelkie możliwe zamówienia i rekomendował Gulf Coast innym, a teraz obiecał przedstawić ją kolejnym ważnym osobom. Właściwie to tylko dzięki niemu nie zbankrutowała i nie zniknęła na zawsze z towarzystwa.

Przyłożyła do ciała starą kreację z jasnobłękitnego lnu. Cleo, utalentowana szwaczka, zdołała jakimś cudem przenicować ją i odświeżyć. Nie był to może szczyt mody, ale i tak prezentowała się o niebo lepiej niż w surowych sukniach, w których chodziła do biura. Jeśli włoży do tego rękawiczki z koziej skórki i kremowy kapelusz z szerokim rondem – da się wytrzymać.

Linia kolejki dojazdowej do lotniska zaczynała się nieopodal jej domu. Było już późno i na peronie zgromadził się spory tłumek. Słońce prażyło tak mocno, że nawet szeroki kapelusz i szyfonowa szarfa, zawiązana pod brodą, słabo chroniły przed jego promieniami. Aurore stała wsłuchana w radosne przekomarzanie się dwóch murzyńskich orkiestr dętych, które miały umilić podróżnym oczekiwanie, gdy nagle ktoś zapytał cicho tuż za jej uchem:

– Czy pani Le Danois?

Odwróciła się natychmiast i ujrzała przed sobą

Henry’ego Gerritsena, serdecznego przyjaciela Sylvaína.

– Witam, panie Gerritsen. – Wyciągnęła ku niemu odzianą w rękawiczkę dłoń. Przytrzymał ją w swoich chwilę dłużej, niż wymagało dobre wychowanie i odpowiedział:

– Czy pani też wybiera się do Winslowów?

– Owszem, a pan? – Wreszcie udało jej się uwolnić rękę.

Skinął głową.

– Zawsze jeżdżę na te ich pikniki. Mają doskonałego kucharza.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na sposób, w jaki na nią patrzył. Nie uważała Henry’ego Gerritsena za przystojnego mężczyznę, ale wiele kobiet miało inne zdanie. Po raz pierwszy zresztą widziała go samego. Zwykle prowadził się z jakąś zapłonioną debiutantką, uwieszoną u jego ramienia.

Nie było tajemnicą, że Henry ma powodzenie i umie z niego korzystać. Nie był wprawdzie na tyle dobrze urodzony, by liczyć się jako poważna partia, nie znaczyło to jednak, że nie cieszył się szacunkiem w ustosunkowanych kręgach Nowego Orleanu.

Lokomotywka wydała dwa ostre gwizdy, murzyńskie kapele usadowiły się w przedostatnim wagonie. Ostatni miał pozostać pusty, jako areszt na kółkach dla tych, którzy zakłócą jakąś burdą spokój gości nad jeziorem.

– Może byśmy usiedli razem i poznali się lepiej w czasie podróży? – zaproponował Henry.

Nie potrafiła na poczekaniu wymyślić powodu, dla którego wolałaby podróżować samotnie. Sama zresztą nie była pewna, czy tego chce. Może czyjeś słowa potrafią choć na chwilę zagłuszyć myśli o Nicolette?

Usiadł więc obok, a ona jeszcze silniej niż przedtem poczuła jego narzucającą się, przemożną obecność. Nie będąc zbyt przystojnym, Henry Gerritsen miał jednak odpowiednią prezencję i jakiś magnetyzm, który niezawodnie przyciągał do niego kolejne kobiety. Dziko sterzące, gęste brwi miały kolor o ton ciemniejszy niż miedzianorude włosy.

Ostre słońce Luizjany usiało piegami jasną cerę.

Oczy patrzyły śmiało i otwarcie, lecz Aurore słyszała o tym człowieku wystarczająco dużo, by wiedzieć, że z pewnością nie jest uczciwy ani szczerzy.

Gerritsen prowadził firmę konkurencyjną w stosunku do Gulf Coast. Gerritsen Barge Lines dysponowały najnowocześniejszą w całym porcie flotyllą tendrów, barek i pchaczy, zaś zdolność Henry'ego do interesów stała się już przysłowiowa. Zdawał się posiadać szósty zmysł, jeśli chodzi o przewidywanie trendów. Inwestował w lokaty bankowe, kiedy inni wydawali pieniądze na rozwój, a potem opłakiwali straty spowodowane spadkiem koniunktury.

Różne kryzysy szczęśliwie nie wpływały na jego interesy. Nie raz i nie dwa Gerritsen Barge Lines przechwytywały kontrakt Gulf Coast dzięki jego śmiałym i pomysłowym posunięciom. Mówiąc krótko,

Aurore nie miała powodu lubić tego człowieka, ale nie mogła mu też odmówić talentów na polu, na którym sama usiłowała się wykazać.

– Często jeździ pani nad jezioro? – zagadnął, kiedy pociąg ruszył ze stacji.

Aurore zdjęła kapelusz i położyła go sobie na kolanach.

– Niezbyt często – odparła.

– W takim razie woli pani plażę?

– Powiedzmy, że to miła odmiana po rzecznych moczarach.

– Ja stronię od wody. Jakoś nie nauczyłem się pływać.

– Nie? I nie boi się pan, że spadnie z własnej barki?

– Płacę moim pracownikom wystarczająco dużo, by zechcieli mnie wyratować.

– Jeśli prawdą jest to, co słyszałam o pana metodach, wątpiłabym. Podobno jest pan tyranem.

Zaśmiał się męskim, szczerym śmiechem, który dziwnie głośno zabrzmiał w jej uszach. Uświadomiła sobie, jak rzadko śmiała się od czasu śmierci ojca.

– Może nie powinienem pani zdradzać moich tajemnic – uśmiechnął się – ale jeden z pani wiernych popleczników może wkrótce dojść do wniosku, że mógłbym przechwycić jeden z pani kontraktów.

– Wiernych popleczników?

– Tylko proszę nie udawać, że pani nie rozumie.

– Naprawdę nie rozumiem, panie Gerritsen.

– Proszę, mówmy do siebie po imieniu! Otóż jesteś podziwiana, droga Aurore, za niezwykłą lojalność, jaką potrafisz wzbudzić w swoich pracownikach.

Chciałem ich podkupić dla siebie, obiecując im większe pieniądze. Większość zdecydowanie odmawiała...

– Większość?

– Nadal urabiam jednego z nich, ale nie powiem ci, którego.

– Myślę, że nie chodzi o Tima.

Znów się roześmiał.

– Szczerze mówiąc, powinnaś mi jeszcze dopłacić, żebym ci go zabrał.

Gilhooley nie przyczynia ci żadnych korzyści tym ciągłym wahaniem i brakiem pomysłów. Ale sędzę, że sama wiesz to od dawna.

Zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami.

– Powiedz mi o sobie – zaproponowała, gdy zostawili miasto za sobą.

– O ile wiem, powiedziałem ci już wszystko, co powinnaś usłyszeć.

– A chcesz wiedzieć, co ja o tobie sędzę?

Odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona na piersi, obracając się ku niej z pewnym siebie uśmiechem.

– Chętnie posłucham.

– Jesteś zuchwałą i lubisz chodzić na skróty.

Potrafisz być bezwzględny i czarujący jednocześnie, co prawdopodobnie tłumaczy, jakim cudem udało ci się zająć aż tak wysoko. I to w Nowym Orleanie, gdzie nie ułatwia się życia nuworyszom. Ponadto, z powodów, których nie potrafisz zrozumieć, uznałeś, że jestem warta twojego zainteresowania. Na wszelki wypadek chcę cię jednak zapewnić, że Gulf Coast Shipping nie jest na sprzedaż.

Henry uśmiechnął się niemal z zachwytem. W jego spojrzeniu było coś dziwnie zawłaszczającego, zaborczego, co momentalnie wzbudziło jej czujność.

– Ja również nie jestem – dodała szybko.

– Czy mogę w rewanżu powiedzieć, co sędzę o tobie?

– Cóż, przyszło mi żyć w świecie mężczyzn, więc muszę przyjąć ich reguły gry – westchnęła.

– Kiedy jesteś zła, twoje niebieskie oczy ciemnieją, a nie cierpisz wszystkiego, co zagraża Gulf Coast. Jesteś tak samo nieprawdopodobnie lojalna wobec swoich ludzi, jak oni wobec ciebie, nawet jeśli przynosi to straty twojej firmie. Tylko ona liczy się w twoim życiu, powoli jednak zaczynasz rozumieć, że to nie ze względu na przeszłość powinnaś myśleć o własnej przyszłości. Chcesz tej przyszłości, potrzebujesz jej. Dla siebie i dla swojej firmy.

Może sama tego jeszcze nie wiesz, ale wszystko, co trzyma cię z przeszłością, najchętniej byś odcięła i wyrzuciła. Ona krępuje ci ruchy, a ty chcesz pofrunąć. I to wysoko.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Nie wyglądasz na szamana.

– Nie jesteś zwykłą kobietą, choć jak wszystkie kobiety w głębi duszy pragniesz tylko jednego.

– Mężczyźni mają inne pragnienia?

– Mężczyźni pragną władzy. Kobiety – miłości.

– Może zatem powinni trzymać się z dala od siebie.

– Przeciwnie. Jest miejsce i na władzę, i na miłość – w związku małżeńskim.

– Skoro tak, czemu się jeszcze nie ożeniłeś? – zapytała prowokacyjnie. Od początku ta rozmowa wyłamywała się z utartych ram towarzyskiej konwersacji.

– Bo dopiero teraz znalazłem kobietę, która jest w stanie dać mi władzę, o jakiej marzę.

– Czy mogę spytać, kim jest ta wybranka?

– To ty, moja droga.

Nie było czasu na ripostę. Zamiast tego Aurore zaśmiała się gardłowo.

– Rozśmieszylesz mnie, Gerritsen. Nie wiedziałam, że jeszcze jestem zdolna się śmiać.

– Dobrze wiesz, że mówię poważnie.

– Ale rozmawiamy ze sobą po raz pierwszy!

– Nie szkodzi. Wiem o tobie wszystko.

Na moment tknął ją lęk, ale szybko go uśmierzyła.

Nie mógł nic wiedzieć, grał tylko. Już ona i Tim postarali się, by zatrzeć najmniejszy ślad ze wstydlivej przeszłości.

– Też mi wiedza! Że oczy mi ciemnieją, kiedy jestem zła, i że potrafię być lojalna aż do przesady...

– Chcesz tego samego, co ja, Rory – powiedział z naciskiem. – Zastanów się.

– Nad czym? – Zmarszczyła brwi, słysząc zdrobnienie, zarezerwowane dla przyjaciół.

– Nie, naprawdę nie chodzi mi o kreolską piękność – zaznaczył. – Aurore Le Danois ma inne, ważniejsze atuty, których nie zaćmiły chwilowe niepowodzenia – nazwisko, miejsce w nowoorleańskiej socjocie, historię rodu, dzięki której moje córki będą miały szansę zabłysnąć na karnawałowych balach, a synowie wżenić się w najlepsze rodziny. Ale to jeszcze nie wszystko. Tak naprawdę to Rory mnie pociąga, nie Aurore. Kobieta, którą mężczyźni z jej kręgu uważają za niekobieć, gdyż haruje dzień w dzień jak mężczyzna. Kobieta, która umie być uparta, twarda, może nawet trochę szalona, ale która ma swój charakter. Kobieta, która nie znosi, kiedy zbyt dokładnie przyglądać się jej przeszłości, która nie boi się pójść na całość i...

– Chyba już dosyć powiedziałeś!

– Nie, wcale nie. Chcę ci powiedzieć o wszystkim, Rory. Po śmierci ojca zniknęłaś na całe siedem miesięcy. Wiesz, co na ten temat mówiono? Odwróciła twarz do okna.

– Co mianowicie?

– Że musiałaś popaść w jakiś obłąd, jak twoja matka.

Przymknęła oczy z prawdziwą ulgą.

– Sam widzisz. Czy praktyczny mężczyzna poślubiłby szaloną kobietę?

– A czy kobieta twojej krwi wyszłaby za mężczyznę, którego pradziadek spłynął rzeką z Kentucky na tratwie, a swoją małżonkę poznał w pływającym burdelu?

Aurore nie odpowiedziała.

– Nie nauczyłaś się jeszcze, że w interesach najzyskowniejsze kontrakty zawierają strony, z których każda ma swoje siły, ale też i słabości? – dodał Gerritsen.

– Rozumiem, że małżeństwo jest dla ciebie kontraktem do wynegocjowania.

– Łudzisz się, że jest inaczej?

Przez chwilę obserwowała, jak czapla za oknem, łopocząc skrzydłami, ląduje na uschniętym pniu.

Potem odwróciła się do niego.

– Powiedziałeś mi, co chcesz osiągnąć. Zapomniałeś wyjaśnić, jaką ja mogę mieć korzyść.

– Fuzja Gulf Coast z Gerritsen Barge Lines, to mogę ci zaproponować. – Uniósł rękę, powstrzymując pytanie, które cisnęło się na jej usta. – Tak, nowa firma będzie się nazywać Gulf Coast Shipping.

Widzę korzyści z utrzymania sprawdzonej, starej nazwy. Spłaciłaś długi ojca, zdobyłaś szacunek u kontrahentów, cokolwiek by o tobie mówili, grałaś zawsze fair. To wszystko się liczy. Ale nie przeskoczysz pewnego poziomu, jeśli nie połączysz się ze mną. Ja mam energię, której potrzebujesz.

– Raczej układy.

– Nazywaj to, jak chcesz.

– Oferujesz mi więc większą firmę i więcej problemów?

Uśmiechnął się. Zauważyła, że jego oczy były nieodmiennie tak samo zielone, bez względu na wyraz twarzy.

– Mniej problemów, kochanie. Ja mógłbym zarządzać firmą, zostawiając tobie zarządzanie domem.

– Nie.

– Nie?

– Gulf Coast jest moje.

– Gulf Coast może być nasze. To mógłby być pierwszy punkt umowy. Natomiast na temat twojej roli w firmie zawsze można negocjować.

– Żadnych negocjacji. To musi być od początku jasne. Podejmowałabym wspólnie z tobą wszystkie decyzje. Wszystkie! Te warunki należałoby spisać w umowie przedślubnej.

– Bardzo dobrze. Widzę, że nauczyłaś się, jak robić interesy.

– Co jeszcze zawiera twoja oferta?

– Wiedzę, doświadczenie, układy, jak zechciałaś to nazwać... No i kapitał wystarczający, by postawić Gulf Coast z powrotem na nogi. Poza tym dom według twojego projektu w Garden District.

Mam zresztą do wyboru inny, w Prytanii. Szacunek w pewnych gronach... Wreszcie spadnie z ciebie to odium, choć bowiem nie należę do twojej klasy, nasze małżeństwo z pewnością oczyści atmosferę wokół ciebie. – Spojrzenie Gerritsena zogniskowało się na jej wargach, a potem łakomie popęzło w dół, po szyi. – I wreszcie dzieci. Chcesz mieć dzieci, prawda, Rory? I sprawnego mężczyznę w łóżku...

Parowy gwizdek zaświstał tak przeraźliwie, że nie zdołała odpowiedzieć. Dojeżdżali do końcowej stacji.

Aurore wiedziała, że będzie tam na nich czekał Sylvain w swojej najnowszej, ukochanej zabawce – szaroperłowym samochodzie marki Stanley Steamer.

– A co Sylvain sądzi o tym wszystkim? – zapytała, czując, jak płoną jej policzki. – Nie wierzę, że z nim o tym nie rozmawiałaś.

– Sylvain wie, że beze mnie będziesz coraz szybciej traciła grunt pod nogami. Że masz dobre serce i że nie mogłem dokonać lepszego wyboru. – Mały przecież wyłącznie wartość handlową – powiedziała cierpko.

– Interesy mogą być również przyjemnością. Myślę, że spodoba mi się to małżeństwo, Rory. I postaram się, by dla ciebie też było znośne.

Spojrzenie Henry'ego bez skrzępowania błędziło po ciele Aurore, stając się niemal fizycznym doznaniem.

Policzki płonęły jej nie tylko z przejęcia.

Zaczęła sobie wyobrażać jego dłonie, pieszczące te same miejsca, które kiedyś nazaczył swoim dotknięciem Rafe. Gorzkie wspomnienia napływały nagle, nieproszone. Miała nadzieję, że nigdy nie wrócą, teraz zaś nie mogła myśleć o niczym innym.

– Jesteś kobietą, która potrzebuje mężczyzny – powtórzył Henry. – Mężczyzny w łóżku. Z tej części kontraktu wywiążę się z najwyższą przyjemnością.

Znów odwróciła się ku oknu. W oddali zabłysła błękitna tafla jeziora. Aurore poczuła szorstką dłoń, która chciwie przywarła do jej nadgarstka, a potem wślizgnęła się tam, gdzie rękawiczka odsłaniała nagą skórę.

Nie cofnęła ręki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jak na towarzyskie standardy Nowego Orleanu ślubnie był wielki, za to dopisali wszyscy ważni goście. Początkowo Aurore nie zdawała sobie sprawy z rozległości kontaktów Henry'ego w mieście.

Teraz, w pięć miesięcy po pamiętnym wyjeździe do Milneburga, orientowała się już, że wychodzi za człowieka, który steruje całą siecią politycznych i handlowych powiązań w delcie Missisipi.

Nic więc dziwnego, że na ślubną ceremonię przybył burmistrz Behrman razem z innymi urzędnikami z zarządu miasta. Mężczyźni, którzy na co dzień sprawowali władzę i rozdzielali wpływy, stali ramię w ramię, tworząc szpaler, którym z wolna, z dumnie podniesioną głową Aurore kroczyła ku złotemu ołtarzowi. Miała na sobie ślubną suknię matki, która przetrwała w nienaruszonym stanie w szafie pachnącej lawendą.

Była na tyle przesądna, by nie zamawiać dla siebie nowej kreacji. Nie wychodziła wprawdzie za mąż z miłości, lecz miała nadzieję, że mimo wszystko nie powtórzy koszmarnych doświadczeń matki. Henry płacił za ślub – więc nie mogła pozwolić, by jeszcze sprawił jej suknię.

Powiększyły więc z Cleo skromny dekolt, dodały plisy z cienkiej satyny oraz naszyły perelki, odprute z sukienki, w której Aurore wystąpiła na balu debutantek. Włosy i twarz panna młoda zakryła delikatnym jak mgiełka welonem, który opadał na podłogę długim trenem. W rękę nosła bukiet z gardenii, kwiatów pomarańczy i drobnych kremowych różyczek, które Henry rano przysłał do jej domu.

Teraz stał przy ołtarzu, pod wysoką kopułą, śledząc każdy jej krok. Prowadził ją Sylvain, wyraźnie zachwycony połączeniem się tej pary.

Henry nie spuszczał oczu z Aurore również w czasie przyjęcia w rezydencji Sylvaina w Garden District. Zaproszeni goście, wśród nich ci sami, którzy wcześniej kwitowali jej obecność lekceważącym skinieniem głowy, teraz rozptylali się w uśmiechach. Stół w salonie ugiął się pod ciężarem darów. Najnowsza generacja debutantek chórem wyrażała życzenie, by ich ślubne przyjęcie było równie udane, jak to.

Aurore widziała spojrzenia młodych kobiet, pomykające ku jej mężowi. Być może wyobrażały sobie ich noc poślubną. A Henry stał cały czas obok niej i co chwila obejmował ją i całował zaborczo, jakby chciał dać pożywkę tym panięskim wyobrażeniom. A może chciał, by ani przez chwilę nie pomyślała o nikim innym – tylko o nim.

Kiedy jednak Aurore wypowiadała sakramentalne „tak”, inny mężczyzna wypełnił jej myśli. Nie był nim Henry, nie był Rafe, który zniszczył jej życie, lecz Etienne, który dał jej miłość, radość i szczęście; który nauczył ją tajemnic ciała, namiętności i czułości. To Etienne uczynił ją kobietą.

Nie wierzyła w zły omen, ale z takiej myślowej zdrady – i to w takim momencie – nie mogło wynikać nic dobrego. Gerritsen oferował jej wszystko, co zabrał Rafe, a jednak gdy zerknęła na niego spod woalki, nagle zwątpiła, czy jest zdolny dać jej to, czego naprawdę potrzebowała.

Niespokojne myśli nie opuszczały jej przez całe popołudnie. Wmawiała sobie, że jest zbyt przejęta.

W końcu zwierzyła się ze swych rozterek Ti’Boo.

Przyjaciółka, która pomagała jej pakować się przed podróżą do Milneburga, gdzie nowożeńcy mieli spędzić miodowy tydzień w domku Winslowów, powiedziała jej to, co zwykle mówi się w takich sytuacjach – Aurore poślubiła Henry’ego przed ołtarzem, w obecności świadków, to zobowiązuje, winna więc być jak najlepszą żoną dla swego męża.

– Ale co naprawdę myślisz? – Aurore chwyciła ją za łokieć. – Nie musisz prawić mi komunałów, Ti’Boo!

Przyjaciółka przysiadła obok niej na łóżku.

– Dlaczego pytasz mnie teraz, a nie pytałaś wcześniej?

Aurore odwróciła wzrok. Nie pytała, gdyż nie chciała słyszeć żadnych krytycznych uwag o Henrym.

Stanowił dla niej ostatnią szansę odzyskania straconej pozycji, urodzenia dzieci, które mogłyby zastąpić Nicolette, spełnienia prośby ojca o uratowanie firmy. Małżeństwo z Gerritsenem pozwalało jej osiągnąć wszystkie te cele.

Wstała, obciążając suknię.

– Będzie mógł liczyć na moją lojalność, dopóki będzie na nią zasługiwał. Ale nie zdobędzie mojego zaufania. Nigdy już nie zaufam żadnemu mężczyźnie. Ti’Boo nawet nie próbowała jej przekonywać i pocieszać. Podała Aurore płaszcz. Mieli jechać nad jezioro nowym packardem Henry’ego, a od północy wiał chłodny wiatr.

– Życzę ci szczęścia – powiedziała szczerze, a potem uściskała przyjaciółkę mocniej niż zwykle.

Aurore nie odezwała się więcej.

Nie chciała psuć nastroju.

Słońce nad jeziorem zachodziło malowniczo, odbijając się migotliwie w gładkiej tafli wody. Po niebie przesuwiał się sznur gęsi. Nie było słychać szmeru głosów ani plusku wiosel. O tej porze, w lutym, mało kto tu przyjeżdżał.

– Nie spodziewałem się aż takiej ciszy. Przecież jeszcze niedawno mocno dmuchało.

Nie zauważyła, kiedy Henry stanął obok niej. Potrafił poruszać się cicho i podstępnie jak Indianin.

– Piękny zachód, prawda?

– Owszem, choć wolałbym, żeby było cieplej i nie tak cicho.

Odwróciła się ku niemu i uśmiechnęła blado.

– Tu jest pięknie, Henry. Doceń to.

– Czy od tej pory będziesz mnie zmuszała, żebym myślał tak jak ty?

Teraz i ona poczuła chłód.

– Mam nadzieję, że znajdę sobie ciekawsze zajęcia.

Henry wciąż patrzył na nią, a nie na spektakl zachodzącego słońca.

– O tej porze roku twoje oczy mają kolor wody w jeziorze. Są tak samo chłodne i spokojne. Żadnych ukrytych pasji, żadnych sekretów. Nic, co mąciłoby idealną powierzchnię. O mało im nie uwierzyłem...

– Odrobina tajemnicy czyni kobietę bardziej interesującą, nie uważasz? – próbowała zdobyć się na lekki ton

– Bynajmniej. – Musnął palcami pasmo włosów, które wymknęło się spod koka, artystycznie upiętego przez Ti'Boo. – Powiedz, dlaczego naprawdę za mnie wysłaś, Rory?

– Ponieważ możesz dać mi wszystko, czego chcę. I myślę, że to samo ja mogę dać tobie.

– A czego ja chcę?

– Oprócz tego, o czym mówiłeś mi wtedy, w pociągu?

– Zastanawiała się chwilę. – Nie chcesz spokoju, bo nie masz spokojnej natury. Nie sądzę też, by pociągały cię uroki domowego ogniska. Hm, myślę, że pożądasz nowych wyzwań. Tego ci nie zabraknie, obiecuję.

– Nie zabraknie mi wyzwań?

– Nie byłbyś szczęśliwy z kobietą, która chciałaby ci urządzić wygodne, spokojne życie, prawda?

Równocześnie nie chcesz mieć w kobiecie równorzędnego partnera, choć nie zniósłbyś też unижonej służki, która...

– Teraz po prostu chcę kobiety – przerwał jej w pół zdania.

Znów zadrżała. Słońce już zaszło. Gospościa gdzieś zniknęła, zrobiwszy, co do niej należało, i w tej pustej okolicy byli teraz sami. Aurore uznała, że nie ma sensu odgrywać dłużej wstydlivej dziewczicy.

W końcu sama dokonała wyboru.

– Kobieta jest twoja – powiedziała, uciekając wzrokiem w bok.

– Nie sądzę. – Podszedł krok bliżej. – Jeszcze nie jest. Ale wkrótce będzie.

Nie zamknęła oczu, kiedy ją całował. On również nie. Pozwoliła przytrzymać się za brodę, nie ścisłała ust, by mógł wtargnąć między nie językiem.

I tylko kiedy próbowała zmienić niewygodną pozycję, a on jej nie pozwolił, poczuła pierwsze ukłucie strachu.

Z ulgą przyjęła koniec pocałunku. Henry otoczył ramieniem jej talię i weszli do domu. Z daleka niosły się cichnące nawoływania gęsi.

Wewnątrz paliły się naftowe lampy i świece. Ich przyćmiony blask powinien być romantyczny – ale nie był. Potęgował tylko ponure wrażenie izolacji, mroku, który skrywał coś, o czym lepiej było nie wiedzieć.

Henry poszedł do łazienki, a ona do sypialni.

Odchylony róg muślinowej pościeli zapraszał do łóżka. Na kominku płonął niewielki ogień, lecz z kątów wypełzał chłód. Aurore rozebrała się w pośpiechu, włożyła koszulę oraz peniuar i stanawszy przy komódce, zaczęła rozczesywać włosy. Czekala, aż przyjdzie jej mąż.

Dostrzegła go w lustrze. Stał oparty o framugę i przyglądał się jej z lekkim uśmiechem. Gdy odłożyła szczotkę na stół, pochylił się w jej stronę, jakby szykował się do skoku. Odpowiedziała łagodnym półuśmiechem i zaczęła rozdzielać włosy, by zapleść je na noc.

– Nie rób tego – poprosił.

– Dobrze – skinęła głową i potrząsnęła nią, by złota fala opadła na plecy. Zerknęła przelotnie na jego twarz i zaczęła się bać. Był teraz inny, dziwnie obcy, ona zaś bez usztywniającego gorsetu czuła się przy nim zbyt wiotka i bezbronna, jak szmaciana lalka na łasce znudzonego dziecka.

– Chodź do mnie, Rory.

Wolałaby raczej, żeby on do niej przyszedł, ale posłuchała, nie chcąc, by się zirytował. Zbliżyła się do niego, spojrzała mu w oczy. Nic nie mogła w nich odczytać, ani pożądania, ani jego braku. Henry trwał nieruchomy, zaś jego wzrok był przezroczysty i zimny jak woda za oknami. Zmętniał jednak z pierwszym dotykiem, pierwszym pociągnięciem włosów, ściśnięciem piersi. A potem stał się okrutny i dziki...

Dopiero dużo później, kiedy leżała przy nim naga, a on spał, trzymając w garści węzeł jej boleśnie skręconych włosów, przymknęła oczy i załkała.

Bolały ją posiniaczone ramiona, bolały zgniecione piersi.

Ale najbardziej bolało serce.

Rzeczywiście, ani razu nie skłamał. Powiedział jej, że chce władzy, a ona głupio uznała to za przejaw męskości. Sądziła, że będzie miała wystarczająco dużo siły, by mu się oprzeć, lecz już tej pierwszej nocy przekonała się boleśnie, jak była naiwna.

Henry brał ją z ponurą pasją jeszcze dwa razy, zawsze wtedy, kiedy zdołała wreszcie zapaść w gorączkowy, nieprzytomny sen. Wyglądało to tak, jakby specjalnie czyhał na chwile, gdy była najbardziej słaba, najbardziej bezradna i całkowicie nieprzygotowana na atak. Brał ją pod siebie, zanim zdołała się przygotować, a potem obrzucał stekiem wyzwisk z powodu braku dziewictwa. Nie zaprzeczała, ale dopiero teraz, wobec tego bólu i upokorzenia, czuła się

jak dziewczica, przeżywająca koszmar pierwszej nocy. Chwile, które przeżyła z Etienne'em, były przy tym beztroską zabawą.

Patrzyła na męża w ciemności, starając się nie płakać ani nie krzyżeć. Nie próbowała odmawiać mu swego ciała i nawet nie prosiła, by obchodził się z nią łagodniej. Znosiła ten małżeński gwałt w milczeniu, usiłując zachować resztki godności. Kiedy zaś nad ranem Henry nasycił się całkowicie i usnął, a ona nie miała już łez, które mogłyby przynieść jej ulgę, zaczęła rozważać, co czynić dalej.

Henry zorientował się, że miała kiedyś kochanka.

Była pewna, że kiedy się zbudzi, wydusi z niej prawdę siłą. Dowie się o miłości do Etienne'a, dowie się o Rafie. Ba, może nawet zapragnie rewanzu...

Czy chciałaby, żeby Henry dopadł tego człowieka?

Czemu nie? Nienawidziła przecież Rafe'a z całej duszy, teraz jeszcze bardziej niż kiedyś. Miłość, której jej nauczył, czułość, tkliwość – wszystko to uczyniło ją bezbronną wobec okrutnych poczynań Henry'ego. Nie spodziewała się, że tak mogą wyglądać małżeńskie noce, czuła się oszukana.

Gdyby jednak Henry skrzywdził Rafe'a, skrzywdziłby także Nicolette. A na to w żadnym razie nie mogła pozwolić. Sama uczyniła temu dziecku wystarczającą krzywdę. Mogła sobie tylko wyobrazić, jakich rzeczy uczy się mała dziewczynka w tym koszmarnym domu przy Basin Street. Gdyby zaś jeszcze zabrakło jej ojca, który – jak zdołała się dowiedzieć – chronił ją usilnie przed zepsuciem i karmił za to, że lgnie do towarzystwa alfonsów i dziwek, Nicolette przepadłaby z kretesem. Aurore pamiętała dobrze słowa, które wypowiedział, zabierając dziecko ze sobą: „Jeśli ukarzesz mnie, ukarzesz własną córkę...”.

Nie, nie mogła być z Henrym szczerą, bez względu na żądę odwetu. Wyzna, że jej kochankiem był jeden ze współpracowników ojca, starszy od niej i od dawna zamieszkały gdzie indziej; może na przykład jakiś Europejczyk, kulturalny, z dobrej rodziny. Zwróciła się ku niemu po śmierci Luciena, lecz okazało się, że jest żonaty, co przed nią ukrywał. Załamana, szukała pocieszenia w podróżach, dopóki jej serce i dusza nie zostały uleczone na tyle, by mogła wrócić do Nowego Orleanu i zająć się sprawami firmy. Będzie prosić męża o zrozumienie, tłumaczyć się naiwnością młodości, wykorzystaną przez doświadczoną mężczyznę. Miała nadzieję, że Henry'emu to wystarczy.

A dalej? Cóż, wyszła za człowieka bezwzględnego,

który pragnie podporządkować ją sobie jak niewolnicę. Musi się bronić. Nie może dopuścić, by Henry Gerritsen ją zdominował i zniszczył.

Poczuła, że się poruszył. Chwył na włosach zacisnął się mocniej. Odwróciła się ku niemu, dbając, by nie pokazać swych uczuć.

– Moja żona – powiedział, otwierając oczy.

– Chciałam powiedzieć „mój mąż”, ale to słowo z trudem przechodzi mi przez gardło.

– Czyżby nie podobała ci się nasza pierwsza noc? – zapytał z podejrzanym przyjaznym uśmiechem.

– Czy inni kochankowie byli lepsi, Rory?

– Był tylko jeden.

– Z jakiej racji miałbym ci wierzyć?

– Bo mówię prawdę. – Nie szarpnęła się w tył, kiedy przysunął się bliżej. Nakazała sobie nie odwracać spojrzenia. – Jeśli sobie życzysz, mogę ci o nim opowiedzieć. Może i lepiej, będziemy to mieli za sobą.

– Opowiedz.

Gładko powtórzyła wymyśloną historię.

– Byłam młoda i głupia – zakończyła. – Popeliłam fatalny błąd, ale proszę, żebyś mi wybaczył.

Źle zrobiłam, nie mówiąc ci o tym wcześniej.

– Dziwiłbym się, gdybyś nie miała jakiejś historyjki na podorzędu. – Puścił jej włosy. Dłoń powędrowała ku piersiom żony i łagodnie pogładziła posiniaczoną skórę. – Kiedy ją wymyśliłaś? Rano, kiedy spałem? – Gwałtownie ścisnął pierś, aż przeszył ją przeraźliwy ból. – Mów!

– Jestem mniejsza i słabsza od ciebie – wyszeptwała przez łzy – ale jeśli będziesz mnie krzywdził, znajdę sposób, by ci się odwzajemnić. Klnę się na Boga!

– Naprawdę? Ciekawe... – Nadal nie puszczał jej piersi, ale już nie sprawiał jej bólu. – A co ten Bóg powie na twoje kłamstwa?

– Powiedziałam prawdę. A teraz mnie puść.

Cisnął ją na łóżko, zanim zdążyła zareagować.

Przycisnął jej ręce do materaca i nachylił nad nią zagniewaną twarz.

– Czy naprawdę jesteś tak głupia, Rory?

Odwróciła głowę, odmawiając odpowiedzi.

– Od początku znałem prawdę, przypomnij sobie rozmowę w pociągu. Trzeba ci mówić o wszystkim wprost? Głupia...

Czekała, aż znów ją zgwałci. I pomimo wszystko nie była w stanie wykrzesać z siebie ani odrobiny nienawiści. Po pierwsze rzeczywiście skłamała, po drugie – nigdy nie powie mu prawdy. Co jest bardziej godne potępienia?

Kiedy w nią wszedł, była zdumiona nieobecnością bólu. Teraz Henry poruszał się powoli, delikatnie, jakby chciał chronić swój cenny skarb. Kciuk sunął lekkim jak piórko dotknięciem po śladach łez na twarzy. Aurora podświadomie spinała się, by przyjąć brutalny atak z zaskoczenia, ale taki tym razem nie nastąpił. Henry uwiódł ją łagodnością, czułymi słówkami, szepcaniem, subtelnością pieścizot. Kiedy się oddalała, podążał za nią, kiedy chciała go odepchnąć, całował jej ręce...

Była tym wszystkim jeszcze bardziej wstrząśnięta niż wczorajszą brutalną pasją. I jeszcze bardziej się bała. Wyczerpana i zdenerwowana, straciła jasność myśli. Poczula, jak jej ciało zaczyna odpowiadać pieszczotom, na podobieństwo zbitego psa, który łasi się, by polizac rękę, w której jego pan trzymają. Próbowwała bronić się wobec tej nowej, zwodniczej taktyki, ale poczuła, że ciało mężczyzny uzdrawia zadane wcześniej rany, było zbyt błogie, by mu się przeciwstawiać. Mogła tylko z wdzięcznością chłonąć ten dar, lizać rękę oprawcy.

Kiedy Henry przyspieszył, przeniknęły ją pierwsze dreszcze pożądania. Ciało, nauczone odpowiadać jednemu kochankowi, teraz spajało się w jedno z drugim. Uniosła powieki, tylko po to, żeby zobaczyć triumf w szeroko otwartych oczach męża. Krzyknęła, pokonana przez spazm rozkoszy. On też krzyknął. Później zaś przygarnął ją do siebie i trzymał w silnym uścisku. Chciała mu się wyrwać, uznała jednak, że rozsądniej będzie przytulić się i poczekać, aż ochłonie.

– Mam coś dla ciebie.

Westchnęła, znów łykając łzy. Tak bardzo nie chciała dawać mu tego, co dała przed chwilą.

– Dlaczego chcesz mi coś podarować? Już zapomniałeś, czego chciałeś?

– Możesz to uznać za rodzaj nagrody. – Wstał, podszedł do szafy i wyciągnął coś z kieszeni płaszcza.

– Dla ciebie – powiedział, wyciągając ku niej zaciśniętą dłoń. Aurore zadrżała, sama nie wiedząc dlaczego.

Rozpostarł palce, prostując dłoń przed jej oczami. Zwisiał z niej złoty medalion. Aurore szarpnęła się w tył, jakby zobaczyła węża.

– Nie chcesz go, Rory? Doprawdy, dziwne!

Podniosła wzrok ku jego twarzy i zrozumiała, że nie ma sensu dłużej kłamać.

– Skąd go masz?

– Najlepsze opowieści zaczynają się od słów:

„Pewnego razu był sobie...” i tak dalej. Ale ja nie będę się wysilał. Po prostu pewna paniątka okazała się przekupna.

– Powiedz mi tylko, czy jej nie skrzywdziłeś. – Aurore popatrzyła na niego błagalnie. – Powiedz, czy wszystko z nią w porządku.

– Z kim, Rory?

– Z Nicolette – odparła ze ściśniętym gardłem.

– Ni-co-lette – powtórzył, jak gdyby sycił się brzmieniem tego imienia. – Ładniutka bestyjka.

Burdelmama pozwala jej czasem pobyc wczorajem w salonie. Pewnie chce, żeby zabawiała gości.

– Ty draniu! Jeśli coś jej...

– Powściągnij język, moja damo! – przerwał jej gwałtownie. – Kto tu jest draniem? Ja czy ten twój kochanek, który zrobił ci murzyńskiego bękarta? Ja czy ty, która skwapliwie go porzuciłaś?

– Jeśli zrobisz jej krzywdę...

– Lepiej nie kończ. – Zakrył dłonią jej usta, a drugą pogładził po policzku.

– Zapominasz chyba, kto komu łatwiej może zrobić krzywdę.

Nawet nie drgnęła.

– Dlaczego ożeniłeś się ze mną, skoro wiedziałeś?

– Ożeniłem się z tobą, dlatego że wiedziałem.

Aurore w jednej chwili przejrzała jego plany.

Wybrał ją, ponieważ mógł ją szantażować. Znał jej tajemnicę, wiedział, że jest gotowa zrobić wszystko, byle nie splamić rodzinnego honoru – i tym właśnie trzymał ją w szachu. Miał nad nią władzę, ona zaś mogła uczynić tylko jedno: postarać się, by życie z Henrym Gerritsenem było w miarę znośne, by nie stało się piekłem, które musiała znosić jej matka.

I zapewnić bezpieczeństwo córce. Szansa była nikła, lecz za wszelką cenę musiała ją wykorzystać.

Postanowiła zagrać *va banque*.

– Jest jedna rzecz, której nie rozumiesz – powiedziała spokojnie.

– Oświeć mnie, Rory.

– Mylnie oceniłeś siłę ciosu, jaki chcesz mi zadać.

– Czyżby? Mogę ujawnić o tobie całą prawdę.

Zdaję sobie sprawę, że z początku sam się utaplam w gnoju, ale kiedy szum przycichnie, wejdę w rolę męczennika, a ty zostaniesz wyrzutkiem. Zapewne stracę odrobinę szacunku, ale ty stracisz wszystko.

– Nadal nic nie rozumiesz. – Uniosła wyżej głowę. – Ja nie mam już nic do stracenia.

– Masz Gulf Coast. Mogłbym cię zniszczyć. Upadek kompanii stałby się kwestią miesięcy. Nikt by ci nie pomógł.

– Wiem. I jest mi to obojętne. Może tak byłoby lepiej...

– Nie miałabyś dokąd odejść. Zła sława ścigałaby cię wszędzie.

– Są miejsca, gdzie moja przeszłość uczyniłaby mnie jeszcze bardziej atrakcyjną. Na przykład w Paryżu, czy gdziekolwiek, byle z dala od ciebie i naszego małżeńskiego łoża. A jeśli nie będzie mnie w twoim łóżku, skąd weźmiesz synów, których tak dziko pragniesz? To katolickie miasto, Henry, musisz przestrzegać jego praw. Nie możesz się ze mną rozwieść, jeśli nie chcesz stracić swojej pozycji.

I nie sądzę, by to co zrobiłam, mogło być wystarczającym powodem do unieważnienia naszego małżeństwa.

Henry uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że masz odwagę, ale nie podejrzewałem, że aż taką. Zapominasz tylko o jednym: wiem, gdzie jest twoja córka, wiem, kim był twój kochanek. I mogę zniszczyć ich życie.

– Dlaczego miałabym bronić życia Rafe’a Cantrelle’a? – powiedziała z uśmiechem i czekała w napięciu na jego reakcję. Zielone oczy nie zmieniły wyrazu, ale czuła, że Henry się zastanawia. – Skoro grzebałeś w mojej przeszłości, powinienes wiedzieć, jak straszliwie go nienawidzę.

Przekrzywił głowę, jakby chciał na nią spojrzeć z innej perspektywy.

– Chętnie zobaczę, jak ktoś karze go za to, co mi zrobił – ciągnęła, kując żelazo póki gorące. – Ale Nicolette jest niewinna. Dziecko nie może cierpieć z powodu ojca.

– Kochasz ją.

– Nie. Jest moim dzieckiem, więc mam dla niej pewne uczucia. Czy sądzisz, że oddałabym ją znenawidzonemu mężczyźnie, gdybym ją kochała? Dlatego dobrze się zastanów nad każdym posunięciem. Nicolette nie jest bronią, którą możesz się posłużyć tak skutecznie, jak myślałeś. Jeśli jednak mimo to ją skrzywdzisz, zemszczę się, obiecuję.

Odpowiedział jej gromki wybuch śmiechu, lecz Aurore nie pozwoliła wytrącić się z równowagi.

Zniżyła głos i dokończyła:

– Przysięgam na krew moich nie urodzonych dzieci, naszych dzieci, że cokolwiek zrobisz mojej córce, ja to samo zrobię im!

– Jesteś szalona!

– Tak jak moja matka – uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Ja też mam swoje warunki, Henry. Jeśli je spełnisz, zostanę z tobą z własnej nieprzymuszonej woli i będę wzorową matką i żoną. A jeśli nie... Pal diabli wszystko!

– Jakie to warunki? – Henry zmrużył oczy.

– Już mówiłam. Chcę, by Gulf Coast wróciła do dawnej świetności. Chcę dzieci i wspólnego życia. Ale jeśli skrzywdzisz moją córkę albo będziesz próbował zniszczyć mnie, przekonasz się, że poślubiłeś demona!

Wpatrywał się w nią, jakby próbował ocenić, ile prawdy jest w jej słowach. Wreszcie ujął dłoń Aurore i zacisnął ją na złotym medalionie.

– Zobaczymy – stwierdził i znów popatrzył na nią nieprzeniknionym spojrzeniem zielonych oczu.

Tym razem jednak dostrzegła chyba w ich głębi błysk zachwytu i podziwu. A może jej się tylko zdawało?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Aurore patrzyła na dziecko śpiące w luksusowym wózku, który Henry sprowadził specjalnie z Anglii.

Jedwabiste włoski lśniły jak aureola na poduszce z cienkiego lnu. Miały jaśniejszy niż u niej, brązowy odcień, ale oczy były tak samo jasnoniebieskie.

W delikatnej twarzyczce nie dostrzeżęło się żadnego podobieństwa do ojca, jak gdyby Henry nie brał udziału w akcji poczęcia.

– Jakie masz dziś dla mnie wieści? – odwróciła się do kobiety stojącej obok.

– Uzbierało się to i owo.

Aurore sięgnęła do torebki, wyjęła zwitek banknotów i położyła na kołderce Hugh. Od czasu ślubu nie musiała się już troszczyć o pieniądze. Połączenie Gulf Coast z Gerritsen Barge Lines okazało się sukcesem, choć połączenie się węzłem małżeńskim z Henrym było dla niej osobistą klęską.

Lettie Sue podeszła do wózka i szybko schowała pieniądze, zerkając z podziwem na białe dziecko w pięknej pościeli.

– Interes pada, szanowna pani. Przychodzi połowa tych facetów co dawniej, a połowa dziwek się już wyniosła. Pracują teraz w salonie gry, dwie ulice dalej.

– Jak myślisz, dlaczego?

Lettie Sue wzruszyła ramionami. Były silne i żyłaste jak konary drzew na mokradłach. Wieloletnie szorowanie podłóg i pranie zrobiły widać swoje.

Z ramionami kontrastowała smukła szyja i dumna głowa owiązana kolorowym turbanem.

– A bo ja wiem? Mężczyznom nie chce się już płacić za to, co mogą dostać za darmo. Wystarczy, że są mili dla kobiet, a te same im dają...

– Albo są do tego zmuszane – dodała Aurore, zerkając na synka. – Co jeszcze zauważyłaś?

– Chce pani usłyszeć o panu Rafie?

Hugh uśmiechnął się we śnie, ale twarz Aurore nie drgnęła.

– Tak.

– Mało tam bywa. Dziewczyny to się z tego cieszą. On trzyma je krótko, a one tego nie lubią.

Kiedy jakaś ma dosyć albo choruje, zaraz odsyła ją z domu.

– A gdzie bywa on?

– Nikt nie wie. Przychodzi głównie na noc. Wcześniej tak nie było, ale teraz zmienił zwyczaj. Ta jego mała jest strasznie rozpuszczona.

Aurore zastanawiała się nad tym, co dotychczas usłyszała. Henry nie wiedział, że nadal interesuje się losem Nicolette. Ona jednak, choć miała już dom i nowe dziecko, stale myślała o córce. Bojąc się pojawiać przy Magnolia Palace osobiście, skaptowała sprząającą tam Lettie Sue i ta zdawała jej za parę dolarów regularne relacje.

Niestety, Lettie Sue nie była zbyt spostrzegawcza i rozmowna, stanowiła więc marne źródłem informacji.

Aurore nie miała jednak wyboru i wystrzegala się tylko, by zbyt zainteresowanie córką „pana Rafe’a” nie wywołało podejrzeń kobiety.

Tym razem jednak zaryzykowała pytanie.

– A co? Są jakieś kłopoty z jego córuchną?

– Ach, ta mała robi, co chce! Wszędzie się wciśnie, wszędzie jej pełno. W zeszłym tygodniu znaleźli ją w salonie pod stołem. Słuchała, jak profesor Clarence gra dla klientów. Teraz pan Rafe co noc zamyka ją w pokoju.

Aurore nie ośmieliła się dążyć dalej. Popatrzyła na Hugh, aby uspokoić gwałtownie bijące serce.

– Coś jeszcze?

– Chyba nic. Po co pani chce to wszystko wiedzieć, pani Gerritsen?

Odkaż tylko Lettie Sue zaczęła dla niej pracować, Aurore oczekiwała na podobne pytanie. Od dawna miała przygotowaną odpowiedź.

– Nie będę kłamać. Chcę, tak jak inne kobiety w Nowym Orleanie, żeby zamknięto tę dzielnicę. I wkrótce wspólnie do tego doprowadzimy.

– A co ma dowiadywanie się o pana Rafe’a do zamknięcia Storyville?

– Im więcej będziemy wiedzieć o sytuacji w domach publicznych, tym szybciej uzyskamy nakaz ich zamknięcia.

– Pan Rafe nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że pani się o niego dopytuje.

– Wiem o tym. Ale byłby jeszcze bardziej niezadowolony, gdyby wiedział, że to ty dostarczasz mi te wiadomości.

– Jak zamkną dzielnicę, nie będę miała gdzie pracować.

– Załatwię ci jakieś zajęcie. Tylko pamiętaj, nie pomagam tym, którym nie ufam. – Mi może pani ufać.

Przyjaciółki Aurore, młode nowoorleańskie mężatki, które działały wraz z nią w komitetach dobroczynnych i plotkowały zajadle na balach, uważałyby zapewne, że Lettie Sue ma zbyt mało białej krwi, by zasłużyć na lepszy los. Jednak Aurore aż za dobrze wiedziała, jak krzywdzące są te osady.

Wgłębi duszy czuła istnienie jakiejś tajemnej więzi z tą wiecznie zapracowaną sprzątaczką, zupełnie jak gdyby były siostrami.

– Lepiej już idź, za długo rozmawialiśmy. – Aurore chwyciła rączkę wózka i pchnęła do przodu. – W razie czego wiesz, jak mnie znaleźć.

Poszła w stronę Audobon Park. Często tu przychodziła.

Dawniejszy obszar plantacji służył dziś mieszkańcom miasta jako miejsce wypoczynku. Tu, na trawniku pod potężnymi dębami, mogła się schronić przed oczami służby, opłacanej przez męża.

Kiedy Hugh zasnął, rozłożyła koc w cieniu przetykanym promieniami słońca i usiadła obok wózka.

Z dala, od strony zoo, niósł się głośny ryk słonia, nad głową świergotały radośnie ptaki. Henry nie aprobował spacerów z małym, ale robiła to wbrew zakazowi. Chciała, żeby syn poznał coś więcej niż tylko ponurą ciszę, zgryzotę i smutek, jakie panowały w ich domu.

Kwietniowe słońce dogrzewało mocno. Aurore ściągnęła kapelusz i rękawiczki, przymknęła oczy i zaczęła rozmyślać nad wszystkim, co powiedziała jej Lettie Sue.

Od czasu ślubu z Henrym nie ośmieliła się zobaczyć córki, nawet z daleka. Wiedziała, że mąż kontroluje każdy jej krok. Poza tym nie obiecał jej wprost, że nie skrzywdzi Nicolette, nie była więc pewna, co może mu przyjść do głowy.

Często myślała o tym żywym, niesfornym dziecku, które tak krótko i chyłkiem mogła do siebie przytulić. Zaczęła się bać, że ten radosny, niewinny duch zostanie stłumiony przez izolację, zły przykład i brak rodzicielskiej miłości. O ile już nie został unicestwiony przez złe demony, jakie gnieździły się przy Basin Street. Łzy zaczęły ją dławić w gardle, kiedy wyobraziła sobie córkę w ramionach obcych mężczyzn, gości Magnolia Palace. Mężczyzn takich jak jej mąż.

Tu, w blasku słońca, pozwoliła sobie na płacz, jakiego Henry nigdy nie miał prawa oglądać. Łudziła się, że urodzenie następnego dziecka wypełni jej wewnętrzną pustkę, lecz były to naiwne złudzenia.

Hugh pogłębił tylko bolesną ranę w sercu. Patrzyła, jak rośnie, obserwowała setki cudownych przejawów dziecięcego uroku – i cierpiała, widząc, co straciła. Cierpiała, wyobrażając sobie, co jeszcze utraci.

Dziecko zakołysało wózkami, Aurore otarła zapłakane policzki. Hugh jak zwykle śmiechem obwieścił światu swoje przebudzenie. Miał tylko pięć miesięcy i został prawdopodobnie poczęty w czasie koszmarnej nocy poślubnej. Mimo to był jej bliski, bardziej bliski niż jakakolwiek ludzka istota.

Wyjęła go z wózka i przytuliła, uśmiechając się przez łzy.

– Co, malutki? – szepnęła. – Dobrze się spało?

Zagruchał, wyciągając rączki ku twarzy matki, jakby chciał poprosić ją o uśmiech.

Nie zgodziła się wziąć dla niego mamki. Chciała, żeby syn został wykar-
miony jej mlekiem i nie ugięła się pod presją Henry’ego. Pozwoliła tylko, by
Cleo zajmowała się Hugh pod jej nieobecność. O dziwo, Henry ustąpił, choć
zawsze starał się znaleźć dla niej zajęcie w czasie karmienia. Nie był zbyt
zadowolony z syna. Łagodny charakter Hugh sugerował, że chłopak nie bę-
dzie w przyszłości spełniał oczekiwań tatusia.

Aurore zmieniała dziecku pieluchę i usiadła na kocu, by je nakarmić. Choć
skrywał ich cień krzewów i drzew, zarzuciła szal na ramiona, zasłaniając nim
piers. Kiedy drobne usteczka łapczywie przyssały się do sutka, przymknęła
oczy, wyobrażając sobie, że pewnego dnia miłość do tego dziecka wypełni
cały jej świat.

Rafe wyjął z kieszeni dwudolarówkę i wcisnął ją w spoconą dłoń Lettie
Sue.

– Nie fatyguj się jutro do pracy. Szefowa nie życzy sobie szpiegów w na-
szym domu. Spojrzała na niego ciężkim wzrokiem, ale nie odpowiedziała ani
słowem.

– No, masz! – Popchnął ją. – Tyle ci się należy. I nie szukaj zajęcia przy
Basin Street ani w okolicy, bo go nie znajdziesz.

– Nie powiedziałam tej kobiecie nic ważnego – odezwała się wreszcie, nie
odwracając od niego ponurego spojrzenia. – Nie mogłam z nią nie rozmawiać,
skoro dawała mi pieniądze. Wy płaciliście mi grosze za ciężką harowę. Nie
miałam za co kupić mięsa dla dzieci. Jadły w kółko ryż z fasolą...

– Dlaczego nie przyszłaś z tym do mnie?

Lettie Sue zaśmiała się chrapliwie.

– Dlaczego? Bo kazałbyś mi tyrać dwa razy ciężiej za połowę tego, co do-
stałam! Uważasz, że jesteś kimś, panie Rafe? Chodzisz po mieście, zadziera-
jąc nosa, jakbyś był jego właścicielem. Ale ty jesteś taki sam jak ja, ani o kro-
plę krwi lepszy, choć masz bielszą skórę. Już zapomniałeś, jak to jest być
biednym, co? Ktoś powinien cię dobrze nałomotać, żebyś odzyskał pamięć!

Zamierzył się na nią, ale chwyciła go za rękę.

– Nie, nie jesteś taki sam jak ja – wycodziła. – Do pięć mi nie dorastasz! Ja
kocham swoje dzieci i daję im wszystko, co mogę. Prowadzam je do kościoła i
posyłam do szkół. A wieczorem, panie Rafe, kładę je do łóżek i słucham ich
pacierza. Ty traktujesz swoją córkę, jakby była diabłem. Ona nie ma w sonie
nic z diabła, zapamiętaj to sobie. To mała słodka dziewczynka, taka sama jak
moja. Tylko pewnego dnia, kiedy umrę, moje dzieci będą za mną płakać, a
Nicolette nawet cię nie wspomni. Szybko zapomni, jak wyglądałeś! Tylko taki
głupiec, jak ty może tego nie rozumieć! –Z obrzydzeniem strząsnęła jego rękę
i demonstracyjnie wytarła ręce w fartuch.

– Cicho, babo! – Znów zamierzył się na nią, lecz w ostatniej chwili zaniechał ciosu. Zaklął, odwrócił się i odszedł. Nie obejrzał się nawet wtedy, gdy splunęła za nim na chodnik.

Wcześniej szedł za Lettie Sue aż do parku. Po raz kolejny ją podpatrzył, jak zawile i głupio tłumaczy się szefowej, że musi na chwilę wyjść na miasto, i po raz kolejny wydało mu się to podejrzanе. Postanowił ją śledzić, tknięty złym przeczuciem, że te wyjścia mogą mieć związek z Aurore. Co prawda Aurore nie pokazywała się w ciągu ostatniego roku w pobliżu Magnolia Palace, ale wątpił, by nagle straciła zainteresowanie małą.

Teraz nabrał pewności, że posłużyła się Lettie Sue, by uzyskać informacje. Zwabiła ją do parku, gdzie jak zwykle spacerowała ze swoim nowym dzieckiem – wystarczająco białym, by ją zadowolić.

Nie przyszedł tutaj z myślą o wrogiej konfrontacji. Takie wizje miał tylko we snach – wściekłych, gwałtownych, w których zmuszał ją, by wysłuchiwała listy grzechów swojego ojca. Gdy jednak zaczynał myśleć o Aurore na jawie, trzeźwo i bez emocji, tracił całą zajadłość.

Zemsta to dziwna rzecz. Był przekonany, iż widok ginącego w płomieniach imperium Gulf Coast pozwoli mu raz na zawsze skończyć z nienawiścią.

Gdy tak się nie stało, liczył, że sprawi to odebranie Aurore córki. Tymczasem w swoich snach wciąż wściekał się, usiłując wymusić na niej...

No właśnie, co? Zrozumienie? Po co właściwie potrzebna mu była świadomość, że Aurore wie, dlaczego zniszczył jej życie?

Teraz była mężatką. Wyszła za człowieka, którego rychło znienawidzili wszyscy pracownicy Gulf Coast. Rafe słyszał wiele historii o Henrym Gerritsen – zarówno od mężczyzn, którzy pracowali z nim nad rzeką, jak od kobiet z Magnolia Palace.

Szefowa twierdziła, że Gerritsen płaci świetnie, ale żadna z dziewczyn nie chciała go w łóżku. Był okrutny, lubił je dręczyć, lecz nie na tyle, by został mu wydany zakaz wstępu. Poza tym miał zbyt wielkie wpływy i zbyt potężnych przyjaciół, więc trzeba było się z nim liczyć.

Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego Aurore wybrała sobie na męża człowieka tak bardzo podobnego do własnego ojca, może jeszcze bardziej grubiańskiego, o tej samej egoistycznej pogardzie dla innych. Jeśli on sam wpędził ją w to małżeństwo, zemsta stała się całkowita.

Mimo to nie przestawał o niej marzyć.

Szedł tam, gdzie spodziewał się ją zastać. Chciał powiedzieć Aurore, że wie, kto jest jej wtyczką w Magnolia Palace; że Nicolette nie nosi już jej medalionu i najprawdopodobniej nie pamięta, że kiedyś taki dostała. Marzył, by jeszcze raz zadać tej kobiecie klęskę. Może wówczas ustaną te niezdolne pragnienia. Może...

Zastał ją w zacisznej roślinnej niszy. Siedziała na kocu, trzymając dziecko w ramionach i karmiąc je piersią. Pomyślał, że mogłaby być uosobieniem macierzyństwa.

Była piękna. Miękkie fałdy jedwabnej liliowej sukni z koronkami przy kołnierzu podkreślały urodę, którą oszczędziły lata gorzkich przeżyć. Wydała się nawet piękniejsza niż kiedyś, szlachetniejsza, bardziej dojrzała. Rafe stał w milczeniu, obserwując ją z zapartym tchem, dopóki nie uniosła wzroku.

Jej policzki natychmiast zaalała gwałtowna fala czerwieni. Nie uczyniła najmniejszego gestu, by naciągnąć szal na ramiona czy zakryć kostki skrajem sukni. Patrzyła tylko na niego nieruchomym spojrzeniem, w którym strach ustąpił po chwili miejsca wyniosłej odwadze.

– Więc wiesz – powiedziała.

– Lettie Sue nie pracuje już w Palace.

– Są lepsze zajęcia niż sprzątanie po złodziejach i prostytutkach.

– Skoro tak, znajdzie sobie jakieś.

– Załatwię jej robotę u moich przyjaciół.

– Takiej przechodzonej szkapie? Tępemu stworzeniu, które dwa razy w tygodniu kładzie się pod mężem, by spełnić swój małżeński obowiązek?

– Stworzenie, o jakim mówisz, jest kobietą, żoną i matką. Nie używasz chyba często tych słów, prawda?

Rafe oparł się o drzewo, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

– Moja córka nie ma już prezentu, który od ciebie dostała.

– Wiem o tym.

– Wiesz? I wiesz, że dawno już zapomniała o tobie i twoim medalionie? Że Nicolette już dla ciebie umarła? Co chciałaś wtedy osiągnąć, Aurore?

Liczyłaś, że choć trochę cię pokocha? Jak mogłaby kochać kobietę, która wyrzekła się jej po urodzeniu?

Wreszcie zareagowała, tak jak pragnął – wzdrygnęła się i zbladła.

– Powiedziałeś jej o tym?

– A powinienem?

Położyła sobie dziecko na ramieniu, żeby odbiło mu się po jedzeniu. Znów popatrzyła na Rafe'a.

– Nienawidzisz jej aż tak bardzo? Musisz ranić ją w tak okrutny sposób?

Chciał powiedzieć, że równie silnie nienawidzi matki dziewczynki, ale coś kazało mu milczeć.

– Nicolette jest mała i bezbronna – mówiła tymczasem Aurore – a ty prawie nic jej nie dajesz.

Nie ma matki, nie ma domu, w którym miałyby swój azyl i oparcie. Do ciebie nawet nie mówi „tato”. Czy ty w ogóle masz w sobie cokolwiek, co mógłbyś ofiarować swojemu dziecku?

– Jak możesz pytać? Nie pamiętasz, kim dla niej jestem i co zrobiłem? Ty nie zrobiłaś nic! A że jest krnąbrna i uparta...

– Jest zagubiona. I taka piękna. Wiesz, że przytuliła się do mnie? Tylko na chwilę... – Głos jej się załamał i odwróciła głowę, jakby nie mogła znieść jego spojrzenia.

– Tym gorzej dla ciebie. Teraz trudniej byłoby ci ją odrzucić, gdybyś mogła znów podejmować decyzje.

– Gdybym tylko mogła, zabrałabym ją i uciekła!

– Mogłaś to zrobić!

– Nie zrobiłam. I będę cierpieć z tego powodu do końca życia.

– Twoja córka umarła dla ciebie – powtórzył z rozmyślnym okrucieństwem, choć doprawdy sam nie rozumiał, kto podpowiada mu te okropne słowa i każe zadawać ból. – I ty umarłaś dla niej. Nie próbuj jej więcej widywać i płacić komukolwiek za informacje. Jeśli nie chcesz, by Nicolette dowiedziała się, że matka ją porzuciła z powodu koloru skóry, lepiej trzymaj się od niej z daleka!

Aurore zacisnęła powieki w udęce.

– Jak możesz? Nawet największa nienawiść z twojej strony nie usprawiedliwia podłości, jaką chcesz wyrządzić temu dziecku!

– Trudno, taka jest prawda.

– Część prawdy, za którą zdążyłam już siebie znienawidzić. – Kiedy Aurore otworzyła oczy, były pełne łez. – Teraz ma tylko ciebie, zrozum. A ty wiesz o niej tyle, co ja, która szpiegowałam ją z ukrycia!

– Wiem tylko, że jest taka sama, jak jej matka.

– Nie! To śliczna, urocza dziewczynka, żywa i wesoła. Kocha muzykę... A ty zamykasz ją w pokoju jak zwierzę! Wiesz chociaż, o czym ona marzy? Nie obchodzi cię, że chowa się w burdelu, w dzielnicy rozpusty? Że wzorem są dla niej dziwki i odwiedzający je faceci?

Oderwał się od pnia drzewa i zaczął odchodzić.

Powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia.

Lecz słowa Aurore biegły za nim, drażąc i wciskając się w głąb sumienia.

– Jak szybko Nicolette zacznie się sprzedawać, Rafe? Czy zdziwisz się, kiedy tak się stanie? Przecież nikt jej nie kocha! Dla wszystkich jest zabawką!

I będzie zabawką, którą można mieć za parę dolarów! Czy ona wie, co to znaczy ojciec i matka? Czy ktoś ją przytula, czule, a nie obleśnie? Będzie szukała miłości u pierwszego mężczyzny, który się do niej uśmiechnie, tak jak ja kiedyś! Czy nie zasłużyła na lepszy los?

Słyszał jeszcze, jak Aurore zanosi się płaczem, a potem rozkrzyczało się dziecko.

Rafe przyspieszył kroku. Nie mógł opędzić się od natrętnej wizji, w której Nicolette szuka miłości w ramionach obcego mężczyzny, by uciec od niego, jej ojca. Nie, wcale nie nienawidził tej dziewczynki.

Nienawidził jej matkę. Uważał, że uczynił dla małej dosyć, zapewniając jej dach nad głową, opiekę i pełną miskę. Sądził, że wystarczająco chronił ją od zepsucia i nieprawości. W końcu rodzona matka nie zrobiła dla niej nawet tego. A co najważniejsze, nie wyparł się jej nigdy.

Nie dał jej przez te wszystkie lata tylko jednego – siebie.

W Magnolia Palace powitał go dźwięk dziecięcych głosów na tylnym dziedzińcu. Przeszedł tam cicho, starając się, by potłuczone muszle nie chrzęściły mu pod nogami. Stanąwszy w cieniu magnolii, zaczął obserwować, jak bawi się jego córka.

Nicolette biegła pędem od drzewa do drzewa, zaśmiewając się do rozpuku, Violet ją goniła, zaś Tony Pete, pracujący na grządkach, wysuwał rękę, usiłując pochwycić uciekinierkę. Czupryna Nicolette była w nieładzie, buzię znaczyły smugi brudu.

Krótką sukienka odsłaniała gołe kolana.

Gdy przebiegała tuż koło drzewa, za którym się skrył, wyłonił się zza pnia i zastąpił jej drogę.

Widział, jak śmiech zamiera dziecku na ustach, a radosne iskierki znikają z oczu. Mało tego, dostrzegł, że ich miejsce zajmuje strach.

Pamiętał strach w oczach dziecka, całkiem podobny do tego. Tak właśnie patrzyła malutka Angelle na łódce w czasie huraganu. Rozpaczliwie trzymała się matki, dopóki nie straciła sił; trzymała się i patrzyła...

Zacisnął powieki, by nie widzieć oczu Nicolette, ale przecież nadal miał ją przed sobą. Małą dziewczynkę, mimo różnicy wieku tak bardzo podobną do jego ukochanej siostrzyczki.

– Przepraszam, panie Rafe. Ja tylko...

Otworzył oczy i zobaczył Violet, kłaniającą mu się trwożliwie. Dziś nie musiała udawać niewinnej nastolatki. Po prostu nią była – młodą, niedoroślą dziewczyną, zbyt młodą, by kłaść się do łóżka z facetami w burdelu. Zbyt młodą, by znać ten podły, okrutny świat od podszewki.

– Ganiaj na górę i pakuj się! – nakazał. – Szybko!

– Ale my się tylko bawiłyśmy! Nikt nie narzekał na hałas!

– Spakuj się i zaczekaj na mnie w salonie. Znajdę ci lepsze zajęcie.

Przekrzywiła głowę, przyglądając mu się spod oka. Po raz pierwszy zobaczył, że jest prawdziwą pięknoscią. Odruchowo zaczął się zastanawiać, jak szybko trudny czas spędzony w Palace zniszczy tę urodę.

Violet musiała dojść do wniosku, że lepiej o nic nie pytać. Poszukała wzrokiem Nicolette, a potem ruszyła w kierunku domu. Tymczasem dziew-

czynka powoli zbliżyła się do ojca i stanęła przed nim, wierząc stopą w piasku.

– Proszę, nie wyrzucaj Violet. Będę siedziała grzecznie w pokoju, ile tylko chcesz, ale jej nie wyrzucaj.

– Popatrz na mnie.

Popatrzyła i momentalnie pojął, jakiej wymagało to od niej odwagi. W oczach miała błysk rozpaczliwej determinacji, jak u zapędzonego w kąt małego zwierzątka.

Rafe ukucnął przed nią, aż znaleźli się twarzą w twarz. Świat wyglądał zupełnie inaczej z tej perspektywy. Po raz pierwszy od lat przypomniał sobie, jak patrzył na niego, gdy był małym chłopcem.

– Nie możesz tu dłużej mieszkać, Nicolette – powiedział.

– To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie. Mam dom przy Canal Street, tam cię zabiorę.

Poproszę Violet, żeby pojechała z nami i zajęła się tobą. Podoba ci się taki pomysł?

Ciemne brewki dziewczynki zmarszczyły się z namysłem. Już nauczyła się być czujna i węszyć podstęp w każdym zdaniu.

– I Violet będzie mogła tam zostać?

– Tak, jeśli tylko zechce.

– A będą ją odwiedzać panowie?

– Nie, żadnych panów.

– Jaki jest ten dom?

– Niewielki, miły... – Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Nie umiał rozmawiać z własnym dzieckiem.

– Tylko Violet i ja?

– Nie, ja też będę tam mieszkał.

Zacisnęła usta.

– A szefowa?

– Nie.

– A Clarence?

– Clarence będzie mógł was odwiedzać.

– Więc musi być fortepian. – Ośmieliła się przysunąć bliżej.

– Dobrze. Kupimy fortepian. Najwyższy czas, żebyś zaczęła brać lekcje.

– Jakie lekcje?

– Lekcje muzyki. Poza tym potrzebujesz preceptora.

Przecież musisz się wreszcie nauczyć czytania i pisania, no nie?

– Umieć już czytać. Wolałabym raczej pójść do szkoły.

– Kto wie...

Nicolette wpatrzyła się we własne stopy.

– Będę bardzo grzeczna.

– Akurat! Kiedy tylko znikam, zaczynasz rozrabiać.

– Tylko czasami.

Zaśmiał się cicho i po chwili zdziwił, że podobny dźwięk wydobył się z jego piersi. Myślał, że stracił już tę umiejętność. Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził brzoskwiniowy policzek. Dziewczynka drgnęła lekko.

Nie cofnął dłoni, lecz głaskał czule, aż nieco się odprężyła. Wiedział, że nie ucieka tylko dlatego, że jest bardzo odważna.

Jego dziecko. Uroczą córeczką. Małe diablątko, które jest jedyną więzią łączącą go ze światem, od którego się odwrócił.

Wstał, zamierzając odejść, ale mała zdążyła nabrać śmiałości.

– A Tony Pete?

– Poznasz nowych przyjaciół.

– Chcę, żeby Tony Pete też tam jechał.

Rafe odwrócił się. Nie ruszyła się z miejsca.

Patrzyła w ziemię. Przez ułamek sekundy dostrzegł w niej Aurore, kobietę z laguny, bezsilną, ale nigdy nie poddającą się do końca.

– Niech będzie. Tony’emu też znajdziemy jakieś zajęcie – odparł szybko i odszedł, nie wiedząc, czy ucieka przed Nicolette, czy przed jej matką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Po naszym spotkaniu Rafe zabrał Nicolette ze Storyville. Była jeszcze mała. Nie wiem, co zapamiętała z tamtych dni. Ale była raczej beztróskim dzieckiem, więc może niewiele...

Aurore spojrzała na Phillipa, który już od dawna nie siedział na sofce. Gdy opowiadała, chodził po pokoju, wiercił się, a teraz stał w milczeniu i wyglądał przez okno na ogród.

– Mam jeszcze wiele do opowiedzenia – zaznaczyła.

– Zapewne myślisz, że wiesz już wszystko. Muszę cię zmartwić, Phillipie.

Odwrócił się do niej, skrzyżowawszy ramiona na piersi. Bardzo przypominał w tym momencie swojego dziadka, ale nie mówiła mu tego. Nie zasłużył na taką nagrodę. Jeszcze nie.

– Powody, dla których zaangażowałaś mnie, bym napisał tę książkę, od początku wydawały mi się niewiarygodne. Podejrzywałem, że musi chodzić o coś więcej.

– I teraz czujesz się oszukany.

– Dlaczego tak uważasz?

– Zapytam inaczej: gdybym tak po prostu zadzwoniła i powiedziała ci, że jestem twoją babcią, czy zgodziłbyś się przyjść i porozmawiać?

Zesztywniał, gdy wypowiedziała to słowo, jak gdyby do ostatniej chwili rozpaczliwie się ludził, że cała ta historia jest tylko jej wymysłem.

– Zgoda, ja na twoim miejscu też bym nie przyszła. Dlatego wybrałam taki właśnie sposób.

– Władczym gestem uniosła rękę, widząc, że Phillip otwiera usta do odpowiedzi. – Ale nie oszukiwałam ciebie, gdy mówiłam, że chcę opowiedzieć tę historię. Rzeczywiście chciałam. Są rzeczy, których nadal nie rozumiesz. Nie da się o nich powiedzieć w ciągu jednego dnia czy nawet tygodnia. Nie jesteś jedynym z moich wnucząt. Mam jeszcze jedno. Któregoś dnia, z twoją pomocą, Dawn również to zrozumie.

Oczy rozbliły mu gniewem.

– Skąd masz pewność, że chcę ci pomóc? Więzy krwi? Myślisz, że czuję się zaszczycony wątpliwą przynależnością do twojej rodziny i rasy? Że czuję się teraz bardziej człowiekiem?

– A twoja matka?

– Co moja matka? Mam jej powiedzieć, że wcale nie umarłaś przy porodzie? Że jej mamusia jest bogatą białą arystokratką, która poniewczasie żałuje, że nie kochała córki na tyle, aby ją zatrzymać? Wyobrażasz sobie, że będę między wami pośredniczyć? Jeśli wymarzyłaś sobie ckiwe pojednanie, to...

– Nic z tych rzeczy – ucięła.

– W takim razie co?

– Gdybym była pewna, że ta wiedza pomoże w jakiś sposób Nicolette...

– Nie nazywaj jej tak! Zawsze miała na imię Nicky. Nicky Valentine!

– A jeszcze wcześniej Clarissa.

– Nie masz prawa jej tak nazywać!

Aurore nie zdziwiła się wcale, że ból uśpiony na pół wieku wrócił, by znów ją dręczyć. Phillip mówił głosem Rafe'a.

– Gdybym była pewna, że ta wiedza przyda się twojej matce, sama bym jej powiedziała. Ale niczego nie jestem pewna, poza jednym – musisz wysłuchać mnie do końca.

– Chcesz, jak się zdaje, ulżyć swojemu sumieniu – powiedział zimno. – Zwierzenia leczą duszę, czyż nie tak? Ale nie moją. – Wyciągnął przewód z kontaktu i zaczął pakować magnetofon. Był już przy drzwiach, gdy postanowiła błagać go po raz ostatni.

– A jeśli któregoś dnia postanowisz powiedzieć o tym matce, co jej opowiesz? Tylko część historii? Czy zadowolili się tym? A może zechce wiedzieć więcej.

– Jeżeli będzie chciała wiedzieć więcej, sama do ciebie przyjdzie.

– Już mnie tu nie będzie. Umieram, Phillipie. Lekarze dają mi najwyżej pół roku życia. Poza tym nie wiadomo, jak długo jeszcze będę w stanie trzeźwo myśleć i porozumiewać się z otoczeniem.

– Czyżbyś miała ochotę na przedśmiertną spowiedź?

Dlaczego nie wezwałaś księdza?

– Mylisz się, to nie jest spowiedź. Nie próbuję za życia oczyścić swojej duszy. Jeśli istnieje życie pozagrobowe, chętnie poddam się karze. Ale nie widzę powodu, by mieli cierpieć ci, którzy nadejdą po mnie. Wiem o sprawach, które mogą zmienić życie moich dzieci i wnuków. Przez całe życie byłam straszliwym tchórzem, ale wreszcie zdobyłam się na odwagę.

Nie zawrócił, ale zatrzymał się, jakby rozważał te słowa. Dobrze, że chociaż tyle osiągnęła.

– Wróc, proszę. A przynajmniej... wróc, kiedy będziesz gotowy – dodała po chwili. – Tylko nie zwlekaj zbyt długo.

Pokój od dawna był pusty, kiedy wreszcie podniosła się z kanapy i podszła do okna. Tak jak przed chwilą Phillip, patrzyła na krzewy mirtu, szeleszczące na wietrze. Za ogrodzeniem przesunął się wóz dostawczy.

Właśnie drobiazgi czyniły myśl o śmierci nieznośną.

Słońce, przesiewające się przez liście starych dębów i połyskujące złotymi plamkami na trawie. Rozskrzeczane błękitne sójki na drutach telefonicznych. I wonne, łagodne powietrze.

Phillip wróci, była tego pewna. Ludzie tacy jak on spędzają całe życie na szukaniu odpowiedzi na wciąż nowe pytania. Dochodzenie do prawdy jest dla nich nałogiem, z którym nie są w stanie zerwać. Pomyślała o Raphaelu – młodym mężczyźnie, równie bystrym i zdolnym, jak jego wnuk. Nie mogła odżałować, że Phillip nie zdążył go poznać. Cóż, tego co się stało, już nie da się cofnąć.

Przez chwilę zapragnęła uwierzyć w reinkarnację.

Wyobrażała sobie, że po śmierci odrodzi się w innym ciele, podobnie jak Rafe, i tym razem będą szczęśliwi. Niestety, nie umiała żyć wyobrażeniami.

Skoro nie zdoła go wskrzesić, pozostaje jej tylko jedno – walczyć do końca, dopóki starczy sił, by naprawić dawne błędy.

Tyle przynajmniej mogła zrobić dla Rafe'a – i dla samej siebie.

Tego dnia Belinda wybrała czerwień – tak jaskrawą i żywą, że jej skóra zdawała się od niej płonąć.

Sukienka była zbyt krótka i zbyt wydekoltowana, by mogła w niej przypominać panią przedszkolankę.

Zwłaszcza że niebotycznie długie nogi odziała w czarne pończochy z wzorkiem, a do uszu przypięła połyskujące kolczyki.

Phillip nie przebrał się od rana. Po wyjściu od Aurore Gerritsen błąkał się godzinami po ulicach Nowego Orleanu. Trafiał w okolice, gdzie sama jego obecność była podejrzana, i winne, gdzie kolor skóry stanowił gwarancję bezpieczeństwa.

– Nie wyglądasz mi na faceta, który miałby ochotę zabawić się dziś wieczorem – skomentowała Belinda jego minę.

Dopiero teraz sobie przypomniał, że zapraszał ją wcześniej do ClubValentine. Tylko nie to! Nie miał najmniejszej ochoty widzieć się z matką ani patrzeć na tłumy, które ją wielbiły. Nie teraz, nie dzisiaj. Zastanawiał się, czy stara Gerritsen zdawała sobie sprawę, że od tej chwili, kiedy tylko spojrzy na Nicky, będzie w niej widział małą dziewczynkę, podśpiewującą gościom w burdelu.

– Usiądź tu, na kanapie – nakazała Belinda. – Zaraz przyjdę.

Z wdzięcznością przyjął zaproszenie. Odrzucił głowę na oparcie i przytknął oczy.

– Proszę.

Unióśł powieki. Bez słowa wziął z jej rąk szklaneczkę z alkoholem i wypił połowę haustem, zanim zorientował się, jaki to zacny bourbon.

– Jadłeś coś od śniadania?

– Przez całe życie martwisz się o innych. Musisz się martwić o mnie?

– Jak widać, weszło mi to w krew. – Znow zniknęła w kuchni. Po chwili wróciła z krewetkami na zimno, przybranymi ćwiartkami pomarańczy.

Usiadła obok niego na kanapie i podsunęła mu talerzyk. – Może się przebiore i zrobię normalną kolację?

– Nie, zaraz się pobieram.

– Miałeś ciężki dzień?

Nie pierwszy i nie ostatni, odpowiedział w myślach, odstawiając kieliszek. Chwycił Belindę i przyciągnął ją do siebie. Jej perfumy miały tę samą orientalną nutę, co kadzidelka, które paliła.

Phillip przypomniał sobie gwarne afrykańskie oraz azjatyckie bazyry i egzotyczne kobiety w czadorach.

– Temu miastu potrzeba rewolucji – powiedział.

– A któremu jej nie trzeba?

– Spędziłaś tutaj całe życie i naprawdę nie widzisz, co się dzieje? Dzisiaj chodziłem ulicami, gdzie ludzie trzymają psy tresowane do atakowania czarnych. Powiedział mi to pewien stary człówek, którego spotkałem po drodze. Chciał mnie ostrzec.

– Mój sąsiad nauczył swojego dobermana, by szczekał na białych. Dzieciaki mogły psu wejść na głowę, ale kiedy przechodził jakiś biały, rzucał się

na łańcuchu, jakby chciał go zjeść na kolację. – Cmoknęła Phillipa w sam czubek głowy. – Możesz mi wreszcie powiedzieć, skąd ten bojowy nastrój?

Uśmiechnął się, choć wcale nie było mu wesoło.

– Powiedz, Belindo, dlaczego tu zostałeś? Przecież jesteś wykształcona. Mogłabyś wyjechać na północ czy na zachód...

– Do ziemi obiecanej, tak? – Sceptycznie pokręciła głową. – Nigdy w nią nie wierzyłam i nie uwierzę. Chcesz mi powiedzieć, że tam jest inaczej? Że w Nowym Jorku albo w San Francisco najpierw widzą w tobie człowieka, a dopiero potem Murzyna? Wiem, co się tutaj dzieje, znam tutejsze problemy i nie mam ochoty poznawać nowych. A kiedy uczę moje dzieciaki, kim są i z czego powinny być dumne, dokładnie wiem, co mam im powiedzieć.

– I dlatego zostałeś?

– To jest mój dom. Nikt mnie tu nie prześladowa. To miasto należy do mnie tak samo, jak do każdego innego mieszkańca. Tu mogę robić swoje. I robię.

W tym, co mówiła, wróciły jak echo słowa, które kiedyś Phillip usłyszał od Nicky. Kiedy kwestionował jej decyzję o zamieszkaniu w Nowym Orleanie, odpowiedziała mu, że nie zna miejsca, gdzie byłaby bardziej potrzebna. Jej muzyka otwierała wszystkie drzwi i wszystkie serca, a ona chciała jednoczyć nią wszystkich.

I tak było. Club Valentine otworzył podwoje dla białych i czarnych – bez wyjątku. Rasowa integracja nie była wówczas popierana i w ogóle mało się o niej mówiło, dlatego biali trzymali się z początku z dala. Stopniowo przyciągała ich jednak magia śpiewu Nicky, więc przychodzili coraz tłumniej, by stojąc ramię w ramię z ludźmi innej rasy, słuchać jej niezwykłego głosu. W ten oto sposób jeden niewielki budynek przy Basin Street dokonał wielkiego dzieła pojednania na długo przed epoką publicznych szkół, basenów i barów.

Nagle Phillip zapragnął zobaczyć matkę na scenie, w świetle reflektorów, odbierającą hołdy i owacje.

Zapragnął pojechać na Basin Street tylko po to, by przekonać się, że żadna z krzywd, które wyrządziła jej Aurore Gerritsen, nie zdołała osłabić żywiołowego ducha jego matki.

W Club Valentine jak zwykle było tłoczno.

Z kuchni dobiegały smakowite wonie kreolskich potraw, w powietrzu unosił się dym i radosne dźwięki jazzowej trąbki. Usiedli przy stoliku pod sceną i wkrótce potem znalazł ich Jake. Pocałował Belindę na powitanie, po czym zamówił dla nich dania, zanim zdążyli zaprotestować.

– Musicie spróbować nadziewanych karczochów, pycha! – zachwalał. – A kraby świeżo złowiono w bayou, dzisiaj rano...

– Gdzie Nicky? – zapytał Phillip.

– Nicky nie lubi pokazywać się przed występem.

Nie chce się rozpraszać. Ale powiem jej, że jesteście.

– Lepiej nie. To będzie niespodzianka.

– Powiem, powiem. Ucieszy się. Wczoraj mieliśmy młyn, bo przyjechała na występy grupa z Savannah. Nicky marzy już o przerwie z okazji karnawału.

Wiadomość o przerwie ucieszyła Phillipa. Może wtedy będzie czas, by powiedzieć matce, że jest córką Aurore Gerritsen. Wyjaśni jej, czego się dowiedział, a ona w spokoju przetrawi tę rewelację.

Może nawet umówi się z nią na spotkanie, kto wie?

Tylko jak ma jej o tym wszystkim powiedzieć? Nie, na razie musi dowiedzieć się czegoś więcej.

– Phillip?

Spojrzał na Belindę.

– Zdaje się, że odleciałeś w jakieś dalekie przestworza – uśmiechnęła się. – Wróc na ziemię, bo idą do nas moi przyjaciele. Myślę, że nie masz nic przeciwko temu, żeby się dosiedli.

Skinął głową, więc wstała, by powitać dwie pary, które rozglądały się po sali, stojąc u wejścia. Nie znał tych ludzi. Uświadomił sobie, jak mało wie o życiu Belindy i kręgu jej przyjaciół.

Dokonano prezentacji i wszyscy usiedli przy jednym stoliku. Sam i Vivian byli ładną parą, trochę po trzydziestce. Z rozmowy wynikało, że rzadko mają okazję wyrwania się do lokalu, a to ze względu na dwójkę małych dzieci. Sam był dyrektorem podstawówki, Viv zajmowała się projektowaniem i szyciem kostiumów na karnawał. Tyle mogła zdziałać w czasie, kiedy dzieciaki były w szkole.

Z kolei Debby i Jackson nie byli małżeństwem.

Ona pracowała w tej samej szkole co Belinda, on w banku. Stanowili dziwną parę. Jackson potężną postacią przypominał dokera znad Missisipi, podczas gdy krucha Debby nie ważyła więcej niż bela bawełny. Jednak zakochany wzrok, jakim za sobą wodzili, świadczył, że zapewne zostaną ze sobą na zawsze.

– Wiele o tobie słyszeliśmy – zagadnął go Sam. – Belinda opowiadała nam o twojej pracy. Czytałem też twój wywiad z Martinem Lutherem Kingiem.

Bardzo interesujący.

Phillip przywykł do pochwał, ale zadziwiła go świadomość, że Belinda mogła opowiadać o nim swoim znajomym. Ciekawe, przy jakiej okazji. I co konkretnie mówiła.

Jedzenie podano razem z drinkami. Rozmowa była równie interesująca i satysfakcjonująca, jak dania. Phillip, który z początku nie bardzo miał ochotę na nowe znajomości, w miarę upływu czasu chłonął całym sobą to tak charakterystyczne i tak miłe ludzkie, przyjazne ciepło, które towarzyszy pogaduszkom życzliwych sobie osób, połączonych wspólnotą doświadczeń, opinii

i charakterów. Prawdę mówiąc, już dawno nie doświadczył tak szybko związanej komitywy.

Patrząc na Belinę, widział, jak rozkwita, świadoma ich życzliwego zainteresowania. Pojął nagle, jak bardzo uzależnił się od jej zrozumienia i jak niewiele zrozumienia ona wymagała od niego. Do licha, prawie jej nie znał. I nie próbował poznać.

A przecież była kobietą o tak intrygująco złożonej osobowości. To właśnie owa złożoność przesądzała o jej uroku. Czuł, że mógłby spędzić z nią tysiąc lat i zawsze znalazłby nowe, niezbadane obszary jej duszy.

Klubowy zespół grał już prawie godzinę, kiedy na scenie wreszcie pojawiła się Nicky. Wyszła zza kurtyny, odziana w obcisłą suknię o szmaragdowym połysku, zdjęła mikrofon ze statywu i powiedziała:

– Kochani, przerwijcie na chwilę rozmowy, żebyście mogli posłuchać, co mam wam do powiedzenia...

Sala oszalała. Zawsze tak było, kupowała ich od razu. Phillip tysiące razy widział matkę, śpiewającą w świetle gołej żarówki tak, jakby śpiewała w blasku kryształowych kandelabrow. I zawsze, nieodmiennie, publika wielbiła ją niczym wielką artystkę.

Należała do nich, była dzieckiem Storyville, chlubą Nowego Orleanu. Tu kochano jej głos, tak jak kochano to miasto.

– Ona jest najlepsza! – entuzjazmowała się Viv, przekrzykując burzę oklasków po kolejnym utworze. – Phillip, powiedz, czemu woli być z nami tutaj, skoro przyjęto by ją z otwartymi ramionami na całym świecie?

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Może ma to miasto we krwi i bez niego by umarła?

Przy następnej piosence wydawało się, że zatłoczona sala skurczyła się do rozmiarów kameralnego pokoiku. Głos Nicky zniżał się, cichł, stawał się intymnym szeptem. Potem stopniowo rytm przyspieszał, a śpiew potężniał. Serce zaczęło mu walić, dym z papierosów otumaniał. Phillip przyknął oczy, opanowując zawrót głowy.

Nie zauważył intruza, który znieacka wskoczył na scenę.

Belinda położyła mu rękę na ramieniu.

– Phillip...

Otworzył oczy i zobaczył mężczyznę w średnim wieku, który wyraźnie za dużo wypił i w porywie pijackiego entuzjazmu postanowił zainteresować sobą publiczność. Chwiał się o kilka kroków od jego matki, bełkocząc coś niezrozumiale. Pojawił się tak nagle, że nikt z zespołu nie zdążył zareagować.

Phillip wychylił się do przodu, gotów zerwać się z miejsca.

– Spokojnie, sama da sobie radę – powiedziała Belinda, usadzając go z powrotem.

Nicky niecierpliwym skinieniem głowy próbowała odprawić intruza jak nauczyciel natrętnego ucznia. Przerwała śpiew i z pierwszych rzędów było słychać, jak prosi, żeby pozwolił kontynuować jej występ. Ten ton jej głosu Phillip znał z rzadkich okazji, kiedy ganiła go, gdy zachował się niegrzecznie jako dziecko.

Mężczyzna uśmiechnął się głupekowato, jakby chciał jej posłuchać, ale nie bardzo pamiętał, co ma zrobić. Saksofonista o posturze niedźwiedzia już zaczął odkładać swój instrument, a ku scenie przedzierał się Jake. Phillip wiedział, że za chwilę będzie po sprawie. I byłoby, gdyby nie gliny.

W zamieszaniu, jakie powstało, nikt z początku nie zwrócił na nich uwagi. Było ich dwóch, białych, młodych, najwyraźniej świeżo upieczonych absolwentów Akademii Policyjnej. W tym towarzystwie znajdowali się w mniejszości. Jeden z nich, blondyn obcięty po wojskowemu, zdawał się rozumieć sytuację i nie palił się do interwencji. Za to drugi, ciemnowłoso, o tępej twarzy, wręcz rwał się do roboty. Przepychał się ku scenie, roztrącając brutalnie ludzi i prowokacyjnie uderzając pałką o udo.

Phillip z porażającą precyzją był w stanie przewidzieć, co nastąpi. Club Valentine był od dawna strefą neutralną w konflikcie rasowym, jaki rozgrywał się w Nowym Orleanie i na całym Południu. Przesłanie pokoju, zapoczątkowane przez jego matkę, zostało podchwyczone przez innych, czarnych i białych, którzy przekraczali drzwi tego budynku. Ale ten gliniarz – szowinistyczny, brutalny i gruboskórny reprezentant zewnętrznego świata – mógł zniszczyć subtelną równowagę jednym ciosem pałki.

Phillip wiedział, że tak właśnie się stanie i że potem rozpęta się piekło.

Zerwał się na nogi i stanął przed policjantem, zanim jeszcze zdążył zastanowić się, co ma powiedzieć.

– Nic złego się nie dzieje, panie władzo – odezwał się bez uśmiechu. – Kontrolujemy sytuację i zaraz przywrócimy spokój. – Choć stał plecami do sceny, dobrze wiedział, że pijaka już sprowadzono.

– Z drogi!

Przesunął się bliżej, blokując przejście rozpostartymi ramionami.

– Nazywam się Phillip Benedict – przemówił niskim, stanowczym głosem. – Ten klub prowadzi moja matka i ojczym. Bardzo nas cieszy pańska troska o bezpieczeństwo i odwaga, z jaką wykonuje pan swój zawód, ale ostrzegam, że jeśli podniesie pan rękę na tego człowieka, będzie pan miał za chwilę przeciwko sobie całą salę.

Policjant chwycił go ręką za ramię i pchnął prowokacyjnie, lecz Phillip był na to przygotowany.

Nawet nie drgnął.

– Posłuchaj – powiedział na tyle cicho, by nikt inny nie słyszał – pchniesz mnie jeszcze raz, a zostaniesz stratowany przez tłum, który się na ciebie rzuci.

I z góry mogę ci powiedzieć, co powie burmistrz, gdy usłyszysz o twojej prowokacji. Nicky Valentine przyciąga tłumy ludzi do tego miasta, zwłaszcza o tej porze roku. Chcesz, żeby mówiono o tobie, że wywołałeś burdę na jej koncercie?

Prze jedną, pełną grozy chwilę Phillip bał się, że ten prymityw go nie zrozumie i nie posłucha.

Widać było, że chce walki, że chce pokazać swoją władzę i swoje racje. Fakt, że czarni i biali mogą się zgodnie bawić, nie mieścił się najwyraźniej w kategoriach jego pojmwania. Jeśli zaś nie było rozróby, należało ją natychmiast sprowokować, by uzdrowić sytuację.

– Z drogi! – warknął ponownie, znacząco ściskając pałkę w potężnej garści. – Nie będzie mi tu jakiś czar...

– Na twoim miejscu nie wymawiałbym tego słowa – ostrzegł Phillip.

Drugi funkcjonariusz wyrósł nagle u boku swego partnera.

– Daj spokój, nie mamy tu nic do roboty – mitygował, zerkając znacząco na Phillipa, jakby chciał mu powiedzieć, że aż za dobrze wie, z kim pracuje, i wcale mu się to towarzystwo nie podoba.

– Odejdźcie ze śpiewem, džentelmeni – odezwała się Nicky ze sceny za ich plecami. I jak gdyby wszystko było zaplanowane wcześniej, zaśpiewała ostatni przebój Boba Dylana Time They-Are-A-Changing – „Czas wszystko zmienia”...

Phillip nie miał pojęcia, że matka ma ten utwór w swoim repertuarze i nie spodziewał się, że song Dylana tak łatwo rozładuje sytuację – gliniarze zniknęli z sali już po drugim wersie, a on wrócił na swoje miejsce.

Tłum tupał i klaskał, wyraźnie poruszony przesłaniem pieśni. Nastrój euforii trwał jeszcze długo po zejściu Nicky ze sceny. Sam pochylił się przez stół ku Phillipowi.

– Nie myślałeś, żeby zaangażować się w politykę? – zapytał z poważną miną.

– Jak widzisz, nadal jestem tylko czarnuchem.

– Ale czas wszystko zmienia. Już niedługo będziemy potrzebowali ludzi takich jak ty, na urzędy,

we władzach. To miasto wkrótce się otworzy, sam zobaczysz.

– Nie wiem, jakim cudem mógłbym startować w wyborach na burmistrza, skoro mam trudności z uzyskaniem tu prawa głosu.

– Nie, Sam ma rację – włączył się Jackson.

– Potrzebujemy cię tutaj. Szukamy ludzi, którzy są odważni i nieprzekupni. Ludzi wykształconych, zdolnych wybić się ponad układy.

– Kiedy to nie moje miasto i nie mój dom – odpowiedział odruchowo. Jeden drobny epizod z rasistowskim gliniarzem wystarczył, by utwierdził się w swoich uprzedzeniach wobec konserwatywnego Południa. Nie miał ochoty

zajmować się podobnymi sprawami. Prawdę mówiąc, po tym co usłyszał od Aurore Gerritsen, pragnął uciec z Nowego Orleanu jak najdalej. Wezbrały w nim emocje, których nigdy wcześniej w sobie nie doświadczał.

Bał się tych emocji.

– Ale to może być twoje miasto i twój dom – powiedział z naciskiem Sam.

– Nie sądzę, by kiedykolwiek tak się stało – odparł, a potem zerknął przelotnie na Belindę.

W jej oczach dojrzał inną odpowiedź. Nie dał tego po sobie poznać, ale w tym momencie zrozumiał, że coś między nimi się zmieniło.

I to również wywołało nieznane emocje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Popołudnie było tak ciepłe, że Aurore spędziła całą godzinę na kamiennej ławce w ogrodzie, nad stawem ze złotymi rybkami. Wzięła sobie książkę, lecz nawet jej nie tknęła. Zadowoliła się obserwacją rybek i dużej brązowej ropuchy, która przyczaiła się w chłodnym cieniu skały.

Kiedy usłyszała za sobą kroki, od razu wiedziała, że to Phillip. Uniosła głowę. Zatrzymał się kilka kroków od niej, z ram nami skrzyżowanymi na piersi.

Przed kilkoma tygodniami wyjechał z miasta – w dzień po tym, jak poznał prawdę o swoim pochodzeniu. Aurore dowiedziała się, że pracował przez ten czas w Nowym Jorku i w Kalifornii.

Zawsze wiedziała, kogo spytać, by otrzymać właściwe informacje. Spodziewała się zresztą tego wyjazdu, tak jak i spodziewała się powrotu.

– Czy wróciłeś z dziennikarskiej ciekawości? – powitała go. – A może z poczucia obowiązku wobec matki?

Był jeszcze jeden domysł, którego nie wypowiedziała głośno. Pewna młoda kobieta o imieniu Belinda mogła okazać się tak atrakcyjna, że trudno było się z nią rozstać na dłużej.

– Wygrałaś. Byłaś pewna, że wrócę, prawda?

Nie uśmiechnęła się. Zachęcająco poklepała ławeczkę obok siebie. Phillip zbliżył się z ociąganiem i usiadł.

– W moim wieku i w moim stanie nie mogę już sobie pozwolić na błędy. Przepraszam, jeśli byłam niemila.

– Naprawdę jesteś chora? A może to kolejny podstęp?

– Będę wdzięczna losowi, jeśli pozwoli mi żyć do lata.

– Dalej rzeczywiście nie ma sensu. Wielu ludzi wolałoby raczej umrzeć, niż znosić tę gorącą, parną duchotę.

– Fakt. Coraz ciężiej mi się oddycha. I jak to mówią, nie mam już pary – uśmiechnęła się dopiero teraz.

– To rak? Masz bóle?

– Na szczęście niewielkie. Ale czuję, że śmierć zaczyna krążyć wokół mnie. Coraz mniej śpię, mniej jem. Kiedy chodzę, przypominają mi się wakacje nad zatoką, gdy byłam mała i usiłowałam biegać w wodzie, krępującej mi ruchy.

– To jeszcze nie są oznaki czającej się śmierci.

– Odwiedzają mnie we śnie ci, którzy już odeszli. Śnię o nich, a kiedy się budzę, nadal są ze mną.

– Twój mąż?

Energicznie pokręciła głową.

– Nie. Henry nigdy mi się nie śni.

– Jak się domyślam, nie martwi cię to specjalnie.

Znów się uśmiechnęła, tym razem smutno.

– Być może trafił do miejsca, gdzie nie pozwala się na wychodne. Taki raj dla tyranów i policjantów. – Tak właśnie wyglądało to małżeństwo?

– No proszę, zaczyna wychodzić z ciebie dziennikarz.

Czy to znaczy, że znów zechcesz mnie słuchać?

– Jeśli będę spisywał twoje pamiętniki, z pewnością nie omieszkam zaznaczyć, że byłaś kobietą, która zawsze osiągała swój cel, bez względu na środki i ludzi, którymi manipulowała.

Milczała przez chwilę, rozważając jego słowa.

– A napiszesz również, że byłam kobietą, która na starość postanowiła naprawić wszystko, co kiedyś popsuła, choć mogłaby się zadowolić oglądaniem złotych rybek do końca swoich dni?

– Nie wiem.

Z trudem podniosła się, ciężko podpierając laską.

Nogi coraz bardziej odmawiały jej posłuszeństwa.

– Przejdź się ze mną, Phillipie.

– Nie wziąłem magnetofonu.

– Och, myślę, że zapamiętasz bez problemu.

– Domyślam się, że nie będzie szczęśliwego zakończenia.

– Dla mnie na pewno nie, a przynajmniej nie w tych kategoriach, w jakich myślisz. Ale życie wynagradza wiele rzeczy, z czasem i ty się o tym przekonasz. No, chodźmy. Czy mogę się na tobie oprzeć?

Zawahał się. Widziała, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę. Wreszcie wrzucił ramionami i przysunął się bliżej, a Aurore wsparła się na jego ramieniu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Po starannej analizie sytuacji Aurore nabrała pewności, że Stany Zjednoczone w końcu przystąpią do wojny. Henry, zrazu nieprzekonany, wreszcie przyznał jej rację. Wspólnie postanowili zainwestować wszystkie oszczędności w unowocześnienie starych holowników z kołami łopatkowymi i drewnianych barek ze swojej flotyli. W tym celu zaciągnęli pożyczkę.

Wkrótce ujawniła się mądrość przewidywań Aurore.

Obciążone linie kolejowe nie były w stanie przewieźć niezliczonych transportów żywności, broni, maszyn i innych wojennych dostaw. Wielka rzeka znów zaroiła się barkami. Inwestycje Gerritsenów zwróciły się momentalnie i zaczęły przynosić znaczny zysk.

W wieku lat trzydziestu trzech Henry Gerritsen był już za stary, by podjąć służbę, ale wystarczająco młody, by budować sobie nowe życie i czynić plany na przyszłość. Bez ogródek oznajmił małżonce, że zamierza pędzić barwny żywot człowieka bogatego i oczekuje od żony, aby przykładowie stała u jego boku.

Na początek postanowił zbudować rezydencję, odpowiadającą jego nowemu statusowi. Chciał, żeby stała przy prestiżowej Prytania Street i żeby dowodziła jego materialnego dobrobytu i rozmachu.

Aurore była dla odmiany zwolenniczką nierzucającej się w oczy elegancji i dobrego smaku.

Łącząc sprzeczne z pozoru upodobania małżonków, najmodniejsi architekci zaprojektowali elegancką posiadłość w klasycznym stylu. Znalazły się tam i wysokie okna, których domagała się Aurore, i podwójna weranda z ozdobną kutą balustradą, jaką zapamiętała z domu swojego dzieciństwa, ale też wiktorjańskie witraże i biblioteka w asymetrycznym skrzydle – czyli pomysły Henry'ego.

Na sam dom należało wyłożyć cztery tysiące dolarów. Musiał mieć najnowocześniejsze urządzenia sanitarne, emaliowane wanny, kaflowe kominki, boazerie ze szlachetnego drewna i wystarczająco dużo pokoi, by mogła zamieszkać w nim służba.

Aurore z zaangażowaniem włączyła się w budowę i urządzenie nowej siedziby, ale największą jej pasją stał się ogród. Henry nie interesował się „krzakami”, za to wielką wagę przykładał do ogrodzenia.

Miało być z kutego żelaza, jeżące się geometrycznymi szpicami. Kiedy tylko powstało, Aurore zaczęła łagodzić agresywne kształty kwitnącymi pnączami oraz krzewami azalii i kamelii. Wokół domu posadziła mirty, jaśminy i malwy, zaś na podjeździe figi, pomarańcze i oleandry. Pod oknami sypialni pysznił się ogród różany.

Układając ze specjalistami kształt ogrodu, widziała w wyobraźni bawiące się w nim dzieci. Całą gromadkę dzieci. Dom mógł być imponujący, bogaty, wielki, ale ogród musiał być ciepły i przyjazny.

Taki, który mogłyby pokochać i w którym chciałyby się bawić.

Z całą pewnością pokochał go Hugh. Spokojny, mądry chłopiec, który systematycznie zbierał coraz to nowe doświadczenia, szczególnie uwielbiał róże i z przejęciem pomagał matce przy pracy na grządkach.

Latem całymi godzinami biegał po trawnikach w cieniu magnolii, bawiąc się ze spanielem, którego Aurore kupiła mu na urodziny, by nie nudził się bez rodzeństwa.

Pragnęła mieć więcej dzieci, ale niestety kończyło się na pragnieniach. Miesiączki wprawdzie pojawiały się regularnie, w rytmie księżycy. Wbrew podejrzewaniu Henry’ego nie stosowała też żadnych środków, by zapobiec niepożądaney ciąży. A jednak pozostawała jałowa, mimo że Henry wypełniał aż nadto solennie swoje mężowskie obowiązki.

Nicolette miała teraz dziesięć lat i zupełnie zniknęła z jej życia. Aurore zdawało się czasami, że urodzenie córki było tylko snem. Jedyną radością stał się Hugh. To prawda, że nie można zastąpić jednego dziecka drugim, może więc dlatego dawała mu miłość, którą dałoby się obdarzyć dwójkę.

Henry, choć prawie nie interesował się synem, słusznie krytykował ją, iż jest nadopiekuńcza i przewrażliwiona. Ona jednak już zaczynała się martwić, że chłopiec kiedyś dorośnie i ją opuści, a najszcześliwsza była wtedy, gdy siedział jej na kolanach, zaś ona mogła wtulać twarz w jego pachnące włoski na ciepłej główce, dokładnie tak, jak w tej chwili.

– Mój kochany synek...

– Mamette – Hugh, który jak zwykle szybko się nudził, zsunął się z jej kolan i westchnął ciężko.

– Nie chcesz pobiegać z Floppsy? – Odgarnęła włosy z jego czółka.

– Chcę do domu.

Choć poranny deszcz splukał zielen, upał stawał się nieznośny. Aurore dała znak Marcie, by zabrała dziecko. Ta siwowłosa wdowa, której mąż pilotował barki Gulf Coast na Missisipi, zastąpiła Cleo i była teraz nową gospośią i nianią.

– Ro-Ro!

Drgnęła, słysząc głos Ti’Boo. Przyjaciółka szła ku niej ogrodową ścieżką. Za nią w podskokach biegł najmłodszy syn, Val, zaledwie o rok starszy od Hugh. Za chwilę obaj chłopcy pod wodzą Marty pognali do domu.

– Miło, że przyszedł dzisiaj z małym. Hugh potrzebuje towarzystwa. Napijesz się kawy?

– Nie, dzięki. Wypiłam już dzisiaj trzy.

Z biegiem lat Ti’Boo stała się bardziej pulchna, lecz w białej sukience, ze swą świeżą cerą, wyglądała nadal młodo i ponętnie. Umiejętności gospodarskie i zaradność, jakie wpajano jej od dzieciństwa, bardzo przydawały się w czasie wojennych ograniczeń. Radziła sobie świetnie i uczyła miejskie kobiety zakładania ogródków warzywnych na kwiatowych grządkach, wekowania mięsa i robienia przetworów. Za jej namową Aurore również poświęciła część wypieszzonego trawnika na uprawy.

– Przyniosłam ci sadzonki – powiedziała. – Kapustę, marchewkę i cebulę.

– Świetnie, mam jeszcze miejsce za domem. Hugh pomoże mi je zasadzić, kiedy zrobi się chłodniej.

– Już zdrowy?

– Tak, w porządku. Gorączka szybko mu przeszła. – Aurore ze wstydem pomyślała o historycznym telefonie, jaki wykonała przed tygodniem do Ti’Boo. Hugh był zdrowy i odporny, ale musiał tak jak każde dziecko przejść kilka typowych chorób.

A jednak za każdym razem Aurore wpadała w panikę, kiedy tylko policzki małego podejrzanie się zaróżowiły, a oddech stał się cięższy. – Każdego dnia boję się, że go zabraknie – zwierzyła się przyjaciółce.

– Wszystkie tak czujemy.

– Tak bardzo go kocham, Ti’Boo.

– Powinnaś mieć drugie dziecko.

– Mam już drugie.

Ti’Boo chwyciła ją za rękę.

– Wiesz coś nowego o Nicolette?

Wiedziała, że dziewczynki nie ma już w Magnolia Palace. Przed kilku laty Rafe przeniósł ją do małego domku w spokojnej okolicy, którą zamieszkiwali w większości kolorowi Kreole. Zmiana środowiska musiała być dla Nicolette szokiem – z rozbawionej, pulsującej muzyką dzielnicy uciech dostała się w miejsce, gdzie pielęgnowano rodzinne więzy i szacowne obyczaje. Aurore podejrzewała wprawdzie, że dziecko nie zdoła przystosować się na dobre do nowego życia, ale bardzo ucieszyła się z tej przeprowadzki. Mała mogła wreszcie chodzić do szkoły, do kościoła, zdobyć prawdziwych przyjaciół.

To prawdziwy cud, że Rafe się opamiętał i posłuchał jej rady.

Ale czy naprawdę? W czasie spotkania w Audobon

Park był zimny i szyderczy. Czy zmienił zdanie pod jej wpływem, czy może przeniósł dziecko tylko po to, żeby nie mogła się z nim kontaktować?

– Widziałaś ją? – dopytywała się Ti'Boo.

– Nie było sposobu. – Aurore kurczowo ścisnęła dłoń przyjaciółki. – Słyszałaś, że zamykają Storyville?

Jest już oficjalna decyzja władz. Nowy Orlean stał się portem wojennym i były naciski z marynarki.

Podobno chwiała się dyscyplina na statkach. Ale nie łudź się, Rafe ma też inne interesy, nie tylko Magnolia Palace.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

Aurore nie miała ochoty odpowiadać. Nauczyła się słuchać, kogo i gdzie trzeba, zadawać właściwe pytania, przekupywać właściwych ludzi. Nie są to umiejętności, którymi wypada się chwalić.

– Widzisz, mężczyźni tak rzadko są skłonni przyznać, że rozumiemy coś z tego, o czym mówią...

– uśmiechnęła się gorzko. – Czasami wdają się w rozmowy na przyjęciach i mówią o najtajniejszych sprawach, zupełnie jakbyśmy nie istnieli.

– Słyszałaś, jak mówili o Cantrelle'u?

– Nieważne. Po prostu wiem i już.

– A co się z nim stanie, kiedy dzielnica zostanie zamknięta? To również podsłuchałaś?

– Nie, ale mogę się domyślać.

– Więc?

– Da sobie radę. Radził już sobie w gorszych sytuacjach.

– Powiem ci coś, Ro-Ro – przyjaciółka popatrzyła na nią uważnie – tobie chyba wciąż na nim zależy.

Aurore odwróciła się ku niej zaskoczona.

– Jak możesz tak mówić? Przecież go nienawidzę!

– Nie przekonasz mnie.

– Zabił mojego ojca! Ukradł mi dziecko!

– Uspokój się. Przecież znam cię nie od dzisiaj.

Oczywiście, musisz czcić pamięć ojca. Ale czy musisz wierzyć w te wszystkie kłamstwa na jego temat? Lucien Le Danois nie był dobrym człowiekiem.

A Rafe wcale nie ukradł ci córki. Sama rzuciłaś mu ją w ramiona.

Aurore spiorunowała przyjaciółkę gniewnym spojrzeniem.

– Przestań mówić takie rzeczy!

Ti'Boo spuściła wzrok, ale tylko na moment.

– Muszę. Ty nigdy sobie tego nie powiesz.

– Sama nie wiem, co miałabym powiedzieć...

– Dlatego ja ci to mówię. A skoro już rozmawiamy szczerze, to powiem ci coś jeszcze. Zauważyłam, że po śmierci ojca i wyjściu za mąż bardzo się zmieniłaś. Stałaś się jak krab, który buduje gruby pancerz, lecz pewnego dnia musi z niego wypełznąć, by mógł urosnąć nowy. Jeśli będziesz obrastać taką skorupą tajemnic... i kłamstw... to pewnego dnia stanie się ona za ciasna. I wtedy ty również będziesz musiała spod niej wypełznąć. Oby tylko ci się to udało. Aurore słuchała tego wszystkiego z osłupieniem.

Ti'Boo nigdy wcześniej jej nie krytykowała.

– Dlaczego mówisz mi to właśnie teraz? Bo ja mam wszystko, a ty nie masz nic? Czy po latach poróżni nas zazdrość?

– Uwierz mi, Ro-Ro, co dzień modłę się do Boga, żeby nigdy nie dał mi tego, co dał tobie – odparła Ti'Boo, po czym poklepała ramię Aurore na pożegnanie i ruszyła do domu, by zabrać Vala.

Latem roku 1918 zmarła Claire Friloux Le Danois.

Właściwie to już wcześniej pożegnała się z tym światem. Jej stan pogłębiał się, z czasem przestała sobie zdawać sprawę, co się wokół niej dzieje, a pewnego słonecznego ranka odeszła na zawsze.

Pochowano ją w rodzinnej krypcie Friloux.

Wmieście leżącym pod poziomem morza normalne pochówki nigdy nie były możliwe, toteż ciała poddawano kremacji, a urny chowano w kolumbariach, które przypominały staromodne piekarniki z ozdobnymi drzwiczkami. Tam też widziała matkę – czy raczej to, co z niej zostało – po raz ostatni.

Po skromnym pogrzebie Aurore pogrążyła się w depresyjnych myślach. Choć jej to odradzano, często odwiedzała Claire, kiedy ta jeszcze żyła.

Miała nadzieję, że obecność rodzonej córki wykrzesze choćby nikły błysk przypomnienia w oczach chorej. Niestety, nigdy tak się nie stało.

A jeśli i ona zachoruje, sterroryzowana przez męża tyrana? Jeśli umrze młodo jak jej matka? Co wtedy stanie się Hugh? I co się stanie z jej córką?

Na razie nic nie zapowiadało takiego scenariusza.

Wręcz przeciwnie – Aurore coraz bardziej uodporniała się na cierpienia, a Gulf Coast rozkwitała pod wspólnym zarządem jej i męża. Ustawa o marynarce handlowej z roku 1916. Nakazywała państwu wspierać program amerykańskiej ekspansji na morzach, toteż Henry i Aurore mogli wkrótce zakupić swój pierwszy oceaniczny frachtowiec. Tego dnia spełniły się marzenia jej i Luciena – kompania odzyskała dawną potęgę i sławę.

Choć każdy dzień z Henrym był zażartą walką o władzę, nowe interesy na długie tygodnie odciągały go od domu. Aurore starała się rozmijać z nim w biurze, a w czasie kiedy powinni być razem, przyjmowała zaproszenia na ważne spotkania i rauty.

Niestety, przez lata małżeństwa Henry do perfekcji udoskonalił sztukę ataku z zaskoczenia i zawsze potrafił ją podejść w najmniej spodziewanym momencie.

Polem pojedynków było małżeńskie łóżko, a najokrutniejszą bronią – jego ciało. Kiedy nie zdołała wywieść go w pole, gwałcił ją, a potem zasypiał, żelaznym chwytem trzymając w garści jej włosy.

Przyszedł czas, kiedy uznała, że jedynym wyjściem jest przedstawienie swojej sytuacji księdzu albo adwokatowi. Wybrała tego drugiego.

I tak pewnego pochmurnego dnia przeszła przez Canal Street i weszła na piętro skromnego budynku o białych ścianach. Spencer St. Amatson nie był doradcą Gulf Coast ani też nie należał do kręgu Henry'ego, co zapewniało jej anonimowość. Miał dobre, stare, nowoorleańskie nazwisko, a choć jego rodzina szanowana była w liczących się kręgach, pozostawała przy tym zawsze nieco na uboczu.

Powód był prosty – St. Amatsonowie zbyt często bronili niepopularnych spraw.

Właśnie opinia o tolerancyjności i braku uprzedzeń zwabiła Aurore do tego człowieka. Wcześniej zrobiła swoim zwyczajem odpowiednie rozpoznanie i mogła być pewna, że ani jedno jej słowo nie wyjdzie poza ściany jego gabinetu.

Gdy jednak już zasiadła przed nim po drugiej stronie biurka, zaczęła się zastanawiać, czy nie popełnia błędu. Nerwowo skręcając naszyjnik, usiłowała odgadnąć charakter tego człowieka i rozważała wszystkie za i przeciw. Musiał być trochę od niej młodszy, raczej skromny, co podkreślała szczupła sylwetka. I uczciwy.

Tak, uczciwy. Jego jasne, niebieskie oczy patrzyły na nią otwarcie i starały się dodać jej ducha, choć pełen wahania uśmiech osłabiał wymowę tego spojrzenia.

– Nasi ojcowie się znali – zaznaczył na wstępie.

– Podobno rywalizowali o rękę pani matki.

– Wie pan, że umarła kilka tygodni temu?

– Moje kondolencje.

– Lepiej, że wreszcie to się stało – westchnęła i zanim się spostrzegła, już opowiadała mu smutne dzieje Claire Friloux, nie pomijając szczegółów i drażliwych wątków. – Sam pan widzi, że mogłaby być szczęśliwsza, gdyby wybrała pańskiego ojca – zakończyła gorzko.

Spencer odchylił się w fotelu i zabębnił palcami po biurku.

– Jeśli wolno mi się z czegoś zwierzyć, to nie zazdrościsz pani dzieciństwa.

– Najsmutniejsze jest to, że niczego mnie nie nauczyło.

Nie odpowiedział jej ani słowem. Nie ponaglał ani nie dopominał się konkretów. Czekał, jakby przeznaczył dla niej cały dzień, a ona była mu wdzięczna za tę życzliwą cierpliwość.

– Popeliłam wiele fatalnych błędów... – zaczęła wreszcie spokojnym głosem.

Przez najbliższą godzinę gabinet spółki St. Amatson i Wspólnicy stał się jej konfesjonałem, a siedzący przed nią ciemnowłosy mężczyzna o łagodnym uśmiechu – spowiednikiem. Aurore mówiła powoli, pełnymi zdaniami, jakby dużo wcześniej przygotowała sobie tę wypowiedź. Tak zresztą było – przecież żyła tą historią przez całe lata i nigdy nie zdołała jej zapomnieć. Przepowiadała sobie wszystko przed snem, po przebudzeniu, przy pracy i w trakcie odpoczynku.

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa, Spencer nachylił się ku niej i zapytał:

– Co mógłbym dla ciebie zrobić, Aurore?

Nie miała żalu, że zwrócił się do niej po imieniu.

Doskonale wyczuł, że nie chodzi jej tylko o suchą poradę prawną.

– Jeśli umrę, chcę, żeby po mojej śmierci Nicolette miała zapewnioną opiekę.

– Z tego, co powiedziałaś, wnoszę, że jej ojciec jest zamożnym człowiekiem. Dlaczego się o nią martwisz?

– Nie mogę ufać komuś takiemu, jak Rafé Cantrelle. Nie wiem, co robi, kiedy Nicolette będzie starsza. Dlatego chcę zapewnić jej środki na samodzielne życie, by przestała być od niego zależna.

– Ale tylko w wypadku twojej śmierci?

– Nie wiem, jak mogłabym jej pomóc za życia.

– Czy spodziewasz się śmierci?

Wzdrygnęła się.

– Wszystko jest możliwe.

Przysunął się bliżej.

– Czy spodziewasz się śmierci z ręki własnego męża?

Ciarki przeszły Aurore po krzyżu.

– Nie, skądże.

– Mogłabyś się z nim rozwieść – podsunął.

– O, nie! Roztrąbiłby o mojej przeszłości, zabrałby mi syna. Nie mogę od niego odejść.

– Czy pan Gerritsen wie, że tu jesteś?

Pokręciła głową bez słowa.

– Myślę, że powinnaś mu powiedzieć.

– Wolę sobie nie wyobrażać, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że opowiadałam komuś o mojej przeszłości.

– Może dałoby mu to coś do myślenia.

– Nie rozumiem...

– Ponieważ od tej chwili, gdyby coś ci się stało, władze tak łatwo nie umoczyłyby śledztwa.

– Henry jest wpływowym człowiekiem, a jego władza i potęga rosną. Gdyby coś... nikt nie będzie cię słuchał.

– Dobrze wiesz, że w tym mieście można w ciągu jednego dnia spaść z wyżyn na samo dno – oświadczył Spencer, podnosząc się zza biurka.

– Przy następnym spotkaniu sformułujemy testament, ale proszę, żebyś bardzo starannie przemyślała każde słowo. Tylko ty wiesz, ile chciałabyś wyjawiać prawdy w sprawie swojego pokrewieństwa z Nicolette. Poza tym musisz myśleć także o Hugh.

– Chcę mu zostawić list. Kiedy umarła moja matka, bardzo żałowałam, że nie zostawiła mi niczego od siebie, nawet paru słów.

– Był testament?

– Nie, nie miała nic do oddania. Ja płaciłam za jej opiekę.

– Myślałaś o uczczeniu jej pamięci?

– Byłoby niemal nietaktem upamiętniać tak smutne życie.

– Nie miało szczęśliwych momentów?

Aurore pomyślała o jasnych, leniwych dniach wakacji.

– Może jedno lato na Grand Isle, choć skończyło się tragicznie.

– Wiesz, że budują tam kościół? Jestem pewien, że byliby wdzięczni, gdybyś złożyła dotację w intencji twojej matki.

– Myślisz, że to aż takie ważne?

Obszedł biurko i przysiadł na krawędzi, tuż przed nią.

– Będziesz ją zawsze pamiętała, obojętnie, czy tego chcesz, czy nie. Powierz pamięć o niej Bogu.

Może wówczas stanie się lżejsza.

Aurore pomyślała o wątlach ramionach Claire, chroniących ją przed niszczącą siłą huraganu. Matka dała jej życie dwa razy. Przy urodzeniu i wtedy, gdy wyprowadziła ją z domu i ocaliła przed śmiercią.

Ogarnęło ją nagle wzruszenie. Ta nieszczęsna kobieta, która zmagala się już wówczas z początkami swojej choroby, potrafiła mimo to przeciwstawić się żelaznej woli dziadka Antoine'a i uratować swoją córkę.

Poczuła w oczach łzy, które nie popłynęły, gdy opowiadała o swoich grzechach.

– Tak – szepnęła. – Dziękuję za radę.

Podał jej rękę i pomógł wstać.

– Twoje tajemnice będą u mnie bezpieczne – obiecał, a ona wiedziała, że mówi prawdę.

Przez całą drogę na Grand Isle Aurore myślała o Hugh. Długo rozważała słowa Spencera, ale dopiero kiedy dowiedziała się, że Henry wyjeżdża dokładnie na czas poświęcenia kościoła, podjęła decyzję. Szale przeważył list od ojca Grimaud.

Obecnie kierował parafią w Carencero, ale ktoś musiał mu wspomnieć o donacji Aurore na rzecz patronki wyspy, powiadomił ją więc, że przyjedzie na uroczystość, a przy okazji przekaże jej coś, co od dawna pragnął jej wręczyć.

Ciekawość dręczyła Aurore. Nie знаła ojca Grimaud, ale wiedziała, że to właśnie on stał w przedsionku kościoła w tamtą straszliwą noc, wskazując latarnią drogę rozbitek. Niestety tylko Lucienowi udało się pójść za jej zbawczym światłem.

Dopłynąwszy na wyspę, zatrzymała się w niewielkim, utrzymanym w miejscowym stylu domu gościnnym. Nie było łatwo znaleźć jakieś lokum, bowiem huragan zniszczył większość domów, a tym samym pozbawił tych, przeżyli, wszelkich źródeł utrzymania. Obecnie zaledwie garstka ludzi przyjeżdża tu na lato; zniknęły hotele, a po Krantz Place zostały tylko wspomnienia. Dawna sława wyspy odplynęła w przeszłość.

Po krótkim odpoczynku wyruszyła na plażę.

Dawniej ta droga wydawała się jej magiczną podróżą, pełną cudów i niespodzianek. Teraz zajęła jej niecałe dziesięć minut. Ech, każdy powrót w kraj lat dziecińczych wygląda tak samo.

Przysiadła na brzegu wydmy i wpatrzyła się w fale, nad którymi ze skwirrem polatywały mewy.

W oddali kilku mężczyzn w plecionych kapeluszach, stojąc po kolana w wodzie, wyjmowało z sieci wijące się, srebrzyste ryby. Ale na horyzoncie nie dostrzegła ani jednego żagla. Sceneria, tak żywa i kolorowa we wspomnieniach z dzieciństwa, stała się smutna i jałowa.

A jednak, wpatrując się w wodę szaroniebieską jak oczy jej matki, wystawiając twarz na łagodne podmuchy morskiego wiatru i grzejąc się w łagodnych promieniach słońca, doznała wreszcie spokoju.

Wszelkie namiętności i lęki, dręczące jej duszę, rozplynęły się w ich ciepłe na tę krótką, cudowną chwilę, kiedy to z dala od małżeńskich zgryzot i powinności, znów mogła być małą dziewczynką, która ukochała fale i słodką woń oleandrów. Z tego dziecka wyrosła kobieta, siedząca dziś na wydmie.

Grzesznica, pilnie strzegąca swych sekretów. Wyrodna matka, naznaczona kłamstwem.

Ti'Boo miała rację.

Pancerz tajemnic i kłamstw cisnął coraz bardziej.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, kiedy Aurore podniosła się i wyruszyła w dalszą wędrówkę śladami wspomnień. Dotarła do pierścienia

wzgórz otaczających wyspę i odnalazła gościnny dom, który przed laty udzielił schronienia jej i Claire.

Wiedziała od Ti'Boo, że nonc Clebert zmarł przed kilku laty. Obecnie dom należał do jego syna, mieszkającego w Thibodaux.

Dom przetrwał wówczas zapewne dzięki potężnym dębom, otaczającym go zwartym murem. Aurore pamiętała solidność grubych ścian i gościnność przytulnych pokoików. Był ktoś, kto opatulił je kocami; ktoś, kto podał gorącą herbatę i zupę. Ten sam ktoś kojącym głosem szeptał małej dziewczynce akademickie bajki, nie przejmując się wichrem, szalejącym na dworze.

Teraz wokół domu rozpleniły się gęste krzewy, broniąc dostępu do wnętrza. Zabite deskami drzwi zarastało dzikie pnącze. Tak ważne dla jej życia miejsce popadło w ruinę.

Kiedy ściemniło się zupełnie, wróciła do wynajmowanego pokoju, rozebrała się i usnęła. Tej nocy po raz pierwszy od dawna spała spokojnie. Nie nawiedzały jej złe sny, nie bała się, nie płakała. Nad ranem zaś po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy jej życie może być czymś więcej niż tylko zajadłą rozgrywką. O rozwód wystąpić nie mogła, gdyż wówczas z pewnością straciłaby syna. A Hugh był dla niej wszystkim i nie wyobrażała sobie, że mogłaby oddać go w mściwe ręce Henry'ego.

Dopiero teraz zrozumiała jednak, że może ocalić siebie w inny sposób – odnajdując w sobie dawną Aurore, tamto beztrioskie dziecko, które wyrwało się spod surowego reżimu w Krantz Place. Dziecko, które wierzyło, że spotka je szczęście. Tak, życie bez takiej wiary było koszmarem; gdyby zaś zaczęła wierzyć, że odmieni się jej los...

Po porannej toalecie ubrała się odpowiednio do charakteru uroczystości – elegancko, lecz skromnie.

Kościół zbudowano na podarowanej ziemi, na wzgórzu, o milę od domu nonc Cleberta. Poświęcenia nowej świątyni miał dokonać arcybiskup Shaw.

Licznie stawili się dygnitarze, a tłum podnieconych dzieciaków tłoczył się u wejścia. Sam kościół był biały, o strzelistych, łukowych oknach i smukłej, orientalnej dzwonnicy.

Kiedyś w Krantz Place matka Aurore narzekała na brak kościoła na wyspie. Jej życzenie spełniło się już po śmierci.

– Wiesz pani o dzwonie? – Kobieta odziana w niedopasowaną niebieską sukienkę stanęła obok

Aurore, jak ona podziwiając budynek.

– Nie.

– To piracki dzwon z Chénierre Caminada.

– Piracki?

– Oui. Odlany z pirackich dublonów i skarbów. Nie wiedziała pani o tym?
– Kobieta wyraźnie ucieszyła się, że ktoś jeszcze nie zna tej historii.

– W dziewięćdziesiątym trzecim roku był wielki huragan...

– Tak, byłam tu wtedy.

– Ja też, mieszkalam w bayou. Woda była taka wysoka, że przez dwa tygodnie mieszkaliśmy na naszym lugierze, dopóki nie opadła. Mieliliśmy szczęście. Mnóstwo ludzi z Caminady zginęło wtedy pod falami. A kiedy umierali, dzwon bił, bił i bił...

– Ten sam dzwon?

– Oui, zakopano go na długie lata. Najpierw po sztormie ktoś wygrzebał go z piasku. Spierali się, do kogo ma należeć. Nie było zgody. Kościół też nie było, więc chciano go przenieść dalej, do innego.

Ale zanim to się stało, dzwon zniknął – znacząco strzeliła palcami. – Ludzie, którzy przeżyli to piekło, zabrali go i zakopali na cmentarzu w Westwego.

I leżałby tam do dzisiaj, gdyby nie zbudowano nowego kościoła. Wtedy ludzie z wyspy poprosili tych, co trzeba, żeby go wykopali, a oni się zgodzili.

A kiedy teraz dzwoni, dzwoni także dla dawnej

Chéniere, choć nikt już w niej nie mieszka oprócz duchów.

W tym samym momencie dzwon zaczął bić, oznajmiając początek mszy. Za chwilę miała ruszyć uroczysta procesja.

Aurore przypomniała sobie, że ojciec nie cierpiał dźwięku dzwonów. Do tego stopnia, że zbudował swoje biuro jak fortecę, z małymi oknami, z dala od rzeki i jej odgłosów. Zaczęła zastanawiać się właśnie, co mogło być tego powodem, kiedy kobieta u jej boku wydała stłumiony krzyk i zakryła dłonią usta.

Idąc za jej spojrzeniem, Aurore zobaczyła księdza z białą brodą, który na dźwięk dzwonu zasłonił uszy, padł na kolana i krzyknął, przejęty zgrozą:

– Ma cloche! Le mume son!

– Ten sam dźwięk... – powtórzyła z drżeniem Aurore, patrząc, jak ojciec Grimaud zanosi się płaczem na kościelnym dziedzińcu.

Rafe nie wiedział, dlaczego Aurore zjawiała się na uroczystości. Nie chciał jej tutaj. To było jego święto.

Kiedy przeczytał w gazecie o budowie kościoła na Grand Isle, zepchnięte w niepamięć wspomnienia napłynęły z nową siłą. Obce mu były sentymenty, jednak ta krótka wiadomość sprawiła, że nagle odczuł, jak niewiele brakuje, by jego egzystencja w Nowym Orleanie stała się nie do zniesienia.

Właściwie odruchowo i bez większego namysłu zaczął czynić przygotowania do wyjazdu na wyspę.

Violet miała się zająć Nicolette pod jego nieobecność, a pieczę nad interesami przekazał swojemu adwokatowi. On sam chciał wrócić tam, skąd przyszedł.

Choćby na jeden dzień...

Tak, był teraz innym człowiekiem. Zmienił się.

Nikt nie rozpoznałby w nim małego Raphaela, pólsieroty z rybackiej osady. Rafe nie pragnął zresztą, by ktokolwiek znał jego przeszłość. Wolał bezpieczną, wygodną anonimowość. Nikt na przykład nie wiedział, jaki naprawdę jest jego majątek, ani jak niezwykle posiada zdolności do robienia dobrych interesów. W interesach zawsze reprezentował go adwokat.

Była też inna zmiana, jaka dokonana się w Rafie Cantrelle'u. Nie był już właścicielem domów w dzielnicy uciech. Zaczął je sprzedawać na długo przedtem, nim zaczęto likwidować Storyville, bowiem zniesmaczyła go rola alfonsa. Czy nie tak właśnie określa się to, co robił?

Kiedy zatem władze podjęły decyzję o zamknięciu zakazanej dzielnicy, Magnolia Palace znajdował się już w innych rękach. Rafe miał stały dochód z wynajmowanych nieruchomości, a ponadto kupił pas bagien na skraju miasta. Przewidywał bowiem, że wkrótce postęp technologiczny pozwoli na ich osuszenie i miasto będzie się rozwijać. Stać go było na wygodne i dostatnie życie, a pod względem zamożności nie ustępował najbogatszym białym.

Sam nie zdawał sobie sprawy, kiedy właściwie zaakceptował siebie. Może stało się to w momencie odrzucenia go przez Aurore? Jednocześnie zrozumiał, że nigdy nie wyrzeknie się ojca, którego nie znał, ani nie zdobędzie się na potępienie matki i życia, jakie musiała prowadzić.

Juan mówił, że jego ojciec był dobrym człowiekiem.

Rafe wiedział, że dobrym człowiekiem była jego matka. Krew dwóch ras płynęła w jego żyłach, a dziedzictwo rodziców stało się jego dumą.

Rafe nie obnosił się jednak z tą dumą. Zamieszkał w dzielnicy dla kolorowych, sam zaszeregowując się do obywateli drugiej kategorii. Nie szukał akceptacji – nie była mu potrzebna. Nie szukał przyjaźni – nie zależało mu na uznaniu i szacunku.

Budził się każdego ranka, mając jeden jedyny cel – przeżyć dzień tak, by jego dumą pozostała nienaruszona, a sumienie czyste. Po tym wszystkim, co przeżył i czego się dopuścił, chciał już tylko być porządnym człowiekiem.

Dlaczego w takim razie przyjechał na Grand Isle, skoro pogodził się ze swoim losem i niczego więcej po nim się nie spodziewał? I dlaczego przybyła tam Aurore, o dziesięć lat starsza od dziewczyny, którą kiedyś kochał?

Skryty za plecami ludzi, mógł bez przeszkód obserwować ją w czasie nabożeństwa. Siedziała blisko wyjścia, w kapeluszu z opadającym rondem, który ocieniał jej twarz. Wciąż była piękna, smukła, pełna gracji, jednak mijające lata starły młodzieńczą niewinność, zastępując ją mądrym chłodem dojrzałej

kobiety. Była poważna, skupiona, widział jednak w jej gestach i spojrzeniach jakąś niecierpliwość.

Po nabożeństwie szybko wyszła z budynku i przepchnęła się przez rozgadzany tłum ku ojcu Grimaud.

Widok starego księdza był dla niego równym zaskoczeniem, co widok Aurore. Nie wątpił, że staruszek go pamięta. Myślał o nim z wdzięcznością, bo wiem ojciec Grimaud był jednym z niewielu ludzi, który traktował małego Raphaęla serdecznie, z miłością, tak jak każde ze swych bożych dzieci.

Aurore zagadnęła coś do księdza, ten rozpromienił się na jej widok, jakby przyjaźnili się od lat. Rozpoczęli rozmowę...

Rafa był coraz bardziej tym wszystkim zaintrygowany.

Aurore nie mogła znać ojca Grimaud, była wtedy zbyt młoda. Skąd więc ta serdeczność w ich oczach, skąd poufałe gesty?

Stary ksiądz przywołał jakiegoś chłopca i szepnął mu coś do ucha. Ten pognął pędem do zakrystii.

Za chwilę przybiegł z czymś, co wyglądało jak plik papierów, zwiniętych w rulon i przewiązanych wstążką. Grimaud pogłaskał go po głowie, po czym zwrócił się ku Aurore, oddając jej paczuszkę. Powiedział jeszcze parę słów, a potem pożegnali się szybko i Aurore ruszyła przez dziedziniec ku wyjściu, przyciskając papiery do piersi.

Dzwon rozdzwonił się znowu. Z pierwszym uderzeniem uniosła głowę i wtedy jej spojrzenie napotkało wzrok Rafe'a. Przystanęła i patrzyła na niego, dopóki dzwon nie ucichł. Wówczas odeszła bez słowa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zmrok ogarniał już wyspę, kiedy Aurore skończyła czytać ostatni list. Spokój wieczoru maciły krzyki mew. Wstała, zapaliła lampę i nalala wody do czajnika, by zaparzyć kawę. Przeczytawszy wszystkie listy pisane przez ojca na przestrzeni lat, ułożyła je według dat i przejrzała raz jeszcze. Dopiero wówczas zrozumiała, jak ważna była ta noc, w czasie której nadciągnął huragan. Dla wszystkich.

Odpowiedzi ojca Grimaud były życzliwe i rozgrzeszające.

Ale Lucien kontynuował korespondencję, jak gdyby nieustająco potrzebował kolejnych pocieszeń.

Stary ksiądz pytał ją dzisiaj, czy ojciec wyspowiadał się przed śmiercią. Zdziwiło ją to pytanie.

Luciena nie interesowały sprawy duchowe.

Dlaczego miałby zabiegać o pojednanie z Bogiem?

Teraz miała przed sobą dowód na to, że ojciec był inny, niż myślała. Przeżywał duchowe udreki, modlił się, bał. W noc huraganu przedzierał się ku stopniom kościoła, ciągnąc małą łódkę z ciężarną kobietą i dwójką małych dzieci. Gdy ocalenie było blisko, ściana wody zbiła go z nóg. Miał do wyboru – puścić linę albo zginąć. Ocalał siebie, ale zginęli inni.

Kobieta miała na imię Marcelite, zaś jej dzieci – Raphael i Angelle.

Czy Raphael mógł być Rafe'em?

Czy to podobieństwo imion ma jakieś znaczenie?

Czy to Raphael wrócił, by dokonać zemsty na jej ojcu?

Przywołała w myśli obraz mężczyzny, który patrzył na nią na kościelnym dziedzińcu. Lata dodały mu męskości. Jego wygląd budził respekt innych mężczyzn i z pewnością podziw wielu kobiet. Od czasu tego spotkania myślała o nim prawie bez przerwy, a gdy przeczytała ojcowskie listy, znów zapragnęła dowiedzieć się o nim wszystkiego, tak jak wtedy, gdy rozmawiała z nim na weselu Ti'Boo.

Na razie jednak poznawała prawdę o ojcu. Drobne potknięcia i niekonsekwencje w jego opisach świadczyły o tym, że Lucien usiłował ukryć jakieś ważne szczegóły. Czasami pisał o Marcelite jako o osobie obcej, a czasami jak o kimś, kogo znał od dawna. W jednym z listów zachwycał się jej córką, małą dziewczynką o imieniu Angelle, jej słodyczą i radością życia. Z wycuciem oddawał dotyk pulchnych ramionek, obejmujących mu szyję, i szczerą dziecięcych pocałunków.

W liście z roku 1894, napisanym w niecały rok po kataklizmie, kluczył jeszcze bardziej niż w innych.

Pomstował na swojego teścia, Antoine'a Friloux, i na jego żądania. Nie precyzował wszakże, o co chodzi.

Ale w następnych listach już o nim nie wspominał.

Pod koniec życia bardzo narzekał na zdrowie.

Bał się śmierci. Pisał o sędzie Bożym i karze za popełnione czyny.

Te listy nie odkrywały wszystkich tajemnic, ale przynajmniej jedna z nich miała szansę na wyjaśnienie – jeśli Rafe był Raphael'em, miał prawo winić Luciena za śmierć swoich bliskich i pożądać zemsty.

Aurore nie rozumiała tylko jednego – dlaczego odwet uderzył w nią. Czy dlatego że wydawała mu się najprostszą drogą prowadzącą do Luciena?

Czyby sądził, że ojciec tak bardzo kocha swoją córkę, że jej hańba go do-bije?

Chodziła po małym pokoiku, ściskając kubek z wystygłą kawą. Dlaczego Rafe przyjechał na uroczystość? Czy ją śledził? Czy chciał zadać jej kolejne cierpienia? Po co?

Miała uczucie, że zaraz udusi się w ciasnych ścianach. Wyszła na werandę, wystawiając twarz na orzeźwiający podmuch bryzy. Oparta o balustradę, zapatrzyła się w ciemność i po chwili doszła do wniosku, że gdyby chciał ją ukarać, miałby po temu tysiące okazji już wcześniej. Najwidoczniej tak jak i ją przygnała go tu potrzeba uładzenia się z własnym sumieniem, z własną pamięcią, z uczuciami, które wciąż nie chciały opuścić jego serca.

Tylko jakie to były uczucia?

Tyle pytań domagało się odpowiedzi. Mimowolnie zesza z werandy i zaczęła iść ku plaży. Wzdrygała się myśleć o Rafie jako o małym, przerażonym chłopcu. Wzdrygała się myśleć o własnym ojcu jako o tchórze i winowajcy. A przede wszystkim nie miała ochoty wybaczyć Raphaelowi tego, co jej uczynił.

Wiatr był lekki, fale prawie niesłyszalne. Księżyc w pełni wisiał nad zatoką, srebrząc ją migoczącą poświatą. Złe zrobiła, przychodząc tu, nad wodę.

Kojące wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa nie chciały nadejść. Wymiotła je koszmarne wizje fal, piętrzących się na wysokość wyspowych dębów, ryk huraganu i przeraźliwe krzyki ginących dzieci.

Aurore zakryła oczy rękami, ale koszmar trwał.

– Moja siostra utonęła pierwsza – usłyszała niski głos, dobiegający ze skrytej w ciemności wydmy – matka zginęła tuż po niej. Chciałem skoczyć za nimi, ale bałem się strasznie i nie mogłem puścić łódki. Tak kurczowo zacisnęły się moje palce, że nie mógłbym ich rozprostować, nawet gdybym chciał.

Aurore odsłoniła oczy. Obejrzała się powoli.

Zobaczyła Rafe'a, zstępującego ku niej na plażę.

– Kim jesteś? – zapytała ze zgrozą.

– Upiorem przeszłości. Tak przynajmniej myślał twój ojciec, kiedy powiedziałem mu, że powstałem z martwych.

– To ty jesteś Raphael?

– Byłem – sprostował sucho.

– Przyjechałeś tu za mną?

– Przyjechałem tu dla siebie.

– Po co?

– Dlaczego miałbym ci o tym mówić? – Wzruszył ramionami i odwrócił się, by odejść.

– Stój! – Skoczyła ku niemu, chwytając go za ramię. – Wiem, co zrobił mój ojciec. Przeczytałam dzisiaj jego listy. Dostałam je od ojca Grimaud.

Rafe zatrzymał się. Poczula pod palcami, jak napinają mu się mięśnie.

– Listy! – sarknął. – Z pewnością wypełnione samą prawdą.

– Pisał, że ciągnął łódkę z trzema pasażerami. Musiał puścić linę, zanim zdążył dobrać do schodów kościoła.

W świetle księżycy twarz mężczyzny wyglądała jak maska.

– Czy zdradził, kim byli owi pasażerowie?

– Tak, wymienił imiona...

Teraz on błyskawicznie chwycił ją za ramię.

– Napisał, kim byliśmy? Kim byliśmy dla niego?

Usiłowała się wyrwać, lecz tylko zacisnął chwyt.

– Puść mnie, Rafe!

– Co, zaczniesz krzyczeć? Proszę bardzo. Wrzeszcz, dopóki nie przybiegną ludzie, a wtedy oznajmisz im, że napastuje cię kolorowy. Będziesz i ty miała swoją zemstę!

– Kim byliście dla niego? – krzyknęła.

– Ja byłem niczym! – odkrzyknął. – A moja matka była jego kochanką! Moja siostra jego córką – dodał ciszej, zaraz jednak znów podniósł głos:

– Angelle była moją siostrą, Aurore, i twoją!

– Nie – pokręciła z udręczeniem głową – kłamiesz!

– Czyżby? Myślisz, że zmarnowałbym całą młodość, nienawidząc człowieka, któremu nie starczyło odwagi, by doholować nas w bezpieczne miejsce? – Odepchnął ją ze wzgardą i znów chciał odejść.

– Kłamiesz!

Nie odwrócił się.

Aurore stała, zaciskając pięści, i patrzyła za nim, nie wiedząc, czy powinna wracać do domu, czy próbować go zatrzymać. Zdecydował impuls, odruch, instynkt. Po chwili znów znalazła się u boku Rafe'a.

– Dlaczego teraz mówisz mi to wszystko?

– Masz rację, powinienem powiedzieć ci dawno, ale nie chciałyś mnie wówczas słuchać.

– Z jakiej racji miałabym ci wierzyć?

Przystanął.

– Twój ojciec dawał mojej matce podarki. Nie wydaje mi się, żeby go kochała, ale kochała swoje dzieci. Lucien był dla niej jedyną szansą na wyrwanie się z nędzy i poniżenia, jakie ja na nią sprowadziłem.

– Ty?

– To, że mnie urodziła. – Zacisnął powieki, przyłożył dłoń do oczu. – Ale mimo wszystko mnie kochała. Bardzo... Planowała, że któregoś dnia zabierze nas z Chéniere.

– A dziecko, które nosiła? Czy również było jego?

Zbliżył twarz do jej twarzy.

– O jakim dziecku mówisz?

Dopiero teraz, gdy zobaczyła, jak dociera do niego dramatyczna prawda, uwierzyła słowom Rafe'a.

Kiedy dostrzegła w jego oczach cień rozpacz, już wiedziała. Wiedziała!

– O, Boże, nie... – zakryła dłonią usta.

– Ja nie wiedziałem o tym dziecku. Ukrywała ciążę przede mną, lecz jak widać nie przed nim.

– Nawet jeśli tak było, jakim prawem obarczasz go całą winą za ich śmierć? Większość ludzi na jego miejscu myślałaby przede wszystkim o ratowaniu własnego życia.

Zaśmiał się gorzkim, posepnym śmiechem.

– Tak pisał w tych listach? – Ujął jej podbródek dłonią i zmusił, by popatrzyła mu w oczy. – Naprawdę chcesz wiedzieć, Aurore? A może wolisz trwać w przekonaniu, że nie miałem prawa postąpić tak, jak postąpiłem? To jest łatwiejsze. Już przecież się wprawiałaś.

Oderwała jego rękę, ale nie cofnęła się.

– Dobrze, w jaką wersję powinnam uwierzyć?

– Że twój ojciec odciął cumę, skazując nas na śmierć, ponieważ byliśmy mu niewygodni.

Nie odpowiedziała od razu. Wstrząsnęły nią te słowa i musiała upłynąć chwila, nim odważyła się zadać kolejne pytanie. Nie wiedziała, czy chce pytać. Nie była pewna, czy chce wiedzieć. A jednak pytała.

– Skąd takie posądzenia?

– Ponieważ pamiętam wszystko, co było mówione tamtej nocy. Matka zaczęła mieć wobec niego żądania, on zaś w jakiś sposób dowiedział się, skąd się wzięłam na tym cholernym świecie. Byliśmy już prawie przy samych drzwiach kościoła, gdy odciął tę cumę siekierą. Wiem, bo sam mu ją podałem. Pamiętam to do dziś... – Westchnął. – Tak niewiele nam brakowało do ocalenia. Żylibyśmy wszyscy.

– Więc on...?

– Tak! – przerwał jej gwałtownie. – Twój ojciec zabił moją matkę! Zabił swoją córkę i nienarodzone dziecko! I próbował zabić mnie!

Chciała odrzucić jego słowa, ale nie mogła.

Nagle wszystkie niedopowiedzenia i niejasności z listów Luciena ułożyły się w całość niczym elementy układanki.

– Ale co ma z tym wspólnego mój dziadek?

Nie musiała zadawać tego pytania. Nietrudno było ułożyć odpowiedź. Dziadek Antoine zdołał jakimś cudem odkryć miłosne gniazdko Luciena i zapewne nalegał, aby zięć natychmiast przerwał niestosowny romans, strasząc go konsekwencjami. Pamiętała, że Antoine przybył na Grand Isle zupełnie niespodziewanie. Gdyby nie to, żyłby pewnie jeszcze długo.

– Nic nie wiem o twoim dziadku – warknął Rafe, odsuwając się od niej. – Ale w twojej rodzinie jak widać wszystko jest możliwe. Dobrze wiesz, jaki był Lucien.

– Byłeś wtedy zaledwie dzieckiem, więc skąd możesz mieć pewność?

– Kiedy znaleziono mnie na mokradłach, byłem już tak dojrzały, jak ty nigdy nie będziesz.

– I przez tyle lat snułeś plany zemsty? A kiedy los postawił mnie na twojej drodze, zwęszyłeś znakomitą okazję dostania się do Luciena, tak?

– Dokładnie tak.

Gniew wziął górę nad rozpaczą i wstydem.

– I zniszczyłeś moje życie! – Popatrzyła na niego z nienawiścią. – Zniszczyłeś mnie, która nie miałam z tym nic wspólnego. Byłam ofiarą mojego ojca, tak samo jak ty, i dobrze o tym wiedziałeś!

Widziałeś przecież, jak mnie traktował. Czy nie wystarczyło ci zniszczenie Dowagera?

– Nic nie było wystarczającą satysfakcją. Do dziś jej nie mam.

– Zatem posłużyłeś się mną, zrobiłeś mi dziecko, zabrałeś je – a wszystko to z powodu grzechów mojego ojca? Czy ty w ogóle jesteś człowiekiem, Rafe?

– Jestem człowiekiem. Choć nie wszyscy tak o mnie myślą.

Wymierzyła mu policzek, ale było jej mało.

Zaczęła grzmocić go w pierś z całej siły zaciśniętymi pięściami. Łkała, zachłystując się łzami, szlochała, wykrzykiwała najgorsze słowa pod jego adresem. I było jej wszystko jedno, czy Rafe zabije ją w tym momencie, czy później. Marzyła tylko, by zadać mu choć drobną część bólu, który on zadał jej.

Chwycił ją mocno za przeguby i przytrzymał, więc zaczęła kopać go po nogach.

– Ty bękartie! – wyrzuciła z siebie z nienawiścią.

– Bękart! – Tylko tyle? – Odepchnął ją gwałtownie. –W takim razie dowiedz się reszty, żebyś wiedziała, kto cię zniszczył. Mój ojciec był Mulatem, w którego żyłach płynęła krew jego pana. Mama kochała go, ale został zamordowany ze względu na kolor skóry. Ja jestem ich dzieckiem i choć wychowano mnie na białego, żyję jak czarny. A naprawdę nie należę ani do białych, ani do czarnych.

Aurore zasłoniła uszy. Nie chciała słuchać tego przepełnionego nienawiścią, rozpaczą i szaleństwem wyznania. Rafe jednak nie przestawał.

– Jestem nikiem, jestem znikąd! Zapamiętaj sobie dobrze, z jakim bękartem się zadawałaś! Już dawno chciałem ci o tym powiedzieć, ale nie miałaś ochoty mnie słuchać! Nasze dziecko też jest bękartem, czarnym bękartem, skażonym, nieczystym. To dlatego chciałaś ją oddać obcym ludziom! Gdybym jej nie wziął, tak byś zrobiła! Poświęciłaś własną córkę, żeby ułatwić sobie życie! Wcale nie jesteś lepsza niż twój ojciec!

– Nie jestem taka jak ojciec!

– Nie, jesteś gorsza! Lucien zdawał sobie przynajmniej

sprawę, że jest draniem, choć nie dbał o to. A ty uważasz się za porządną kobietę, pokrzywdzone przez los niewiniątko. Ale spróbuj uczciwie przyjrzeć się sobie. Co widzisz?

– Nie odpowiadam za grzechy mojego ojca. A nasza córka nie ma z tym nic wspólnego. Mimo to zniszczyłeś życie moje i jej!

– Sama je sobie zniszczyłaś. Wyrzekłaś się dziecka, poślubiłaś potwora. Dlaczego? – Zaśmiał się gorzko, boleśnie. – Powiem ci, dlaczego. Chciałaś pozostać nieskażona.

Widziała jego udrękę, zranioną dumę i wściekłość.

Narastało w niej poczucie wstydu i jednocześnie chęć usprawiedliwienia.

– Nie! – jęknęła. – Zrobiłam to wszystko, bo nigdy mnie nie kochałeś. Widziałeś we mnie wyłącznie narzędzie zemsty. Dlatego cię znienawidziłam.

I dlatego nie mogłam zatrzymać Nicolette. Nie zniosłabym twojego obrazu w jej rysach.

Rafe popatrzył jej głęboko w oczy.

– Kłamiesz. I mylisz się. Kochałem cię, Aurore.

Cała nienawiść do Rafe’a Cantrelle’a, na której zbudowała swoje życie, rozsypała się w jednej chwili.

– Nie – zaprzeczyła głucho.

– Tak.

– Tak?

– Zgoda – odetchnął – nie od razu. Nawet nie pamiętam, kiedy to się stało. W każdym razie usilnie szukałem w tobie śladów Luciena Le Danois – i nie znalazłem. Przeczuwałem, że znienawidzisz mnie, kiedy odkryjesz, dlaczego wybrałem cię. A potem uwierzyłem, że mogę mieć wszystko: i miłość, i zemstę... – Wzruszył ramionami. – Kiedy powiedziałaś mi o naszym dziecku, szczerze zapragnąłem, żebyśmy wyjechali i rozpoczęli nowe życie. Liczyłem na to.

– Spaliłeś statek, biuro...

– Już ci mówiłem, chciałem mieć wszystko.

– I co myślałeś, patrząc, jak Dowager niszczyje w płomieniach? Co myślałeś, kiedy Lucien konał u twoich stóp na podłodze? Powiedz, czy w tych momentach miałeś wszystko, czego pragnąłeś?

– Tak.

– Nie.

Przysunęła się bliżej. Dokładnie widziała wyraz jego oczu. Rafe usiłował zachować spokój, ale nie był w stanie ukryć tego, co dojrzała w nich Aurore.

– Nie miałeś – powtórzyła z mocą. – Wiedziałeś, że straciłeś wszystko, przyznaj. – Zaczął się odwracać, lecz chwyciła go za ramię. – Wiedziałeś, że stałeś się taki sam, jak on. I że straciłeś mnie.

Twarz Rafe’a przybrała zły, chłodny wyraz.

– Nie, to stało się później. Dopiero kiedy on powiedział ci, kim jestem. Wtedy zrozumiałem, że cię tracę. Zdałem sobie sprawę, że ani szczerze wyznanie, ani błagania o zrozumienie i wybaczenie nic nie pomogą. Byłem napiętnowany krwią swojego ojca, tak samo jak nasze dziecko.

Aurore chciała zaprzeczyć, tłumaczyć, że powodowały nią wyłącznie przeżenie i zaskoczenie, a nie odraza do murzyńskiej krwi, ale milczała. Rafe w dużym stopniu miał rację.

W jej duszy pojawił się zamęt, karmiony falą emocji i wspomnień najpiękniejszych chwil, jakie spędziła z człowiekiem, którego kochała tak jak nikogo w życiu.

– Jak mogło do tego dojść? – wyszeptala. – Czy możliwe, żebyśmy byli tak bezsilni, jak ci ludzie zabici przez żywioł? Czemu pozwoliliśmy, by nasze życie biegło od tragedii do tragedii? A nasze dzieci?

Co z nimi? Masz rację, poślubiłam potwora, ale stało się tak z powodu krzywd, jakie mi wyrządziłeś.

Teraz mój syn płaci dzień w dzień straszną cenę za mój wybór. Kiedy to się skończy, Rafe? Kiedy?

Puściła jego rękę i ukryła twarz w dłoniach.

Przysunął się bliżej. Zrazu ostrożnie, niepewnie, potem śmiejeł.

– Po co pytasz? Przecież wiesz, że będziemy płacić do końca naszych dni. Oboje. Wyrzuciłem cię z serca dziesięć lat temu, ale bez przerwy śniłem o tobie. Śniłem, że żyjemy razem, szczęśliwi, że budzę się rano przy twoim boku. Śniłem, że patrzysz na mnie i widzisz mężczyznę. Nie czarnego, nie białego. Po prostu mężczyznę.

– Nieprawda...

– Prawda. A ty nie śniłaś o mnie? O naszym szczęściu? A może i to zniszczył twój ojciec?

– Rafe, przestań.

– Odpowiedz.

Marzenia, o których mówił, były tak głęboko ukryte, że nie śmiała się do nich przyznać nawet sama przed sobą. Teraz pojęła, że narodziły się już pierwszej nocy po tamtym ognistym piekle. Kiedyś wierzyła w miłość i ośmieliła się po nią sięgnąć. Teraz też tak czyniła – ale wyłącznie we śnie. Kiedy bowiem się budziła, pragnęła wyłącznie odwetu.

Nie mogła mu tego głośno wyjaśnić. Nie chciała znaleźć się z powrotem w jego władzy.

– Teraz już wiem wszystko. I wszystko rozumiem – stwierdziła sucho i chciała się odwrócić, lecz nie pozwolił jej na to.

– Chcesz teraz skończyć tę rozmowę?! Po tym, co przed chwilą powiedziałaś?! Spójrz mi w oczy! – Obrócił ją ku sobie. – Chcę, żebyś spojrzała na mnie

i zobaczyła, kim naprawdę jestem. Bo jestem lepszym człowiekiem niż ten, za którego wysłaś, Aurore. I lepszym niż twój ojciec. Jestem mężczyzną, z którym mogłabyś być szczęśliwa!

– Zabiłeś mojego ojca!

– Nie! Zadławiła go własna nienawiść. A odchodząc, pociągnął cię za sobą. Ciebie też ona zje i pochłonie. Nie zostało w tobie nic z kobiety, którą kochałem. Nic!

Patrzyła na niego z udręką. Policzki miała mokre od łez.

– Boże – szepnęła przez ściśnięte gardło – jak mogło do tego dojść? Miłość to za słabe słowo, Rafe. Byłeś dla mnie wszystkim, spełnieniem najskrytszych marzeń... Kiedy mnie zdradziłeś, wszystko umarło. Dlatego nie zostało nic z kobiety, którą kochałeś.

Dotknął jej policzka, jakby chciał sprawdzić, czy płacze prawdziwymi łzami.

– Nie zamykaj oczu – poprosił. – Patrz na mnie.

Co widzisz? Mężczyznę, którego kochałaś, czy mężczyznę, który cię zdradził? A może mieszańca, którego krew jest nieczysta?

– Widzę Rafe'a Cantrelle'a – człowieka, którego kochałam i nienawidziłam. Człowieka, który jest tym, kim jest, pomimo swego dziedzictwa i z jego powodu. Który jest mężczyzną.

– Czy widzisz, że ten mężczyzna nadal cię pragnie?

Dopiero teraz dostrzegła w jego oczach pożądanie, tak nowe, jak rodząca się noc, i tak stare, jak ich pierwsze spotkanie. Ciało zareagowało szybciej niż myśl, więc spłoszona starała się ukryć jego drżenie.

– Nie – szepnęła.

Rafe położył dłonie na jej ramionach.

– A ja widzę kobietę, która nauczyła się kłamać.

– Puść mnie, muszę wracać.

– Nieprawda.

– Nie zmusisz mnie siłą.

– Jeśli tak wiele widzisz, spróbuj wejrzeć w siebie. Powiedz mi, co tam się kryje.

– Nic! Wszystko zabrałeś!

– Zostawiłem ci serce, swoje serce...

Popatrzyła mu w oczy i zobaczyła, że mówi prawdę. Zobaczyła, że jej pragnie i zarazem nienawidzi siebie za to. Że próbuje stłumić pragnienie i ponosi klęskę.

– Nie wiem, jak i dlaczego do tego doszło – powiedział poważnie – ale tu, na Grand Isle, znów spotkały się nasze drogi. To wyzwanie. Jeśli nie czujesz się na siłach, by mu sprostać, odejdz teraz.

Nie mogła odejść.

Z rozpaczą czuła, że nie może uczynić ruchu.

Gdy zaś Rafe tylko to spostrzegł, ujął w dłonie jej twarz i przyciągnął ją ku sobie. Wargi miał gorące, spragnione, jakby chciał spijać łyż, niepowstrzymanym strumieniem płynące po jej policzkach.

Znów poczuła się tak, jakby spotkali się po kryjomu w nowoorleańskim porcie. Dziesięć lat zapiekłej nienawiści w jednej chwili stało się nieważne i nieistotne. Rafe wsunął palce w jej włosy, nie po to jednak, żeby karać albo zaznaczyć swoją władzę, ale by cieszyć się bliskością.

Aurore nie miała siły dłużej się opierać. I nie chciała. Rozsądek przestał się liczyć, straciły moc wszelkie argumenty. Jediną rzeczywistością były wargi Rafe'a na jej wargach, jego palce niecierpliwie zmagające się z zapieciem sukni, a potem dłonie, gładzące ostrożnie skórę. I serce, szczęśliwe serce, które coraz bardziej przyspieszało swój rytm.

Jak mogła mu nie ulec? Jak mogła go nie pragnąć?

To przecież on nauczył ją miłości. Wszystko, co się potem działo, było jak paskudna choroba, z której cudownie leczyło jego ciało. W dłoniach tego mężczyzny nie było okrucieństwa, a jego usta nie pragnęły karać. Biorąc, rewanżował się rozkoszą, którą Aurore chłonęła całą sobą.

– To zmieni twoje życie – szeptał jej do ucha.

– Boże, mam nadzieję.

Naprawdę tego chciała. Chciała znów być kobietą, która wierzy w miłość. Chciała zapomnieć o kłamstwach, podstępach i sekretach ostatniej dekady.

Chciała narodzić się na nowo.

Powiódł ją do ukrytej wśród wydm kotliny, gdzie piasek miał miękkość obłoków. Chrapliwym, nabrzmiałym emocją głosem szeptał jej, że ją kocha.

Wiedziała, że mówi prawdę, wiedziała, że tej prawdy się boi i że jednocześnie też ma nadzieję na odmianę nieszczęsnego losu.

Ona nie miała już nic do powiedzenia. Kiedy w nią wchodził, nie wątpiła, że kiedykolwiek przestała go kochać, i była pewna, że nigdy nie przestanie.

Oboje byli skazani na wzajemną miłość.

– Popatrz na mnie. Teraz wiesz, kim jestem?

W szczycie uniesienia otworzyła oczy i patrzyła na Rafe'a, którego oczy błyszczały radośnie na tle nocnego nieba. Wiedziała, kim jest. Teraz wiedziała już wszystko. Widziała jego zmagania, mękę, poranione serce; widziała małego chłopca i mężczyznę, którego obraz nie opuści jej do końca życia. To także wiedziała doskonale.

– Wiem – odparła i oplótła go ramionami.

Chciała go wchłonać, zatrzymać w sobie na zawsze, zatrzymać czas w chwili tego połączenia po latach.

– Wiem! – wykrzyknęła, a potem opadła w przepaść.

Później leżeli w milczeniu, wpatrzeni w gwiazdy.

Cienie igrały po ich ciałach niczym odbicia chwil, które minęły albo miały nadejść. Łzy wróciły i dławily w gardle. Czy starczy ich na to, by oplakać wszystko, co utracili? Od czego zacząć?

– Opowiesz mi o Nicolette? – Aurore odezwała się pierwsza.

Odwrócił ku niej głowę.

– Nicolette jest prawdziwą córką swojej matki. Nie da się jej nie kochać.

Aurore załkała cichutko, on zaś przygarnął ją do siebie i dokończył:

– Oddałaś mi ją, jak była niemowlęciem, ale dopiero w dniu, kiedy zobaczyłem ciebie w Audobon Park, stała się moim dzieckiem. Dziękuję ci.

– Jesteś dla niej dobrym ojcem?

– Staram się.

– Jaka ona jest?

– Wesoła, czuła, mądra. Ale woli raczej śpiewać, niż mówić. Przerastała kolejnych nauczycieli muzyki, jednego po drugim, dopóki nie namówiłem Clarence’a Valentine’a, by wziął ją pod swoje skrzydła. Wystarczy, by raz usłyszała jakąś piosenkę, a już zna słowa i melodię. Śpiewa dla mnie co wieczór przed pójściem do łóżka. Czasami, kiedy po takim spektaklu idę na górę do swojej sypialni, słyszę jeszcze, jak nuci.

Aurore słuchała ze ściśniętym gardłem. Tego właśnie pragnęła dla Nicolette, powinna więc być szczęśliwa. A jednak opowieść była dla niej udręką.

Kiedyś wyrzekła się tych wspaniałych, rodzinnych chwil, ciepłych ramion kochanego człowieka, wspaniałej córki.

– Częściej pyta teraz o matkę – dodał Rafe.

– Następnym razem powiem, że mama bardzo ją kochała.

– Dziękuję.

Pogładził ją po włosach.

– Wiesz, że możemy nie mieć drugiej takiej okazji?

– Tak. To... co dzisiaj... po tym będzie nam jeszcze trudniej.

– Wyjadę z Nowego Orleanu.

– Nie...

– Zabiorę Nicolette i zacznę nowe życie, tak jak i ty.

– Nie, Rafe – uniosła się na łokciu – nie możesz odjechać. Nie teraz, błagam.

– Właśnie teraz.

Jeszcze oponowała, ale wiedziała, że ukochany niestety ma rację. Ich losy były tak tragicznie splecione ze sobą, że wreszcie musiałyby się zdarzyć katastrofa. A przecież nie mogła zostawić Hugh, tak jak nie było na świecie miejsca, gdzie mogliby żyć razem z Nicolette, nie ściągając na siebie nienawiści i zemsty. Długie ręce Henry’ego sięgnęłyby wszędzie.

– Czy będę wiedziała, dokąd wyjedziesz?

– Nie. Twój mąż jest niebezpiecznym człowiekiem. Co zrobi, jeśli odkryje, że już przestałaś mnie nienawidzić?

– Po prostu chciałabym wiedzieć, gdzie jesteś, żeby móc sobie wyobrazić, co robisz i jak żyjesz.

– Nie wyobrażaj sobie nic. Zapomnij o mnie. I tak już o mało nie zniszczyliśmy się nawzajem. Jeśli nie będziesz ode mnie wolna, tak właśnie się stanie. A przy okazji ucierpi Nicolette.

– Rafe – jęknęła żałośnie – dlaczego tak musi być?

– Ponieważ każde z nas ma coś na sumieniu i każde z nas uwikłane jest w sprawy, których nie da się przewyciężyć. Chyba że znów ktoś będzie cierpiał... – Czule zdmuchnęła pasmo włosów z jej policzka. – Czy wybaczyłaś mi wszystko, co ci zrobiłem?

– A ty?

Nie musieli patrzeć sobie w oczy, by wiedzieć, że żadne nie zapomni bólu, jaki zadało mu drugie.

Musieli go dzielić do końca swoich dni, tak samo jak musieli dzielić miłość.

– Czy mogę chociaż zobaczyć Nicolette, zanim odjedziesz? Porozmawiać z nią? Usłyszeć, jak śpiewa? Tylko raz, błagam...

– Wiesz, że to zbyt niebezpieczne.

– Będziemy ostrożni. Zgódź się! O nic więcej nie proszę.

– Nie wiem...

Nie nalegała więcej. Przesunęła opuszkami palców po jego twarzy, jakby chciała na zawsze utrwalić dotykiem ukochane rysy.

– Pamiętaj, że ciebie kochałam, Rafe. Gdziekolwiek będziesz, pamiętaj o tym. Tylko to mogę ci dać na pamiątkę.

Pocałował ją ze łzami w oczach, a potem już nic nie mówili. Ich ciała powiedziały więcej niż usta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Miała nie mówić Nicolette, kim jest.

Aurore włożyła z powrotem list do koperty i zaczęła rozglądać się za miejscem, w którym mogłaby go schować. Gdy rano przyniósł go listonosz, wetknęła liścik pod materac. Wiedziała, że jest od Rafe'a. Czekwała na niego.

Spojrzała na ogień płonący na kominku i powtórzyła w myślach wiadomość – w piątek Rafe i Nicolette mieli czekać na nią w pokoju nad jego sklepem w Vieux Carré. Stawał jednak jeden warunek

– miała nie mówić Nicolette, kim jest.

Jak mógł sądzić, że się odważy?

Podeszła do kominka, gdyż wiedziała, że tylko tam, w płomieniach, list będzie bezpieczny. Nie miała żadnej skrytki, o której Henry by nie wiedział, wrzuciła więc kopertę w płomień i z bólem serca patrzyła, jak znika w nich męskie, zamaszyste pismo.

Kiedy na palenisku została tylko kupka popiołu, za jej plecami otworzyły się drzwi. Dobrze wiedziała, czyje kroki zbliżają się ku niej. Nie oglądając się, poczęła zacierać ręce, jakby chciała się ogrzać.

– Zostawiłam dla ciebie kolację, Henry – powiedziała bezbarwnym głosem. – Sally upiekła dzisiaj kurę.

Odwróciła się, zanim zdążył jej dotknąć. Musiała być w dwójnasób ostrożna.

– Przepraszam, że nie czekałam na ciebie z jedzeniem.

Chcesz, żebym towarzyszyła ci w jadalni?

– Cóż za usłużna kobieta!

– Staram się – posłała Henry’emu chłodny, nieprzenikniony uśmiech, zarezzerwowany specjalnie dla niego.

– Komu jeszcze usługiwałaś, Rory?

– Nie rozumiem.

– To proste pytanie. Komu? Mów!

Pospiesznie odszukała w myślach właściwą odpowiedź.

– Można powiedzieć, że usługuję dziecku, choć staram się go nie rozpieszczać, o co słusznie miałeś do mnie pretensję, jednak...

– A Rafe Cantrelle? – przerwał. – Jemu usługiwałaś również?

Z najwyższym wysiłkiem stłumiła odruch przerażenia. Popatrzyła na niego z wyrzutem i prosząco zniżyła głos.

– Henry, daj spokój. Przecież wiesz, że to było dawno, jeszcze przed naszym ślubem. Czy będziesz mnie karał bez końca za to, co zdarzyło się, zanim poznałam ciebie?

Był tak szybki, że nie zdążyła zareagować. Jednym skokiem znalazł się przy niej i chwycił ją za gardło.

– W takim razie porozmawiajmy o Grand Isle. Masz ochotę?

Szarpnęła się, lecz on tylko wzmocnił uścisk.

Zaciskał stalowe palce, aż oddech uciekł jej z płuc, a przed oczami zaczęły migać ciemne plamy. Już prawie omdlała, kiedy zwolnił chwyt, pozwalając nabrać zbawczy haust powietrza.

– Powiedz mi o Grand Isle, Rory. Ze szczegółami!

Aurore spazmatycznie chwytała oddech. Pokój wirował jej w oczach. Musiała usiąść na krześle, bowiem nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

– Nie ma o czym mówić... Pojechałam na poświęcenie kościoła. Złożyłam dar... w intencji matki. Niedawno zmarła. To wszystko.

– Nie mówiłaś mi, że wyjeżdżasz.

– Bałam się, że będziesz zły. To były moje pieniądze, lecz zapewne nie zaaprobowałbyś takiego wydatku.

Puścił ją i stanął z uśmiechem obok, jak gdyby zadowolony go te wyjaśnienia. Lecz Aurore nie miała złudzeń. Zbyt dobrze go znała.

– A gdzie mieszkałaś przez ten czas?

– Ktoś z komitetu budowy udostępnił mi domek.

– Byłaś tam sama?

Potarła piekącą skórę szyi.

– Oczywiście.

– Opowiedz mi o ceremonii.

– Bardzo mnie wzruszyła. Żałowałam, że mama nie dożyła tej chwili.

Zawsze pragnęła, by na wyspie stanął kościół.

– Twoja matka była wariatką, która zgniła w przytułku.

– Jeszcze raz przepraszam. Powinnaś cię uprzedzić, ale bałam się, że będziesz robić trudności.

– Co jeszcze chciałabyś mi powiedzieć?

– A co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

Cios spadł tak szybko i z taką siłą, że dopiero padając, zrozumiała, co się stało. Zdążyła tylko zasłonić głowę, gdy rzucił się na nią z pięściami.

Próbowała go odepchnąć, ale wtedy bił jeszcze mocniej.

Wreszcie podniósł się i rozkazał:

– Wstawaj!

Ruszała się nie dość szybko, więc kopnął ją w zębra. Podniosła się, zasłaniając posiniaczoną twarz rękami. Henry pytająco uniósł brew, jakby dziwił się, czemu uważa, że musi się bronić.

– Co jeszcze chcesz mi powiedzieć, Rory?

– Co w ciebie wstąpiło?

– Powiedz mi o Rafie Cantrelle’u.

– Był tam, przynajmniej. Ale nie miałam pojęcia, że zjawi się na uroczystości. Skąd miałam wiedzieć?

Tym razem była przygotowana na cios, więc zachwiała się, lecz nie upadła.

– Opowiedz mi wszystko – nalegał. – Po kolei i dokładnie. Od razu wyczuję, kiedy skłamiesz.

– Nic się nie zdarzyło, poza tym że rozmawialiśmy przez parę minut. –

Kręciło jej się w głowie i czuła mdłości, ale strach tłumił wszystko. Czuła, jak krew cieknie jej po brodzie, mimo to mówiła dalej: – Powiedział mi, że wy-

jeżdża z Nowego Orleanu i zabiera Nicolette. Odpowiedziałam, że się cieszę, bo zbyt wiele życia strawiłam na nienawiści.

Teraz, kiedy oboje stąd znikną, nie będę już musiała o nich myśleć. – Wyciągnęła przed siebie ręce błagalnym gestem. – To już skończone, Henry, naprawdę! Całkowicie skończone!

Uśmiechnął się i posunął ku niej.

Nic nie było skończone, dopóki nie wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zawołał w korytarzu na służbę, zamówił powóz i odjechał, zaś Aurore leżała przed kominkiem obok spopielonego listu swojego kochanka, zbyt obita i obolała, by móc się poruszyć.

Nie broniła się zbyt energicznie. Pozwoliła, by Henry ją skatował, gdyż miał do tego prawo. Nie dlatego, że był jej mężem. Po prostu dlatego, że sobie zasłużyła.

Z niedużego pokoju na poddaszu Nicolette patrzyła na morze dachów, piętrzących się w dole jak sztormowe fale. Dachówki błyszcząły po niedawnym deszczu. Rafe chodził niecierpliwie za córką od ściany do ściany i sprawiał wrażenie, jakby dusiło go to ciasne, przeładowane sprzętami i bibelotami pomieszczenie.

Rzeczywiście – wyglądał w nim jak człowiek z krwi i kości wtłoczony do domku dla lalek.

Wrażenie to potęgowała odświętna, wykrochmalona sukienka, w którą ubrana była Nicolette. Instykt podpowiedział Aurore, że Rafe musiał kupić ten strój specjalnie na tę okazję.

Drzwi były lekko uchylone, jednak ani dziewczynka, ani jej ojciec nie zauważyli, że Aurore stoi za nimi, dyskretnie zerkając do środka i słuchając ich rozmowy.

– Gdzie jest pani, która tu mieszka? – pytała Nicolette.

– Już ci mówiłem, że wyszła na miasto.

– Nudzi mi się.

– Wytrzymaj jeszcze chwileczkę.

Mała przymknęła oczy, a wtedy Rafe podszedł do niej i czule odgarnął grzywkę z jej czoła. Przytuliła się do niego w sposób najnaturalniejszy pod słońcem, a on otoczył ją ramionami.

– Ślicznie dzisiaj wyglądasz, wiesz?

– Dama, która tu przyjdzie, też będzie tak myślała?

– Jasne, przecież nie jest ślepa.

– Opowiedz mi o niej.

– Już ci mówiłem, Nicolette. Była przyjaciółką twojej mamy. Chciała cię zobaczyć przed naszym wyjazdem.

– Ale czemu umówiliśmy się akurat tutaj? Nie mogła przyjechać do nas do domu?

– Ona jest biała, a my nie.

– Moja skóra jest biała. No, prawie...

– Wiem, ale i tak masz murzyńską krew. Tak jak ja.

– Ty też masz białą skórę.

– Chciałabyś być biała?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Mogłabym siadać na przednim pomoście tramwaju.

– Owszem, mogłabyś.

– Gdybym była biała, mogłabym też chodzić do każdej szkoły, która mi się spodoba.

– Poza szkołą dla kolorowych.

– No właśnie. Brakowałoby mi Marie i Mignon.

– Więc nie warto być białą.

Nicolette odsunęła się, by lepiej widzieć jego twarz.

– Dlaczego moja mama mogła się zaprzyjaźnić z białą kobietą, a ja nie?

– Musiałabyś sama ją zapytać.

– Violet wyszła za białego.

– I przez resztę życia będzie udawała, że jest kimś innym, niż jest – odparł z powagą. – My nie musimy.

– Nie rozumiem, dlaczego ona musi.

– Nigdy nie zrozumiesz.

Aurore nie mogła już dłużej tego słuchać. Zapukała w drzwi i postąpiła krok do przodu. Zaraz za progiem zatrzymała się niepewnie. Nicolette dygnęła przed nią grzecznie, najwyraźniej poinstruowana wcześniej przez ojca.

– Dzień dobry pani.

Aurore patrzyła na nią bez słowa. Dopiero po kilku sekundach przeniosła wzrok na Rafe'a, jakby widok córki, tak bliskiej i tak niedosiężnej, był dla niej zbyt bolesny.

– Proszę wejść, pani Friloux – uśmiechnął się do niej – i poznać moją córkę. Nazywa się Nicolette.

Zmusiła się, by wykonać kilka kroków. Stała tuż przed Nicolette i zapytała:

– Pamiętasz mnie może?

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

– Chyba nie.

– Widziałyśmy się dawno temu, kiedy miałś sześć lat. Zaprosiłam cię do mojego powozu i podarowałam ci medalion.

– Aha... – Nicolette zerknęła na ojca. Niejasno pamiętała, że chyba go jej zabrał. – Ale ja już go nie mam – powiedziała i popatrzyła na Aurore przepraszająco.

– Wiem. Czy możemy usiąść? – zwróciła się do Rafe’a.

– Pewnie. Zostawię was na chwilę same.

– Same?

– Myślę, że tak będzie lepiej. – Na moment otoczył córkę ramieniem. – Niedługo wrócę, Nicky.

Porozmawiaj z panią.

Aurore w myśli błagała go, by został. Przez moment miała nadzieję, że tak się stanie, gdyż wyraźnie ociągał się z odejściem. W końcu jednak odwrócił się i w paru krokach wyszedł szybko z pokoju.

Nicolette wciąż stała przed nią grzecznie, jakby za chwilę miała zdawać jakiś egzamin.

– Może usiądziemy?

– Dobrze.

Usiadły na kanapie, zawalonej poduszkami z wytartego aksamitu. Nicolette zaczęła gładzić je palcami.

– Czy twój tata mówił ci o mnie?

– Powiedział tylko, że znałaś moją mamę i że chciałaś mnie zobaczyć przed naszym wyjazdem.

– To prawda.

– I naprawdę ją pani znała? – Dziewczynka popatrzyła na nią zaintrygowana.

– Tak, znałam ją bardzo dobrze – odparła Aurore, uciekając spojrzeniem przed wzrokiem dziecka.

– Jak pani myśli, czy ona chciała mieć córeczkę?

– Oczywiście. Marzyła o niej. Gdyby żyła, byłaby teraz z siebie dumna.

Kochałaby cię, Nicolette.

– Tak pani mówi?

– Jestem absolutnie pewna.

– A skąd pani ją zna? Czy pracowała u pani?

– Nie. Byłyśmy... przyjaźniłyśmy się.

– I dlatego pani przyszła tutaj? Żeby zobaczyć czy wyglądam jak ona?

– Myślałam o tobie od chwili, kiedy umarła, Nicolette. Pragnęłam się tylko upewnić, czy jesteś szczęśliwa. – Aurore próbowała się uśmiechnąć. – Widzę, że jesteś.

– Och, nigdy nie choruję... I w ogóle. – Nicolette najwidoczniej zaczynała nudzić ta rozmowa i nie mogła wysiedzieć w miejscu ani minuty dłużej.

Zaczęła się wiercić, zaplatać palce, rozglądać.

– Cieszysz się, że wyjeżdżasz? – zapytała Aurore.

– Mowa! Bardzo się cieszę! W Chicago będę mogła jeździć tramwajem i siadać, gdzie zechcę.

– W Chicago?

– No tak, tam właśnie jedziemy. – Przygryzła wargę. – Nie powinnam pani tego mówić. Tata zakazał mi mówić o tym komukolwiek. Ale myślę, że nie chodziło mu o panią – dodała szybko.

– Co tam będziecie robić?

– Ja będę musiała pójść do szkoły. I znów będę mogła brać lekcje muzyki. Lubi pani muzykę?

– Bardzo lubię.

– Mój przyjaciel Clarence mieszka tutaj i daje mi lekcje. Clarence gra na pianinie i ani Jell Roll, ani Tony Jackson nie umywają się do niego. Przy- najmniej tak mówią ludzie. Ja ich jeszcze nigdy nie słyszałam... – Zmarszczyła brwi. – Może kiedyś pójde na występy, jak pani myśli?

– Myślę, że tak. Tata chwalił ciebie. Wspominał, że lubisz śpiewać i ładnie ci to wychodzi.

– Śpiewam od rana do wieczora, aż czasami krzyczy, że ma już dosyć. – Roześmiała się i dopiero teraz podniosła spuszczoną dotąd głowę. Zaraz jednak spoważniała, przysunęła się bliżej i pilnie przyjrzała się twarzy rozmów- czyni. – Co się pani stało? Upadła pani i się potłukła?

– Tak, jestem nieuważna.

– O, ja też! Tata mówi, że muszę wreszcie przestać się wiercić i wtykać wszędzie swój nos.

– Chyba przesadza.

– Nie, bo to denerwuje ludzi. Mam najgorsze maniery w całej szkole, a mój francuski jest nie lepszy.

– Jesteś śliczna, inteligentna i naprawdę przemiła.

– Więc podobałabym się mamie?

– Och, ona... ona uwielbiałaby cię, Nicolette.

– A jak wyglądała?

Aurore zawahała się.

– Najpierw powiedz, jak ty ją sobie wyobrażasz?

– Ja? – Dziewczynka zamknęła oczy. – No dobrze... Była wysoka. Piękna.

Nie! Prze-pięk-na...

I z uśmiechem takim, jak te śliczne panie w filmach, wie pani, jakim? – Szeroko rozciągnęła usta. – Jak siostry Gish!

Aurore uśmiechnęła się również.

– Bardzo dobry opis!

– Lubię filmy, a pani? Nie wiem już sama, czy wolę śpiewać, czy grać w filmie.

– A zaśpiewasz coś dla mnie? Rafe opowiadał, że Nicolette nie trzeba namawiać do wokalnych popisów. Muzyka i śpiew były dla niej największą radością; prawie tak wielką, jak tulenie się do taty. Ale teraz nagle dziewczynka się zawstydyła.

– Proszę, zaśpiewaj – nalegała Aurore i dopiero te prośby sprawiły, że wstała z ociąganiem i zapytała:

– Czasami śpiewam bluesa. Lubi pani bluesa?

– Czy lubię? Hm, płaczę przy nim.

– Jeśli pani zapłaczę, to znaczy, że dobrze zaśpiewałam, zgoda?

– Zgoda, słucham.

– Ale może... – znów zawahała się dziewczynka.

Zapewne wyczuła smutny nastrój obcej pani.

– Znam też wesołe piosenki, z których ludzie się śmieją. Może zaśpiewam taką?

– Nie. Zaśpiewaj, co sama zechcesz, co tobie najbardziej pasuje – powiedziała miękko Aurore, dotykając lekko jej dłoni.

– Szkoda, że nie ma tu Clarence'a. Kiedy mi akompaniuje, nie muszę nawet myśleć o słowach – dodała jeszcze Nicolette, a potem przymknęła oczy i zaczęła śpiewać ulubiony również przez Aurore Saint Louis Blues.

Śpiewała zrazu cicho, dyskretnie, później zaś, ośmieliwszy się nieco, coraz głośniej, pewniej i z rosnącym przejęciem. Takiego wykonania Aurore jeszcze nie słyszała i wiedziała, że już nigdy nie usłyszy. Kiedy przebrzmiały ostatnie słowa, policzki miała mokre od łez.

Dziewczynka otworzyła oczy i uśmiechnęła się na ten widok.

– I co? Dobrze zaśpiewałam?

– Och, Nicolette... – Aurore wyciągnęła ku niej ramiona i mała, czując, że chodzi tu o coś więcej niż zwykle wzruszenie wywołane tęsknym bluesem, instynktownie wsunęła się w jej objęcia.

Aurore pragnęła zatrzymać ją tak na wieczność, ochraniać i kochać. Chciwie wdychała jej zapach, mocno przyciskało do siebie kruche ciało. Dziecko zarzuciło jej ramiona na szyję, odpowiadając nieśmiałym uściskiem.

– Pani Friloux musi już iść, Nicky – odezwał się Rafe, który musiał wrócić do pokoju, zaintrygowany śpiewaniem córki.

Aurore jęknęła w odruchu protestu, za to Nicolette zaczęła wiercić się na jej kolanach. Za chwilę pewnie i tak by pobiegła.

– Dziękuję, że pani mnie odwiedziła – powiedziała.

– I że podobała się pani moja piosenka.

– Ja też ci dziękuję. – Aurore położyła Nicolette dłonie na ramionach i przez chwilę przytrzymała, by móc się jej dobrze przyjrzeć. – Chciałabym ci jeszcze coś podarować, ale najpierw twój tata musi wyrazić zgodę.

Spojrzała na Rafe'a. Skinął przyzwalająco głową.

Jego twarz miała jednak napięty wyraz, a oczy wpatrywały się w nią pytającym wzrokiem. Wyjęła małe pudełeczko z eleganckiej torebki z szarego zamszu, podała je Nicolette i zapytała:

– Otworzysz?

Dziewczynka skwapliwie wyciągnęła rękę, zadowolona, że wreszcie dzieje się coś ciekawego.

W pudełeczku był złoty wisiorek. Ujęła go za łańcuszek i zaczęła bujać jak wahadłem.

– Zabrałeś mi go – zerknęła na ojca. – Pamiętam.

– Niesłusznie postąpiłem.

– Czy teraz mogę go sobie zatrzymać?

– Tak.

– Otwórz wieczko – poprosiła Aurore.

Nicolette nacisnęła zameczek i ciekawie zajrzała między dwie połówki medalionu. Za szkłem tkwiła maleńka fotografia Aurore.

– Żebyś mnie pamiętała.

– Dziękuję pani bardzo – odparła i przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć dalej. – Będę go zawsze nosić – dodała z uprzejmym uśmiechem.

Zapewne była z siebie dumna, że tym razem nie zapomniała o dobrych manierach. Od razu założyła medalion przez głowę, a ten zawisł nisko na jej piersi.

– Odprowadzę cię do wyjścia – Rafe ujął Aurore

za łokieć. – A ty poczekaj tutaj, Nicky.

– Muszę? – nadeła się, lecz szybko zmieniła zdanie, gdy zobaczyła minę ojca. – No dobrze.

Aurore pocałowała ją w policzek. Nicolette zawahała się, ale odwzajemniła pocałunek. Aurore na pożegnanie dotknęła jej ramienia. Leciutkie muśnięcie, ostatni kontakt. A potem odwróciła się do drzwi i nie popatrzyła już za siebie. Wyszła, a za nią Rafe.

Zatrzymała się dopiero u dołu schodów.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała. Nie patrzyła na niego. Nie powiedziała ani słowa na temat córki, choć zdawało jej się, że Rafe na to czeka.

– Jutro albo pojutrze.

– Łatwiej było nie wiedzieć, jaka ona jest cudowna – wyznała łamiącym się głosem. – Łatwiej było nienawidzić ciebie.

– Łatwo... – powtórzył i uśmiechnął się smutno.

– Nigdy nie będzie nam łatwo, Aurore.

– Mógłbyś do mnie pisać przez mojego adwokata, Spencera St.Amant.

– Nie będę.

Westchnienie Aurore przerodziło się w jęk, tłumiony krzyk rozpacz.

– Rafe!

Popatrzyła na niego żałośnie, zaś on, choć obiecał sobie, że już więcej jej nie dotknie, pochwycił ją w ramiona i przycisnął do siebie z desperacją.

Otoczyła mu szyję zachłannym uściskiem, oddała pocałunek; ujął w dłonie jej głowę i przytulił do piersi, jakby chciał pochłonać ją całą, schować, ukryć i zabrać na zawsze ze sobą.

A potem pierwszy odsunął się od niej. Dopiero teraz, w promieniu światła przesączającym się z okna, dojrzał to, czego nie zauważył wcześniej.

– Gerritsen cię pobił.

Zaląła się łzami.

– Nie, upadłam.

– Skąd się dowiedział?

– Daj spokój, nic się nie stało. Nie martw się o mnie.

Rafe przytrzymał jej podbródek i zmusił, by popatrzyła mu w oczy.

– Więc do tego doszło? Nie mogę cię chronić, nie mogę ustrzec przed tym sadystą. Samo moje istnienie zagraża ci, Aurore.

– To nie tak. Wie tylko, że spotkaliśmy się na wyspie, ale powiedziałam mu, że wyjeżdżasz i że już nigdy nie będziemy mieli okazji się widzieć. Myśle, że uwierzył.

– Czy wie o...?

– Nie! Na pewno nie domyśla się, że byliśmy kochankami.

– Podejrzewa.

– Wszystko jedno, i tak wyjeżdżasz. Teraz oboje będziemy bezpieczni.

Rafe poczuł upadającą, bezsilną złość. Jeszcze nigdy nie czuł się mężczyzną w tak małym stopniu.

Teraz zrozumiał dokładnie, co znaczy brzemię niewolniczej krwi. Mężczyźni tacy jak jego ojciec zaznali nie mniejszych upokorzeń. A przecież często musieli ginąć z powodów bardziej błahych niż obrona ukochanej kobiety.

– Będę z tobą, gdziekolwiek się znajdziesz – powiedziała, gładząc jego policzek. – Należę do ciebie, Rafe. Kocham cię. Nigdy nie kochałam nikogo innego i nigdy nie pokocham.

Rafe milczał. Nie mógł wykrztusić słowa. Odwrócił się, ale jeszcze przystanął i po raz ostatni na nią popatrzył. Wyciągnął z kieszeni surduta pogniecioną kopertę, a Aurore przyjęła ją bez słowa i otworzyła. Wewnątrz znajdowała się jego ulubiona fotografia Nicolette.

Przycisnęła fotografię do piersi, uśmiechnęła się z wdzięcznością.

I taką właśnie zapamiętał ją na zawsze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Henry pracował do późnego wieczora, jak to zwykle czynił od czasu zakończenia wojny. W tym okresie starał się połączyć swoje interesy z karierą polityczną – opowiadała Aurore. – Jego plany były coraz bardziej ambitne.

Phillip podtrzymywał ją przy przejściu od drzwi wejściowych do saloniku. Milczał i słuchał. Z początku traktował zwierzenia starej kobiety z profesjonalnym dziennikarskim dystansem. Kiedy zrozumiał, kim naprawdę jest, wpadł w zimną furję.

A teraz, gdy historia dobiegała końca, górę wzięło współczucie. Minęło pół wieku, a ona wciąż cierpiała z powodu decyzji, które wówczas podjęła!

– Nadal nie byliśmy pewni, w jakim stopniu zakończenie wojny wpłynie na sytuację Gulf Coast.

Zakup frachtowca okazał się jednak tak udanym posunięciem, że wkrótce kupiliśmy drugi. Wierzyłam, że znajdzie się rynek zbytu na każdy praktycznie towar, jaki przywieziemy zza oceanu. Wojna pozbawiła ludzi dóbr, to po pierwsze. Ale poza tym zakładałam, że w nadchodzącym okresie pokoju i demokracji potrzeba lepszego życia będzie coraz silniejsza, a wraz z nią nastąpi wzrost cen. To mogło oznaczać okres wielkiej prosperity dla Gulf Coast...

Henry nie lubił tych moich kalkulacji. Niechętnie brał moje zdanie pod uwagę, choć wiedział, że mam instynkt i dobrze wyczuwam trendy. Choć nie chodziłam już do biura tak często, jak dawniej, orientowałam się we wszystkim na bieżąco. Nie mógł mnie pominąć, nawet gdyby chciał, i to doprowadzało go do furii...

Aurore z westchnieniem opadła na sofę w saloniku.

Phillip oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersi.

– Zresztą nie tylko to go wściekało – ciągnęła, przymknąwszy oczy. – Myślał, że łatwo pozwolę sobą manipulować, a tymczasem wymykałam mu się spod kontroli. Wyjechałam na Grand Isle bez jego wiedzy i tylko dzięki przypadkowej uwadze kogoś, kto mnie tam widział, wpadł na trop całej sprawy. Wściekał się i był coraz bardziej okrutny.

Aż któregoś dnia... – Odrzuciła głowę do tyłu i przymknęła oczy. – Tamtego wieczoru – podjęła swą opowieść – na ulicach miasta było wyjątkowo ciemno i pusto. Nowe biura Gulf Coast znajdowały się zresztą w słabo oświetlonym sektorze nadrzecznym.

Henry wyszedł z pracy ostatni, dystansując nawet zadeklarowanych pracoholików. Spieszył do rogu, gdzie zawsze parkował samochód, gdy z cienia wyłonił się jakiś mężczyzna i zastąpił mu drogę.

– To był Rafe?

Nie odpowiedziała wprost.

– Napastnik był jak zjawa. Poruszał się i uderzał z nieprawdopodobną szybkością. W końcu Henry upadł na jezdnię, usiłując zasłonić się przed kopniakami.

Kiedy grad ciosów ustał, zemdlał. Odnaleziono go po paru godzinach. Jego rekonwalescencja trwała całe tygodnie.

– Ale czy to był Rafe?

– Nie wiem. Już nigdy więcej go nie widziałam – zakończyła Aurore, patrząc na niego bez mrugnienia powieką.

– Co się z nim stało?

– Czy pytałeś kiedykolwiek matkę o jej życie w Chicago?

– Matka nie lubi mówić o swojej przeszłości.

Nie zdradziła mi nawet swojego panińskiego nazwiska.

– Zapytaj ją o Chicago, Phillipie.

– A jeśli będzie udawała, że nie pamięta?

– Pytaj do skutku. Tylko ona może ci to powiedzieć.

– Dlaczego o to pytasz? – Nicky uniosła brwi, choć prawdę mówiąc, po ich ostatniej rozmowie spodziewała się kiedyś usłyszeć to pytanie.

Westchnęła. Zrozumiała, że przyszedł czas, by prócz radości jej syn dzielił z nią także smutki.

Radości było wiele, bowiem Nicky odniosła niezaprzeczalny sukces. Najpierw zrobiła karierę w Europie, a po paru latach w Stanach. Jeździła w trasy koncertowe z najlepszymi zespołami świata, występowała z gwiazdami jazzu i bluesa. Jej najwcześniejsze nagrania stały się klasykami i zajmowały poczesne miejsce na półkach muzycznych salonów, zaś ostatnie płyty sprzedawały się znakomicie i ściągały dzień w dzień wciąż nowych wielbicieli jej talentu, których ledwie mógł pomieścić niewielki ClubValentine. Przy okazji zdołała uniknąć pokus i raf, czyhających na każdego artystę u szczytu sławy, a po latach poszukiwań znalazła mężczyznę, który prawdziwie kochał ją i szanował.

A jednak w jej życiu był przecież i smutek. Przed Jakiem przeżyła dwa zawody miłosne, po których długo musiała dochodzić do siebie. Samotnie zmagala się z wychowaniem Phillipa w świecie ogarniętym wojną tak straszliwą, że czasami traciła nadzieję, że ją przeżyje.

A potem musiała patrzeć, jak jej ukochany ojciec ginie z rąk szaleńca.

Właśnie ten koszmar prześladował ją od dnia, w którym Phillip po raz pierwszy spytał o swoje korzenie. Nie dziwiła się, że chce wiedzieć, kim jest. Pod wieloma względami uważała się za dobrą matkę i była dumna z tego, jak wychowała syna.

I tylko jednego nie mogła sobie darować – że nie opowiedziała mu o człowieku, do którego był tak bardzo podobny.

– Mam powody, żeby pytać – powiedział, wchodząc wraz z nią do przestronnego mieszkania nad Club Valentine, które służyło również za biuro, a czasem za hotel dla gościnnie występujących muzyków. – Różne powody, mammo...

– Rozumiem. – Popatrzyła na niego domyślnie.

– Widziałeś się z Belindą po powrocie?

– Nie – przyznał niechętnie.

– Ja też nie widziałam jej od czasu, gdy byliście tu razem. Może pojechała odwiedzić rodzinę.

– Nie wiem. Nie rozstaliśmy się w zbyt dobrych nastrojach.

– Na pewno się pogodzicie.

– Co ja mogę jej ofiarować? – Stał przed matką z rękami wbitymi w kieszenie spodni. – Świat płonie i nie widać końca tych nieszczęść. Wybuchają zamieszki rasowe. Podpalamy Wietnam napalmem i bombami. W przyszłym tygodniu w Selmie rusza marsz protestacyjny i ludzie już się obawiają, czy uda się przeprowadzić go pokojowo. Jak więc, ma mero, mógłbym marzyć o uwiciu przytulnego gniazdka z Belindą w środku tego chaosu?

– Wiesz dobrze, że nigdy nie doczekasz pokoju na tym najlepszym ze światów. Nie jest to jeszcze powód, by zrezygnować z osobistego szczęścia.

– Tak? To popatrz na siebie. Nie jesteś w stanie mówić o dzieciństwie, tak bolesne są twoje wspomnienia. Na jaki świat skazali cię rodzice? Na jaki świat mam skazać moje dziecko?

– Wiem – pokręciła głową – popełniłam ogromny błąd, nie opowiadając ci o moim dzieciństwie.

Do dziś boli mnie to jak niezabliźniona rana. Ale popatrz na mnie – czy widzisz cierpiącą męczennicę? Może powiesz, że źle mi się żyje, że w końcu nie znalazłam w życiu szczęścia?

– Jesteś chwalebny wyjątkiem – uśmiechnął się. – I przepraszam, że pytałam.

– Nie przepraszaj. Usiądź tu ze mną – poklepała kanapę obok siebie, zachęcając go, by usiadł, jak dawniej, gdy byli małymi. – Od czasu naszej ostatniej rozmowy przemyślałam sobie wszystko. Chcę opowiedzieć ci o dziadku. Chcę, żebyś był dumny z twoich przodków, nawet jeśli nie możesz być dumny ze świata, w jakim żyli.

Impulsywnie ujął jej dłoń.

– Zawsze byłem z ciebie dumny, mamó.

Uśmiechnęła się tylko, potem wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać:

– Pytałeś o Chicago. Otóż przenieśliśmy się z Nowego Orleanu do Chicago, kiedy miałam jedenaście lat. My, to znaczy mój ojciec i ja. Kochałam ojca. I wiesz już skądinąd, jak uwielbiałam Clarence’a.

Kiedy wsiedliśmy z papą do pociągu, cieszyłam się, że wreszcie go zobaczę. Clarence nie był tak naprawdę moim dziadkiem. Ojciec nosił nazwisko Cantrelle, Rafe Cantrelle, a Clarence po prostu się z nim przyjaźnił. On sam już wcześniej wyjechał, bo tam można było więcej zarobić. Praktycznie cały nowoorleański jazz spakował walizki i przeniósł się do Chicago w czasie pierwszej wojny.

– Na Północ.

– Tak. Tam był zupełnie inny świat. Nawet nie wiem, jak ci to opisać... Ojciec miał pieniądze, przypuszczam, że z różnych inwestycji w Nowym

Orleanie. Kupiliśmy dom w South Side, poza obszarem murzyńskich dzielnic. Co zamożniejsi Murzyni zaczęli się właśnie z nich wyprowadzać. Zdaje się, że niektórzy mieli z tym problemy. Na nas też patrzono niezbyt przyjaźnie, ale przynajmniej nikt nie ustawiał nam płonących krzyży na podwórku*¹⁰. Zresztą nie było wyjścia, czarne dzielnice były przeludnione i trzeba było wejść między białych.

Clarence tego nie chciał. Nie przeszkadzała mu ciasnota i brud. Wychował się przecież w najgorszych slumsach Nowego Orleanu. Wysunęła dłoń z jego dłoni i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie wiem, jak ci powiedzieć, co wtedy czułam.

To była zupełnie inna atmosfera. W Nowym Orleanie trzymaliśmy się z tatą osobno. Nie byliśmy do końca biali ani do końca czarni. Pasowałam tylko do niego. On mówił wprawdzie, że mamy murzyńską krew, mówił otwarcie. Chciał, żebym o tym wiedziała i nie czuła wstydu z tego powodu. Nie lubił mieszanców, którzy za wszelką cenę chcieli udawać białych. A w Chicago...

– Nagle poczułaś się przynależna?

– Przynależna? – uśmiechnęła się. – Aż tak dobrze nie było. Była tam energia, zupełnie inny rodzaj energii. W Nowym Orleanie mogliśmy się spełniać tylko w muzyce. Wyprzedawaliśmy się właścicielom lombardów, a potem waliliśmy w klawisze barowych fortepianów, żaląc się bluesem na zły świat. Ale tu, na Północy, była nadzieja. W tramwajach siadałam tam, gdzie chciałam, chodziłam do szkoły z dziećmi białych, witałam się przez płot z

¹⁰ *Aluzja do działalności rasistowskiej organizacji Ku-Klux-Klan (przy-
p. tłum.).

białymi sąsiadami. Nie twierdzę, że było cudownie, ale w takim miejscu moż na było zacząć życie na nowo. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nadal tak można.

– Ojciec z miejsca zaangażował się w działalność na rzecz czarnej społeczności. W Chicago nie działały antymurzyńskie ustawy, więc mógł bez przeszkód prowadzić interesy. Kupił udziały w spółce handlującej nieruchomościami, robił inwestycje.

Żyliśmy na wysokim poziomie i byliśmy akceptowani jak nigdy przedtem. Już po paru miesiącach ojciec stał się innym człowiekiem – spokojniejszym, weselszym, pełnym chęci działania. Zupełnie jak gdyby uznał, że musi zmienić świat.

– Miał rację.

– Problem w tym, że naprawdę uwierzył, że mu się to uda. Tymczasem nadeszło lato i wszystko nagle się zmieniło. A on znalazł się w samym środku tego zamętu... – Na chwilę przestała mówić.

Phillip miał wrażenie, że zabrakło jej oddechu. Ujął jej dłoń, a wówczas matka odwróciła się do niego i musnęła drugą dłonią jego policzek. – I wtedy zginął, broniąc mojego życia.

Nicolette namiętnie pochłaniała książki i gazety ojca, toteż wiedziała wiele na temat rasizmu. Nie było dla niej wielkim zaskoczeniem, kiedy w roku 1917. sprzeciw wobec zatrudniania Murzynów we wschodnim Saint Louis przerodził się w zbiorową histerię, a ta w wybuch nienawiści, który kosztował życie czterdziestu siedmiu obywateli, głównie czarnych.

Napięcia powstawały zresztą za każdym razem, kiedy czarni przejmowali miejsca pracy, opuszczone przez białych, zmobilizowanych na czas wojny.

Lecz przecież nie wszyscy Murzyni pozostali w kraju. Wraz z nastaniem pokoju pojawili się na ulicach Chicago także czarnoskórzy bohaterowie w mundurach, wracający zza oceanu. Wrócili dumni, że zasłużyli się dla ojczyzny, lecz trafili w sam środek piekła nienawiści. W Georgii zakatowano na śmierć Murzyna, kiedy szedł w mundurze z dworca do domu, wielu innych zostało dotkliwie pobitych.

Nicolette czytała o tym wszystkim z wypiekami na policzkach, lecz przede wszystkim liczyła się dla niej muzyka. Nazwiska takie jak Oliver, Ory czy Armstrong wywoływały w niej dreszcz podniecenia.

Marzyła o koncertach w Royal Gardens czy w Lincoln Gardens Café. Odychała muzyką, smakowała ją i słyszała wszędzie. Czasami nawet słowa w książce zmieniały się w nuty, a rytm opowiadanych w nich historii przechodził w falowanie bluesa.

Ojciec nie przeciwstawiał się jej pasji. Tym

bardziej że uczyła się dobrze i regularnie odwiedzała miejską bibliotekę. On sam spędzał coraz więcej czasu na mityngach niż w domu, zwłaszcza latem pamiętnego roku 1919, kiedy to zamieszki na tle rasowym wybuchły zarówno na Południu, jak i na Północy. Zajadłe walczył o prawa czarnych, a ci słuchali go, choć od niedawna mieszkał w Chicago.

Zresztą wielu z nich przyjechało tu przecież z Luizjany tak jak on.

Mimo gorącej atmosfery życie Nicky w Chicago zdawało się spokojne i bezpieczne i dopiero pewnego niedzielnego popołudnia miała się brutalnie przekonać, jak kruche są podstawy tego bezpieczeństwa.

Popołudnie to spędzała starym zwyczajem w parku, siedząc w cieniu drzew ze swoją przyjaciółką Dolly.

Etta Slater, matka Dolly, której Rafe powierzył córkę na czas kolejnego wyjazdu, wyglądała karykaturalnie.

Z pękatym tułowiem, krótkimi nogami, prawie bez szyi, sprawiała wrażenie kogoś, kogo w dzieciństwie ściśnięto jak akordeon. Była pogodna i dobrodusza, kiedy jednak stanęła niespodziewanie przed dziewczynkami, nie miała na twarzy swego zwykłego, dobrotliwego uśmiechu.

– Wracamy do domu, szybko – oznajmiła.

– Ale dlaczego, mamó? – nadąsała się Dolly.

Nicolette również nie rozumiała, dlaczego trzeba się gdzieś spieszyć w taki upał.

– Nie dyskutuj, tylko chodź! Ty też, Nicolette!

Dziewczyny niechętnie powlokły się za Etta.

Dopiero kiedy krzyknęła na nie ostro, przyspieszyły kroku. Jeszcze nigdy nie widziały jej tak zdenerwowanej.

Idąc przez park, bez przerwy rozglądała się na boki, a na widok zbliżającej się grupki białych błyskawicznie pociągnęła dzieci w krzaki.

Dopiero teraz dziewczynki zrozumiały, że dzieje się coś złego. Przycupnęły w cieniu, wstrzymały oddech i czekały, aż mężczyźni odejdą. Tak naprawdę odetchnęły jednak dopiero w domu.

– Dzisiaj zabili czarnego chłopaka koło jeziora – powiedziała Etta, zamykając drzwi i wszystkie okna. – Białe wyrostki rzucały w niego kamieniami, bo przepłynął na ich stronę kąpieliska. Jakby wodę można było podzielić! Ponoć kamień uderzył go w głowę i dzieciak poszedł na dno. Ludzie boją się, że teraz mogą zacząć się kłopoty.

– Czy ci biali chłopcy pójdą do więzienia? – zapytała naiwnie Nicolette. W Luizjanie z góry wiedziałyby, że to niemożliwe. Tu zdawało się jej, że żyje w rajskiej krainie sprawiedliwości.

– Ty naprawdę myślisz, że aresztują białego chłopaka za to, że zabił Murzyna? – zapytała Etta, kręcąc głową nad jej naiwnością. – Odwrotnie!

Aresztują Murzyna za to, że im powiedział, że źle zrobili!

Słowa Etty przeraziły Nicolette. Zapragnęła nagle, żeby ojciec już wrócił i zabrał ją do domu.

– Duszno mi tu, mamo – jęknęła Dolly. – Dlaczego pozamykałaś okna?

– Słuchajcie obie – Etta wzięła się pod boki – i dobrze zapamiętajcie, co wam powiem: kiedy zdarzy się taka afera, biali zawsze zwałą winę na nas. Wiem, co mówię. W tym mieście jest nas mało, a białych wielu, i jakby doszło co do czego, może być gorąco.

– Dlaczego biali mieliby nas krzywdzić?

– Bo jesteśmy czarni. To wystarczy.

– Ja prawie nie jestem – powiedziała Nicolette, przykładając rękę do ręki przyjaciółki, by mogła porównać odcienie skóry. Dolly rzeczywiście była znacznie ciemniejsza.

– I uważasz, że dla nich to coś znaczy? Możesz nawet być całkiem biała, a i tak cię zgnoją. – Etcie zadrżały wargi. – Dla nich liczy się krew!

Nicolette zadrżała, słysząc to słowo.

– Żeby tylko nic się nie stało tatusiowi.

– Twój tata jest sprytny. Przemknie się bokiem i wróci do domu.

Tamtej nocy przenocowała u Slaterów. Rano nadal nic nie było wiadomo, gdyż nie posiadali telefonu. Po zmroku słychać było strzały na ulicy, a rozlegały się tak blisko, że Nicky i Dolly skryły się pod łózkami w sypialni na górze. Tuż przed świtem wrócił pan Slater. Przyniósł wieści, że bandy białych biją Murzynów na ulicach. Słyszał, że kilku zginęło w tej okolicy.

Nicolette zabroniono wypatrywać ojca przez okno.

Pozostało jej tylko modlić się, by zjawił się jak najszybciej. Martwiła się również o Clarence'a.

Kiedy słońce wzeszło, na ulicach zapanował spokój. Etta wyjrzała przez okno i stwierdziła, że ludzie idą normalnie do pracy. Wobec takiego stanu rzeczy – a mimo protestów małżonki – pan Slater również ubrał się i wyszedł do swojej stoczni.

W pół godziny później przybył ojciec. Nicolette rzuciła mu się w ramiona, płacząc z przejęcia i z radości. Przytulił ją krótko i bez słowa, a potem podziękował Etcie za opiekę. Powiedział, że spędził całą noc, usiłując razem z innymi zorganizować sensowny sposób obrony przed przemocą. Kiedy stało się jasne, że poza ukrywaniem się nie można nic zrobić, postanowił wrócić do domu, dopóki na ulicy jest względnie bezpiecznie.

W drodze przez cały czas trzymał córkę za rękę.

Dopiero kiedy zamknął za nimi drzwi, wyjaśnił Nicky, co zamierza zrobić. Posadził ją na kanapie i przykucnął przed nią. Oczy płonęły mu w zmęczonej, pokrytej nieogolonym zarostem twarzy.

– To jeszcze nie koniec kłopotów, Nicolette.

– Ale pan Slater poszedł do pracy.

– Boi się, żeby go nie zwolnili. Można się spodziewać, że dzisiaj znów się będzie coś działo, o ile już się nie dzieje. W naszej dzielnicy jest najgorzej. Cieszę się, że byłaś u Etty. To mądra kobieta. Gdybym nie wrócił do domu, zajęłaby się tobą.

– Ale nie będziesz już wychodził?

Smutno pokręcił głową.

– Usiłujemy wywrzeć nacisk na burmistrza, żeby wezwał oddziały Gwardii Narodowej. Im więcej przedsiębiorców podpisze się pod apelem, tym większe są nasze szanse.

Ścisnął jej dłonie pocieszającym gestem, ale myślami był już daleko.

– Zostawisz mnie tutaj? – wyszeptła, powstrzymując płacz. – Będę się bała.

– Nie zostaniesz sama. – Poglądził ją po głowie.

– Zawiozę cię do Clarence’a. Nie sądzę, aby jacyś biali byli na tyle głupi, by zapuszczać się w murzyńską dzielnicę.

– A nie możemy zamknąć się w domu i tak jak

Etta czekać, aż to wszystko się skończy?

– Nie, Nicky – odparł ze smutnym uśmiechem.

– Muszę zrobić wszystko, co tylko mogę. Przez całe życie pracowałem, by stać się tym, kim jestem. Poza tym jestem mężczyzną, a mężczyzna nie ucieka, tylko walczy.

– Ale ja nie chcę, żebyś walczył! – Nicolette z płaczem rzuciła mu się w ramiona. – Zostań tu, tatusiu!

– Walczę także dla ciebie, córeczko – powiedział, tuląc ją czule. – Przede wszystkim dla ciebie.

Widzisz, jesteś moim największym szczęściem. Jak mógłbym zostać w domu, kiedy pojawia się szansa, by zmienić twoje życie na lepsze? Nie płacz, Clarence się tobą zajmie. Przecież go lubisz.

Nicolette westchnęła tylko i pokiwała głową.

Potem zaś szła, uczepiona kurczowo ojcowskiej ręki, przemierzając wraz z nim opustoszałe ulice.

Puściła ją dopiero wówczas, kiedy ojciec pozostał za progiem, a Clarence otoczył ją ramieniem i wprowadził do swego mieszkania.

– Tata niedługo wróci, Nickel. A my sobie przez ten czas pomuzykujemy, okay?

Uśmiechnęła się przez łzy. Ojciec otarł dłonią jej policzek, pocałował ją, a potem mrugnął do niej wesoło okiem i wybiegł na ulicę.

Popołudnie przerodziło się w wieczór. Nawet ukochany Clarence i jego muzyka nie były w stanie ukoić niepokoju Nicolette. Czekala i modliła się, by znów znaleźć się w ojcowskich objęciach.

Przed nocą usłyszeli pierwsze strzały. Jakiś samochód pędził ulicą, piszczały opony, ryczał silnik, ściany budynków odbijały kanonadę pistoletów.

Nicky padła na podłogę, zanim jeszcze Clarence znalazł się przy niej. W sąsiedztwie rozległy się krzyki i przekleństwa. Trzaskały drzwi, waliły głośno kroki.

– To te wyrostki! – Stary muzyk bezsilnie zaciskał pięści, wyglądając przez okno. – Jak śmiać przychodzić tutaj i do nas strzelać? Po co?

– Tata mówił, że żaden biały nie odważy się tu zapuścić.

– Nie wiedział, że nienawiść zaćmiła im umysł.

Ale mylą się, dranie. Murzyny to nie kaczkki, do których można strzelać. Są w tej dzielnicy faceci, którym palce same rwą się do spustów. Chodź, Nickel, musimy się ukryć w sypialni z tyłu. Żałuję, że ta chałupa nie ma piętra.

Nicolette przeszła za nim do ciemnego pokoju i ułożyła się na miękkim tapczanie z mocnym postanowieniem czekania na tatę aż do skutku. Była jednak tak zmęczona, że nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła.

Gdy ponownie otworzyła oczy, było jeszcze ciemno. Ciemno i cicho. Rozejrzała się po pokoju, a stwierdziwszy, że jest sama, poszła do salonu.

Clarence stał przy stole razem z kimś o tak dobrze znajomej sylwetce. Nicky z płaczem rzuciła się ku ojcu.

– Ciiicho, cichutko, córeczko... – Utulił ją i pogłaskał po głowie. – Nic mi nie jest. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Tato, ja chcę do domu! Nie chcę tu zostać!

– Nie zostawię cię, Nicky. Poczekamy jeszcze chwilę i jeśli dalej będzie spokojnie, wychodzimy.

– Zabierasz ją do domu? – zapytał Clarence.

– Nie, w tym mieście nie jest bezpiecznie. O północy zaczyna się strajk tramwajarzy, a jutro rano rozpęta się piekło, kiedy czarni będą szli do pracy przez białe dzielnice. Dlaczego burmistrz nadal nie chce wezwać Gwardii? – Pokręcił zrezygnowany głową. – Zrobiłem, co mogłem, Clarence. Teraz muszę zatroszczyć się o małą. Wyjeżdżamy z Chicago.

– Żeby przeczekać?

– Nie, na dobre.

Nicolette zaczęła targać ojca za rękaw.

– Ja nie chcę stąd wyjeżdżać! Chcę zostać tutaj, z Clarence'em!

– Posłuchaj, Nicky, zabiorę cię tam, gdzie wreszcie będziemy szczęśliwi. – Starym zwyczajem przykucnął przed nią. – Uwierz mi, że chcę jak najlepiej – powiedział cicho po francusku, w języku, którym często rozmawiali w domu w Nowym Orleanie, ale nigdy w Chicago. Francuski łączył ich i dodawał otuchy. Kiedy ojciec pogłodził ją po włosach i powiedział *Je t'aime*, Nicky wiedziała, że będzie dobrze.

Potem wstał i zwrócił się do Clarence'a:

– Pojedziesz z nami? Przynajmniej do czasu, dopóki nie zapanuje tu spóko-
kój?

– Nie, dzięki. Zostanę i popatrzę sobie, a jest na co. W życiu nie widzia-
łem, jak kolorowi bronią się i walczą. Nie sądziłem, że dożyję takiego dnia po
latach niewolnictwa.

– Trudno. Tylko uważaj na siebie. – Rafe wyciągnął ku niemu rękę. – Na-
piszę, kiedy się urządzimy.

Clarence odwzajemnił uścisk.

– A ty uważaj na Nickel. To najwspanialsza dziewczyna, jaką znałem –
uśmiechnął się, burząc czuprynę dziewczynki. – No, mała, przestań moczyć
ojcu koszulę.

Ojciec podszedł do drzwi i położył palec na ustach.

– Teraz uwaga, Nicky. Poczekaj tu z Clarence’em, aż dam ci znak, że jest
bezpiecznie – powiedział i czujnie się rozglądając, podszedł do bramy.

Uchylił ją i ostrożnie wyjrzał na ulicę, gdzie jego nowy ford stał zaparko-
wany przy następnej przecznicy.

Dał Nicky znak, by szła za nim, a sam ruszył ostrożnie do samochodu.

– Cześć – cmoknęła Clarence’a w policzek.

– Uważaj na siebie!

Szybko pobiegła śladami ojca. Gdy była w połowie drogi do bramy, usły-
szała cichy szum. Przystanęła i popatrzyła na tatę, ale on nadal przyzywał ją
do siebie. Przyspieszyła. Przy bramie potknęła się w mroku. Kiedy wyprostowa-
ła głowę, zobaczyła czarny kształt, sunący ku nim powoli ulicą. Minęło
kilka cennych sekund, zanim domyśliła się, że to samochód z wygaszonymi
światłami. W następnej chwili uświadomiła sobie, że ojciec daje jej rozpacz-
liwe znaki, by się cofnęła.

Już odwracała się, by uciec, kiedy zawył silnik, a z reflektorów wystrzeliły
jasne smugi. Czarny wóz ruszył do ataku.

– To kulka dla ciebie, Cantrelle! – usłyszała męski głos, a potem strzał,
który zabrzmiał jak wykrzyknik.

Ojciec upadł, a ona stała jak skamieniała. Samochód zwolnił, minął go,
broń wystrzeliła jeszcze raz.

Zapisały opony i wóz odjechał z rykiem silnika.

Dopiero teraz rzuciła się ku ojcu.

– Tatusiu!

Z wysiłkiem uniósł głowę i zawołał:

– Uciekaj! Do domu!

Nie mogła go zostawić. Była pewna, że jest ranny. Widziała, że udało mu
się wstać i chwiejnym krokiem dowiec do pobliskiego drzewa. Pobiegła ku

niemu, wyczerpując wszystkie siły. I była już całkiem blisko, gdy samochód ponownie nadjechał, tym razem z przeciwnej strony ulicy.

Zamarła w świetle reflektorów, zbyt przerażona, by biec, i zbyt zaskoczona, by podjąć jakąkolwiek decyzję. Samochód zatrzymał się przed nią, spod ronda kapelusza siedzącego za kierownicą mężczyzny błysnął okrutny uśmiech.

– Teraz dla ciebie, ty bękarcie...

– Nie! – Ojciec doskoczył do niej i zbił ją z nóg.

Upadła, przygnieciona jego ciężarem. Zaraz potem strzały posypały się ogłuszającą serią. Nicolette zamknęła oczy. Czuła, jak ciało jej ojca nagle sztywnieje, a potem opada bezwładnie. Rozległa się głucha eksplozja, potem druga. Zaczęła krzyczeć, prężyć się, szarpać.

– Tato! – Potrząsnęła jego ramiona.

Wreszcie ktoś zsunął z niej ciało. Clarence klęczał przy niej i pytał:

– Jesteś ranna?

– Tatusiu!

– Mów, Nickel! Jesteś ranna? – Dotknął jej twarzy, całej umazanej we krwi. Ale to nie była jej krew. Odepchnęła troskliwe dłonie i usiadła na mokrym asfalcie. Ojciec leżał bezwładnie na jezdni, a po jego wółprzymkniętych powiekach pełgał blask płomieni.

– Podpalili nasz dom – wychrypiał Clarence.

– Sądziadów też. Musimy uciekać. Nicolette rozejrzała się wokół dzikim wzrokiem.

Krzyczący ludzie wylewali się z górnych pięter.

Tłum wysypał się na ulicę.

– Tato... – pochyliła się nad rannym. – Tatusiu!

– On nie żyje, Nickel. Postrzelali go jak sito. A nawet gdyby żył, nie chciałby, żebyś tu została i zginęła razem z nim – nalegał Clarence, usiłując odciągnąć ją na bok.

Ostatkiem sił wyszarpnęła się z troskliwych objęć i chwyciła ojca w ramiona.

– Nie, on jeszcze żyje! – Zaczęła potrząsać bezwładnym ciałem. – Żyje!

– On umarł, Nickel. Chodź, szybko!

– Ale tata nie umarł od razu – opowiadała Nicky Phillipowi. – Jeszcze nie w tamtej chwili. Pochyliłam się nad nim i przylgnęłam twarzą do jego twarzy, a on...

Łzy popłynęły po jej policzkach i tak dławiły w gardle, że przez chwilę nie mogła mówić. Czuła, jak dłoń syna obejmuje jej dłoń i zaciska się na niej mocno. Splotła z nim palce. Tak samo robiła kiedyś, gdy chodziła na spacerze ze swoim ojcem.

– A on otworzył oczy – zdołała powiedzieć po głębokim westchnieniu. – Nie był wcale zdziwiony, że umiera, Phillipie. Widziałam to, nawet w takiej chwili. Zupełnie jak gdyby miał świadomość, że całe jego życie zmierzało ku takiemu właśnie zakończeniu.

Popatrzył na mnie, chyba się uśmiechnął i powiedział... – Na moment odwróciła głowę do okna, zaraz jednak podjęła mocniejszym głosem:

– „Jesteś najlepsza z tego, co oboje mieliśmy, Nicky”. Dopiero wtedy umarł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Na werandzie domu Belindy siedziały dzieci, przebrane w barwne kostiumy pajaców. Phillip usiłował rozpoznać znajome dziewczynki, ale bezskutecznie.

Kiedy go zobaczyły, jedna z nich pobiegła do środka i po chwili wróciła ze starszą kobietą z niedbałą trwałą na głowie i podpuchniętymi, zmęczonymi oczami.

– Czy zastałem Belinę? – zapytał z uśmiechem, sądząc, że trafił na kogoś z rodziny, na przykład zamężną siostrę.

– Nikt taki tu nie mieszka – burknęła kobieta, zerkając na niego podejrzliwie. Nie dziwił się, gdyż od momentu wyjścia od matki budził

powszechnie zdziwienie, paradując w eleganckim prochowcu wśród pstrego karnawałowego tłumu.

– Belinda Beauclaire – powtórzył dobitnie. – To jest jej dom.

– Akurat! – Kobieta zatarasowała obfitym ciałem drogę na werandę. – Dom jest mój!

– Dawno pani tu mieszka? – zapytał z dziennikarską dociekliwością.

– A niby dlaczego miałabym to panu mówić? – odparowała.

– Proszę zrozumieć, jeszcze niedawno mieszkała tu moja przyjaciółka, którą koniecznie muszę odnaleźć.

– A teraz ja tu mieszkam!

Phillip przygryzł wargi. Nagle poczuł się bezsilny.

Nie przyszło mu do głowy, że Belinda tak po prostu mogłaby wyjechać, nie wspomniawszy mu o tym ani słowem. Jak miał teraz jej szukać?

Musiał mieć naprawdę rozpaczliwy wyraz twarzy, gdyż naburmuszona mi na kobiety wreszcie złagodniała. A może miała po prostu dosyć jego obecności.

– Szukaj jej w Clairborne – poinformowała z westchnieniem.

- Gdzie to jest?
- Nietutejszy, co?
- Nie do końca. Moją matką jest Nicky Valentine.

Często tu przyjeżdżam. – Ze wstydem powoływał się na Nicky, ale nie miał wyjścia. W tym mieście jej nazwisko otwierało wszystkie drzwi.

– Belinda wyprowadziła się i nie mieszka teraz sama. Nie znam adresu, ale w Clairborne ci powiedzą – wyjaśniła łaskawszym tonem.

– Dzięki.

– Poczekaj! – Na moment zniknęła we wnętrzu domu, by po chwili wrócić z naszyjnikami z kolorowych szklanych paciorków. – Włóż to. Chłopak Nicky nie może wyglądać inaczej niż wszyscy.

Niechętnie założył karnawałową ozdóbkę na szyję i rozchełstał zapiętą wcześniej koszulę. Prochowiec włożył do samochodu i dalej ruszył piechotą.

Nie było sensu brnąć wozem wśród tłumów na ulicach. Tłumów, z którymi nie miał zamiaru się bratać i spoufalać. Zawsze uważał rozpasany nowoorleański karnawał za karygodną stratę czasu. Ile można podrygiwać na ulicach w kolorowych szmatkach, pić i śpiewać?

Zresztą w tej całej pozornej swobodzie kryły się uprzedzenia i zakłamanie. Nawet parady odzwierciedlały segregację rasową. Król i jego dwór reprezentowali białą elitę, pysniąc się na tle czarnych masek Zulusa i jego świty.

W tym zamięcie droga do domu Belindy mogła potrwać długo. Phillip miał czas na rozmyślanie.

Dlaczego sprzedała dom? Fakt, była to skromna połówka bliźniaka, pokoje w amfiladzie, ciasne, bez holu – ale za to był jej, kupiony za własne pieniądze, pomalowany i urządzony tak jak lubiła. Do tego zdążyła zapuścić już korzenie w sąsiedztwie, gdzie znano ją i szanowano. Pamiętał także, z jakim zaangażowaniem uczyła swoje dzieci, które teraz musiała porzucić. Dlaczego nie chciała już w ciepłe wieczory siedzieć na ławce wśród jaśminów, wdychając ich upojną woń? A przede wszystkim dlaczego nie odezwała się do niego ani słowem? Przecież powinna się domyślać, że któregoś dnia wróci.

Dziś potrzebował jej tak, jak nigdy nie potrzebował nikogo. Tylko Belindzie mógł się zwierzyć ze wszystkiego, co usłyszał o swojej rodzinie. Tylko jej, której nie było.

Zamyślony, zagubiony w radosnym tłumie, przeszedł kilka przecznic. Z jednej z nich dotarła do niego intrygująca ni to muzyka, ni to melodyjna litania, która rozbrzmiewała z wnętrza podłego baru, jakich pełno było w tym mieście. Musiał być zatłoczony do niemożliwości, bo dźwięk zdawał się kipieć na zewnątrz przez otwarte okna. Grupki mężczyzn, stojące na chodniku, podrygiwały w pulsującym rytmie.

Dominował upajający łoskot bębnów, podobnych do tych, jakie słyszał w małych afrykańskich miasteczkach. Męskie głosy wznosiły się i opadały, a dźwięk zdawał się rozpełzać po wszystkich ulicach.

Dzieciaki akompaniowały, rytmicznie stukając butelkami po wodzie sodowej. Ich matki klaskały w dłonie i kołysały się, przestępując z nogi na nogę. Śpiew narastał, potężniał. Phillip zatopił się w nim, zatraciwszy na moment poczucie miejsca i czasu. Nieustające crescendo wprawiało jego serce w drżenie, rozwijając się w rytmie starym jak sam ludzki ród. Zanim zdał sobie sprawę, już kołysał się jak inni, podchodząc coraz bliżej źródła dźwięku.

Nagle tłum u wejścia do baru rozsunął się z szacunkiem, zostawiając szerokie przejście. Okrzyki zachwytu powitały bajkowe piękno kostiumu, który mienił się barwami szkarłatu i turkus. Mężczyzna, który go nosił, stał przez chwilę w otwartych drzwiach, wysoki, dumny i milczący, a potem ruszył naprzód, rozglądając się wokół w dramatyczny, nieco teatralny sposób.

– To zwiadowca – rozległ się szept tuż przy uchu

Phillipa. Odwrócił się i zobaczył krępego nastolatka w kostiumie pirata.

– Zwiadowca?

– Aha. Nie słyszałeś o Indianach z naszego kreolskiego Dzikiego Zachodu? No to patrz, bo zaraz wyjdzie chorąży.

Rzeczywiście, po chwili znów wybuchły oklaski i kolejny przebrany mężczyzna pojawił się w drzwiach. Jego kostium był mniej efektowny, ale za to chorąży dzierżył w dłoni drzewce, ozdobione pękami szkarłatnych i turkusowych piór.

– Jeden sprawdza, czy w pobliżu nie ma obcych plemion, a drugi przez cały dzień obnosi plemienny znak – uzupełnił skwapliwie chłopak. – Rzecz w tym, że trzeba zawsze być czujnym – rzucił, odchodząc w podrygach ku grupce znajomych, stojących nieopodal na rogu.

I tak po kolei ukazywali się następni aktorzy tego niezwykłego spektaklu, w coraz to bardziej imponujących przebraniach. Wreszcie majestatycznym krokiem wkroczył ktoś, w kim Phillip nawet bez wybuchu dzikiej radości ze strony tłumu rozpoznałby wodza. Wodza o majestacie nie ustępującym wielkim europejskim monarchom.

Indianie, śpiewając, ruszyli ulicą w barwnym pochodzie. Mniej malowniczo widzowie towarzyszyli im w pełnej szacunku odległości, ale śpiewali wszyscy. Tętniący rytm długo jeszcze przesycił atmosferę, choć indiańskie plemię już dawno zniknęło za rogiem. Za chwilę wypełniła jego miejsce inna muzyka, wylewająca się z okien i bram domów, improwizowana, synkopowana, brzęcząca blaszonym dźwiękiem trąbek.

W miarę jak Phillip zbliżał się do Clairborne, tłum gęstniał, a hałas stawał się nieznośnie intensywny.

Podobnie narastał upał, choć jeszcze było wcześniej. Wszędzie wokół niego bawiły się, szalały i pozdrowiały karnawałowe maski oraz rozbawione twarze. On zaś tkwił pośrodku owego chaosu, kakofonii okrzyków, muzyki z tysięcy tranzystorów, pisków dzieci i nawoływań dorosłych – i czuł się jak wyrzutek. Nie chciał się bawić, nie miał w sobie żadnych uczuć poza jednym – nieodpartą tęsknotą.

Obok niego przemaszerował zwarty oddział szkieletów, trzaskających kołatkami i groźnie wymachujących kośćmi w stronę podekscytowanych dzieci. Troje odważnych chłopców, uzbrojonych w kijki, puściło się biegiem za kościotrupami.

Ostatni z nich potknął się o stopę Phillipa i padł jak długi na chodnik. Phillip schylił się zaraz i porwał chłopca w ramiona, lecz natychmiast znalazła się jego obrończyni.

– Hej, puść Percy’ego!

Odwrócił się. Zobaczył małą dziewczynkę, patrzącą na niego z oburzeniem. Wysunęła twardo bródkę do przodu i oparła ręce na biodrach.

– No, mówię ci, puść!

Dziecko wyglądało dziwnie znajomo. Po chwili namysłu Phillip skojarzył, skąd zna tę buzię.

– Spokojnie, Amy. Percy potknął się o moją nogę, a ja tylko pomogłem mu wstać – wyjaśnił poważnie. – Nazywasz się Amy, prawda? A ja jestem Phillip, przyjaciel Belindy. Cześć – pochylił się niezdarnie i wyciągnął rękę. Mała z wahaniem odwzajemniła uścisk. – Powiedz, Amy, czy wiesz, gdzie jest Belinda? Nie mogę nigdzie jej znaleźć.

– A bo ja wiem... – Wzruszyła ramionami.

– Zaraz – zastanowiła się – tam mieszka! – powiedziała i wskazała dom za ich plecami.

Zaraz potem odwróciła się i pobiegła za Percy’ym, a Phillip ruszył dalej z nową nadzieją. Kiedy zbliżył się do wskazanego domu, usłyszał muzykę.

Ktoś wystawił głośniki na parapet, podkręcając głośność do maksimum. Przez otwarte okno pierwszego piętra ryczał ostry, drapieżny rhythm and blues.

Sam dom, zdobiony białym stiukiem, prezentował się bardzo przyzwoicie. Musiało się tam mieścić przynajmniej sześć sypialni. Na szerokiej werandzie zabawa trwała w najlepsze, wśród tańczących nie dostrzegł jednak Belindy.

Wszedł do środka, gdzie łomot muzyki był nieco stłumiony. Dwóch mężczyzn około trzydziestki nakładało sobie na talerzyki dania ze stołu dosłownie uginającego się od jedzenia. Trzy dziewczyny zairzały na moment i zniknęły.

– Obsłuż się sam, stary – zaproponował Phillipowi mężczyzna w kwiecistej koszuli i bermudach.

– Szukam Belindy Beauclaire. Podobno tu mieszka.

- A i owszem.
- A gdzie może teraz być?
- Poszła obejrzeć Zulusa – stwierdził przystojniak w koszuli z niezachwianą pewnością, która dziwnie zirytowała Phillipa.
- Jak mogę ją znaleźć?
- Trudno powiedzieć, gdzie teraz może być Zulus. Może lepiej przekąsisz coś i poczekaasz?

Belinda wróci, jak się zmęczy.

- Dzięki, pójdę jej poszukać. Jeśli nie znajdę, wrócę jeszcze raz.
- Spróbuj na Jackson Avenue – wtrącił drugi mężczyzna, pokazując kierunek butelką z piwem.

Był już w pół drogi na Jackson Avenue, kiedy wreszcie ją zobaczył. Szła z boku, gdzie było mniej ludzi, ubrana w olśniewająco białą sukienkę. Obcisły materiał ponętnie opinał wspaniałe kształty, wokół których trzepotała luźna, cienka jak mgiełka bluzka. Biała satynowa maska z dwoma miętko opadającymi piórami skrywała górę twarzy.

– Belinda! – Rzucił się ku niej, roztrącając tłum.

Zatrzymała się i czekała nieruchomo. Zerwał jej maskę i wpił się zachłanym spojrzeniem w tak dobrze znajomą twarz. Nigdy nie wydawała mu się tak piękna i pociągająca.

- Boże, już myślałem, że cię nie znajdę!
- Nikt nie kazał ci szukać.
- Ale chciałem. – Ujął ją za łokieć i pociągnął w bok, gdyż nadciągała właśnie następna fala przebierańców.
- Dlaczego się przeprowadziłaś?
- Po prostu z kimś zamieszkałam.
- Od razu stanął mu przed oczami typ w kwiecistej koszuli.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- A jak miałam to zrobić?
- Chociażby przez Nicky.
- Fakt, mogłam.
- Dlaczego więc zniknęłaś bez słowa?
- Wyrwała mu się, chcąc odejść na drugą stronę ulicy, ale zatrzymał ją.
- Nie odchodź tak, błagam. Musimy porozmawiać!
- Phillip, daj spokój, przecież od początku dawałeś do zrozumienia, że nie zamierzasz się nigdzie zadomowić. Nie widziałam sensu wysyłania ci wiadomości.
- Belindo... – Znów ujął ją za ramię, tym razem łagodniej. – Proszę, porozmawiajmy.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Zaczęłam nowe życie, a ty żyjesz tak, jak zawsze chciałeś żyć i nie masz ochoty na zmiany. Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

– Co to znaczy nowe życie? – Milczała, więc nabrał najgorszych podejrzeń. – Byłem w twoim nowym domu, rozmawiałem z mężczyzną, który dokładnie wiedział, co robisz i gdzie jesteś. Czy o to chodzi?

Nie odpowiedziała. Podeszła do nich nagle jakaś kobieta, w której Phillip rozpoznał Debby, nauczycielkę, która siedziała z nimi w Club Valentine.

Debby miała na sobie sukienkę w lamparcie cętki i czarną kocią maseczkę.

– Phillip? Skąd się tu wzięłeś? – zdziwiła się.

– Szukałem Belindy. I wyobraź sobie, że znalazłem.

– Jak? Przecież zamieszkała z nami.

– Z wami?

– Z Vicky i moją rodziną.

– Co to znowu za Vicky? – Phillip znów się zaniekpokoił.

– Moja córeczka – roześmiała się Debby. – Właśnie po nią idę. Ogląda z moim bratem paradę Zulusa. No, lecę. Do zobaczenia!

Phillip patrzył chwilę za Debby.

– Więc to z nią mieszkasz?

Belinda wciąż nie miała ochoty się odzywać.

Wiedział, że gdyby przedstawił jej nawet całą listę pytań, i tak nie dostanie odpowiedzi. Może czuła się zlekceważona i opuszczona? Może czekała zbyt długo na jego deklarację albo jakiś sygnał, że mu na niej zależy, a kiedy wreszcie straciła cierpliwość, postanowiła od niego uciec i o nim zapomnieć?

– Belindo... – Poglądził jej policzek, ale napięte rysy nie zelżały. Cofnął rękę. – Chodź, popatrzmy na Zulusa.

– Wracam do domu.

– Mogę cię odprowadzić?

Znów nie odpowiedziała, więc dogonił ją i zrównał z nią krok. Słowa, które chciał wypowiedzieć, dosłownie w nim kipiały, a jednak milczał, nie mogąc wymówić tego pierwszego, najważniejszego.

Belinda zresztą nie ułatwiała mu zadania. Jej odpowiedzi były suche, wymijające, wyprane z wszelkich emocji.

– O co ci chodzi?

– O nic.

– Jesteś na mnie zła?

– Nie.

– Czujesz się oszukana?

– To zależy

– Posłuchaj, tamtego wieczoru, w klubie, kiedy mówiłem, że to nie jest mój dom i moje miasto, nie chciałem wcale powiedzieć... że nie chcę ciebie.

Stała i spojrzała mu prosto w oczy.

– Jeśli nawet mnie chcesz, to tylko po to, żebym na ciebie czekała, kiedy będziesz potrzebował ciepłego gniazdka na czas pobytu w mieście.

– Muszę podróżować, zrozumi. Taka jest moja praca. Gonię za wydarzeniami. Pojutrze znów wyjeżdżam do Alabamy, więc chciałem z tobą porozmawiać, zanim zniknę.

– Nie chodzi mi o twój zawód i dobrze o tym wiesz.

– W takim razie o co chodzi?

– I tak nie zrozumiesz.

– Powiedz.

– O... o jakąś wspólnotę... o bycie jej częścią.

– Myślę, że razem możemy być tą częścią – powiedział niepewnie i natychmiast uświadomił sobie, że po raz pierwszy usłyszała od niego podobne słowa.

Jednak Belinda uparcie pokręciła głową.

– Nie rozumiesz. Widzę, że nie rozumiesz. Spróbuj popatrzeć na siebie z boku. Kiedy tylko widzisz, że pojawiają się nowe zobowiązania, natychmiast wsiadasz w samolot albo autobus. Robiłeś to tak często, że przerodziło się w nawyk, z którego nie zdajesz już sobie sprawy. Ale co ci zostanie, gdy tego zabraknie? Do czego wrócisz?

Phillip zastanawiał się nad odpowiedzią, gdy zza rogu wychyłała ze śpiwem kolejna wataha Indian, tym razem odziana na pomarańczowo i niebiesko.

Belinda wykorzystała okazję i błyskawicznie wmieszała się w tłum, nikiąc mu z oczu. Usiłował za nią biec, lecz było już za późno.

Mimowolnie pozwolił ponieść się gwarnej, tętniącej rytmem fali. Dźwięk bębnow i głosów, skandujących jak w transie urywane słowa, stał się niczym pierwotna, dzika rzeka, pulsująca w arteriach ulic jak życiodajna krew. Tłum rozstępował się z szacunkiem na boki, by zrobić im miejsce.

W pewnym momencie Phillip zachwiał się i omal nie przewrócił drobnej kobiety, obejmującej małą dziewczynkę. Pochwycił je, zanim zdążyły upaść na chodnik, i dopiero wtedy spostrzegł, że ma przed sobą Debby i zapewne jej córkę.

– Wszystko w porządku?

– Nic się nie stało – uśmiechnęła się.

– Daj, wezmę małą. To Vicky, prawda? – Siegnął po dziecko, które ufnie pozwoliło unieść się do góry, a potem z wolna przesunął się ku krawędzi tłum, gdzie widać było wolną przestrzeń. Dopiero tutaj można było mówić do siebie, nie krzycząc.

Pochylił głowę ku dziecku. Czuł, że wypada z nim pogadać. – Podoba mi się twoja lalka – powiedział, patrząc na śmieszny szmacianą laleczkę o ciem-

nej skórze. Ktoś musiał specjalnie ją dla niej uszyć, gdyż w sklepie wszystkie lalki były białe. – Jak się nazywa?

– Belinda.

– Belinda ci ją dała?

Nietrudno było zgadnąć. To było w jej stylu – dbałość, by dziecko identyfikowało się ze swoimi pochodzeniem nawet poprzez zabawki.

– Jest śliczna, tak jak ty – uśmiechnął się niezdarnie.

– Muszę się teraz nauczyć, jak trzymać prawdziwego dzidziusia.

– To znaczy?

– Belinda będzie miała dzidziusia, a ja będę go przytulać – oświadczyła poważnie mała.

Phillip nie od razu pojął sens tych słów.

– Co powiedziałaś, Vicky? – zapytał dopiero po chwili, a uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

– Belinda ma w brzuszku dziecko. Niedługo wyjdzie, więc muszę się uczyć.

– Aha. – Phillip przysunął się bliżej Debby.

– Dlaczego właściwie Belinda z wami zamieszkała? – zapytał.

– Niech ci sama powie.

– Vicky mówi, że spodziewa się dziecka.

Debby wyciągnęła ramiona i dziewczynka z radosnym piskiem przerzuciła rączki na szyję matki.

– To prawda. Choć chyba żadna kobieta nie pilnowała się bardziej niż ona.

Phillip aż za dobrze wiedział, że tak było.

– Wiem, ale wpadki czasem się zdarzają.

Nie mógł chyba wymyślić nic gorszego.

– Jeśli chcesz wiedzieć więcej, porozmawiaj z nią sam – powiedziała Debby i skinąwszy mu głową, odeszła.

Phillip stał oszołomiony, ze ściśniętym gardłem, a obok niego przepływał barwny korowód, którego nie widział ani nie słyszał. Myślał o Aurorze Gerritsen, która straciła córkę z powodu własnych lęków i uprzedzeń. Myślał o Rafe Cantrelle’u, mężczyźnie, do którego on sam był zapewne podobny. Rafe też omal nie stracił córki, gdyż obawiał się ją pokochać.

Nie dane mu było poznać swoich dziadków.

Dzieciństwo kojarzyło mu się wyłącznie z matką.

Nikt poza nią nie był dla niego wzorcem ani dziecięcym bohaterem. Lecz teraz zrozumiał nagle, że ci bliscy nieobecni oprócz innych darów zostawili mu w spadku także jeden szczególnie – niepewność.

Phillip tak jak oni lękał się miłości, tłumacząc niemożność związku z Belindą zamętem na świecie. Żył z dnia na dzień, bez zakotwiczenia, patrzył na wszystko z boku, nigdzie nie chciał zagrzewać miejsca na dłużej. Tak jak jego

dziadkowie, nie podjął prawdziwego życiowego ryzyka, nie walczył o szczęście i miłość, bowiem szukał korzyści większych. Pozornie większych.

Lecz w opowieści Aurore przewijały się inne wątki niż tylko życiowe tchórzostwo, zemsta czy zdrada. Teraz, na progu śmierci, zaczęła trudną i bolesną walkę o naprawę popełnionych błędów.

Zaś Rafe zginął, walcząc o przyszłość córki, broniąc jej życia.

Dziadkowie przekazali mu dziedzictwo niepewności, ale i coś więcej. Dopiero teraz Phillip zrozumiał prawdziwy sens opowieści Aurore i pojął, czemu słuchanie jej było dla niego aż tak bolesne.

Aurore i Rafe zostali skazani na wieczne niespełnienie.

Ale dali szansę swojemu wnukowi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Znalezienie ludzi, którzy uprzątnęliby gruz i śmieci z opuszczonego budynku w sąsiedztwie dawnego domu Belindy, było tylko jednym z wielu problemów Phillipa. Werandę na piętrze poważnie uszkodziły termyty, a kloszardzi nocujący na parterze wytlukli połowę okien. Żelazna ozdobna balustrada, otaczająca oba tarasy, która kiedyś tak zachwyciła Belindę, powróciła do dawnej świetności dopiero po zeszkrobaniu wielu warstw rdzy. Phillip sam pomalował ją czarną farbą.

Już w następny dzień po tym, jak kupił dom, na teren weszły ekipy remontowe. Trzeba było łątać dziury w ścianach, zrywać stare boazerie, wymieniać całą zmuszałą stolarkę okienną i odnawiać podłogi. Elektrycy i hydraulicy również mieli wiele roboty. Phillip kazał założyć nowe rury, krany w kuchni i unowocześnić instalację. Nie kupił tylko żadnych sprzętów. To na razie mogło poczekać.

Ogród początkowo wyglądał jak wysypisko śmieci. Dżunglę gęstych zarośli trzeba było wyciąć i posadzić wszystko od nowa. Ocalało tylko sięgające dachu drzewo magnolii oraz stojący z tyłu stary dąb. Teraz przy ogrodzeniu kwitły już jaśminy i gardenie, które wyrzwały z grządek, starannie wylewionych z chwastów. Przy pracach w ogrodzie z radością pomagał mu Jake, który dał przy okazji kilka lekcji na temat projektowania terenów zielonych. Efekt ich wspólnej pracy był tak udany, że Nicky uznała, że obaj panowie stanowczo powinni zmienić zawód.

Pewnego ciepłego wiosennego dnia, kiedy ogród w słonecznym świetle wyglądał najkorzystniej,

Phillip stanął przed białym domem w Clairborne i wypatrywał przez ogrodzenie Belindy. Porę wizyty wybrał starannie, po wcześniejszej telefonicznej konsultacji z Debby.

Belinda siedziała samotnie na werandzie, jak gdyby na niego czekała. Ale kiedy podszedł cicho i stanął obok niej, w jej oczach pojawił się wyraz wrogiej czujności.

– Cześć – odezwał się pierwszy. – Jak się miewasz?

– Nie narzekam.

– Jasne, to nie w twoim stylu.

Wstała, by odejść, a on musiał zacisnąć pięści z całej siły, by powstrzymać się od wyciągnięcia ku niej ręki.

– Nie odchodź – poprosił.

– Nie widzę sensu tego spotkania.

– Spróbuję cię przekonać.

Niechętnie opadła na krzesło. Phillip dyskretnie powędrował spojrzeniem po jej ciele, usiłując dopatrzeć się oznak ciąży. Belinda nadal była smukłą, ale bystre oko dostrzegło krągłejsze, bardziej kobiece kształty.

– Słyszałam, że znów wróciłeś do miasta – zagadnęła.

– Naprawdę?

– I słyszałam, że dostało ci się w Selmie.

Rzeczywiście, dostał gazem łzawiącym po oczach i oberwał pałką po głowie. Cios mógł się okazać groźny, gdyby jeden z białych demonstrantów nie skoczył na policjanta, osłabiając impet uderzenia.

– Tak jak i wielu innym. Ale nie mam ochoty o tym mówić.

Skinęła głową. Zawsze rozumiała go bez słowa.

– Debby mówiła mi, że wiesz o dziecku.

– Wiem.

– Niczego od ciebie nie chcę, Phillipie. Nie chciałeś, żeby to się stało, więc nie jesteś do niczego zobowiązany. Poradzę sobie.

– Nie wątpię.

Znów wstała.

– Mam jednak nadzieję, że poświęcisz mi kilka minut, dobrze?

– W jakim celu?

– Chcę ci coś pokazać.

Nadal był spięta, ale już nie tak nieufna.

– Czyżbyś chciał mnie przekupić?

Zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– Nie chcę twoich pieniędzy. Ani dla siebie, ani dla dziecka. Już ci mówiłam, że dam sobie radę. Nie chcę, żebyś znów pojawiał się w moim życiu.

– Nie chcesz? – Przysunął się ku niej, odcinając drogę do drzwi. – Nie chcesz, żebym był ojcem swojego własnego dziecka?

– Uważasz, że jakikolwiek ojciec jest lepszy niż żaden?

– Jak to jakikolwiek? Nie jestem pierwszym lepszym facetem! – powiedział poirytowany. – Za kogo mnie masz? Za nieodpowiedzialnego dupka?

– Nie! – Belinda skrzyżowała ramiona na piersi.

– Wiem, że gdybym tego chciała, przyjąłbyś odpowiedzialność. Ale bez radości i zaangażowania. A ja sama byłam tak wychowana i tego nie chcę.

Moja matka była wykończona płodzeniem kolejnych dzieci, dbała tylko, żebyśmy mieli pełną miskę i miejsce do spania. Żadnej miłości! Nie zrobię tego mojemu dziecku!

– Posłuchaj, Belindo... – Phillip wziął głęboki oddech i przymknął oczy. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie lekko. Musiał być cierpliwy. – Proszę, pozwól, żebym ci coś pokazał. Pojedź ze mną, zaraz. Dopiero potem podejmij decyzję. To chyba możesz dla mnie zrobić?

– Niczego nie muszę robić!

– Owszem, musisz. – Podszedł jeszcze bliżej.

Stał, górując nad nią, i czekał. Niemal namacalnie czuł, jak rośnie napięcie.

– A potem zostawisz mnie w spokoju?

– Nie licz, że całkiem zapomnę o tobie i dziecku.

Jeśli o to chodzi, jest mi obojętne, jakie będzie twoje zdanie. Mogę najwyżej postarać się uczynić moją obecność bardziej dyskretną, by nie narażać cię na stresy.

Belinda milczała. Z przerażeniem zastanawiał się, co zrobi, jeśli znów mu odmówi. W końcu skinęła głową.

– Zgoda.

– W takim razie jedziemy. To niedaleko. Mój wóz stoi przed domem.

Zapewne popełnił w życiu tysiące błędów. Zapewne popełnił tysiące błędów w stosunkach z kobietami.

Ale jedna rzecz z pewnością mu się udała – wybrał idealny moment, by pokazać swój dom tej jednej, najważniejszej kobiecie swego życia.

Słońce właśnie zaczęło zachodzić, nasycając przestrzeń niezwykle, karnawałowymi tonacjami złota i fioletu. Otynkowany na biało budynek zyskał dzięki temu niezwykłą, tęczową barwę. Koronkowa balustrada odcinała się na jego tle wyrazistym wzorem, a dąb i magnolia przeglądały się w lśniących czystością oknach.

Phillip stanął przed Belindą i położywszy jej dłonie na ramionach, obrócił ją w stronę budynku.

– To jest mój dom – oznajmił, opuszczając ręce. Czekał. – Podoba ci się? Nie odpowiedziała.

– Chodź, wejdziemy do środka.

- Nie.
- Przecież się zgodziłaś. Podobno zawsze dotrzymujesz słowa.
- Niech cię cholera!

Choć zakłęła po cichu, słowa smagnęły Phillipa jak bat. Zdołał jednak się opanować i ponowił pytanie:

- Idziesz czy nie?

Widział w jej oczach, że go posłucha, więc nie oglądając się za siebie, ruszył do furtki. Po drodze pokazywał wszystko, co już zrobił, i opowiadał, co jeszcze zostało do zrobienia. Wreszcie zapraszająco otworzył przed Belindą drzwi wejściowe.

- Gdzie meble? – zapytała od razu.

– Na razie tyle wystarczy – odparł i poprowadził ją przez pokoje, oświetlone stojącymi lampami, pożyczonymi od Nicky i Jake’a. – Tu są trzy sypialnie – oznajmił, gdy weszli na piętro. – Ta jest najmniejsza. – Otworzył najbliższe drzwi i wpuścił Belinę przodem, jakby odruchowo pragnął zablokować jej drogę ucieczki.

Tylko w tym pokoju malarze wykonali swoją robotę do końca. Ściany miały żółty odcień, a z okien zwisały wesole, żółtozielone zasłony.

Pośrodku stało dziecięce łóżeczko.

– Przychodzę tu wieczorami, przed wyjściem, i wyobrażam sobie, że nasze małe tu śpi. Rano przez okno wpadają potoki światła. Widzę, jak dziecko śmieje się, usiłując schwytać je rączkami...

Belinda podeszła do łóżeczka, stanęła nad nim i w zamyśleniu przeciągnęła palcem po drewnianej poręczy.

– Po co to wszystko, Phillip? Łudzisz się, że coś zmienisz? Że ja zmienię zdanie?

- Musisz sama rozstrzygnąć, czy możesz mi zaufać i uwierzyć.

Odwróciła się ku niemu.

- Mówiłam ci, że niczego od ciebie nie chcę. Nie chcę tego domu.

- Wcale ci go nie daję.

Belinda pytająco uniosła brwi.

- To jest mój dom – powiedział dobitnie. – Wymarzyłem go sobie, zbudowałem i mam zamiar cieszyć się nim przez lata.

– Ciekawe, jak to się ma do twojego słynnego stwierdzenia „to nie mój dom i nie moje miasto”, co? – zaśmiała się sceptycznie.

- Zgoda, wtedy myślałem inaczej. Dziś jest dokładnie odwrotnie.

– Czemu? Masz poczucie winy? Zrobiłeś mi dziecko i zgadzasz się ponosić konsekwencje?

Wziąć na siebie krzyż?

– Zaszłaś ze mną w ciąży i niedługo zostanę ojcem. Nie mam najmniejszego poczucia winy; mało tego, cieszę się. – Poglądził jej policzek.

Usiłowała wykręcić głowę, ale czuła dłoń była uparta. – Kocham cię, Belindo. Wiem, że zachowywałem się jak kompletny dureń i nie wiedziałem, co naprawdę czuję. Ale kocham cię od dawna. Nie ofiaruję ci tego domu w prześlągalnym darze ani nie próbuję cię przekupić. Po prostu proszę, żebyś zechciała zamieszkać w nim razem ze mną.

Belinda chciała coś powiedzieć, ale nabrała tylko powietrza, a potem wypuściła je z rezygnacją.

Phillip przyciągnął ją z wolna ku sobie. Z łagodną stanowczością przełamał bierny opór i przytulił.

– Kochana Belinda... – Zbliżył jej głowę do swoich ust. – Wyjąłem moje rzeczy z walizki i powiesiłem tam, w garderobie. Zostawiłem miejsce dla ciebie. Jeśli chcesz mieć swoją szafę, pojedę do Clairborne i sam ją przeniosę razem z wieszakami.

– Skąd wiesz, że cię kocham? Skąd wiesz, czy chciałabym mieszkać tu z tobą i razem wychowywać dziecko?

– Niektóre rzeczy trzeba przyjmować na wiarę – szepnął, dotykając wargami jej warg. Poddawała się po trochu, wciąż nieugięta i zdeterminowana.

Kobieta, którą kochał; której potrzebował; z której był dumny.

Odsunął ją do siebie i pokierował tyłem ku drugim drzwiom. Sięgnął za plecy Belindy i przekreślił gałkę.

– Tu jest sypialnia – powiedział z ustami przy jej ustach. – Możesz urządzić resztę domu, jak chcesz, ale ten pokój umeblowałem ja. Ogarnęła wnętrzem szybkim spojrzeniem. Poza miękkim, szerokim łóżem nie dostrzegła ani jednego sprzętu.

Odwróciła się do niego z łobuzerskim uśmiechem.

– Nieźle ci to wyszło.

Było już ciemno, kiedy znów zaczęli rozmawiać.

Belinda leżała z głową na piersi Phillipa, wpasowana w zagięcie ramienia.

– Wiesz, chciałbym ci o czymś opowiedzieć – zaczął.

– O Selmie?

– Nie, o tym może później. Jest coś ważniejszego.

– Zamieniam się w słuch – mruknęła sennie.

– To opowieść o mnie. O tym, kim jestem...

Nie zmieniła pozycji, dopóki nie skończył. Długo milczeli oboje, wreszcie Phillip uniósł głowę, by popatrzeć na twarz Belindy w blasku księżyca. Jej oczy powiedziały mu więcej, niż zdołałyby wrazić słowa.

– Powiesz to swojej mamie? – zapytała.

– Myślę, że tak, ale we właściwym czasie.

– Skąd będziesz wiedział, kiedy nadejdzie?

– Mogę nie wiedzieć. Liczę, że tymi podpowiesz. Popatrzyła na niego poważnie, westchnęła.

– Okay – skinęła głową i znów przyłgnęła do jego piersi. – Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

Wiedział. Położył ostrożnie dłoń na jej głowie i gładził włosy Belindy, dopóki nie zasnęli oboje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

– Rafe myślał o tobie, kiedy umierał – powiedział Phillip.

Zauważył, że od czasu jego ostatniej wizyty Aurore stała się jeszcze bardziej krucha i przygaszona.

Kiedy opowiadał o ostatnich chwilach życia jego dziadka, siedziała nieruchomo, wpatrując się w jakiś nieokreślony punkt za oknem.

– Tak ci powiedziała Nicky?

– Nie wprost. Ostatnie zdanie, jakie wypowiedział przed śmiercią, brzmiało: „Jesteś najlepsza z tego, co oboje mieliśmy, Nicky.”

– A potem Nicky wyjechała do Paryża... – dodała

Aurore i wcale nie zabrzmiało to jak pytanie.

Phillip domyślił się, że i te dzieje są jej dobrze znane. Mimo to opowiadał dalej:

– Tak. Po tamtym wieczorze Clarence Valentine ukrył ją na miesiąc u swoich przyjaciół, a później wyjechali razem za ocean. Dostał angaż w klubie jazzowym w Paryżu. Jazz stał się tam modny, a wraz z nim amerykańscy Murzyni. Oficjalnie podawał, że Nicky jest jego wnuczką. Ponieważ w tamtych czasach większość kolorowych nie miała świadectw urodzenia, władze musiały mu wierzyć. Nicky twierdzi, że Clarence uważał, że jej życiu wciąż zagraża niebezpieczeństwo, ponieważ widziała twarze zabójców ojca. Dlatego dał jej swoje nazwisko i fałszywą tożsamość.

– Musiał być porządnym człowiekiem.

– Nicky kochała go jak rodzzonego dziadka.

Aurore obróciła się ku niemu. Przygasłe oczy zablęskły.

– Myślałam, że twoja matka zginęła wraz z nim, że spaliła się w tamtym pożarze. Dopiero po wielu latach odkryłam, że jednak żyje.

– Skąd wiedziałaś o pożarze? Śledziłaś jej życie w Chicago? Wynajęłaś kogoś, by zbierał dla ciebie informacje?

– Mniej więcej. – Ujęła go za rękę. Nie cofnął swojej, ale kontrast odcieni ich skóry nie był miły dla jego wzroku. – Rafe’a odnalazł dlamniemój adwokat. Bo widzisz, postanowiłam pojechać do niego...

Phillip spojrzął na nią zaskoczony.

– Naprawdę – przytaknęła. – Kiedy Rafe zabrał Nicolette i wyjechał z Nowego Orleanu, byłam przekonana, że wszystko między nami skończone.

Ale wciąż czułam się z nimi związana, z każdym dniem coraz bardziej. Budziłam się każdego ranka, dręczona myślami, co straciłam. Moje życie z Henrym stało się nie do zniesienia. Usiłowałam jakoś je sobie ułożyć, ale nie byłam w stanie. Nie pozwalała mi świadomość, że jeśli tylko się ośmielę, mogę sięgnąć po coś wspaniałego, że szczęście tylko na mnie czeka. Dlatego napisałam do Rafe’a, pytając, czy jeszcze mnie chce. Miałam zamiar zabrać Hugh i wyjechać potajemnie. Nic już nie liczyło się dla mnie poza dzieckiem – ani ślub, ani miasto, ani ludzie. Gdyby udało mi się bezpiecznie dotrzeć do Chicago, miałam namawiać Rafe’a na wyjazd do Francji. Wszak oboje znaliśmy francuski. Wyobrażałam sobie w marzeniach, że moglibyśmy zacząć tam nowe życie jako rodzina. I jeśli nawet nie znaleźlibyśmy akceptacji, moglibyśmy korzystać z dobrodziejstw tolerancji. Zatem napisałam do niego list, w którym błagałam bezwstydnie, by pozwolił mi dołączyć do siebie i dziecka. I czekałam...

– Doczekałaś się odpowiedzi?

– Nie. – Smutno pokręciła głową. – Nawet nie wiem, czy wogóle dostał mój list. Amoże dostał, ale nie mógł się zdobyć na odpowiedź odmowną. Ta niepewność dręczyła mnie przez całe życie. Spencer przyszedł do mnie po dwóch tygodniach od wysłania listu i oznajmił, że Rafe zginął w czasie antymurzyńskich zamieszek. Ten nieoceniony człowiek przeprowadził dokładne śledztwo, które wykazało, że od czasu pożaru, który zniszczył cały kwartał domów, nie widziano już więcej twojej matki. W ruinach znaleziono wiele ciał, których nie zdołano zidentyfikować, więc... – przerwała. Phillip po raz pierwszy od początku ich spotkań zobaczył w jej oczach łzy.

Wciąż trzymał w dłoni suchą rękę Aurore Gerritsen. Zaprzagnął nagle pocieszyć tę kobietę, która popełniła w życiu tak wiele błędów; tę białą kobietę, swoją babkę.

– Chwileczkę, pani Gerritsen – ścisnął jej kruchą dłoń odrobinę za mocno – wydaje mi się...

– Nie przejdzie ci przez usta imię Aurore, prawda?

– Wydaje mi się, że mój dziadek – te słowa przysły mu bez trudności – dostał twój list. Jestem tego pewien! Jak również tego, że snuł plany w związku z twoim przyjazdem!

– Dlaczego tak sądzisz?

Phillip jeszcze raz przypomniał sobie opowiadanie Nicky. Ostatnie spotkanie z ojcem niesło dla niej zupełnie jasne przesłanie. Trzymała się go potem równie kurczowo, jak Rafe trzymał się pamięci Marcelite i Angelle oraz wspomnienia ich śmierci.

– Niedługo przed śmiercią dziadek zapowiedział mamie, że wyprowadzą się z Chicago na dobre – wyjaśnił. – Mówił, że przeniosą się w miejsce, gdzie wreszcie będą mogli być szczęśliwi. A potem zapytał ją, czy zaufa mu i uwierzy, że chce dla niej jak najlepiej. Ale zadał to pytanie po francusku, rozumiesz? Tak przynajmniej opowiadała Nicky, a wierzę, że zapamiętała każdy szczegół. Musiała zapamiętać dobrze ten moment, gdyż od chwili opuszczenia Nowego Orleanu nie powiedzieli do siebie słowa po francusku. Jestem pewien, że dziadek przygotowywał się na emigrację do Francji.

Razem z tobą. – Poczul, jak dłoń Aurore lekko zadrżała. – A kiedy umierał – dokończył szybko – powiedział jej, że była najlepsza z tego, co oboje mieliście. Myślał wtedy o tobie. Na pewno. Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie

Aurore wydała ciężkie westchnienie i uśmiechnęła się do niego pogodnie.

– Miałam długie życie.

– Tak, miałas.

– Zatrzymasz się w mieście na dłużej, Phillipie?

Wysłuchasz reszty opowieści?

– Nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego? To nie koniec?

Popatrzyła na niego przekornie. Jej jasne oczy jeszcze błyszczały, ale nie było już śladów łez na policzkach.

– Chciałabym, żebyś wiedział wszystko. Tyle przynajmniej mogę ci dać.

– Zostanę w mieście na stałe.

– Naprawdę?

– Żenię się. Pod koniec lata zostanę ojcem. Leciutko ścisnęła mu rękę.

– Zawarłam z tobą układ. Będziesz go przestrzegał?

– Tak, babciu – uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu uśmiechem i wtedy, przez moment, zobaczył w niej dziewczynę, w której zakochał się jego dziadek.

– Rafe byłby z ciebie dumny – szepnęła.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Mam nadzieję, Aurore.